

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXVI.

ROK VII.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1882.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 31 Sierpnia 1882 r.

MAŁPA-CZŁOWIEK

NIEZNANA SATYRA Z XVIII W.

Satyrę, któréj streszczenie podaję, znalazłem w staréj pisanéj księdze, złożonéj z kilku rękopismów XVIII w. razem zeszytych i oprawionych. Książkę tę podarował niegdyś p. Cezar Biernacki mojemu ojcu, który ją oznaczył w spisie swoich manuskryptów nazwą *rękopismu kaliskiego.*

Rękopism satyry dość obszerny zająłby prawdopodobnie do sześciu arkuszy druku. Tytuł jego pierwotny: *Małpa-człowiek w cnotach*, tytuł zaś późniejszy, pełny: *Satyra. Małpa-człowiek w cnotach, obyczajach i kraju.* Te dwa ostatnie wyrazy i pierwszy dopisane są tąż samą ręką, ale innym ciemniejszym atramentem. Widocznie autor pomysł swój pierwotny rozszerzył, czego dowodzi i sam wstęp, w którym o tak rozległym zakresie pracy niema wcale wzmianki (1). Satyra, tak jak wyszła ostatecznie z pod pióra nieznanego jéj autora, rozpada się na trzy części: 1) *Małpa-człowiek w cnotach*, 2) *Małpa-człowiek w obyczajach* i 3) *Małpa-człowiek w kraju.* Na każdą z tych części składa się kilka rozdziałów.

Kto był autorem satyry—daremnie byłoby dociekać, niema bowiem żadnych wskazówek, mogących naprowadzić na ślad nazwiska autora. Gdyby można przypuszczać, że jestto utwór którego ze znanych pisarzy, prędzéj by się dało pokusić o dochodzenie ojcostwa tego dziecięcia; ale styl rubaszny, nieproporcyonalny układ, brak literackiego obrobienia, częste wreszcie powracanie do tego samego

---

(1) Ze sprawozdania o zajęciach naukowych, złożonego Uniwersytetowi Warszawskiemu przez p. Teodora Wierzbowskiego, dowiadujemy się, że w królewskiéj bibliotece w Dreznie znajduje się rękopis z XVIII wieku, zawierający kart 102 folio (sygnatura biblioteczna G. 44), pod napisem: „Małpa człowiek w cnocie, w obyczajach i w kraju, to jest na kształt ludzkiéj, ale nie cale ludzka wieku teraźniejszego maniera.“

(*Przyp. red.*)

przedmiotu, nie pozostawiają żadnéj wątpliwości, że autor satyry, choć nie bez zdolności, nie był jednakże pisarzem z zawodu, ale tęgim szlachcicem, co ręką od korda odjętą niewprawnie ale zamaszyście, od serca i do serca pragnął przemawiać.

Parę wyrażeń tchnących niechęcią do Sasów, jako téż wspomnienie o pełnym pobożności „królu nieboszczyku" wskazują wyraźnie pierwsze lata XVIII w. jako czas powstania satyry. Pewna surowość i ton mentorski, jakim autor pracę swoję zabarwił, pozwalają wnosić, że w chwili kiedy jął pióro do ręki, był już mężem dojrzałym, a bodaj czy nie starcem.

Przypuszczenie to upoważniałoby do domysłu, że brał udział w odsieczy Wiednia, a może i do chocimskiéj wiktoryi się przyłożył. „Że był to bowiem człek rycerski," jawny dowód w jego własnych słowach: „Czytając o wojnach i sam zaraz wojując, nauczyłem się wojować z niemałą męztwa swojego reputacyą, bo pochop sercu i aplikacyi wziąłem z opisanych na pochwałę naszych kawalerów akcyi." Nie można tego brać za czczą przechwałkę, boć autor starannie ukrył swoje nazwisko. Są wreszcie i inne poszlaki przemawiające za jego długim zawodem rycerskim, a najważniejszą bodaj z nich będzie stan kawalerski autora. „Żołnierz za żonę miewa szablicę"—mówi bardzo słusznie któryś z dawnych poetów, bo stan rycerski, jak go dawniéj jako zawód pojmowano, nie mógł się godzić ze spokojem domowego ogniska. Nasz satyryk widocznie był tegoż zdania, mówiąc bowiem o „stroju białogłowskim" dodaje, że ma „do tego wolność," gdyż mu jéj „przez przywiléj stuły nie zawiązała żona."

Charakterystykę autora wyciągnie sam czytelnik z mojego streszczenia satyry. Nie mogę się jednak powstrzymać od zwrócenia uwagi na kilka wybitnych rysów, cechujących jégo indywidualność i przekonania.

Przedewszystkiém przyznać mu należy spory zasób odwagi cywilnéj i prawdomówność. Każda prawie strona jego utworu silnie za tém przemawia, ztąd na zupełną wiarę zasługują słowa, które mówi sam o sobie: „Za drzwiami respektów wystawać nie będę."

Szczery, prawdziwy katolik, ubolewający nad „upadkiem chwały Boskiéj i nabożeństwa," upatrujący w tém nawet przyczynę wszelkiego złego, gromi jednakże wady duchowieństwa, choć wie, że „za to prawdziwego katolika gotowi zrobić heretykiem." Rzeczywiście, dziwne u nas dotąd jeszcze panują w pewnych sferach pojęcia. Owi Opalińskiego „liżyobrazki i zmyśleni obojéj płci nabożnisie" nie pozwalają nawet wspomnieć, że ktoś gdzieś naganiał lub nagania ułomności ludzkie w osobach poświęcających się stanowi duchownemu. Przeglądając zaś dokładnie dzieła naszych katolickich pisarzy od

XVI do końca XVIII w. na każdym kroku spotykamy się z tą słuszną czy niesłuszną naganą. Kochanowskiego *carmen macaronicum* jest jakby wstępem do całego ich szeregu. Najszerzéj rozwodzi się o téj sprawie Opaliński, choć jak sam powiada:

piszę prawowierny
Katolik, z synów jeden Kościoła świętego.

Nasz satyryk wreszcie pisze prawie to samo, co podnosili i uznawali współcześni dostojnicy kościoła. Kilkunastu może laty od niego oddalony Wacław Sierakowski, biskup przemyski,-następnie arcybiskup lwowski, przestrzega w r. 1747 przed „zamienianiem się świątyń pańskich w jaskinie“ a potém w sprawozdaniu swojem do Rzymu (1763) uskarża się na lekkomyślne odbywanie służby bożéj, narzeka, że w jego nieobecności opuszcza się wyższe i niższe duchowieństwo, wspomina o oburzeniu ludu, o kanonikach „latających po wioskach okolicznych nawet po nocach“ itd. (Dzieduszycki żywot Sierakowskiego str. 51 i inne).

Na wszelkie uznanie zasługuje rozumne i uczciwe pojmowanie przez satyryka obowiązków rządzących względem rządzonych. Dość spory traktacik: „jakim szlachcic być powinien“ zawiera tyle zdrowych myśli, że obudza prawdziwy szacunek dla autora. A już najwyższy zaszczyt mu przynosi wstęp o biedzie i poniżeniu maluczkich.

„Języka polskiego obyczaj“ szczerze mu leży na sercu. W ogóle wszelka cudzoziemszczyzna jest mu wstrętna i niemiła.

Uposażenie umysłowe satyryka zdaje się być dość obfitém. Wiele razy powołuje się na fakta czerpane z historyi, chłoszcze dowcipnie nieuctwo kaznodziejów, Plutarchus, Diodorus Siculus są jego dobrzy znajomi. Ze czcią wyraża się o poprzedniku swoim Opalińskim: „Nie przyjdzie rzecz ta (satyra) do druku przez podłość swoją i prywatną zabawę wyrobiona. Ma ją na świecie w satyrze swoim sudanno, nader kształtnie, okrągło i rzetelnie wielki nad zamiar Opaliński.“

Skończywszy tę krótką charakterystykę autora, wypada mi jeszcze może usprawiedliwić się dlaczego streszczenia satyry dokonałem.

Literatura nasza drugiéj połowy XVII w. i pierwszéj wieku XVIII-go, najmniéj była i jest znaną. Po Kochanowskim, Reju, Skardze, szli prawie zaraz w następnym szeregu Krasicki, Naruszewicz, Trembecki, a próżni ztąd powstałéj nie starano się długo zapełnić. Epokę panegiryzmu sądzono z pogardą i uprzedzeniem. A jednak nabywa ona coraz więcéj znaczenia w literaturze, coraz więcéj domaga się sprawiedliwości. Kto wie nawet czy nie okaże się z cza-

sem najobfitszą w prace umysłowe, pomiędzy któremi może być wiele śmiecia, ale jest i wiele pożywnéj strawy. Trzeba tylko szukać i szperać, a za plon obfity ręczyć można. Wszakże dopiéro przed trzydziestu laty odnaleziono perłę naszéj epicznéj poezyi: „Wojnę chocimską“ Potockiego. Kochowski zaledwie w ostatnim dziesiątku lat otrzymał należne sobie stanowisko w rzędzie poetów. Z Morsztynami dopiéro Małecki gruntownie nas zapoznał i uporządkowawszy chaotyczne o nich wiadomości przyznał Andrzejowi to, co miał pisać nieistniejący Zbigniew. O autora „Swady“ jeszcze dziś się sprzeczamy. Jemiołowskiego odnalazł w r. 1859 Bielowski, Jerlicza Wójcicki, Otwinowskiego Raczyński. Julian Bartoszewicz podał pierwszą wiadomość w Dzienniku Poznańskim o dwóch wierszopisach polskich z XVII wieku: Janie z Krzyszkowic i Sebastyanie Kochanowskich. Religijny wierszopis Walenty Odymalski nawet historykom literatury nie jest znany lubo znał go dobrze Brodziński (Kursa literatury pols. w Uniw. Warsz.); z nowszych tylko Tyszyński poświęcił mu zaszczytną wzmiankę, na którą ze wszech miar zasługuje płynnością i siłą wiersza. Słowem, dziś każda chwila zdziera pomrokę z téj pogardzanéj literatury, każdy rok przynosi jéj zaszczytniejsze uznanie, każdy wzbogaca ją nowemi odkryciami.

Do téj pracy, około wyrządzenia sprawiedliwości literaturze z czasów Sobieskiego i Sasów, pragnąłbym się ze swéj strony przyczynić, a ponieważ styl autora satyry dość silne na mnie zrobił wrażenie, ponieważ język wydał mi się dziwnie jędrnym i dobitnym, a treść bardzo a bardzo rozumną i poczciwą, postanowiłem więc wydobyć z ukrycia utwór choć niepierwszorzędny, to w każdym razie dorzucający co nieco do historyi obyczajów i świadczący, że zdrowa myśl przebijała się ciągle przez powłokę gnuśności, nieporadności i upadku naszego w początkach XVIII wieku.

Kraków 3 stycznia 1882. *Kazimierz Bartoszewicz.*

I.

Satyra rozpoczyna się od zapytania: czemu przypisać należy ogólny upadek obyczajów i gdzie się podziały starodawne cnoty ojców naszych? Oglądając się naokoło, nigdzie ich autor nie dostrzega i pyta sam siebie, gdzie je znaleść może: „w państwach i królestwach całych, w zwierzchnościach czy władzach, w płci i stanach, w zgromadzeniach czyli w osobach?“ Przewiduje, że poszukiwania jego bę-

dą bezowocne. „O jak ciężkiéj i nieskutecznéj podjąłem się pracy! Żyć mi było z wami, strawione dawnością wieków z samemi grobami waszemi imiona, staroświeccy i poczciwi ludzie. Tam bym się był napatrzył w cnotach ludzi, w ludziach Boga, w Bogu pokoju, w pokoju wszystkich żyjących szczęśliwości, w szczęśliwościach słodkiéj i spokojnéj dawcy wszystkiego chwały.“

Pomroka wieków pokryła te czasy, kiedy w państwach i królestwach widziano „ową przyobiecaną ludowi bożemu ziemię, w któréj dla pobożności, dla zachowania przykazania swojego, dla cnoty i świętobliwych narodu obyczajów, pomnażał Pan Bóg wszelakie dostatki i obfitości, spokojnemu onych błogosławiąc zażywaniu.“ Wtedy to wznosiły się w tych błogosławionych ziemiach „mistyczne trony,“ a na nich zasiadali monarchowie pomni, „że lubo ich Pan Bóg nad wielu podwyższa ludzi,“ to jednak chce ich mieć „w równości skazitelnéj natury ludzkiéj,“ aby o ludzkie nad ludźmi starali się panowanie. To téż w owych czasach Pan Bóg „uprzywilejował cudownemi cnotami i mocami same nawet berla, laski i insze przełożenia znaki, tak dalece, że skinienia ich, jakoby samych ordynansów i rozkazów, nietylko ludzie, ale same nieba, twarde opoki, bezdenne morza i insze elementa słuchały i w cudownem obserwowały posłuszeństwie.“ Żyli wówczas pobożni Auguści, wstydliwe Bolesławy, czyści i wstrzemięźliwi Józefy, sprawiedliwi Aureliusze, gorliwi o całość państwa Alfonsi, że już się nie wspomina Dawidów, Jozafatów, Barachiuszów, owe wzory bogomyślności, pokory, pokuty i starania o pomnożenie wiary i chwały boskiéj.

Wspomnienia tych znakomitych monarchów smutne nastręczają porównanie. Dziś „tron osiada albo nieodrodna od nieprawości antecessorów natura, albo sama panowania ambicya, w panowaniu ludziom ciężka potęga, w potędze własna pasyonalna wola, w woli nieznośne bezprawie w tém przykry nieporządek, we wszystkiém bezbożne uciemiężenie i tyraństwo. Kędy miejsce pobożności zabrała bezbożność, miłości boskiéj wszeteczeństwo i nierząd, wierze pozór i niedowiarstwo, sprawiedliwości bezprawie, przysiędze gwałt i nieposłuszeństwo, powadze lekkość, sercu słabość, akcyom infamia, wojnie pretekst, pokojowi wewnętrzne zamięszanie, dobru pospolitemu interes, prywatnemu zdzierstwo i oppresia, całości ruina, zasługom krzywda, zgoła błogosławieństwu boskiemu same łzy i nieoszacowany krwi dostojnéj szafunek.“ Jaka tego przyczyna? w czém leży to złe, które wykorzenić się nie daje? Odpowiedź prosta: przyczyną złego jest ogólny upadek cnoty. Monarchowie połączeni są ścisłém węzłem ze swoim ludem, są kością ich kości, krwią ich krwi. Jaki lud, taki monarcha, przedtém „ludzie według Boga bywali, a we-

dług ludzi królowie, według tych zaś Pan Bóg dla ludzi." Winy ludów spadają na monarchów i odwrotnie: „dla ladajakiego monarchów życia całe, choć niewinne Pan Bóg zwykł karać narody." Dla ladajakich poddanych król dobry, dla złego króla dobrzy poddani być nie mogą. Poszanowanie majestatu nie dozwala pisać, „co się teraźniéjszych lat przez nieprzyzwoitą zwierzchność w różnych państwach i królestwach dzieje." Wyręcza się więc autor słowami „poety," którym prawdopodobnie sam będzie. Poeta zadługo rozprawia, aby przytaczać wiersz cały *in extenso*. Oto niektóre wyjątki.

Nie na królestwa, licz teraz na groby
Najwyższéj ziemie poddane zwierzchności,
Gdzie tylko smutne kiry i żałoby,
Albo po polach widzieć martwe kości,
Gdzie Mars wyssawszy z ludzkiej krew wątroby,
Albo głód, zjadłszy do szczętu wnętrzności,
Łakomym cały zbiór zagarnął łupem,
A tylko samym miejsca usłał trupem.

Gdzie pokój i czas zmierzywszy spokojny,
Własnym popiołem ozdoby zagrzebła
Niesprawiedliwéj chęć prywatna wojny.
I lub interes nie zaważył ździebła,
Szafunek na to odważyła hojny,
Ażeby ludzi tysiącami grzebła,
Albo zrzuciwszy łaskowość z natury,
Ledwo ich z własnéj nie odarła skóry.
. . . .
Gdzie drab, w niekarnych brykający zbytkach,
W domu i w cudzéj wolność wszelką żenie, (1)
W gumnach, w szpichlerzach, w oborach, w dobytkach
Na zażywanie mu i obelżenie:
Ani w świątnicach pańskich i przybytkach,
Gdzie czcimy ciała boskiego złożenie,
Dyskretniejszego zwykł zażywać serca
Szarpacz, gwałtownik, zbójca i morderca.

Gdzie poświęcone kościoły na szkapy;
Na pojedynki i bitki cmentarze,
Na proste wyrki (2), łóżka i kanapy
Poobracano straszliwie ołtarze;
. . . .
Gdzie słudzy boscy, pobożni kapłani,
Przez nieuczciwą charakteru wzgardę,
Metresom służyć pokonfundowani,

---

(1) Wypędza, wygania, od *żonąć*.
(2) Tapczany, prycze.

Aibo chędożyć muszą kurdygardę,
A z domów własnych sędziwi plebani,
Ledwo nie na łeb skakają przez dardę,
Miejsca i wygód ustępując wielu
Dla nieprzystojnych maszkar i........

Gdzie wiara ślubów stwierdzona przed Bogiem
Już nie za swojém w zażywaniu prawem,
Ale za wolnym zwierzchności nalogiem
Kontraktem chodzi, arędą, zastawem;
A męże, włoskim uraczeni rogiem,
Skwasiwszy tylko wejrzeniem łaskawem
Ową dorodną i uczciwą minę,
Przez ścianę muszą cierpieć oskominę.

O! trony, trony!— trumny raczéj rzekę,
W których szczęśliwość krajów leży trupem,
W też-to wam Pan Bóg podał ich opiekę
Z ludźmi drogimi krwi swojéj okupem?
. . . .
Tyle przemysłów w otchłań wojny wchodzi,
Niesprawiedliwych w przemysły sposobów,
W sposoby tyle Mars potyczek zwodzi,
W potyczkach tyle sypie mogił, grobów,
W groby tak wielu ludzi z świata schodzi
Za ludźmi tyle łez płynie Niobów:
Osierociałych żon, matek, powinnych ..
. . . .

Poeta kończy zapytaniem: jak taką „machinę“ grzechów zaniosą monarchowie tam, gdzie im wypadnie płacić duszą „najmniejszą odrobinę?“ — i dodaje napis, jakiby położyć można na nagrobku złego monarchy:

Tu leży wielki król honorem wszędy,
A dusza jego — dyabeł sam wie kędy.

Od tronów przechodzi autor „do najbliższego majestatu dostojeństwa,“ do senatorów. Wspomina owych rzymskich *patres conscripti*, co ojcami ojczyzny „nie na pozór mogli się nazywać,“ o dobro bowiem pospolite więcéj dbali, niżeli o dobro własnych dzieci, „życie i wszystko swoje prywatne niżéj od niego pokładając.“ Cnota, zasługi i pobożność były stopniami do senatu. Takie tylko państwo potęgą i powodzeniem zaważy, „w którém wszystkie stany na jeden dobra pospolitego ważą się interes.“ To jest: nic dla siebie, nic dla pana, „nic dla Rplitéj bez pana partykularnie nie usiłując, ale tego wszystkiego w jednym pospolitym szukając pożytku.“ Dlatego to sławną i straszną była Rplita rzymska, bo stała zgodą powszechną

i „radą senatu skuteczną, skuteczną — bo zawsze doskonałą, doskonałą—bo nieprzewrotną, nieprzewrotną—bo nieinteresowaną, nieinteresowaną—bo ostrożną i uważną, uważną—bo od ludzi doskonałych i przez wszystkie okoliczności czasu i stanu wypróbowanych pochodziła.“ Cnota to do godności senatorskiéj prowadziła, cnota to przekazała dziejom „owe nieśmiertelne w senacie i na urzędach nieumierające Fabrycyuszów, Torkwatów, Brutusów, Fabiuszów, Korneliuszów i insze nomina.“

„A że o tém mówi się po polsku, wejrzyjmy téż i na dawne polaków nagrobki, a wzbudźmy w pamięci owe zeszłe przez krzywdę wieków Zasławskich, Ostrogskich, Zborowskich, Żólkiewskich, Tarnowskich i insze stojące jeszcze chwalebnie w wielkich sukcesorach imiona, których pobożności, świętéj munificencyi, walecznych czynów i obfitych w tryumfach awantażów dowodem i wiekopomną stoją pamięcią owe kunsztowne i wyśmienite kościoły, opatrzne klasztory, dostatnie cenobia (1), niedobyte fortece, liczne ammunicje i insze Bogu i Rplitéj poświęcone bazyliki (2) i fundusze.“ Zazdrościć pozostaje przeszłym wiekom tych mężów sławnych. W kosztowne ich fundacye nie wchodziło mienie nabyte krzywdą bliźnich lub złupieniem innych fundacyi, — grosz uczciwie zapracowany lub zdobyty na nieprzyjacielu krzyża świętego był podstawą ich majątku, a zarazem środkiem do zapisania się w pamięci potomności. Nie dla zadowolenia własnéj próżności, „ale z czystéj ku dobru pospolitemu miłości, ochoty i rezolucyi wszystkie ich czyny pochodziły. Senatorowie nie słodzili „słów ucukrowaniem gorzkiego ludowi panowania,“ ale wiedzeni duchem prawdy i wolności, kołatali dla niego o sprawiedliwość. Hetmani „szablą, nie buławą dokazywali,“ nie szczędząc krwi swojéj dla dobra ojczyzny. „Nie pocztowali (3) przewrotom dworskim, ale robili co publiczna wymagała potrzeba. Laski „nosiły posturę żywéj władzy, a nie prostych drągów.“ Słowem „wszystkie akcye rzecz i pozór cnót wszystkich miały, a cnoty prawa następującym wiekom dawały.“

Jakżeż dalecy są od tych pierwowzorów dzisiejsi senatorowie! „Zginęła cnota w uczynkach, bezpieczeństwo w radzie, prawda w ustach, powaga w senacie, prawo w urzędach, godność w honorach, w osobach wszystko, co przedtém bywało.“ Każdego z tych swoich twierdzeń dowodzi autor po kolei. Mocno go gniewa upadek bezpieczeństwa w radzie, „bo któż teraz radzi i mówi co słuszność każe.... Jednym bojaźń zęby przycina, drugim usta respekta krępują.... wszyscy prawie radzą, co muszą, co sercu i woli najwyż-

(1) pustelnie. — (2) gmachy. — (3) służyli, dopomagali.

széj przyjemno. Próżne panegiryki, wielbienia klemencyi pańskiéj, ojcowskiego około dobra pospolitego pieczołowania, fatyg, odwagi i zdrowia na nie dyspensowania.... Ustawiczne dygi, z...... od krzeseł i drążków podnoszenia, i owe za każdym punkcikiem, aż słuchać przykro, ciągnące się *Najjaśniejszy miłościwy panie, panie a panie nasz miłościwy*, inwokacye, zatrudnią czas i zabiorą, aż tandem rzecz zbawienna skończy się na niczem."

Następuje anegdotka na temat: „zginęła prawda w ustach." Niedawno szlachcic „słuszny," na funkcyi ziemi swojéj będący w Warszawie, otrzymał bolesną wiadomość, że mu dom z kretesem zrabowano i córkę 15-stoletnią zgwałcono. Kiedy poszedł upomnieć się o krzywdę swoją, król, widząc boleść na jego twarzy, a nierozumiejąc po polsku, zapytał obecnego senatora, „czegoby szlachcic potrzebował?" Zapytany senator odpowiedział, że szlachcic prosi o to, aby mu wojska przez wioski jego przechodzące nieszkodziły, a zwróciwszy się do niego, oznajmił w imieniu królewskim, że król krzywdy mu wynagrodzi i że się nie zawiedzie na swojéj wierności. Odpowiedź tę król skinieniem potwierdził, i szlachcic odszedł przekonany, że panu krzywdę jego przedłożono. Dopiero powróciwszy do domu, przekonał się, jak go oszukano, gdy mu przy nim samym „onegdajszego poprawiono."

Pod upadek „prawa w urzędach" podciąga autor kradzież grosza publicznego. Złożenie rachunków skarbowych nie kończy się na zwykłem podziękowaniu *pro exacta fidei publicae functione*. Po złożeniu urzędu każdy się zapytuje: „zkądeś te albo owe dobra kupił, nie mając na nie z intrat i dochodów substancyi własnéj? Zkąd waszmości córki tak drogi i kosztowny parter noszą i dźwigają na sobie? Zkąd tak wielkie posagi i wyprawy idą za niemi?"

Zginęła godność w honorach, bo niezasłużeni lecz pochlebcy i sługusy je biorą. Kosztem własnego a często i małżonek swoich honoru, dostępują zaszczytów, pną się na najwyższe stanowiska. Jedném słowem, senat utracił swą powagę i swe znaczenie, bo w ludziach piastujących buławy, pieczęcie i laski, rozpierających się na krzesłach i drążkach „zginęła doskonałość antecessorów," i to tak dalece, że tylko ich nazwiska w potomkach zostały, „nakształt owych pustych, a pozornych i obszernych bardzo stodół, z których gacek albo sowa czasem wyleci, ale na targ, dopieroż do Gdańska nie masz co wyprawić." A z imion tych odziedziczonych płynie niepotrzebna chluba i wynoszenie się nad równość. Oto jak ostro smaga satyryk te wady:

„Na imię i zasługi antecessorów pełno w nas chluby, dumy, presumpcyi, emulacyi i pospozycyi równości, ale cnoty imieniowi nale-

żącéj najmniejszéj czasem niedomaca się odrobiny publiczna Rplitéj, ba i prywatna przyjacielska potrzeba. Ztąd śmiechem zbywam owe ad genium teraźniejszego wieku zagęszczone w posiedzeniach i zgromadzeniach wyniosłe rodowitości swojéj *Magnificat*, tudzież silące się w konkurencyach według niéj o miejsca, o honory i o jakieś extraordynaryjne poszanowania, pretensye. Jakoby to wszystko imieniowi samemu służyć miało, co cnocie, zasługom i chwalebnym należy przymiotom. A oto widujemy w kałużach miesiąc, widujemy i promień słoneczny w smrodzie, a przecież dla udzielonego temu obojgu światła, jaśnie oświeconą nie nazwiemy paskudy. Pójdzie promień za swojém słońcem, dokąd go bieg zwyczajny obróci, a plugastwo żadnéj z niego nie nabrawszy istoty, smrodem na swojém miejscu zostanie. Jako i ów parenteliacik, nie wziąwszy nic w siebie z cnót i godności antecessorów swoich, gnojkiem zawsze będzie, albo owym bobkiem, co to ni śmierdzi, ni pachnie, a przecie pretenduje, aby go za pomarańczę ważono i szanowano. Wiemy bardzo dobrze, miły specyale, choćbyś tak dumno nie powiadał o tém, że twój dziad, pradziad, stryj i tam inszy z czoła antecessorów używał tytułu *jaśnie wielmożnego*, *jaśnie oświeconego*, różne krzesła zasiadał, buławy, pieczęcie i laski nosił, — ale téż i to wiemy, że na tych miejscach wielka go z cnót, przymiotów i zasług w ojczyźnie godność należycie osadziła. Wiemy, że na zaszczyt wiary św., wolności, równości szlacheckiéj i dobra pospolitego szczerze krew swoją i substancyę szafował, trudne nią mury i przeprawy oblewał, wojska nieprzyjacielskie odważnie wojował, wiązał i znosił, chleba obficie i ludzko nie żałował, wszelkiéj przyjaciela dzielił się i dogadzał potrzebie. Wiemy, że go tak wysoko utytułowały i oświeciły jasne na cały świat akcye, ale téż i to bardzo dobrze widzimy, że te wszystkie aż do ostatniego przymioty w tobie, panie wnuczku, zagasły, że życie twoje zasmrodziła i ściemniła gruba niecnót pomroka. Twój przodek, powiadasz, nieprzyjaciół wojował, w niewolę i z nich łupy obfite zabierał, mężném sercem w okazyach stawał, — a ty szlachtę wojujesz, na wartach stawiasz, żony i córki ich w egzekucyach bierzesz, sromocisz i paskudzisz, w domach cudowne sposoby exorbitujesz (1), dobra ich i Bogu poświęcone łupisz, z okazyi (2) na pierwszy głos trąby bez czoła, bez serca uciekasz, substancyi zacnie z przodków nabytéj lada jako i niepoczciwie zużywasz, b.... podwiki i wszelkiego nierządą pilnujesz, pijaku, kostyro, niecnoto, niewstydzie i obmierzły kiernozie! a jeszcze tytułem i prawem cnoty sam się z tego chełpisz, nad równość nadymasz i jakiéjś między ludźmi dystynkcyi

(1) dopuszczasz się nadużyć. — (2) bitwy.

pretendujesz. Wiemy bardzo dobrze, bo się tego w dawnych dziejach naczytamy, że przodek twój wszelaką na całe życie bez najmniejszego zakału słynął reputacyą, — ale w tobie przemierzły z... ledwo tyle znajdzie się humoru, ile w nadętym i kilką ziarnek grochu napchanym pęcherzu: churkotania, hałasu i grzmotu siła narobi, niezdolnego szczura albo kota aż za dziesiątą popędzi granicę, a jak się go koniec szpilki dotknie, zaraz owa nadętość i para gdzieś się z niego podzieje, a sam się w momencie w mizerny flak skurczy i obróci.“

Jak żywo ten ustęp przypomina satyrę Opalińskiego: „na wyrodków familii swoich.“ Pan wojewoda poznański również jest zdania, że końcówka „na *cki* lub *ski* nie czyni szlachcica, ale cnota, przystojność.“

.........pozwalam mości panie
Żeś wojewodzic, aleś oraz pijanica,
Kostéra, wszetecznik i srogie ladaco.
Nie tak po wojewódzku żyją......
. . . .
Bez ozdób twoich przodków pokaż co wzdy umiesz,
Czyś do rady, czy do zwady, boju czy pokoju.
Czy tylko chcesz abyśmy twoim się kłaniali
Tytułom, które Dziadom twym służą nie tobie?....

Czy jednak temu wynoszeniu się po nad równość szlachecką jedynie na mocy zasług przodków, winni sami tylko panowie? Ze smutkiem wyznać trzeba, że wina tu obopólna: panów — że się wynoszą, szlachty—że się im kłania i adoruje. Do zastraszających rozmiarów rozwinęło się u nas wstrętne pochlebstwo, z ujmą prawdy i godności człowieczéj. „Czy małoż temi czasy gada do ludzi panegiryków i panegirystów, z krzeseł, stołków, katedr i poświęconych św. Ewangelii ambon oratorów, w różne a ledwo nie w przyzwoite samemu Bogu sposoby: *tu pater patriae*, *tu prospice cunctis*, *te divum conscripserat honos*, *tu purpura sagus*, *te pariter et toga decet* i tam daléj, aż się na żołądku zwija. A oto mój miły *pater* nie ojczyzny ale z ojczyzny ojciec dla licznych dziatek swoich, a często w tych zepsowanych czasach nie dla wszystkich swoich, w różne przemysły, przebiegi, inwencye i sposoby doi, skubie (a że terminem jednego poczciwego szlachcica rzekę) kastruje tę miłą matuchnę, aby jéj i to na ostatek odjął, czem by się potém pomnożyć mogła. A mój *pater patriae* po cudzych ojczyznach, krajach i narodach spekulując, a imieniem wolnego syna przez abominacyę równości womitując, rząd dawny i prawa ojczyste taksuje, mataczy, reformuje, i w niewolę panowaniu przyjemną oczywiście i sekretnie sposobi

A mój *pater conscriptus* nietylko radzi, ale się i pisze na zdradę ojczyzny, na interes z publicznego prywatny, na mutacyę status, na handel wolności, a prawie już na samego absoluta. A mój *purpuratus* dla przewrotnych i niepoczciwych akcyj swoich nie bisior ale wstyd i sromotę, albo krew braci przekleństwem izraelskiem na siebie i radę swoją spływającą w purpurze nosi. A mój *togatus* publicznym pokoju prywatne niezgody, dissensye, difidencye, zamieszania, kłótnie, zabójstwa, do swego awantażu albo do publicznego sposobi upadku. A mój *sagatus* we krwi łowi, śmiercią żyje, z wojny pokoje, pałace i dwory buduje, pieniądze, apparencye i dostatki gromadzi, pobratymstwa z nieprzyjacioły i różne interesa wyrabiać praktykuje, kolosy sławie swojéj albo trony potędze i imaginacyom stawia i eriguje, zgoła krótkiego sagu (1), i kuszy (2) w domu, i rzeczach swoich kurty — na szlak dłuższy pociągnąć i poprawić usiłuje. Dla czego radby, i tak pewnie wyrabia, aby utrapiona ojczyzna z kłótni swoich, z zamięszania i nieszczęśliwego odmętu nigdy nie wychodziła, w którymby mógł ustawicznie aż po uszy bobrować, łowić i pożytkować.“

Obszerny ustęp o senacie tutaj streszczony, kończy się długim wierszem poety, który ze zgryźliwą ironią cześć swoją oddaje senatorom. Kilka zwrotek początkowych przytaczamy:

Czczę cię najbliższa stopniem majestatu
Cna przeświętego kamero Senatu,
Bo nie dla prostéj drużyny i ciżby
Honoru prawem masz przywiléj Izby

—

Czczę i was tejże dostojności Krzesła,
Bo prócz przedniego kunsztu i rzemiesła,
Z szczerego złota galonem ubitem
I przednim widzę świetne aksamitem.

—

I was czczę także dostojne Purpury,
Bo siła przewóz wasz kosztuje z góry,
A więcéj jeszcze w kolorze wysokiem
Jedwab tyryjskim napojony sokiem.

—

Dopieroż was czczę świetni Purpuraci,
Na stronę imię odrzuciwszy *braci*,
Bo prócz że sami marszczycie się na nie,
Ojcami was mieć chciało powołanie.

—

Czczę i z bojaźni muszę trzymać czapkę,
Aby mnie który nie zdeptał jak żabkę.

(1) szaty. — (2) kusa suknia, kurta.

Za górnym stanu wysokiego okiem
Stąpając aże pod samym obłokiem.
. . . .
Czczę, bo się boję waszych darmostojów
Przy niedostępnych drzwiach, bram i pokojów,
Abym się naraz nie naraził grzbietem,
Albo od draba nie wziął w bok muszkietem.

—

Albo żeby mi hajduk nie dał w zęby,
Albo za prawdę nie przerzezał gęby,
Albo przez wzgardę równości w chudobie
Pięścią na strony nie obito obie.

—

Albo żeby mnie żonek waszych wnioski
Przez uciśnienie nie wypchały z wioski,
Sprawiedliwości kiwacąc (1) paskudnie,
Wprzód chudy zdechnie pies, niż tłusty schudnie....

Opuściwszy senat, przechodzi nasz satyryk do szlachty. Rzecz prosta, że stan szlachecki jest dla niego ideałem, instytucyą najwspanialszą, podwaliną bytu społeczeństwa. Szlachectwo, owa Górnickiego „rozpalona pochodnia, która objaśnia i kładzie przed oczy dobre i złe człowiecze sprawy i pobudza, zapala ku cnocie“ (Dworzanin)—jest dla niego jeżeli nie świętością, to przynajmniéj skarbem najdroższym, jaki się oddziedzicza po przodkach lub zdobywa własną zasługą. Ale dlatego też skarb ten starannie utrzymywać należy, aby go w całej pełni blasku przekazać potomkom. Nadaje on wprawdzie wielkie prawa, ale i wielkie wkłada obowiązki. Prawdziwy szlachcic życiem swojém dowieść powinien, że w żyłach jego krąży krew szlachetna, rycerska. Tak być powinno, tego wymaga samo pojęcie godności stanu, tak téż niegdyś bywało. Dziś, ze wstydem wyznać to należy, mało kto „reguluje się akcyami do tak wysokiéj stanu perogatywy.“ W tém może przyczyna owego wynoszenia się po nad stan szlachecki, owéj manii nabywania cudzoziemskich tytułów. Są tacy „co przez wielkość substancyi i kondycyi pną się i górują nad równość szlachecką,“ brzydząc się niesłusznie imieniem szlachcica. „A tu już sobie chodźcie jak chcecie i stąpajcie z góry za światłem tytułów swoich jaśnie oświeceni książęta nasi, ale nam stopnia równości nie deptajcie. Tytuł wasz bowiem jest niejako strój i złotem świetny przybiór, ale ciałem żywem jest szlacheckie urodzenie.“

Porównywając Rplitę naszą z rzymską, autor przychodzi do przekonania, że pierwsza ukształtowała się na wzór drugiéj. W ta-

(1) wydrzeźniając, urągając.

kiéj saméj jak w Polsce „konsyderacyi i prerogatywach“ był w Rzymie stan szlachecki. Ztąd téż „zakonną niejako regułę,“ jaką „stan ten opisali i obwarowali Rzymianie,“ zastosować należy do szlachty polskiéj. Reguła zaś ta była następującą: *Verus eques et minime simulatus non sit superbus, malitiosus, furibundus, gulosus, timidus, impurus, tenax, mendax, blasphemus, deses, in summa: non calcari aureo, sed vitae integritate glorietur.*

Jak widzimy dziesięć jest przykazań szlacheckich, równie jak dziesięcioro przykazań boskich. Zejście się takie w liczbie nie zdaje się być przypadkowem, czego dowodem szóste przykazanie szlacheckie (*verus eques non sit impurus*), odpowiadające szóstemu przykazaniu boskiemu, jak również przykazanie ósme (szlachcic nie powinien być kłamcą) przypominające ósme przykazanie boskie: *nie mów fałszywego świadectwa.* Każde z nich rozbiera autor szczegółowo, dając obraz cnót prawdziwego szlachcica.

A więc naprzód: *verus eques non sit superbus*, „gdzie bowiem pod strychulec równości idziemy z urodzenia wszyscy, tam się jeden nad drugiego..... piąć i górować nie powinien.... Co za korzyść plwać pod niebo, kiedy wymiot twój w oko albo w gębę wraca ci się nazad?.... Dmuchaj jak chcesz, odymaj się i sapaj, tém armaty nie nabijesz, nikomu nie zaszkodzisz, sobie nie pomożesz.“ Pysznić się z rodu nie ma podstawy, bo „z jednego drzewa bywa krzyż i łopata.“ Z mądrości pysznią się ci, co jéj nie posiadają. Za bogactwa winno się tylko dziękować Bogu, „że je udzielił tobie, a nie godniejszemu, którego stołu odrobiny polizać niegodzieneś.“

Daléj *verus eques non sit malitiosus et furibundus*, bo złość, zemsta, zapalczywość i „wszelakie brawury nie ludziom, lecz bestyom nierozumnym przystoją.“ Jedna zemsta prowadzi za sobą drugą, a często i w dziesiątém odbija się pokoleniu. „Lepiéj miły junaku wskórasz, że spuścisz z brawury niepotrzebnéj i zdasz w pasyach twoich na rozsądek trzeciego. W pojedynku niepewna satysfakcya, bo tam szczęście kraje. To téż nie jest (z ciebie) tak straszna figura, że na wąsy dmuchasz, na łeb......... pół sałasza wdziejesz, wylot na kark zarzucisz, cybuch za kołnierz, stempel za pas ścibisz, chamelikę na chamelikę zawiesisz i miary marcinowéj szarawary, nakształt ułożonego za fujarą cygańską do tańca niedźwiedzia na siebie zaciągniesz. Skromność i pomiarkowanie wszelakich pasyj szlachcicowi są przyzwoitą, bo przy téj pyska nikt niezaparagrafuje i krwi zacność na zażycie chwalebniejsze, według powołania i potrzeby ojczyzny konserwuje się.

Trzecią regułą szlachcica rzymskiego było: *verus eques non sit gulosus*, „obżarstwo bowiem świnię raczéj a nie człowieka znaczy,

lubo i ta ma miarę żarłoctwa swojego. Obżarstwo pociąga za sobą inne szkodliwe występki. „Niech o tém sami powiedzą, którzy praktykują, dla czego krew sobie zgnoili, zdrowie nadwyrężyli, niesposobności do czynienia i złych obyczajów nabyli, dni w nocy, nocy w dni przeinaczyli.... paragrafów i specyałów francuzkich ponabywali.... Boga i łaskę jego utracili.“ Kto „łoży na apetyt sila, tyleż i na pragnienie łożyć musi.“ Następstwem tego pijaństwo, a wskutek niego „wielki błąd i niecnota.“ Kończy się na utracie zdrowia i majątku, co doprowadza do nędzy, przewodniczki rozpaczy i infamii.

Trudno to wprawdzie przekonać serce, ,,aby się w lwiéj rezolucyi i wspaniałości trzymało,“ niemniéj jednak: *verus eques non sit timidus.* „Darmo mi miły indzinierze przy kuflu i piwnym zaciągu swoim armaty rychtujesz, fortece, wały, aprosze i szyki po stołach delinujesz, kiedy sam na to albo przez perspektywę patrzysz zdaleka, albo wstyd i obelgę serca swojego łożysz, kiedy ci stempel w oczach jako kartan (1) straszny, kiedy ci huk lada strzelby nogi zaraz podcina.“ Napróżno udajesz zucha i tytułem żołnierza się szczycisz, kiedy śród boju „dla przeraźliwéj serca palpitacyi w nogi po tebinkach albo na sromotny odwód pobudkę bijesz, uciekasz i konia oślep i bez miary silisz.“

Verus eques non sit impurus. Nieczystość brzydka sama przez się, wiedzie jeszcze prostą drogą do zniewieściałości. „Jakoż sercem o nieprzyjaciela uderzysz.... kiedyś je pod pierzyną u lubionéj zostawił fryjerki?“ (2).

Także i skąpym być szlachcicowi nie przystoi: *verus eques non sit tenax,* „ludzkość bowiem niewoli serca, które się często największym przymiotom zażyć i obligować nie pozwalają.... Nie z jałowego stołu rodzi się konfidencya i uprzejmość przyjacielska..... Inaksze poznania, inaksze doznania bywają okoliczności. W kościołach i zgromadzeniach publicznych ludzie się poznawać zwykli, u stołów doznają przyjaciele; komunikacyą ludzkości wiążą się z sobą serca ludzkie, z tych rodzi się miłość zobopólna, z miłości wzajemna obserwacya, z obserwacyi reputacya, a ta jest szlachcicowi prawem zacności przyzwoita. Inaczéj, Maciek nagotuje, Maciek zje,— to pewnie parobek albo woźnica, bo się tak szlachta nie chrzci.“

Za sprośny występek szlachcicowi rzymskiemu poczytano kłamstwo, ztąd téż *verus eques non sit mendax.* Z obszernego ustępu tego widzimy, że przysłowiowe omijanie prawdy przez myśliwych ma już swoję tradycyą. „człowieka kłamcy, fortelu i sztuki nigdy nie dojdziesz, choćbyś był z Hippolitem myśliwym.... Jeśli mówi o niedź-

---

(1) działo, armata. — (2) rozpustnica, *pani duszka.*

wiedziu, to podobno zatrącił wilka, jeśli o wilku, to uszczwał zająca, jeśli o zającu, to pewnie świrczka albo polnego okrutnie zamordował recka.“ Mniejsza jednak o kłamstwa myśliwskie, bo te przynajmniéj nikomu szkody nie przynoszą, i na jedno wyjdzie słuchaczom, czy zapalony Nemrod w gardło czy w serce choć bez prochu ubije niedźwiedzia. „Są insze pola, w których przez takowych myśliwych, często szwankują ludzie, honor, reputacyę tracąc, a czasem i samo pokładając życie. Udać, obwinić, donieść fałszywie, jest nietylko poszczwać, ale raczéj oszczekać bliźniego. A jakoż to szlachcicowi przystojnie ma służyć, co kundysowi i saméj bełkotliwéj złai dało przyrodzenie?“ Niedotrzymanie umów, niewypłacalność dłużników, oszustwo i „wykręty matackie“ są owocami kłamstwa. Często dobra wola choćby najliczniejszych i najrzetelniejszych ludzi, nie może postawić na nogi tego, co kilka szalbierzy i mataczy językiem swoim podetnie, „tysiąc rydlów bowiem nie ustanowi wody, którą zdradliwie w grobli srebra żywego rozleje partykułka.“

Daléj *verus eques non sit blasphemus*, bo „nie da się tam widzieć przez usta podkasana aż do powab swoich wszeteczna Wenus, gdzie serce zalegla nagiego pod biczami Zbawiciela przytomność.

Wkońcu *verus eques non sit deses*, bo jako przez czynienie doskonałość w człowieku perfekcyonować się zwykła, tak przez próżnowanie tępieje i upada zwyczajnie. Nie rad cię widzę miły papinku, coś się w blawatny zasznurował żupanik, czuprynkę kaczorową krochmaląc, albo wąsik we zwierciedle gumując i sztafirując. Nie saméj tylko płci niewieściéj, ale każdemu zalecić się powinieneś, „bo jeżeli białéj głowie najbardziéj należeć usiłujesz, słusznie cię tém nazwać mogą, co białéj krwi sekretnie dało przyrodzenie.“ A wreszcie i biala płeć próżniaków nie lubi. Jeżeli będziesz pracował, to i tam „udać się kształtniéj możesz, kędy za świadectwem zwierciadła wścibić się i zalecić usiłujesz, bo i ony... wolą raczéj, że cuglami albo potem chwalebnéj i przyzwoitéj pracy swojéj trącić nieco, aniżeli piżmem czyli szczurzym ogonem pachnąć i kadzić będziesz. Gnuśność i próżnowanie jest wielki człowieka defekt, bo przez nie nietylko cnoty, które są życia ozdobą niszczeją i upadają, ale téż i sama krew trupieje i gnije, która je przez agitacyę utrzymywać i pomnażać zwykła. A jeżeli ta w tobie miły fomfornisiu zropieje, jakoż serce zdrowe i sposobne mieć będziesz? którego cnotą i rzeźwością wszystkie dobre rezolucyi i miłości tyczące się stoją akcye. Pewnie nie podniesiesz, dopiero nie zażyjesz kopii, jeżeli żyły, moc ręki wzmagające, zwełnieją ci, obropieją; i siła miłości w swojéj zawiedzie się operacyi, ogień przyrodzony kiedy zwietrzeje i zagaśnie..... ani mąż, ani mężczyzna doskonały będziesz.“

Po bardzo długiéj stosunkowo rozprawie o próżniactwie, następuje tego wszystkiego, co się o cnotach i wadach szlachcica powiedziało, streszczenie. Treść cała zamyka się w słowach: *In summa verus eques non calcari aureo sed vitae integritate glorietur* — „nie złocistą ostrogą, albo szablą i sygnetem herbownym, ale życia cnotliwego splendorem błyskać i szczycić się powinno szlacheckie powołanie.“ Autor daje nam obszerną pochwałę dawnych czasów, a wynik z niéj ten, że „co było przedtém grzechem i ohydą, to teraz w proporcyą życia i stanu szlacheckiego wchodzi. Pochyłem drzewem nazwą—kto dla pokoju ustąpi swojego; flakiem— kto nie pyszny i nie humorowaty: tchórzem—kto nie napastnik i nie wartogłów; papinkiem—kto nie wypije i nie żyje nad miarę; mądrze-odważnym i na ważniejszą ojczyzny potrzebę zachowującym się — kto z okazyi sromotnie uciecze; modnym i galantomem—kto w lubieżnéj zbytkuje akcyi, albo........... dostanie; oszczędnym—kto sknérą; jowialistą—kto wszetecznym, albo szalbierzem czyli błaznem; zacnym i delikatnego urodzenia pańskiego—kto próżniakiem; szlachcicem—kto z szablą, dworzaninem—kto z wołoską chodzi czupryną; żołnierzem—kto baby trapi; statystą — kto przewrotnym mataczem; wielkim i godnym panem—kto prawa nie słucha; zgoła poczciwym—kto niecnotą“..... „Westchnął serdecznie na to jeden poeta polski“ — ale westchnienie to nieco przydługie i bardzo słabe. Sens jego moralny, że klejnot szlachecki upada w znaczeniu, choć jest perłą „bez ceny, bez taksy“ i że „cudzoziemskie harpie odbierają rząd szlachcie, a lada rajtar znęca się nad jéj własnością, nie szczędząc żon i córek.“

Na tém kończy się ustęp o szlachcie. W rękopiśmie następuje cała prawie karta próżna, a zarazem za nią bez żadnego zwrotu lub wstępu, przechodzi autor do miast i mieszczan.

Ciekawi dowiedzą się tu bardzo mało; widocznie satyryk po wierzchu tylko znał stan mieszczański i sądził o nim z okien zajazdów i z tego, co mimochodem usłyszał. Nad kilka słów nagany dla sądów miejskich, cechów i zajazdów, nic więcéj godnego swéj satyry nie znajduje.

Sądy miejskie trzymają się zdala od sprawiedliwości. „Często po Osiecku za szewca obwieszą kołodzieja, za ślusarza—garncarza, za winowajcę stracą niewinnego. Forma sądów ucieszna, inkwizycya—plotki, Saxon na pozór rozłożony zadrze nogi do góry; sentencya—racyi, dekret żadnego nie będzie mieć fundamentu. Za trzepaczkę na gardło, za wołu na grzywny i gorzałkę, za zabójstwo na misterne pod pręgą plagi, albo z miasta wywołanie i wyświecenie skażą, osądzą i egzekwują. Ale, przez Bóg, inaczéj chce mieć prawo i wrodzony rozsądek! Prawda, ale któż prawo przeczyta, kiedy pan

wójt jak świnia głupi, pan burmistrz litery nie zna, pan pisarz co czyta—nie rozumie, panowie ławnicy tylko z grzywien pić śmierdziuchę umieją: zgoła wszyscy jako nierozumne bestye. Dla tego też i dekret takowyż będzie, a często taką literą napisany, jako szynkarki po ścianach piszą swoje kwaterki, i tak nieborak więzień, jako mucha na ukropie, nic w nim nie zjadłszy—przepadnie."

Również smutny widok przedstawiają cechy „pójdźmy do cechów a raczéj na błazeńską komedyę, gdzie owe ich przyjmowania wyzwolenia, i tam insze na urzędy osób kreacye. O! jakiego śmiechu, drwin i głupstwa pełne, kiedy owe oracye, exhorty i panegiryki misternym stylem prawić i ceremonie wywodzić będą. O zaleceniu cnoty nie pytaj, o poczciwości i rzetelności, któremi wszystkie kunszta i rzemiosła stać powinny, najmniejszéj wzmianki nie będzie; wszystka rzecz napomnienia na tem się oprze: abyście p. Marcinie wiedzieli, p. Marcinie uczciwy, żeście się do uczciwego braterstwa i kunsztu naszego wkojarzyli, na sławę obecności waszéj, na chwałę Chrystusa Pana i Najświętszéj Panny, i żebyście do cechu naszego dopomocnymi byli, a gorzałki, co ludzkość i grzeczność wasza, wystawili."

Od wódki przejście łatwe do szynków i szynkarzy. Tych ostatnich specyalnością oszukiwanie na mierze. Pijatyka trwa ciągle, nawet niedziela i kościół od kieliszka odciągnąć nie zdołają. Dopiero kiedy się gardło przeleje, pełno pijaków w kościele, ale nie dla modlitwy, lecz dla zgorszenia.

Miejskie zajazdy, izby, podcienia, pełne smrodu i nieczystości. Na ulicach i rynkach psy zdechłe, barłogi i gnoje. Cóż dopiero mówić o ludziach i usłudze? Gospodarza strzeż się, aby cię nie okradł, szynkarki—„żeby gadu nie natrzęsła." Niewygodę tę opisał na ścianach pewnéj gospody jakiś cudzoziemiec, pierwszy raz Polskę zwiedzający, co potém przetłomaczono. Wiersz ten w tłómaczeniu podaje autor, jest on jednak tak wstrętny i niesmaczny, że nawet wyjątków z niego przytoczyć nie podobna. A jednak „miéj kto chcesz za żart te kilka podróżnego cudzoziemca wierszów, ale to jest rzecz pewna, że miast i ludzi zagranicznych porządek od naszych polskich taką, jako raj od piekła, mają dystynkcyę. Rynek i każda ich ulica ma w sobie ochędóstwa więcéj, aniżeli polskie w swoich rezydencyach domy i kamienice, Satyra zaś leśnego widok nie tak byłby u nich w podziwieniu, jako człowieka z naszych miejskich którego, względem ochędóstwa i ułożenia w grubijaństwie i kroju przykrego. Bolą uszy i serce słuchać śmiesznych o tem relacyj, albo czytać pisma i wieczyste tych to anatomistów naszych druki i tranzakcye." Wybaczyć zaś im koniecznie potrzeba, bo słusznem sumienia i rozsądku prawem, prawda nikogo urażać nie powinna.

Oto i wszystko co autor znalazł w miastach dla swojéj satyry. Nie miał ztąd postępować „niżéj,“ niechcąc ostrzem satyry dotykać „pracowitego ludu naszego,“ boć trudno go już prawie „dojrzéć w tłumie i nacisku wszystkich ogółem dolegliwości“.... „Zatarła tak piękny (aże doskonaléj powiem) najprawdziwszy twarzy boskiéj rytrakt (1) trzymająca się pyszno w dystynkcyach wzgarda nasza; poszarpało nieznośne w panowaniach okrócieństwo, zdarło niepomiarkowane w podatkowaniu ździerstwo i niemiłosierdzie; nadeptał i stratował szacowny na wymyślne ustawy (?) koń żołnierski; strawił głód i niedostatek, znużyły nieżyzna na złe czasy i wielorakie plagi boskie praca i charłowanie (2)“. Przytoczony ustęp prawdziwy zaszczyt przynosi satyrykowi, początek bowiem wieku XVIII najmniéj zważał u nas na godność ludzką w włościaninie. Tylko zaraz potém idzie szlachecki wykręt przy szukaniu przyczyny upadku moralności, chęci do pracy i rozumu chłopa polskiego. Kiedy bowiem nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że lud jest takim, jakim go sami zrobiliśmy, autor widzi także, oprócz wspomnianego ucisku, przyczynę złego i w tém, że „charłaczkowie nie są w tych cnotach, dla których Pan Bóg przodkom ich obficie błogosławił.“ Skutek tu wzięty został za przyczynę, ale zaraz po téj nieszczęśliwie pomyślanéj przyczynie, podaje autor inną jeszcze, bardzo rozumną, a na wiek swój zawczesną, leży zaś ona w tém, że „*dla siebie* przedtem i przeto ochotniéj, niżeli po te czasy pracował, zasiewał i zbierał uczciwy chłopek.“ Ztąd praca była mu miłą, w niéj czerpał siły, a swobodne i spokojne przestawanie z naturą rozwijało jego umysł i podnosiło serce. „Piórem Augustyna albo Chryzostoma pisaćby potrzeba ową ich niewysłowioną, naturalną prostotę... ustąpiła zawiła teologów explikacya łatwiuchnéj i prościuchnéj ich rezolucyi.“ To téż Najwyższemu przyjemniejszy był jeden prostaczka paciorek, albo ów głupiuchny: *To tobie, to mnie*, przez przykopę podział, aniżeli wszystkie razem seraficzne z tytułu i z druku swojego bez serca modlitwy, hymny i nabożeństwa nasze.“ W ten sposób wysławia daléj autor uczciwość, czystość, prawość i pobożność ludu, ale dodaje na końcu charakterystyczne słowa: „nie widzieliśmy prawda tego, co się tu mówi, a dawnością wieków zaległo.“ Otwartość ta, czy naiwność, podobać się powinna, gdy się zważy na wszystkich satyryków sławiących dawne czasy tak, jakby je widziéć i rozumiéć mogli. Wada to prawie wszystkim wspólna. Nie tak za naszych ojców bywało—to zwykły frazes codziennéj, potocznéj rozmowy i zwykły frazes satyryków. A jeżeli zobaczymy, co

(1) Właściwie: rytrat, obraz, portret.

(2) Może: harowanie, ciężka praca.

téż współcześni o owych ojcach mówili, to przekonamy się, że satyryk tych czasów, czasów rozbiorowych z boleścią widzi upadek cnoty i woła: „powróćcie się czasy ojców naszych!“ a kiedy pójdziemy daléj do naszych pradziadów, to autor naszego rękopisu i inni znów nas odeszlą do wcześniejszéj epoki, a w epoce téj Opaliński, a nawet Kochowski i Sarbiewski znowu wspominać będą o owych „czasach i obyczajach starodawnych“ i to na to tylko, abyśmy od znakomitych mistrzów Zygmuntowskich dowiedzieli się tego, co i przedtem, że tak „pierwéj“ nie było (Zbylitowski). Na ten téż temat fantaziuje nasz autor, aby przeciwstawić czasy dawne, dzisiejszym, w których „nie masz chłopiéj prostoty, którą Pan Bóg chciał mieć korzeniem wszystkich cnót i doskonałości. Francuzki przewrót, hiszpański dowcip, wołoski przemysł, moskiewskie okrucieństwo przechodzi po te czasy subtelna praktyka chłopska.“ A daléj straszny obraz: oszustwo, pijaństwo, cudzołóstwo, kradzież przesuwają się przed oczami: „Ma on (chłop) na wołu buty, na kapłona wędę, na szczupaka misterne jarzmo, na plebana bicz, na sąsiada rogi, na żonę kłótkę... Wiary dobréj nie pytaj, praca szczera i poczciwa zginęła, wszeteczeństwa pełno; Trójca Najświętsza u niego widły, dusza para, kościół browar, pacierz misterne plotki, chudoba z cudzéj nabycie, dziewka żart i zabawa, krowa albo kobyła u niego nałożnica; zgoła wszystko maniera życia głupia, łakoma i wszeteczna świnia.“ Dużo w tém wszystkiem pesymizmu i frazesów bez dowodu. A jak ciekawym byłby dla nas obraz obyczajów i stanu ludu naszego przed dwoma blizko wiekami. Autor stara się wykpić i wytłómaczyć swoję pobieżność dwu wierszem:

Tam, gdzie złe dobrze leży, nie trzymaj się toru,
Bowiem rozdrażnionego nie zniesiesz fetoru,

i zaraz przystępuje do „wolnego w panieństwie obojéj płci stanu.“ Początek zajmuje szerokie i szczegółowe porównanie wieku młodego z rośliną, rodziców z gospodarzem uprawiającym ziemię, zasiewającym ziarno i starającym się o wzrost rośliny, aby „wzeszła w kwiat gęsty i wydała plony.“ Jeżeli z dopuszczenia wyższego w niwecz obrócą się starania, jakże się „nieborak trapi... że ziarno jego lada jako weszło, że mu śniedź i płonną plewę okwitło, że się ziarna w kłosku domacać nie może, że z pracy swojéj pożytku nie ma.“ Zwróciwszy się zaś do rodziców, pyta się: dla czego obfitując w dostatki i wygody... na starość tak sobie nudzicie, lamentujecie, płaczecie i narzekacie.“ Dziatki winny odpowiadacie... bo pan Jan starszy ową powabną i delikatną kompleksyjkę przez zbyteczne pijaństwo w trąd, jakoby w jaszczur sobie oprawił, czopa i szynkwasu podłego pilnu-

jąc, konie, porządek, rynsztunek, i szacowną niejedną wyprawę przemarnował i przemataczył. Że p. Mikołaj średni na kolacyjki b........, na hultajskie kompanijki i debosze wszystko także utracił, zęby w salwacyi wypluł, paragrafów na pyszczek papinkowaty ponabywał, w długach i kredytach po uszy uwiązł, z regestru dworskiego, czyli wojskowego sromotnie wymazany, wyszczwany i wytrąbiony, po skrytych miejscach tuła się i lawiruje, niebezpieczeństwa gardła za sromotną i kryminalną akcyę uchodzi, w gnoju na ostatek publiczne sadzele (1) i ospę liczy, gnije i od kości ropiejąc odpada. Że ów Tomuś najprzyjemniejszy mopsek, najraźniejszy synaczek, najukochańsze dzieciątko, jako świnia głupiuchny, rozgarnienia i bezpieczeństwa nie ma, złych się nałogów chwycił, pana swojego okradł, na kostki utracił, w więzieniu szubienicę wysiada, okupu i miłosierdzia rodzicielskiego w głodzie i nieznośnéj mizeryi wygląda. Że owa, aniołek w ludzkiem ciele, Magdusia koło pępka opuchła, na potrawę womituje, albo pod pretekstem miejsca cudownego, daleko kędyś puchliny zbywa i ratuje się...“

Wszystko to prawda, „ale kto wam mili staruszkowie winien, że z nich ukontentowania i honoru mieć nie możecie? Na siebie płaczcie i narzekajcie, nie dziatki wam, wy dziatkom i samym sobie szkodzicie.“ Pomijając już niedorzecznie pojętą miłość rodzicielską, a ztąd zbyteczne pobłażanie swawoli, zapominają o tem ojcowie i matki jak zły ich przykład wpływa na potomków. Wprawdzie p. Jan pije dzielnie gorzałkę, ale czyż mu się dziwić, kiedy „p. ojciec w tych leciech lepiéj i doskonaléj to praktykował.“ A że ty, panie Mikołaju, „w akcyach lubieżnych zbytkujesz,“ wina w tém twojéj matki, co cię „z pobocznéj zawiązała rozrywki“ i pozwoliła piastunce sypiać z tobą w 6-tym roku życia pod pierzyną. I ciebie, Magdusiu, „nie trzymano w dozorze,“ pozwolono ci patrzéć jak „pani matka z gościem na migi się znosiła, porozumiewała i schadzała,“ lub „panna z fraucymeru z mężczyznami dni i nocy jak kokosz na jajcach wysiadywała, gziła się i pajęczynę po kątach omiatała.“ Miłość ma swoje prawa, przyjdzie w właściwym czasie, uprzedzać ją i przygotowywać się do niéj nie potrzeba. Dorodny młodzian „przylgnie do serca prawem porządnéj miłości z cnót i przymiotów swoich, choć się z *Magielony*, z *Banaluki*, z *Argenidy* i z inszéj którejkolwiek miłosnéj książeczki kochania uczyć i naśladować nie będzie. Polubi stan małżeński „panna, choć jéj go zalecać i słodzić, albo habitu ganić nie będziecie.“ Podda się kształtnie konwersacyi, manierze dobréj i gładkiemu w tańcu taktowi, choć jéj kosztowny francuzki knechta

(1) Guzy, wrzody.

języka przyprawiać, stanu prostować..... nie będzie. Pójdzie godna wcześnie i dobrze za mąż, choć ją nasieźrzałem (1) kadzić, albo po kiermaszach, odpustach i publikach wodzić nie będziecie."

Kiedy ci, panie ojcze, dał Pan Bóg chłopca „w pięknéj proporcyi i sposobności," od ciebie zależy wcześnie „latorośl podkrzesywać, naginać w surowości i groźbie ojcowskiéj... sposobom dobréj edukacyi poddać." Tymczasem „łzami by tu pisać potrzeba zepsowaną temi czasy młodzieży naturę... Wejrzyjmy owo na wiek dziecinny, aż w nim fizyognomia z figury i znaków swoich przechodzi lat kilkadziesiąt. Znać w minie, jakby je wyrznął, wystarzałe pana ojca opojstwo, w oku stryjowski świder i matactwo, w impeciku wujowskie okrucieństwo i szarpanina, w ruchawości pani matki lubieżny i wszeteczny pochop. Pójdźmyż za dalszemi trochę latami, aż owo onegdajsze dziecko po piecu się za pasterkami czołga, w szkole o lepszą u szynkarki z inspektorem certuje; w nauce, w nabożeństwie i w księgach jak mucha w ukropie smakuje, wakacye sobie ustawiczne wymyśla, butów daleki od szkoły manowcami narabia, (2) koszt rodzicielski marnuje i zawodzi. I tak bez pożytku i umiejętności przeszedłszy jako przez praszczęta (3) niecierpliwie szkoły, na przestrzeńsze pole do dworu, albo do wojska wychodzi. Tamże go dopiero proszę widzieć, jeżeli się z szkół wyszedłszy nie opartolił zaraz." A dalsze dzieje „synaczka" opowiedzą „markietanki" i „Doroty od szynkwasów."

Nasz autor przyczynę złego wychowania dzieci upatruje w zamiłowaniu do obyczajów cudzoziemskich, i kończy wywód zapewnieniem, że „czem przed laty swobodna, silna i potężna stała i słynęła Rplita, wszystko się zagranicę wyniosło. Zkąd dosyć kroju, języka i fantazyi mamy, ale regimentu, ich porządku i reguły nie pytaj... Wszystka myśl i rzecz na tém stoi, aby podobać się krojem białogłowie, prawem onego koniecznie cudzołożyć... psy po ulicach strzelać, wytwornie szalbirować, (4) do południa sypiać, nocy na niecnotach trawić, nabożeństwa chronić się, cudzych obiadów i deboszów szukać, swoję kuchnię na zawsze zagasić, nos utabaczyć, strojem czas marnować,—zgoła sobie i nikomu na nic się nie przydać. Téj się „szkoły" chwycili i bracia „pomniejszéj kondycyi."

W ustępie w wychowaniu młodzieży potrącił autor kilka razy o małżeństwo, z kolei więc rzeczy poświęca mu kart parę swéj saty-

(1) Nasieźrzał, wołowy język, Ophioglossum, rodzaj paproci.

(2) Butów narabia, niszczy buty.

(3) Rózgi.

(4) Pleść, gawędzić, obełgiwać, blagować.

ry. Tu jednak występuje w roli zwykłego kaznodzici, powtarza oklepane frazesy na temat niedobranych stadeł, wspomina o wynikających ztąd zgorszeniach, gromi wreszcie w sposób pospolity i wielce trywialny niewierność małżeńską i jéj owoce. Najlepszym z całego tego kazania, choć mocno słonym, jest wiersz o „miłych łożnic żeńskich pawilonach.“ W nim autor stanął rzeczywiście na wysokości satyry; szkoda że nie pisał do druku... Dla zbieraczy zdań i przysłów nie od rzeczy będzie przytoczyć parę drobnych wyjątków:

1. Gdzie mocno stoi pochop do miłości,
Tam lepiéj obcy, niżeli swój gości.

2. Za cóż kościelnéj dogadzać by zrzędzie,
Kiedy bliźniemu przez to nie ubędzie.

3. Zawsze smaczniejszy, minąwszy swój stawek,
Z sąsiedzkich karaś albo karp sadzawek.

4. Lada jak, (mówią) ze swojego żyje,
Który cudzego mogąc, nie zażyje.

Święty a tak poniewierany sakrament małżeństwa, przywodzi na myśl autorowi inny, również święty, sakrament kapłaństwa. „Z bojaźnią wielką, uczciwością i submisyą“ czołga się „na kolanach“ do stanu duchownego. Prosi o przebaczenie za to, co powie, „bo go nie pretensya żadna, ani uraza i zawziętość (uchowaj Boże!) ale rzecz dyskursu“ do tego prowadzi. Kiedy bowiem był zmuszony opisywać i gromić zbytki i swawolę „ludu Chrystusowego“ nasuwa się, rzecz prosta, pytanie, co temu jest przyczyną. „Tedy i odpowiedzieć potrzeba kazała: bo nie ma do tego pobudki, przykładu i przewodni. Ale czemu niema? pytam się znowu. Odpowie zaraz powołanie wasze.“ Potém następuje powtórne usprawiedliwianie się, że o stanie duchownym autor mówić nie miał zamiaru, bo w takim razie, pomieściłby go naczele, przyznając mu charakter równy monarchom. Jako potępienia godne uznaje „aksioma, że ksiądz nie jest aniołem, żyć musi jako człowiek, kiedy jak Bóg żyć zawsze powinien.“ Dowodzi bardzo obszernie, że tak samo jak on zapatrywali się święci pańscy, męczennicy, słudzy i doktorowie kościoła, Obecnie jednak prawdziwe powołanie zastąpił interes i nie dla chwały Pańskiéj, ale dla dobra własnego, przywdziewają dziś ludzie młodzi suknię zakonną. Czynią to, aby się uwolnić z poddaństwa i „od przyrodzonéj sobie pracy, robocizny i powinności.“ Na to zostajesz kapłanem, abyś „tłustym Chrystusa chlebem“ zapewnił sobie przyszłość, „podłéj rodziny, kolligacyi i rodziców“ się wyrzekł, albo, że-

byś upadającą fortunę familijną „na prelaturach, opactwach i biskupstwach poparł, dostatków, wygód i dochodów bez najmniejszego starania i kosztów używał, od Rzymu, zwierzchności i sprawiedliwości zdaleka zostawał. Jakże więc możesz być dobrym kapłanem. Kiedy boski charakter „jako opończe bierzesz, aby cię bieda i mizerya na kształt słoty i gradu przez skórę nie śmigała, świecka ręka w przewinieniu nie chlastała." Ztąd też nigdzie niema „więcéj amorów, konfidencyi, korespondencyi, umizgów, komplementów, antagonii, z świeckimi o lepszą cudzołóstw, wygód, strojów, wytworów, powabności, deboszów, trelów, tańców i inszych światowych i wszeteczeństwa zbytków, jak w stanach anielstwu poświęconych... Ledwo nie (co) plebania to fraucymer; co folwarczek to brakowny inwentarz, i tam i tu sióstr różnéj linii pełno dla obrządku gospodarskiego." Ofiara mszy świętéj odbywa się pobieżnie, bez wzniesienia ducha. Chciwość, pycha i nadętość stały się zwykłemi księży naszych przywarami. A owe stypy, żałobne traktamenta— mało to przyczyniają się do zgorszenia? Cóż dopiero mówić o hucznych odpustach i kiermaszach! Wówczas sługa ołtarza, nadużywając „zbytku i wolności języka," rzuca częstokroć „na sławę bliźniego obelgi, kucharek i gospodyń pochwały, parafianek uczynności", lub bawi się w udawanie „przysiadanego, hajdukowego, góralskiego i inszych tańców." Po takiéj zaś hulance idzie kapłan nauczać ludzi do kościoła, kazanie im prawić. Nie mając zazwyczaj wykształcenia, prawie co mu ślina do ust przyniesie, Zmienia i tłómaczy dowolnie tekst pisma św., przytacza najfałszywiéj historyczne wypadki, pląta czasy i osoby. *Benedictus Deus in Sion*, znaczy u niego i pobłogosławił Bóg Symeonowi; o Senece wspomni jako o świętobliwéj matronie rzymskiéj, o Horaciuszu jako o pustelniku; Elizeusz stanie się u niego apostołem, Epicurus papieżem. „Będzie Jozue od braci do Rzymu zaprzedany, Enoch od Hamana na królestwo hiszpańskie wyniesiony, będzie archaniołem Paweł lub Mateusz, a Najśw. Panna ukrzyżowana." Spowiedzi słucha się tylko dla formy." I jak się tu nie gorszyć, kiedy ten, „którego Bóg duszom swoim chciał mieć za przewodnika do siebie, sam się drogi prostéj i należytéj nie trzyma, błądzi i inszych za sobą nieszczęśliwie prowadzi i od Boga odwodzi... U prostaków bowiem jest to rozumienie i pewność, że to i owo nie jest grzechem, bo tak sam ksiądz pleban czyni; a że ksiądz pleban czyni, uczyni to bezpiecznie, bez skrupułu wójt, włodarz, kmieć i parobek..." Po wielu wreszcie radach udzielonych stanowi duchownemu, zbliża się autor do końca, wyrażając obawę, gdyby ta rzecz „miała przyjść przed oczy duchownych. O jakich by tu było inwektyw, nienawiści, cenzur, banicyi, klątew i piorunów; prawdziwego katolika zrobiliby herety-

kiem i apostatą... A cóż to mój Rewerende jest żyć przeciwko powołaniu, jeżeli nie *apostatare a vocatione?* Ja, uchowaj Boże, dobrych nie tykam, bowiem i wierzę, że na nich wiara moja i zbawienie zawisło, bo ich na miejscu boskiem wyznawam, czczę i szanuję. Ani mówię, aby dobrych nie było, bo wiem, że Bóg nie tak się w namiesnictwie swojem ukrzywdzić i uszczuplić pozwolił, żeby nie miał pobożnych, świętych i należytych do pożytków dusz swoich, kapłanów i duchownych."

Bardzo krótko przez nas streszczony ustęp o duchowieństwie jest jednym z najdłuższych w Satyrze. Na nim się kończy pierwsza część całego rękopismu. A tu już „*moja małpa w cnotach* schodzi z widoku pospolitego,—tęż samą w obyczajach obaczyć zapraszam."

(*d. c. n.*)

Na scenie i za kulisami.

HISTORYA PARAFIALNA.

V.

Dzień był słotny i ciemny, ołowiane chmury zasnuły horyzont i tak zwarły się kołem ścisłém, jakby już nigdy nie miało zabłysnąć słońce, zaświecić jasne niebo błękitne. Za każdym wiatru podmuchem, szumiały drzewa i płakały ciężkiemi zimnemi kroplami deszczu, co zebrał się na nich. A wiatr się rozhulał po szerokiéj Ukrainie, jak po królestwie swojém, przestronno mu było bujać po stepie, to téż szumiał po zbożu i trawach, wyprawiając harce swawolne.

W Drewini każdy odczuwał tę słotę. Hrabia Alfred rozciągnął się na sofie w swoim gabinecie, wziął do ręki świeży numer *Revue des deux mondes* i zapalił wonne cygaro. Ale mu nie szło jakoś, słota źle na umysł jego wpływała, przewracał kartki niedbale, ziewając od czasu do czasu.

Hrabina Natalia siedziała w rogu salonu, poszywając dywan bardzo już dawno zaczęty. Wanda, białym wełnianym szalem orzucona, czytała oparta łokciem na stole. Matka i córka nic nie mówiły do siebie, nie miały zwyczaju prowadzić długich rozmów. Niedaleko siedziała dawna nauczycielka, dziś towarzyszka Wandy, angielka, mis Ella, wyglądająca na lat trzydzieści. Na przekór tradycyi, nadającéj córkom Albionu włosy jasne, duże zęby, szafirowe okulary i ubiór cudaczny, — ta miała ciemne włosy i oczy, zęby małe równe, a ubraną była w czarną kaszmirową suknię, według ostatniéj mody zrobioną.

Na wsi, w czas taki, każdy gość bywa pożądanym, a cóż dopiero jeźli jest przyjemny i rozumny. To téż gdy koczyk Porajskie-

go stanął przed gankiem Drewini, zadowolenie odmalowało się na twarzy Wandy, a hrabia wyjrzawszy oknem, szybko wyszedł do przedpokoju. Jedna hrabina Natalia spochmurniała jeszcze, jakby pod niemiłém wrażeniem.

Porajski wszedł uśmiechnięty, było w nim więcéj życia niż zawsze, w oczach tak zwykle przygasłych, jakiś ogień się palił, martwa twarz jego ożywiła się niby. Szybko przysunął się do hrabiny witając ją, potém zwrócił do Wandy i mis Elli zagadując wesoło tę ostatnią, że te mgły muszą jéj przypominać ojczyznę.

— A pani,— zwrócił się do Wandy — nie oddziaływa na panią ta słota?

— I owszem, jak mię ta nieznośna mgła otoczy, drętwieję cała, i przez pół żyję tylko.

— Spleen panią ogarnia....

— Nie. Nie czuję znudzenia, nie mam żadnéj ochoty do samobójstwa, tylko żyć przestaję, a ten stan anormalny niepokoi mię przykro, zrywa się we mnie równowaga.

— Nie widzi pani drogi przed sobą, ta subtelna gaza rzuca jakby zasłonę na przedmioty i niepozwala ich sądzić sprawiedliwie....

— W saméj rzeczy, pan to nader trafnie określa.

Porajski się uśmiechnął.

— Jest to dowodem wysokiéj wrażliwości natury pani — rzekł. Pani jest na wskróś nerwową, jak zresztą wszystkie natury delikatniejsze, więcéj rafinowane, artystyczne....

Wanda zarumieniła się.

— Artystyczne? — powtórzyła z prostotą — do mnie się ta nazwa stosować nie może. Nie mam ani jednego talentu, ani jednéj zdolności, którąby tę nazwę usprawiedliwiła.

Porajski obrzucił spojrzeniem tę bladą dziewczynę, co się na odrętwienie skarżyła i zamajaczyła mu przed oczami inna postać, drgająca życiem, porywająca za sobą. Uśmiechnął się łagodnie i rzekł głosem zniżonym, miękkim:

— Albož pani nie ma w sobie uczucia piękna, czyż nie razi panią wszystko co brzydkie, złe, pospolite?

— O! i owszem, ależ to nie daje nazwiska artystki, nie dosyć jest czuć, aby swoje uczucia oddać.

— Ja téż nie nazwałem pani artystką, ale naturą artystyczną. Pani czuje piękno i kocha je, tylko nie umie pani myślom i wrażeniom swoim nadać plastycznych kształtów. I te myśli, wrażenia nieoddane, męczą panią niepokojem dziwnym, nerwy się rozstrajają a tém samem stają pohopniejsze do odbierania wrażeń nowych coraz....

Wanda podniosła na niego swoje szafirowe oczy.

— Czy pan doświadczał tego? — spytała — pan mówi jakby o rzeczy dobrze znanéj sobie. . . .

Porajski się uśmiechnął.

— Może. . . . — odparł głosem przyciszonym.— A zresztą, długo już żyłem i umiem jak poznawać tak tłómaczyć uczucia ludzkie.

— Więc pan umie odgadywać usposobienia?

— Jeżeli zadam sobie tę pracę, co nie zawsze się zdarza. Panią naprzykład znam lepiéj, zaręczam, niż pani zna się sama. . . .

— A toż jakim sposobem?

— Lepiéj znam życie niż je pani kiedykolwiek znać będzie mogła, a zatém wiele rzeczy, których pani w sobie zrozumiéć nie może, dla mnie tłómaczą się same. . . .

— W takim razie, nader ciekawą jestem usłyszéć zdanie pana.

— Kiedyś wypowiem je pani, ale nie dzisiaj, nie teraz.

— Cóż panu staje na przeszkodzie?—spytała szyderczo mis Ella.

Porajski zwrócił się trochę w stronę mówiącéj.

— Brak usposobienia — rzekł sucho.

Angielka ust przygryzła i obejrzała się po salonie. Hrabia wyszedł, pani Natalia, zatopiona w swojéj robocie, zdawała się nie widziéć i nie słyszeć. Porajski zbliżył się do niéj.

— Pani jak widzę robotą skracała sobie czas monotonnie długi. . . .

— Czemś zająć się trzeba— odparła zimno hrabina.

— Prześlicznie dobrane kolory, ten paw' pomiędzy gałęziami znakomity, mina, z jaką ogląda się po za siebie, jest nieopłacona, prawdziwy symbol próżności. Ale cóż znaczy obok niego ta biedna wystraszona kureczka, co tak trwożliwie patrzy wokoło?

Hrabina zmięszała się jakby schwytana na gorącym uczynku, fala krwi uderzyła do bladéj twarzy Wandy. Porajski był zupełnie spokojny, jakby nie widząc nic wcale.

— Wyraża ona całą swoją postacią zdziwienie i uznanie, że znajduje się w niedobranéin do niéj towarzystwie — wtrąciła złośliwie Ella, pokazując białe zęby.

— W takim razie nie wie chyba, że kto jest użytecznym prawdziwie, jak ona, już tém samem ma o całego siebie większą wartość od samochwalców, do tego pawia podobnych — odparł Porajski przez ramię, tak sucho i ostro, że Ella umilkła zmięszana, a hrabina ze zdziwieniem oczy podniosła.

Porajski tymczasem powstał i zbliżył się do Wandy, która oparta o ramę okna, patrzyła bezmyślnie na grube krople deszczu, ściekające po szybach.

— O czém pani myśli — zagadnął ją Karol głosem miękkim i ciepłym — jeżeli o czém smutnem, to proszę raczéj szukać sposobu zaradzenia temu...

Wanda drgnęła. Biedne dziecko po raz pierwszy spotykało człowieka znającego dokładnie jéj życie domowe. Patrzył on na nią z porozumieniem, na ustach miał uśmiech łagodny, a jednak Wandzie coś zamykało usta, nie mogło wyjść od niéj żadne słowo. Uznała w duszy swéj nierozsądek, to człowiek rozumny, zdaje się życzliwy, nie trzeba go odpychać... Ale ta walka krótka, zmęczyła ją bardzo, czuła niesmak zawczasu, i to wywołało na oczy dwie łzy bujne, a na usta wykrzyk bolesny, zniechęcony.

— I jest-że na świecie całym sposób jeden choćby zaradzenia temu?

Porajski nie domyślił się walki, słyszał przyznanie tylko, spojrzawszy na tę niewymownie wdzięczną, ale drobną i wiotką postać znów mignęła mu przed oczami inna. To téż głos miał stłumiony żalem jakimś czy téż westchnieniem, gdy rzekł:

— Jeden jest.

Z kolei Wanda nie zrozumiała wahania, nie widziała go nawet, nie uważała zmiany głosu.

— Jaki? — spytała gwałtownie. Oczy jéj zapaliły się iskrą, w twarzy zapulsowało życie.

— Więc ona śpi tylko?—pomyślał Porajski—czyżby to nie była obojętność, czyżby ona i żyć na własną rękę umiała? — Nudna historya...

— Jakiż to sposób? — spytała Wanda gwałtowniéj jeszcze — czemu pan nie mówi? prędzéj, proszę...

— Zmiana dekoracyi...

Zdziwienie odmalowało się na twarzy Wandy.

— Nie rozumiem — odparła.

— Trudno mi się jasno tłómaczyć....

— A toż czemu?

— Ba, może przy pierwszych słowach pani mi usta zamknie, bo nie wiem czy pani ma we mnie dość zaufania, aby słów moich wysłuchać, słów szczerych, które jednak pani może uznać za niedyskretne....

Chłód dziwny powiał na Wandę, ale nie czas było się cofać, to téż odpowiedziała z uprzejmością nieco wymuszoną:

— Jesteś pan człowiekiem światowym, wytrawnym, a zatém nic mi nie grozi....

— Może pani dodać, że jestem mężczyzną, a zatém kobieta nie pożałuje nigdy tego, że mi zaufać raczyła. Teraz zechciéj pani

odpowiedzieć na kilka zapytań, choć one na pozór żadnego związku z głównym przedmiotem nie będą miały. — Gdzie kobieta jest panią?

Chmura niechęci powlokła bladą twarz hrabianki.

— Nigdy i nigdzie—szepnęła. — Na scenie chyba wielka artystka, w życiu publiczném sławna autorka, inne—nigdy.

— Mylisz się pani. Kobieta panuje w domu własnym.

Wanda zaśmiała się sucho.

— Zostaw pan innym ten frazes zdawkowy — szepnęła.

— Nie, pani. Trzeba tylko innych okoliczności, jak... niektóre, a będzie to rzeczywistą prawdą. Otóż kobieta, mając swój dom i poparcie, koniecznie rozumnego męża, bo ograniczony nic nie pomoże, wiele rzeczy zmieni, w ostatnim razie może mieć u siebie osoby bliskie jéj sercu.

Wanda zarumieniła się gwałtownie.

— A któż zaręczy, że ów mąż rozumny nie cofnie się przed tym warunkiem? a nawet przyjąwszy, późniéj nie umyje rąk od wszystkiego?

— To już zależy od człowieka. Trzeba wybrać takiego, któryby życiem swojém dał rękojmię, że jest stałym i konsekwentnym, że nie umie i nie chce się cofać w pół drogi.

Wanda spuściła głowę.

— Albož są tacy ludzie na świecie?—spytała smutno.

— Są, ale nie między tymi co żyć zaczynają. Pierwsze wrażenia, uczucia, mijają szybko: gorące to, ale niestałe. Człowiek starszy dopiero, który przeżył wiek, może zapewnić, że nie zawiedzie ufności....

— Albo téż nie stawi oporu, bo obojętném wszystko dla niego, bo w nim wypaliło życie to, co się nazywa uczuciem. Czy można na takiego rachować?

Porajski brwi zsunął i przenikliwie wpatrzył się w Wandę, nie wiedząc jak jéj słowa tłómaczyć. Ale dziewczyna, nie mając żadnéj złéj myśli, nie zauważyła jego zmięszania i czekała na odpowiedź, może więcéj od siebie niż od niego...

— Ja téż nie mówię o takim—rzekł wreszcie—ale o człowieku poważnym, w którym piana młodości już wyszumiała, a została jedynie dojrzałość...

— Albož są tacy ludzie na świecie — pytam raz jeszcze?

— Że są, to mogę pani zaręczyć, ja, który łatwowiernym nie jestem.

Dziewczyna zaplotła boleśnie swoje drobne białe ręce.

— Albož ja zwrócę na siebie uwagę mężczyzny takiego? — pytała z goryczą. — Czy on zechce spojrzeć na mnie, czém zasługuję na to?

Przyzwyczajenie parło na usta Karola uśmiech ironii, bo przyszła mu na myśl uwaga, że świetna złota oprawa pokrywa małą wartość szkiełka, które obejmuje. Nie ukazało się jednak to wrażenie na twarzy jego, gdy wyrzekł z powagą uprzejmą i jakby trochę wzruszoną.

— Znalazłby się i taki, ale czy tylko pani się zgodzi.

W téj chwili Wanda obróciwszy się przypadkiem, ujrzała Ellę siedzącą za niemi przy stoliku, z gazetą w ręku. Zdawała się czytać z uwagą, że jednak nie słyszano szelestu kart przerzuconych, można było wątpić o tém. Na twarzy Wandy wybił się niesmak nieprzezwyciężony, z szafirowych oczu strzelił promień niechęci gniewnéj, i odwróciła się w inną stronę. I Porajskiego gniew ogarnął na myśl, że go szpiegowano, a że nie miał powodu oszczędzać Angielki, przeciwnie, wiedział że wzbudzając jéj niechęć zbliży się do Wandy, postanowił tedy wymierzyć sprawiedliwość.

— Widzę — rzekł ostrym, szyderczym tonem — że pani spełniasz tu równocześnie kilka funkcyi. Która téż najwięcéj pani przynosi?

Angielka zadrzała z gniewu, nieprzywykła by ktoś śmiał się do niéj w ten sposób odezwać. Ale w jednéj chwili stała stę panią siebie i odparła niemniéj szyderczo:

— Ta, któréj się pan domyślisz dopiero po skutkach....

— Po skutkach? — powtórzył lekceważąco — a czyż zwrócą one moją uwagę? to wątpliwe....

Ciemne oczy Elli błysnęły jak u młodéj kotki.

— Kto wie?— rzekła z ironią kolącą — zobaczymy....

Karol odszedł, wzruszając ramionami. Gdyby był widział wyraz twarzy Angielki, spojrzenie, które za nim posłała, może nie czułby się tak pysznie obojętnym. On nie myślał już o niéj na tę chwilę, ale o Wandzie. Te błyski samodzielności odkryte w niéj, nie podobały mu się bardzo. On się spodziewał, że znajdzie nieco ospałą, arystokratyczną pannę, która z wytwornym wdziękiem będzie zarządzać jego pysznym pałacem, a czas zbywający przemarzy z angielskim romansem w ręku, żyjąc życiem sztucznem, a o rzeczywistość ocierając się o ile można najmniéj. On przecież także bywał często w świecie idei, mogli się tam schodzić przeto.... Tymczasem ona nietylko idealne ale i praktyczne zagadnienia stawiała sobie; cóż znowu: czyż ona miała zamiar dotykać się życia, czyżby się z nią trzeba rachować, tłómaczyć? czyżby sama przez się myślała? — nudna historya.

VI.

W Milewskim saloniku rozlegały się śmiechy wesołe. Piękna Tola, cała w zwojach blado żółtego muślinu, co w miękkich zręcznych draperyach wlókł się za nią, w koralach na szyi i rękach, z różą pąsową wplątaną w loki krucze, jak dziecko bawiła się ze szwagrem i z Bogdanem Porajskim, którzy chcieli jéj odebrać mały koszyczek liśćmi wysłany, pełny dojrzałych malin miesięcznych. Tola uciekała przed nimi, oni ją doganiali, tuż, tuż, mieli już dostać maliny, w tém piękna pani podniosła koszyk nad głową, odsłaniając marmurowe ramię, z którego się zsunął rękaw szeroki, przegięła się jak trzcina gibka, przesunęła pod ramieniem Bogdana, aż uczuł muśnięcie róży z jéj włosów, i oto już na drugiéj stronie salonu, żartuje z niezręczności napastników. Zabiegli jéj drogę, wykręciła się szybko, obiegła salon w około, otarła się o kanapę na któréj siedziała jéj siostra z Karolem Porajskim i jak za murem obronnym stanęła za stołem okrągłym. Ale panowie już i tam byli, już Bogdan jedną ręką odsunął zaporę, a drugą chwycił rękę pięknéj pani. Ona mu ją wyrywa, a tymczasem chce zastawić maliny na półkę za siebie, Bogdan umyślnie walkę przeciąga, żeby dłużéj patrzeć na jéj usiłowania. Ślicznie bo téż Toli z niemi, wspina się na palce, przechyla na wszystkie strony, a każda poza taka wdzięczna, tak plastycznie piękna, że choć ją malować. Czarnowski stał opodal, śmiejąc się i ocierając pot z czoła, Tola więc mogła podołać jednemu napastnikowi i wyrwawszy mu rączkę, zaczęła daléj uciekać. Lecz w tejże chwili stanął po za nią nowy zapaśnik — Karol.

W tył się rzuciła zdziwiona czy téż zmięszana, lecz znać zmęczoną się czuła, albo już się uciekać nie chciało, dość, że za chwilę jéj ręka wraz z koszykiem była w posiadaniu Karola, i że niemogła jéj z uścisku uwolnić. Porajski jéj koszyk odebrał, postawił na stole, a rękę położywszy na swojém ramieniu, poprowadził piękną panią do kanapki, posadził i sam przy niéj miejsce zajął.

— A co! — zawołał Bogdan — nareszcie pani zwyciężona!

— Przez trzech mężczyzn!—zaśmiała się Tola— fakt dowodnie przekonywający o słabości płci naszéj...

— Gdzie idzie o zręczność, tam paniom służy pierwszeństwo!

— A kiedyż i gdzie zręczność nie jest potrzebną? Cóż znaczy siła, jeśli jest za ciężką i trudno jéj się poruszyć?

— Przerywa tkanki któremi ją oplątają, przełamując zawady, które jéj stawiają, i daléj idzie do raz wytkniętego celu...

— Nie. Pozwala się oplątać, w przekonaniu że nic jéj nie grozi. Aż wreszcie, gdy znudzona zabawką dziecinną chce zerwać nitki pajęcze, ze zdziwieniem ogromném odczuwa ból nader silny, niteczki cienkie, ale każda z nich zaczepiona o fibrę żywotną, jednym ruchem można zerwać całą tkankę, ale cóż, kiedy razem zerwą się fibry wszystkie i oto siły już niema, bo nie można jéj użyć...

Porajski słuchał w milczeniu, nie spuszczając z niéj oczu ani na chwilę. Tola nie zdawała się widziéć tego, cień zamyślenia osiadł na ślicznéj twarzyczce, oczy gdzieś patrzyły przed siebie, wstrząsnęła głową, mówiąc:

— Wierz mi pan, siła bez zręczności nic nie znaczy..

— A przecież siła dopiero—odparł Karol—zwalczyła zręczność pani—sile tylko pani uległa...

Piękna Tola wysunęła dolną wargę z tak komiczno-lekceważącym wyrazem, że się wszyscy rozśmieli.

— To była zdrada raczéj — rzekła — niespodziewałam się od pana napaści, a pan z mego zdziwienia skorzystał. Zresztą dobrze mi tak, czas już powiedziéć sobie raz, że pan zawsze przeciwko mnie stanie i bronić się jak od nieprzyjaciela...

— Cóż za myśl znowu! ja pani nieprzyjacielem!

— Przecież pan mię nie bronił, sądzę?

— O! pani jest tak dobrze obwarowaną, tak świetnie potrafi bronić się sama, że rola don Kiszota tu niepotrzebna i gorycz szydercza zabrzmiała mu w głosie.

Tola zajrzała mu w oczy.

— A szczególniéj niedobraną dla pana— rzekła zimno— jabym inną naznaczyła panu..

Porajski uśmiechnął się.

— W saméj rzeczy, kilkadziesiąt razy przynajmniéj nazwano mię Mefistofelesem, czy to pani miała na myśli?

— O! bynajmniéj. Nie przyznaję panu prawa do tego nazwania, za mało w panu życia, a o piekielnym ogniu, niestety, zaginęły posłuchy, ja widzę tylko wielkie, olbrzymie znudzenie, które pan wkoło siebie roztacza...

Porajskiego oczy zapaliły się na tę impertynencyą, ale spokojnie na pozór odrzekł:

— Zaręczam panią, że nigdy się jeszcze nie nudziłem, mogę jednak innych nudzić porządnie, trudno być sędzią w takim wypadku...

Pani Tola zarumieniła się lekko i zamilkła. Po chwili jednak zwróciła się do Bogdana z żartem wesołym, i wkrótce salonik Milewski napełnił się gwarem i śmiechem. Pani Emilia z uśmiechem za-

dowolenia patrzyła na śliczną siostrę, a Porajski także nie spuszczał jéj z oczu, nie mięszając się jednak zupełnie do jéj swobodnéj rozmowy z Bogdanem. Na bladéj, martwéj twarzy jego nic wyczytać nie można było, zawsze spokojny, nie mówił prędzéj ani wolniéj jak zwykle, ruchy jego miały zawsze tę samę dystynkcyą wytworną i tylko bardzo uważny spostrzegacz mógł dojrzeć iskry, co od czasu do czasu zapalały się w jego oczach wygasłych. Raz jednak zapaliły się one całym snopem błyskawic. Pani Tola wybiegła z salonu, za chwilę wróciła, przynosząc duży pęk jarzębiny dojrzałéj.

— Masz!— zawołała— rzucając zdobycz na kolana siostry, twoje dawniéj ulubione ubranie...

Emilia rozśmiała się.

— Tylko że teraz mogę chyba ciebie w nią ubierać — rzekła smętnie — mój czas już minął...

Tola nic nie mówiąc pochyliła się do siostry, i nad czołem wpięła kilka pąsowych jagód. Dziwnie odbijały one od siwych włosów, nie rażąc jednak, ale pani Emilia szybkim ruchem zdjęła je z głowy.

— Daj pokój dziecko—rzekła smutno—zostaw dla siebie kwiaty i ozdoby, mój czas już przeszedł... Ot, chodź tu bliżéj, niech ja ciebie ustroję...

Pani Tola się dała pociągnąć i usiadła na niziutkim stołeczku u nóg siostry, opierając łokcie na jéj kolanach, a głowę na ręku. Jéj suknia rozkładając się szeroko musnęła Porajskiego, on się wpatrzył w to ponętne zjawisko, niemal u nóg jego leżące i nie mógł oczu oderwać. Pani Emilia stroiła w pąsowe jagody i zielone liście głowę siostry, upinała je na staniku, i przyznać jéj trzeba było gust niepospolity, piękna pani, piękniejszą się jeszcze stawała pod tą strojącą ręką. Porajski obejmował ją spojrzeniem, począwszy od ślicznéj główki, w tył przechylonéj postaci całéj z tak niewymownym wdziękiem przegiętéj,—skończywszy na nóżce idealnie małéj i zgrabnéj, wysuwającéj się z pod sukni. Patrzał, i zapaliły mu się oczy fosforycznym blaskiem, lekki rumieniec na twarz wystąpił, ale bo téż pani Tola takie miała śliczne oczy, a szczególniéj tak niemi patrzéć umiała! taką uroczą postać, a tak potrafiła uwydatnić szczegół jéj każdy. Tak jakoś naturalnie zbiegały się jéj szare źrenice z oczami wyżytego pana, że nie czuła potrzeby odwrócenia ich i galwanizowała go tém spojrzeniem wyzywającém. Porajskiego zaczęło ogarniać jakieś dziwne uczucie, o którém zapomniał już dawno, podrażnione nerwy zadrgały. Nie zdradził się jednak ani na mgnienie oka, głos jego nie zmienił dźwięku, na twarzy nie drgnął muskuł żaden, spokojnie rozmawiał daléj o jakiéjś świeżo wydanéj książce...

Tola wtrąciła się do rozmowy, jéj słowa były nacechowane myślą samoistną, Porajski je podniósł i zawiązała się żywa gawędka. Ale wtém, bez żadnego widocznego powodu piękna pani zamilkła, powstała i wyszła z pokoju. Za chwilę słychać było na ganku jéj głos wesoły, zmięszany ze śmiechem Bogdana, potém oddaliło się wszystko i zamilkło zupełnie.

Na twarzy Karola, pomimo panowania nad sobą, wybiło się mocne zdziwienie, a niezadowolenie mocniejsze jeszcze. W miarę jak nieobecność Toli się przeciągała, on stawał się coraz więcéj rozdrażnionym nerwowo i roztargnionym dziwnie. Pani Emilia zdawała się nic nie widziéć.

Wszedł Czarnowski, ale sam.

— Gdzie Tola? — spytała pani domu.

— Zostawiłem ją w ogrodzie z panem Bogdanem.

— Pani Sowińska się może przeziębić — zauważył niecierpliwie Karol.

— Właśnie posłałem jéj okrycie...

W téj chwili pani Emilia wyszła aby zarządzić herbatą, bo zmrok już padał. Za kwandrans poprosiła panów na ganek, gdzie był stół nakryty. Oczy Karola najpierw spotkały synowca, co szedł aleją ku dworowi, prowadząc Tolę, przy któréj zajął miejsce. Porajski zacisnął usta, jakiś grymas mu przebiegł po twarzy, ale zaraz zapanował nad sobą.

Rozmowa ogólna z początku, wkrótce się rozdzieliła. Państwo domowi i Porajski zawiązali żywą gawędę o tém co się działo w świecie. Porajski był bardzo ożywiony, sypał iskrami dowcipu i ciągle do śmiechu pobudzał panią Emilię. Tola była zamyślona, niby tęskna trochę, a Bogdan nastrajał się do towarzyszki, mówili ciszéj nieco. Tola mówiła o sobie. Bogdan był z nią na stopie nader poufałéj, a zarazem bardzo życzliwéj, przyjaznéj nawet. Nie było to zajęcie się piękną kobietą, ale spokojne usposobienie bardzo dobrego przyjaciela. Tola także inną z nim była, nie wabiła go zalotnie, nie przymuszała się do wesołości, ale poważna, smutna trochę, pytała często o zdanie jego, jakby się tłómacząc, jakby przekonywając.

Po herbacie Bogdan zaprowadził ją do fortepianu. Uderzyła kilka akordów, i głos jéj się złączył z dźwiękiem klawiszy, popłynął falą harmonii. Głos to był silny, kontraltowy, o głębokiém, pełném, czystém brzmieniu, o skali szerokiéj, rozległéj; głos rzeczywiście przepyszny. Zaśpiewała piosnkę cygańską, jedną z tych piosnek gdzie słowo każde jest okrzykiem dyszącéj namiętności, rozpływającéj się w tęsknocie najwyższéj, bólu szalonego co się na rozma-

rzeniu kończy, rozpaczy bezdennéj i uczucia bezgranicznego, co nie zważa na nic, nic nie widzi, oprócz przedmiotu miłości. A słowo każde wychodziło z purpurowych ust Toli wyraźnie, dobitnie z właściwym akcentem, każda nuta wybiegała okrągło, twarz się mieniła, oczy płonęły. I tak śpiewała piersią całą piosnkę po piosnce, a jedna od drugiéj namiętniejsza, gorętsza, tęskniejsza. Gdy wstała, na twarzy jéj były wypieczone silnie rumieńce, oczy paliły się suchym szklistym ogniem. Zaledwo się odwróciła od fortepianu, stanął przy niéj Karol Porajski.

— Nie wiedziałem o pani talencie—rzekł— rozpoczynając z nią po salonie przechadzkę.

— Nie mam go na pokaz — odparła zimno — niezawsze jestem w usposobieniu, śpiewam tylko dla siebie, a czasem dla rzadkich wybranych. Czasem przez kilka tygodni jednéj nuty nie wezmę, czasem znowu trudno mię oderwać od fortepianu...

— Boś pani kapryśna, jak wszystkie córki Ewy, co dziś rzucają obojętnie to, o co dobijały się wczoraj, do nowego cacka wyciągają obie ręce aby je prędzéj pochwycić, nasycić się niém, a wkrótce rzucić je znowu między wyszłe z mody stroiki.

Pani Tola zatrzymała na nim oczy przez chwilę.

— A nie przyszło panu nigdy na myśl — rzekła głosem jakimś dziwnym, stłumionym, a dźwięcznym jednak jak metalowa struna, — że kobieta przebiera w zabawkach tylko wtedy, jeśli nie może dostać tego czego pragnie, że szuka podobieństwa nie mogąc dostać rzeczy saméj, że późniéj żal ma do zabawki, że ona zabawką tylko— i rzuca ze wstrętem, aby napowrót rozpocząć to samo, że to jest wytłómaczeniem naszych kaprysów?

Porajski zajrzał jéj w oczy.

— Czy tak? — zapytał z uśmiechem.

Pani Tola rozśmiała się ostro.

— Ach! przepraszam — zawołała z przymuszoną wesołością — prawię panu bajki o żelaznym wilku, nie myśląc, że mogę pana znudzić najprzód, a potém....

— Potém i siebie?

— Nie, ale dać dziwne wyobrażenie o sobie, czego nie chcę...

— Pani dba jeszcze o moje zdanie?

— Nie chciałabym za nic poddać panu myśli, które musiałabym zbijać potém i prostować...

Porajski zagryzł usta z gniewem.

— I cóż to pani szkodzić może, jeśli ktoś weźmie za rzeczywistość swoje złudzenia, to tak miło uwierzyć na chwilę choćby temu czego się pragnie!

— Zapewne, ale to złudzenie może być powodem niestosownego postąpienia, potém musiałyby nastąpić tłómaczenia, któreby naturalnie nic nie wytłómaczyły, nie—niechcę tego!

Porajski pochylił się ku niéj.

— Więc już nic z dalekiéj przeszłości nie żyje w pani — szepnął namiętnym głosem — wszystko zamarło, nawet w pamięci? czy już nic, żadne starania nie zbudzą w pani echa uczuć dawnych, czy wszystko już, wszystko skończone?

Tola stała się bardzo poważną, zwróciła się do Porajskiego i patrząc mu prosto w oczy, rzekła ze smutkiem surowym:

— Po raz drugi pytam, jakiém prawem pan gwałtem się wdzierasz do mojéj przeszłości? po co pan starasz się rozbudzić to, co żadnéj racyi bytu niema? jeżeli przez ciekawość, strzeż się pan, to zabawka nieszlachetna...

Porajski w tył się rzucił gwałtownie, fala krwi na bladą twarz jego uderzyła.

— Pani! — zawołał — to słowo.

— Nie cofam go, ono pana obrażać nie może, bo wypowiedziałem je warunkowo, jeżeli to zabawka.

Porajski się zmięszał.

— A gdyby to nie było zabawką—wybąknął głosem niepewnym.

— W takim razie, nim odpowiem, poczekam aż się położenie określi jasno zupełnie.

— I... cóż mi pani odpowiesz? — zapytał gorączkowo.

— Odpowiem dopiero na wyraźne zapytanie....

— Ale co! – pytam raz jeszcze!

— Pytanie nie jest postawione...

Porajski szarpnął łańcuszek od zegarka, aż połowa mu w ręku została.

— Ależ, nim się zada pytanie, trzeba wiedziéć czego się można spodziewać...

Tola zaśmiała się sucho — ostro.

— To jest chciałoby się odpowiedzi bez trudu, bez odpowiedzialności żadnéj.... Szkoda że już niemam lat szesnastu, ale cóż robić, co raz minęło nie wróci...

Porajski się zatrząsł.

— Pani! — zawołał — jaka dziwna gorycz w tych słowach....

— Z panem, mam prawo do niéj...

— Pani mnie traktujesz jak niepewnego dłużnika, któremu w niczém zawierzyć nie można, któremu wylicza się pieniądze, otrzymawszy najprzód podpis jego! tak być nie może, przecież pani mi wierzysz o tyle przynajmniéj, że potrafię być rzetelnym?

Piękna pani wpatrzyła się w niego chłodno, surowo i nie spuszczając oczu, rzekła lodowato.

— Nie.

Porajski odskoczył.

— I pani mi to mówisz w oczy? zawołał z groźbą.

— Czemu nie? lepiéj odrazu rzecz jasno postawić.

— Strzeż się pani!

— Czego? cóż mi pan zrobić możesz? drogi nasze rozchodzą się, ja pana mogę już nigdy nie spotkać w życiu...

Głos jéj zadrżał lekko przy ostatnich słowach — Porajski spojrzał uważnie—spuściła oczy. Przysunął się.

— I pani to mówisz tak zimno—jakby to było naturalném zupełnie—szepnął prawie do jéj ucha.

Wzruszyła ramionami.

— Raz na zawsze, powiedz pan sobie - rzekła z ironią smutną,— że ja tylko to mówię co chcę—że zdradzać się nie umiem.

— Bo pani nic nie czuje!

— I to być może...

Zapanowało milczenie—po chwili Porajski się ozwał.

— Więc pani ma zamiar stanowczy postępowania ze mną, jak z nierzetelnym dłużnikiem, któremu się pożycza jedynie na zastaw duży—mając w ręku wartość wyższą od tego co mu się rzuca jak z łaski...

— Gdyby pan to innémi słowami wyraził, powiedziałabym że określenie jest zupełnie właściwe...

— Pani małéj rzeczy wymaga—tylko zdania się na łaskę i niełaskę, związawszy sobie wprzód ręce...

— Jedno z nas tak postąpić musi. Doświadczenie, mnie najzupełniéj broni od tego—a zatém...

— Zatém, ponieważ pani mnie wierzyć nie chce—ja mam w zupełności zawierzyć pani?

— Ja niewymagam tego—wiary nakazać niema sposobu. Jeżeli pan wierzyć może...

— A gdyby—gdybym nie mógł?

— W takim razie miałabym dowód żem dobrze zrobiła trzymając się linii obronnéj.

— Niekoniecznie—zawołał gwałtownie, ja mam prawo nie wierzyć pani. I mnie doświadczenie dało dobrą naukę, albo pani uczucie udawać umiesz, albo téż nie istnieje ono dla pani, pominięte milczeniem...

Tola głowę podniosła wysoko.

— Prawda—rzekła z dumnym spokojem, uczucia mną nie rządzą—niemogę ich zgnieść, zadusić w sobie, ale gdy w drogę mi wejdą, to je ominę i postąpię jak uznam za stosowne. Niech więc nikt na moich uczuciach nic nie buduje, bo jakiekolwiek są, ja się niemi kierować nie będę...

Płomieniste oczy zatonęły w czarnych źrenicach Proajskiego, który rzekł szyderczo.

— Bo w pani niema serca, tylko kaprys!

Tola nie spuściła oczu.

— Nie—rzekła poważnie. Mam serce—ale za długo żyłam abym mogła na wiatr je rzucić, narażając się na zawód ciężki, więcéj jeszcze—na upokorzenie boleśne. Po dwudziestu pięciu latach, kobiéta już się nie może narazić na sprofanowanie uczucia, nie może się czém inném rządzić jak rozsądkiem, bo w tym wieku nietylko pomyłka jest smutną bardzo, nie tylko jéj powetować niemożna, nietylko łamie życie bezpowrotnie, ale jeszcze graniczy ze śmiesznością... oto dlaczego ja nie narażę się na nią...

— Więc—cóż będzie? czy to samo co przed dwunastą laty?

— Być może. Moja rola tutaj jest bierną niemal...

Porajski pochylił się do niéj, tak że uczuła na twarzy oddech jego.

— Czemu pani tak męczysz mnie i siebie... szepnął gorąco błagalnie.

Odsunęła się zwolna, i podniosła na niego oczy łez pełne.

— Ja pana nie męczę — rzekła smutna, ale w saméj rzeczy, mówmy o czém inném—naprzykład o księżycu.

Rozśmiała się z przymusem—Porajski targał wąsy, oczy mu błyskały niespokojnie.

— Ależ tak zostać nie może! zawołał—ja na to nie pozwolę!

— Na co, mianowicie?

— Na to, abyś pani w mojéj obecności tak zajmowała się innym jakimś tam *blanbekiem*, który w niczém pani obchodzić nie może!

Fala krwi zalała twarz Toli—spuściła głowę, może aby ukryć uśmiech złośliwego tryumfu co się po jéj ustach przewinął. Podniosła ją jednak natychmiast, i śmiało patrząc w oczy Karolowi, rzekła zimno.

— Czy mnie obchodzi czy nie, ja tylko jedna wiedzieć mogę...

Porajski się wstrząsnął cały.

— Prawda—rzekł z ironią kolącą, wpijając oczy w Tolę—nie pomyślałem że to dobra partya?...

Szare źrenice pani Sowińskiéj nie spuściły się, ale strzeliły całym snopem błyskawic.

— Pan wiesz dobrze że bylibyśmy z sobą więcéj niż niedobrani—rzekła bardzo poważnie, że to partya świetna, ale nigdy dla mnie. Ale dlatego właśnie ta młodość bujna, drgająca życiem zajmuje mnie tak żywo—dlatego właśnie pragnę stać się przyjaciółką tego człowieka, że czém inném być ani chcę, ani mogę. Po bladéj twarzy Karola przebiegł grymas dziwnie szyderczy.

— I cóż pani zrobisz z przyjaźnią mężczyzny—zapytał głosem syczącym. Tola zatrzymała się chwilę, obrzuciła Porajskiego od stóp do głowy spojrzeniem wyniosłém, i rzekła nie mniéj szyderczo od niego.

— Przyjaciela szacować mogę—jemu uwierzę na słowo.

I odwracając się do niego plecami, odeszła do reszty towarzystwa.

Porajski przez chwilę pozostał nieruchomy, nareszcie poszedł za Tolą. Pokręcił się trochę, spojrzał na zegarek, i zaczął się żegnać. Bogdan chciał iść za jego przykładem, ale Tola zaczęła go prosić aby został na noc, przekładając, że i tak do domu niepojedzie, a ma nocować u stryja, to lepiéj w Milewie. Bogdan się wymawiał, ale Tola tak ślicznie, a gospodarstwo tak gościnnie prosili, że dał się nakłonić. Do późna trwała rozmowa—gdy towarzystwo się rozeszło, pani Emilia skończywszy rozporządzenia gospodarskie, weszła do pokoju siostry. Tola narzuciła pąsowy szlafroczek, puściła swobodnie swoje pyszne czarne włosy, i podkładając obie ręce pod głowę rzuciła się na szesląg, jakby mocno zmęczona. Pani Emilia usiadła obok.

— I cóż? spytała niespokojnie.

Tola odwróciła się do ściany.

— Zostaw mnie... szepnęła.

— Czy... ostateczna przegrana?

— Nie...

— Więc—cóż ci jest, dziecko?

— Nic. Zostaw mnie.

Pani Emilia przesunęła pieszczotliwie rękę po twarzy siostry.

— Tolu! dziecko moje—rzekła cicho—kochasz, czy nienawidzisz?

— Niewiem. Chcę zwyciężyć...

— Masz nadzieję?

— Wszelkich sposobów użyję. Och! gdybym mogła doprowadzić go do oświadczyn stanowczych i rzucić potém!

— Masz sposób w ręku—synowiec?

Tola poruszyła się niechętnie.

— Co za myśl! szepnęła—nigdy. Najprzód, zajęty inną—a potém, czyż to mąż dla mnie? jabym go zamęczyła wkrótce. Nie—innego dla mnie potrzeba, temu nie wejdę w drogę—szkoda by go...

Powstała, i podeszła do lustra, upinając na noc włosy. Siostra położyła jéj rękę na ramieniu.

— Tolu—czyś ty cierpiąca, czy zmęczona tak bardzo? spytała miękko.

— Może i zmęczona... Niemam odpowiedzi na jedno pytanie—czy on mnie kocha—czy kochał kiedykolwiek...

— Cóżby znaczyło to wszystko?

— Kto wie czy to nie jest walka na zręczność, podrażnienie miłości własnéj. On roznamiętniony—ale czem?

Przeszła się kilka razy po pokoju.

— Potrzeba mi téj odpowiedzi, rzekła—niepewność paraliżuje mię, nie wiem gdzie iść i do czego. Ja muszę wiedzićć! muszę!

— Dobrze—ale jak?

— Gdybym go raz zobaczyła w liczném towarzystwie, wyklarowałoby się wszystko... z jego postępowania przy ludziach, odgadłabym łatwo co on myśli. Trzeba mi tego koniecznie—muszę być z nim na liczném zebraniu...

Pani Emilia zamyśliła się.

— Trzebaby wydać wieczór... szepnęła—pozór gotów, ufetowanie ciebie...

Tola objęła szyję siostry.

— Czyżbyś się naprawdę zgodziła? spytała.

Pani Emilia wzruszyła ramionami.

— Jeżeli to dla ciebie potrzebne—odparła—może to być. Ale jeśli on pozna łapkę i nieprzyjedzie?

— Będzie to dostateczną odpowiedzią, jeśli ominie wieczór dla mnie wydany. Nie pozostanie mi jak wyjechać, bo to będzie ostateczną przegraną...

— Prawda—a zatém trzeba się śpieszyć.

VII.

Porajski wrócił do siebie dziwnie rozstrojony, zdenerwowany rozdrażniony. Podano mu wieczerzę, ale nic w usta wziąść niemógł, wszystko go drażniło, nie mógł sobie miejsca znaleść. Miękkie otomanki aksamitem kryte wydawały mu się dziwnie niewygodnemi, co chwila wstawał, chodził po pokoju, i znowu siadał aby się zerwać napowrót, i nierównym krokiem przebiegnąć pokój. Wreszcie otwo-

rzył okno gwałtownie — świeżość nocy powiała na jego rozpalone czoło,—zaczerpnął chciwie powietrza, jakby mu tchu brakowało, i oparł się o ramę okna.

I czegóż chciał ukraiński magnat, pan kilkomilionowy, który tak wygodnie sobie życie ułożył, że chwila każda miała mu przynieść przyjemność nową? Czyż nie po myśli jego fakta się układały? czyż los śmiał w poprzek stanąć temu człowiekowi, co tak umiał kierować okolicznościami, że niepotrzebował nawet dążyć do celu, bo ten cel sam mu przychodził do ręki?

Całe życie myślał tylko o sobie. Żeniąc się, wziął pannę z dobrego domu bogatą i młodą. Ale natura co umieściła ją pod wyherbowanym dachem pałacu, w kołysce koronkami opiętéj, poskąpiła jéj darów innych, panna Amelia niebyła ładna, nie odznaczała się bystrym umysłem. Jak wszystkie umysły zacieśnione trochę, opornie, ślepo trzymała się tego co jéj za prawdę, dobro, obowiązek podano, szlachetna prawa natura niedopuszczała do złego—matka, purytanka surowa, wychowała ją w bojaźni grzechu, w poszanowaniu obowiązków, nauczyła potępiać twardo wszystko co według przepisów nie było. To téż gdy po ślubie poznała biedna, że to co ona czci i wielbi, dla męża jest przedmiotem szyderstwa i żartów, że on nie wierzy w to w co ona tak upornie wierzyła—że dla niego niema zła ani dobra, ale tylko jego osobisty interes, poddała slę rozpaczy. Nie wytrzymały siły wątłe rozpieszczonego dziecka zawodu pierwszego, nie hartowano jéj na bój życiowy, nie ukazano świata rzeczywistego, nie nauczono pobłażania, ale tylko pokazano jéj jak się ślizgać po woskowanéj gładkiéj posadzce, a na drogę dano kilka abstrakcyjnych przepisów, wyuczonych na pamięć. Inaczéj wychowana, silniejsza, wierząca z przekonania a nie z przyzwyczajenia, więcéj wykształcona kobiéta, byłaby może zbawiennie oddziałała na zepsutego człowieka, takt byłby ją obronił od scen niemiłych, które codzień się powtarzały. Ale Amelia umiała tylko płakać i cierpiéć, skarżyć się i codzień położenie swoje pogorszać. Niebyło między nią a mężem żadnego punktu zejścia, przepaść ich dzieliła. Pogańska cześć dla piękna w każdéj postaci, którą wyznawał Porajski, jego zmysł artystyczny, obrzydzenie budziły w Amelii, która nie umiała rozróżnić porywu wyobraźni, ułomności ludziom właściwéj, od świadomo złego uczynku, i wszystko tém samém potępienia obrzucała słowem.

Porajski wzruszył ramionami, i urządził po swojemu życie, nie troszcząc się ani trochę a tę nieszczęśliwą istotę, którą przykuł do siebie. Nie długo mu téż zawadzała, okazały się suchoty, i wkrótce został wolnym.

Nie śpieszył z powtórnym związkiem. Miał już upatrzoną partyą, ale że to było dziecko, musiał czekać na nią. Od kilku lat, miał na oku hrabiankę Wandę Sulimowską, jakkolwiek o wiele mniéj miała od niego majątku, była jednak uznana za najpierwszą partyą na dziesięć mil w około, posiadająca liczne stosunki, skoligacona z najpierwszemi domami arystokracyi. Nie śpieszył się jednak. Wanda niemiała konkurentów; bo hrabia wysoko głowę nosił, i dumą od niéj odstraszał młodzież, niebyło więc obawy rywalizacyi. Porajski nadto był sprytny aby niewiedzieć że po dojściu do pełnoletności, panny rządzą się więcéj rozsądkiem, że wtedy łatwiéj może ich rękę pozyskać taki co im nada świetną pozycyą. Czekał zatém—jego pierwsze słowa zostały przez hrabiego nader chętnie przyjęte, ale Porajski chciał być wybranym przez córkę, bo niechciał żony zmuszonéj.

Wszystko mu się układało po myśli, gdy w tém wystąpił w szranki synowiec niedawno z zagranicy przybyły, Bogdan. Byłto niebezpieczny współzawodnik, bo nic mu nie brakowało—ani nazwiska, ani majątku, ani rozumu i otarcia w świecie, a nadewszystko miał młodość—młodość tryskającą życiem, o jakiéj zapomniał już dawno czterdziestoletni wdowiec, wyżyty jakby miał lat siedmdziesiąt.

Wprawdzie Wanda zdawała się spokojną i chłodną, niełatwą do zakochania—przykład który miała w domu, kazał przypuszczać, że pojdzie jedynie za głosem rozsądku—niemniéj jednak w latach dwudziestu serce się może odezwać, trzeba więc było usunąć rywala. Właśnie jak na toż, los mu posłużył, sprowadzając do okolicy piękną panią Tolę Sowińską, i Porajski wszelkiemi siłami starał się w synowcu obudzić zajęcie się młodą wdówką.

Znając Wandę i jéj nieufność do ludzi, wiedział że wystarczy pozór zajęcia się inną, aby spłoszyć uczucie, nawet gdyby już było powstało. Z drugiéj strony, znał gorącą, wrażliwą naturę Bogdana, i nie wątpił że się wplącze w intrygę. Ale nie obliczył, nie przewidział wszystkiego.

Nie przypuszczał nigdy, aby piękna pani tak bardzo piękną być mogła. Wiedział że jéj życie było lekkiém, majątek obdłużony wyżéj wartości, sądził tedy że chcąc wydać się za mąż wytęży całą siłę namiętności, aby schwycić zdobycz podaną. Ale nie przypuścił nigdy że Bogdan się zbliży jak przyjaciel, a piękna pani tak poważnie go będzie traktować—a szczególniéj nie przyszło mu na myśl, aby on sam tak żywo mógł zająć się Tolą, aby go tak bardzo gniewała jéj obojętność wyniosła, tak męczyło przenoszenie innego. On by chciał żeby Bogdan zajął się Tolą gwałtownie, a przez to usunął mu się z drogi, ale go w najwyższym stopniu drażniła myśl, że ona nim zająć się może, a jeśli mu się nie udadzą plany? jeśli Bogdan pomimo

ponęty, wiernym dla Wandy zostanie? Porajski wzruszał ramionami myśląc o wymaganiach Toli:—żenić się z nią, nie tylko niemiał zamiaru, ale uznawał tę myśl za szaloną. W samėj rzeczy, Tola nic mu przynieść nie mogła—ani majątku, ani kolligacyi. Stosunków miała niezliczoną ilość, ale tėj natury że Porajski przyjąć ich nie mógł, były to stosunki pięknėj kobiėty, z niezliczonėmi wielbicielami. Cóż więc mogło go skłaniać do tego małżeństwa? kobiėty takie jak pani Tola mogą zawrócić najsilniejszą głową, doprowadzić do szaleństwa czasami, ale niewygodne na żony. To tėż nie myślał ani na chwilę o tėm rozumny a szyderczy Ukrainiec, on tylko chciał jak i inni motyle, zyskać u tego upajającego kwiatu kropelkę miodu, wyróżnienia chwilę, to mu nieprzeszkadzało w niczėm starać się o rękę bladėj i mglistėj hrabianki Wandy. Miał zamiar przecież być dla niėj bardzo dobrym mężem, nie sprzeciwiać się w niczem, i zostawić zupełną swobodę, urządzając sobie życie oddzielnie. Miało to być światowe konwencyonalne małżeństwo, pewnym był że hrabianka prócz delikatnego obejścia i nie mięszania się do jėj istoty moralnėj, nic więcėj wymagać nie będzie; mógł więc układać życie jak mu było dogodniėj. A tu okoliczności źle się składały, plan tak zręcznie osnuty, mógł się nie udać. Pani Tola była nieprzystępną, groziła że i nadal taką zostanie, miałże się zgodzić na porażkę, i odejść z odprawą jak student przez profesora złajany? to niepodobna! jego miłość własna do żywego zranioną była. A jednak—cóż było robić? cena była za wielką...

Ha—trzeba manewrować, zręczność na zręczność: szafować słowami, nie dając się schwycić—łudzić Tolę dalszą nadzieją, a tymczasem upewnić się co do hrabianki, to najważniejsza. Najprzód uratować zagrożoną pozycyą, a potėm nową rozpocząć kampanią. Jednak nawet to postanowienie spokoju mu nie dało—do rana słychać było jego kroki szybkie. Nazajutrz był gniewny od rana, łajał służbę, rozrzucał książki nie mogąc zająć się żadną—zaraz po obiedzie kazał zaprzęgać, i pojechał do Drewini.

VIII.

Nadszedł dzień balu w Milewie. Cała niemal okolica się zebrała i o dziewiątėj pełno i gwarno już było. Salon był przybrany zielonemi gałęziami, po rogach drzewka sośniny ciemnym kolorytem odbijały od białego obicia, kinkiety do ścian przybite rozlewały potoki światła, pod ścianami ustawione meble, w oknach obłoczne draperye tworzyły uroczy widok. Pokój jadalny, urządzony dalėj nieco, zwykle był składem—dziś, świeżo umytą podłogę potrząśnięto igłami

świerka i jedliny, po rogach ustawiono klomby z zielonych drzewek, na bielonych ścianach zawieszono festony z liści, przez które przebijały promienie lamp kolorowych, całość wyglądała tak gustownie a świeżo, że najwybredniejszy gust nic zarzucić jéj nie mógł.

Ale bo téż pani Emilia i piękna Tola własnoręcznie ustawiały meble upinały festony, u okien zawieszały wieńce zielone, urządzały te klomby z drzewek młodych, a one umiały z małych zasobów ułożyć całość wykwintną, jedynie prawem harmonii. Ci co znając niezbyt świetny stan majątkowy Czarnowskich, przyjechali tutaj aby niedostatki wyśmiewać, doznali zupełnego zawodu, nie było tu zgoła niesmacznego naśladowania zbytku, strojenia się w pawie piórka pożyczane, a natomiast niewypowiedziany wdzięk, w téj masie zieleni przetykanéj dużémi krzakami kwitnących malw, astrów i georginij, zasadzonych w dużych doniczkach. Było to świeże i ładne, oryginalne, szczególniéj obrachowane na efekt, ale ten efekt nie chybiał. Co więcéj, nikt z okolicy pochwalić się niemógł aby pożyczano u niego naczynia stołowego lub téż jakichkolwiek sprzętów. Lampy wynajęto w miasteczku, ubrano zielonym mchem i czerwonemi jagodami leśnemi, tak że niejednolitość postumentów znikała—świece oprawiane w kartonowe lichtarze w domu fabrykowane, wystrzelały z pomiędzy kwiatów i liści, szkła i zastawa stołowa pochodziły także z miasteczka, nikt nie miał prawa nic zarzucić. Pracy było bardzo dużo—pracy żmudnéj, kobiecéj, cierpliwéj,—to téż obie siostry na trzy dni przed balem nie miały chwili swobodnéj—lecz za to zadowolone być mogły, bo skutek usiłowania uwieńczył.

I teraz, pani Emilia w blado niebieskiéj jedwabnéj sukni, białemi haftami ubieranéj przesuwa się po gładkiéj jak szkło posadzce, zapraszając gości na roznoszoną herbatę z ciastami. Strojna i uśmiechnięta, każdemu coś powie miłego, o nikim nie zapomina. Umiejętna ręka upięła jéj gęste zawsze włosy ukazując ich bogactwa, siwizna zginęła pod ryżowym pudrem, zmarszczki pod kosmetykami, piękne do dziś dnia ramiona wysuwają się z gazowego szalika zręcznie zarzuconego, we włosach błyszczy złote upięcie, takiż medalion na niebieskiéj wstążce obejmuje kształtną szyję, pani Emilia jest piękną dzisiaj jak w owych latach minionéj a żałowanéj młodości swojéj. I rozgorzała życiem, rozchyliły się usta uśmiechem wabnym, rozpaliły oczy blaskiem wilgotnym, jakby chciała żyć owém dawném życiem młodém, wyczerpać dnia tego uciechy niedoznawane już dawno, wcielić na chwilę wspomnienia w rzeczywistość...

Ale w kąciku ust drga przyczajona ironia smutna, szyderstwo z saméj siebie... w głębi oczu płonących drzemie tęsknota, bo ona wie że nie wróci lat co uciekły, nie przemoże przeszłości, nie odda życia

dawnego. Ją tu zbyt dobrze znają, liczyli jéj lata na włosach siwych, na zmarszczkach czoła—i ona także, zna ich na wylot wszystkich...

Pięknéj Toli niema jeszcze. Pomagała w urządzaniu, późno się poszła ubierać i nie gotowa, objaśnia pani Emilia. I nie wszyscy się zjechali—niema Sulimowskich, niema téż panów Porajskich.

Ci ostatni zjawili się. Blada twarz Porajskiego bledszą była niż zwykle, usta się składały w grymas znudzony, oczy jak za mgłą patrzały. Bogdan rozejrzał się żywo, niechęć po twarzy pomknęła że nieznalazł tego co szukał, ale wkrótce ożywił się znowu, pokręcił po sali, zagadał do kilku panów, i wsunął się w grono panien.

Nie mógł się domyśléć Porajski że z za czerwonéj portyery para szarych oczu śledziła go troskliwie. On usiadł sobie przy niemłodéj, brzydkiéj a jak osa złośliwéj pani, i zagadał do niéj. Widocznie udzielała mu uwag o towarzystwie obecném, bo czarne jéj oczki z za wachlarza rzucały spojrzenia w różne strony. Porajski słuchał pół uchem, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Zrobił się szmer przy wejściu, poskoczył do drzwi pan domu, posunęła się pani Emilia, rozstąpili szeroko panowie. Weszła hrabina Sulimowska w popielatéj morowéj sukni z białą koronką we włosach, z brylantami na szyi i rękach, za nią Wanda na ramieniu ojca oparta cała w zwojach białéj iluzii przetykanéj atłasem, we włosach drżały konwalie, bogaty naszyjnik z pereł okręcał szyję, długi tren sukni szeleścił za nią. Śliczna była jak senne marzenie, wytworna jak jedna z dawnych margrabin wersalskiego dworu. Ścigała ją wzrokiem młodzież, ale nieśmiano otoczyć tłumnie, dopominać się natarczywie o taniec,—takto przecież była hrabianka Wanda, chłodna, dobrze wychowana panna ukraińska, prowadził ją ojciec, który umiał jednem spojrzeniem, jednym ruchem ust pogardliwie wygiętych, brwi podniesionych dumnie, zbyt poufałych odsuwać o całą długość salonu. Dwóch tylko przysunęło się do niéj, obaj Porajscy zbliżyli się żywo, z twarzy Karola zszedł wyraz znudzenia, Bogdan się starał wszystkiemi siłami zwrócić na siebie uwagę panny, ale nim mu to się udało hrabia z uprzedzającą grzecznością zagadał do niego z wielkiem zajęciem o jakiś szczegół pytając, a gdy nareszcie ta uprzejmość w przywitaniu gospodyni domu okazać się musiała, i Bogdan został uwolniony, zobaczył Wandę już siedzącą obok matki, a Karola przy niéj. Jego czarne oczy niechęcią strzeliły, a zagryzł usta aż do krwi prawie, gdy prosząc o pierwszego kadryla otrzymał odmowną odpowiedź.

I któż mię zdążył uprzedzić? zapytał z przekąsem. Hrabianka w milczeniu skinęła wachlarzem w stroną Karola. W tejże chwili

w przeciwnéj stronie salonu podniosła się pąsowa portyera, zadźwięczał śmiech wesoły i zwróciły się tam wszystkich spojrzenia. Ukazała się Tola Sowińska, świetna jak meteor, porywająca urokiem. Suknia blado-różowa czarnemi koronkami ubrana obciskała jéj posągowe kształty, krucze włosy lśniące brylantowym pudrem przetykane perłami i zdobne wpół rozkwitłą różą, rozsypywały się po marmurowych odkrytych ramionach. Zakręciła się po salonie, przypomniała się starszym paniom, które dzieckiem prawie ją znały, zagadała do kilku panów co pośpieszyli się jéj przypomniéć jako towarzysze zabaw dziecinnych i od razu oczarowała połowę towarzystwa a zniechęciła do siebie drugą. W saméj rzeczy, suknia była trochę zanadto wycięta, oczy zbyt wyzywające, ruchy za szybkie, słowa za śmiałe, ale jéj było z tém dziwnie ładnie, przystawało to do niéj, stanowiło całość, która jak z jednéj strony musiała podlegać krytyce, tak z drugiéj mogła oczarować najzupełniéj.

Ale choć głębokie szare oczy się śmiały do wszystkich, widziały one dobrze, jeden kąt salonu, ten w którym Porajski dotąd obok Wandy siedział, ją przywitawszy zdaleka ukłonem głębokim. Po kwadransie piękna pani przysunęła się do hrabiny, aby odnowić znajomość, i zawiązała żywą rozmowę. Potrafiła ożywić hrabinę, Wanda téż się chętnie do rozmowy mięszała, lecz wkrótce świetny dowcip Toli zaćmił obie jéj towarzyszki, tak że Porajski z nią głównie rozmawiał. Krótko to trwało, bo gdy hrabina zagadała z kolei a Tola odpowiedziéć musiała, Porajski się pochylił do Wandy i zaczął z nią półgłośną rozmowę, tak że tamte panie same zostały. Tola nie zmieniła głosu, ani jeden muskuł nie drgnął w jéj pięknéj twarzy, a jednak w chwili gdy tak wesoło się śmiała, byłaby mogła zdusić własnemi rękami tego człowieka. Upokorzona boleśnie miłość własna, zawiedzione nadzieje, zapaliły jéj oczy ogniem ponurym—Porajski nie widział tego, on patrzał w pochyloną ku niemu twarz Wandy.

Zabrzmiały tony walca, kilku panów rzuciło się do Toli ale nim który z nich zdołał zaprosić Wandę, już ich Porajski uprzedził. Ręka Toli mimowolnie zacisnęła się na ramieniu tego, co z nią stanął do tańca, on to wziął za wyzwanie, i przymykając oczy spojrzał przeciągle, marząco, z uczuciem i mocno się zdziwił, nie spotykając szarych źrenic tancerki. Przycisnął ją mocniéj do siebie, Tola podniosła zdziwione oczy, spotkała rozmiłowane spojrzenie, krew jéj uderzyła do twarzy, i przystanęła mówiąc lodowatym głosem.

— Przepraszam pana, ale się czuje zmęczoną...

Młodzieniec spąsowiał po białka; nie wiedział co mu zrobić albo powiedziéć wypada—wybełkotał niezrozumiałych słów parę, skłonił się głęboko i odszedł.

— Głupiec... szepnęła za nim piękna pani.

Nie zawsze Tola Sawińska tak bardzo surową była, ale przed chwilą dotknął ją boleśnie Porajski, i zabolało położenie, które sama sobie nadała. Zapragnęła być jak tamta jasno-włosa dziewczyna w białéj konwalii na głowie, do któréj nieśmiano rzucić się hurmem otoczyć kołem ciasném, ale zdaleka się trzymano ustępując miejsca wybranym, zapragnęła aby i przy niéj głos się przyciszał, słowa dobierały troskliwie, aby ją na chwilę chociażby otoczyło takie lękliwe uszanowanie, jak hrabiankę Wandę. Ale ona nie była jedynaczką u rodziców bogatych, nie zdobiła jéj czoła lśniąca korona hrabiowska, nie stał za nią poważany mężczyzna, jéj położenie było niepewne—ona, chcąc żyć jak motyl musiała przypiąć skrzydła motyle i wabić ich świetnym kolorem. Gorycz zapłynęła jéj serce, w téj chwili zapomniała ile własnéj jéj winy w tém było.

Zbliżył się do niéj Bogdan, prosząc do pierwszego kadryla.

— Jakto? spytała zdziwiona—nie tańczysz pan z panią swych myśli?

— Zabrano mi ją—odparł smutno.

— I któż śmiał?

— Mój stryj...

Tola zacisnęła usta. W téj chwili już cel wieczora był dopięty, miała już pewność żądaną.

— Proś go pan na vis-à-vis—rzekła do Bogdana - prędko!

Zdążył na czas, i gdy szykowały się pary stanęli naprzeciw siebie dziwny stanowiąc kontrast. Tola i Wanda, to niebo i ziemia, sen i jawa, marzenie urocze i ponętna rzeczywistość. Karol i Bogdan—to lód i ogień, życie i odrętwiałość, wiara gorąca i przeczenie wiekuiste...

Przesunęły się pary miarowym taktem, złączyły dłonie, ciepła ręka Toli dotknęła palców Karola. Ten drgnął i blada twarz jego zafarbowała się lekkim rumieńcem, orzucił młodą kobiétę długiem spojrzeniem, co ogarnęło postać jéj całą, począwszy od sznura pereł co wił się w jéj splotach kruczych, aż do nóżki wysuniętéj z pod sukni. Przeniósł to spojrzenie na Wandę i coś jak niechęć na twarz mu wybiła, lecz w tejże chwili w *balancez* ujął jéj ręce obie, i szepnął coś z uśmiechem życzliwym.

Ale jakby prądem magnetycznym ciągnione oczy jego nie mogły się od Toli oderwać. Rozmawiając z Wandą, baczny na jéj słowo każde, ciągle patrzył w przeciwny koniec salonu na tę prześliczną kobietę tak niedbale a malowniczo rzuconą na fotel, w przerwie pomiędzy figurami.

Miał ochotę zbliżyć się do niéj, porwać ją na ręce i zanieść do siebie, do swego bogatego pałacu. Ale jakkolwiek ta ochota wielką była, nie dosyć jednak aby choć na chwilę jedną przestał być panem siebie, aby na włos odstąpił od zamiarów swoich. Otrzymać rękę Wandy, to było najpilniejsze na razie, o pozyskanie Toli będzie czas się późniéj dobijać...

Niemniéj przeto drażniło go gdy piękna pani rozmawiała z innym, gdy do innego się śmiała, niemniéj drażniła go obecność téj bladéj dziewczyny, którą on zajmować się musiał, podczas gdy ochota ciągnęła go w drugą stronę. Czuł się z tego powodu niezadowolonym bardzo, ale na chwilę nawet nie postało mu w myśli, że zamiary jego nieudać się mogą, drażniła go tylko konieczność panowania nad sobą. On przecież umiał obliczać—znał ludzi i umiał grać po strunach ich duszy, czy też tego co oznaczają tém mianem.

Ale zużyty sybaryta w ciągu życia swojego zatracił pojęcie o niektórych stronach téj duszy, któréj istnienia zaprzeczał. Zapomniał, że u ludzi czasami znajdują się uczucia głębsze, jakieś popędy szlachetne, których nie potrafi zdmuchnąć pierwszy wiatru powiew, pierwsze doznane wrażenie. On o tém dawno zapomniał, a może nie wiedział nigdy...

To też nie przyszło mu na myśl, że pomimo uroku Toli, Bogdan wiernym Wandzie zostanie, że rozbudzona ciekawość, zaostrzone zajęcie nie przyniosą skutku innego, jak zawiązanie przyjaznego stosunku mężczyzny, młodego zapaleńca, z kobiétą starszą, doświadczoną życiem. Nie przypuścił szczególniéj Porajski że Tola plan jego odgadnie, że rozpozna te nitki, które on w rękach trzymał, aby według woli swojéj marjonetkami kierować...

Piękna pani nie miała zamiaru się zgodzić na rolę marjonetki, nie miała zamiaru posłużyć Porajskiemu do osiągnięcia celu, którym nie ona była. Miała w ręku wątek intrygi, Bogdan nie domyślając się niczego a chcąc jéj zrobić przyjemność, powtórzył rozmowę swoją ze stryjem, zręczna kobiéta przeniknęła odrazu cały plan przeciwnika. Widziała wyraźnie, że starał się o hrabiankę, zawadzał mu synowiec, chciał go się pozbyć obudzając w nim inne zajęcie, to dobrze, ale za cóż miał ją, Tolę Sawińską, ten człowiek?

Zacisnęły się ząbki jéj ostre, zabłyszczały nienawiścią oczy—nie, nic z tego, on celu nie dopnie. Na drodze spotka kobiétę, któréj pierwsze kroki odrzucił, a nie jest to zawada łatwa do pokonania. Piękna pani przez czas kontredansa ułożyła już plan cały. Wyciągnęła z Bogdana wszystkie wiadomości, które jéj być mogły potrzebne, wiedziała że hrabianka była względem niego nieufną i obojętną,

jednym rzutem myśli objęła wszystko i była panią położenia, bo znała plan przeciwnika.

Tymczasem nie zmieniała uśmiechu ani wyrazu twarzy, jéj śliczne oczy szare tak samo patrzały. A gdy w ostatniéj figurze, w galopadzie szalonéj, przeszła na stronę Karola, jéj ręka miękko oparła się o ramię tancerza, oczy w jego oczy zajrzały, a usta jak pąk granatu pąsowe rozchyliły się czarownym uśmiechem, Porajski objął ją silnie,—tak silnie jakby już nigdy oddalić się nie chciał, ale po chwili ona wysunęła się z ramion jego i patrzéć musiał jak jéj ręka tak samo miękko opierała się o ramię Bogdana, jéj oczy w tamtego oczy patrzały, usta się uśmiechały do niego. A on--Porajski, miał obok siebie tylko tę dumną a chłodną córkę hrabiowską, na któréj blade policzki nawet krew tańcem rozgrzana nie nasunęła rumieńca, któréj ożywić nie mogła jego dowcipna rozmowa. Na żonę była jedyna, ale tylko na żonę..

Tymczasem tamta, jéj przeciwstawienie zupełne, wirowała po sali z rąk do rąk przechodząc. Stanęły cztery pary do galopady krzyż układając, Porajski chciał wciągnąć Wandę ale się wymówiła zmęczeniém.

Tamta zmęczenia pewno nie czuła, oczy jéj żywiéj błyszczały, na twarz silniejszy wybił rumieniec, postać cała gięła się w rękach coraz innego tancerza. Dla każdego był uśmiech śliczny, dla każdego wabne spojrzenie, i jemu się to dostało w przelocie, ale gdy piękna pani wsparła się na ramieniu Bogdana, spoważniała nagle, i szepnęła mu cicho słów parę, które go znać mocno zdziwiły, gdyż zarumienił się i podniósł oczy pytające. Ona potrząsla głową i coś mu znowu szepnęła ciszéj jeszcze, jeszcze bliżéj do ucha aż gorący jéj oddech musiał uczuć na twarzy. Zarumienił się bardziéj, jego spojrzenie pobiegło do Wandy i nic nie odpowiedział, tylko ścisnął mocno, trzymaną rękę.

Umilkło szalone tempo galopady, rozsypały się pary szukając spoczynku, orzeźwiając się obficie, roznoszonemi chłodnikami, Tola krążąc po sali posunęła się ku drzwiom gdzie rozmawiało kilku panów. Między niemi był hrabia Sulimowski.

Ona ubrała się w najpiękniejszy uśmiech, najbardziéj obiecujące spojrzenie—i taka wywdzięczona, przymilona jak kocie młode, zaczęła rozmawiać z jednym ze starszych panów. Zaledwo zamieniła słów kilka, zbliżył się Sulimowski.

— Pozwoli się pani przypomniéć po tak długiém niewidzeniu...

— Pamiętam pana--przerwała Tola—poznałam od chwili pierwszéj.. Dobrych znajomych zapominać nie mam zwyczaju...

I drobna rączka z któréj zdjęto rękawiczkę wyciągnęła się do mówiącego a szare oczy sypnęły takim snopem iskier i promieni, że mimowoli w nich zatonął przytrzymując rękę. Wyciągnęła ją, ale w zamian srebrzysty głosik zadźwięczał mu półgłosem:

— Jak tu gorąco—chodźmy trochę daléj...

I weszli do gabinetu, pustego zwykle, ale na dziś przemienionego w uroczy buduar cały dywanem wysłany; zielenią strojny i przepełniony wonią kwiatów, ryżowego pudru i wytwornéj perfumy. Biała muślinowa firanka oddzielała go od salonu, atmosfera była w nim ciężka, odurzająca, wonią przesycona, denerwująca. Zaledwo parę osób tam było, Tola usunęła się na kanapę w rogu pod olbrzymim oleandrem którego kwiaty drżały, nad jéj głową i wskazała obok siebie miejsce hrabiemu.

— Czy nie oburzę pana zapalając papierosa? spytała.

— Pani! zkąd to przypuszczenie!

— Myślałam że pan może nie lubi kobiét palących...

Podała mu wytworną cygarniczkę z oksydowanego srebra, nabijaną koralami—po chwili, oparła głowę o poręcz i zamyśliła się.

— Jak to ja już dawno wyjechałam od was szepnęła—wiele to lat minęło, wiele przeżyć było potrzeba...

A płonące oczy szare tak marząco patrzały z za obłoków niebieskawego dymu, jakby sięgały w tę przeszłość tak dawno minioną.

— Pani życie musiało same kwiaty rzucać pod nogi, ozwał się hrabia—pani pewno nie zabolało nic nigdy...

Tola rozśmiała się ostro.

— Tak pan sądzi? odparła. A ja panu powiem że jeśli kiedy chciałam zerwać kwiat jaki, to najprzód pokaleczyłam sobie ręce kolcami co go otaczały, a gdy na ból niezważając, zdobywałam go z myślą, że mi trochę szare życie ozdobi, wiądł mi w rękach za chwilę krótką, i zamiast świeżego pachnącego kwiatu, miałam tylko zeschłą łodygę.

— Czemuż pani tak nietrwałe kwiaty wybierała?

— Nie rosły inne na drodze mego życia... i szare oczy, których blask stopił się we mgle wilgotnéj, zatrzymały się na twarzy hrabiego...

— Szukałam i nie znalazłam... dodała piękna pani jakby tłómacząc ich mowę.

Hrabia pochylił się do niéj.

— A dziś... dziś? zapytał półgłosem.

— Dziś? powtórzyła Tola wolno, dziś już niczego nie szukam, nie pragnę, jak tylko przyjaciela choćby jednego w życiu—ach! ale czyż znajdę takiego!

— I dlaczegóż pani znaleść nie ma?

— Albož to łatwo? Przytém, ja mam tylu nieprzyjaciół!

— Nieprzyjaciółek chyba, które pani zazdroszczą, cóż one mogą panią obchodzić?

— To téż ja się nigdy nie bronię gdy zarzucają mi różne zbrodnie, o spełnieniu których dowiaduję się zawsze z ust trzecich. To właśnie rozwiązuje ręce wszystkim co chcą o mnie źle mówić, a ludzie niejednemu uwierzą...

— Ci co panią znają, nie uwierzą nigdy temu co na niekorzyść pani!

Tola zajrzała mu w oczy.

— A czy pan myśli że wiele osób mnie zna?

— Dość raz panią widziéć przez chwilę!

— Inaczéj to bywa panie hrabio. Widzą mnie ale patrzéć nie chcą i dlatego sądzą fałszywie. Jam sama—sama zupełnie.

— Czy pani nie znalazła dotąd nikogo godnego swojéj przyjaźni?...

— Nie mam przyjaciela. Nieraz zdawało mi się że go spotykam—ale zawsze gdym zaczynała w to wierzyć, otrzymywałam banalne oświadczenie miłości, zwykle w dodatku napuszonemi wypowiedziane słowami. Odpowiadałam wzruszeniem ramion, i coraz więcéj robiłam sobie nieprzyjaciół.

— Czyż zawsze te oświadczyny były dla pani obojętnemi?

— Nie mogłam im wierzyć.

— A zatém—pani nie kochała nigdy?

Tola milczała przez długą chwilę.

— Kochać? rzekła nareszcie z uśmiechem dziwnym, albož to dzisiaj kochać umieją—albož to komu potrzeba uczucia... Gdybym ja pokochała, nic by mnie na zawadzie stanąć nie mogło, ani odwieczne ludzkie przesądy, ani opinia, ani oddalenie, ani czas—nie, śmierć chyba... Ale co o tém mówić daremnie?

— Ale czyż nikt—nikt na pani wrażenia żywszego nie zrobił?

Tola pochyliła głowę na rękę.

— Nie wiem—szepnęła. Wróciwszy tutaj, zkąd wyjechałam dzieckiem a wróciłam kobietą przeżytą, czuję jak mi coś w sercu roztaja niby śnieg na wiosnę, w duszy dźwięczą zapomniane oddawna strόny, i jakieś życie nowe wstępuje we mnie.

— Czy może... ktoś tutaj sprawił ten cud—zapytał niespokojnie hrabia.

— Nie—tylko się czuję młodą napowrót, napowrót zdolną czuć żywo, odczuć wrażenie każde...

Twarz Sulimowskiego rozpromieniła się, jakby padł na nią promień słoneczny. Nieznacznie pomusknął dłonią faworyty jasne, poprawił białego krawata i pochylił się chcąc coś Toli szepnąć do ucha. Ale zabrakło mu czasu, bo w tejże chwili zadźwiękła skoczna polka i kilku tancerzy wpadło do gabinetu zapraszając Tolę, która już ani chwili spokoju nie miała. Nareszcie zbliżył się i Bogdan—powstała, ale w tańcu szepnęła mu.

— Przecież mówiłam, żebyś pan się do mnie nie zbliżał..

— Ależ dla czego?

— Dlatego, że najprzód pańskiéj wybranéj może to się niepodobać, a powtóre—to najważniejsze, masz pan tu nieprzyjaciela który każdy krok pana potrafi fałszywie przedstawić, aby nim szkodzić panu...

— Cóż za myśl szczególna!

— Możesz mi pan wierzyć, lepiéj trochę znam świat od pana a szczególnie znam lepiéj człowieka o którym mówię. Więcéj żądam—masz mię pan unikać nawet wtedy gdy ja pana szukać będę.

— Ależ—pani!

— Ani słowa—nazwałeś mię pan swoją przyjaciółką, pozwól mi pan działać. Pamiętaj pan ani razu nie zaprosić mnie do tańca, nie wybrać w figurze, ani razu się nie zbliżyć, choć ja pana wybierać będę i zagadywać często. Ostrzegam o tém, żeby przypadkiem pan nie wytłómaczył sobie inaczéj mego postępowania.

— Pani! zawołał Bogdan żywo zarumieniony.

Zatrzymali się—on jéj dziękował a ona szepnęła po cichu.

— Pamiętaj pan moje słowa—proszę mi ufać.

Bal wrzał w pełni, państwo Czarnowscy umieli gości zabawić, a piękna Tola ożywiała ciągle zebranie. Otaczało ją grono panów—ona każdego przyjmowała dobrze, wyróżniając jednak widocznie Sulimowskiego. Zauważono oraz, że obaj Porajscy, jedni z całego towarzystwa nie zbliżali się do niéj jakby jéj nie znali, albo znać nie chcieli. Pomimo tego jednak, znalazła piękna pani sposobność szepnięcia Bogdanowi, żeby Sulimowskiego na vis-à-vis do kontredansa zaprosił.

Tym razem Bogdanowi nikt Wandy zabrać nie zdołał i stanął przy niéj zatopiony z jéj oczach. Blada dziewczyna ożywiła się nareszcie—krew zafarbowała policzki, usta się uśmiechnęły wesoło, Bogdanowi nic na tę chwilę nie brakowało do szczęścia.

Ale hrabia w inném był usposobieniu. Z niechęcią widział że jego tancerka jest roztargnioną, że raz po raz spogląda w przeciwną stronę. Nareszcie, gdy nie odpowiedziała na jakieś pytanie, zapytał jéj z rozdrażnieniem co tak ciekawego upatrzyła w tamtéj parze,

myśląc że się będzie zapierać albo wymawiać, ale ona najspokojniéj odparła:

— Jeżeli mam być szczerą, nie spotkałam dotąd twarzy tak zajmującéj jak pana Bogdana Porajskiego. Co to za życie, co za energia! ten człowiek, to nie lalka salonów...

Gładkie, jak kość słoniowa żółte czoło hrabiego, sfałdowało się niechętnie.

— Niechże pani nie robi z niego bohatera — rzekł szyderczo — zwykły to człowiek, w którym gra krew gorąca, bo młoda, oto wszystko... Każdy będąc w jego wieku czuł żywo, oto nie trudno.... Ale są i tacy co w latach późniejszych zachowali gorące porywy młodości, łącząc je z rozmysłem dojrzałym....

Duże oczy Toli wpatrzyły się badawczo w hrabiego.

— Prawdaż to? — szepnęła cicho bardzo.

Hrabia wytrzymał jéj spojrzenie.

— Poddam się próbie każdéj... szepnął również cicho.

Ale Tola nie słyszała tego, powstając do figury. Może zresztą słyszeć nie chciała... Jéj ręka dotknęła ręki Bogdana i twarz się ku niemu zwróciła, a gdy przy zmianie dam oparła się na jego ramieniu, tak jakoś spojrzała mu w oczy, że hrabiego na wskróś przejęło dziwnie niemiłe uczucie.

Kontredans się skończył, panowie odprowadzili tancerki na miejsca, hrabia nie odstąpił od Toli ale usiadł przy niéj. Piękna wdowa była trochę roztargnioną, coś jakby rozmarzenie wyglądało z jéj oczu szarych, co błądziły po sali szukając kogoś widocznie. Hrabia spojrzał za niemi, a widząc że ścigają Bogdana, rzekł nie bez ironii:

— Ów wymarzony pani bohater nie domyśla się zapewne, że obudził tak żywe zajęcie, jest on zwrócony w inną stronę...

Tola zwróciła się do mówiącego.

— Wiem o tém — odparła.

— I nie zmniejsza to pani zajęcia?

— A cóż to ma za związek?

— Więc trudności dodają pani ochoty do zdobycia celu.

— Trudności? cel? ja nie rozumiem pana—rzekła zimno bardzo.

— Jeśli ktoś nas zajmuje, chcemy nawzajem zajęcie wzbudzić, jest to cel, gdy miejsce zajęte, trudniéj dojść do celu, oto trudność...

— Zajęcie się jedną kobietą nie przeszkadza mieć oczu dla innych.

— Kobiety wymagają wyłącznego zajęcia się niemi.

— Na tę chwilę nie mam do tego najmniejszéj pretensyi...

— A późniéj?

— Któż może ręczyć za przyszłość? jeżeli tego zapragnę, postaram się o to...

— Jesteś pani przynajmniéj szczerą! — zawołał hrabia z ironią.

Tola wzruszyła ramionami.

— Po cóż i dla kogo mam grać komedyą? — spytała. — Wolną jestem jak wiatr co hula po stepie, nikt mię nie spyta o rachunek z moich uczuć albo czynności, o ludzi dbam tyle co oni o mnie; czemuż więc nie mam być szczerą, — dla kogo udawać?

I obrzuciła hrabiego takim snopem iskier co z oczu jéj wypadły, że dojrzeć nie mógł dziwnie szyderczego uśmiechu, co piękne jéj usta wykrzywił. Czas jakiś milczeli oboje, pierwszy Sulimowski się ozwał:

— Wracając do pani bohatera, pani sądzi zapewne, że jego uczucie upadnie skoro pani zechce. Zgadzam się z tém, ale od czego będzie zależała chęć pani?

Tola podniosła na niego oczy bardzo poważne.

— Nie — rzekła — nie sądzę tak. Uczucie to, znam się na tém, jest głębokiem i prawdziwem. Nieustąpiłoby ono przed pokusą najsilniejszą choćby.

— W takim razie... pani rezygnuje?

— Nie. Uczucie to może, a nawet prawdopodobnie nie będzie uwieńczone skutkiem, a zatem.... i przerwała.

— A zatém? — nalegał hrabia.

Tola się uśmiechnęła.

— Czyż pan nie wiesz—rzekła półgłosem—że odmówiony konkurent i porzucona kobieta należą do tych, co po nich schylić się raczą? Tak miło a tak łatwo pocieszać, z téj roboty zbiera się dobre owoce...

Sulimowski wlepił w nią oczy, jakiś nieokreślony wyraz przemknął po jego twarzy, jakby myśl nowa zaświtała mu w głowie.

— A gdyby, gdyby się pani myliła? — rzekł wreszcie — gdyby jego uczucie zostało, mówiąc pani słowami uwieńczone skutkiem?

Oczy Toli strzeliły płomieniem, śliczny uśmiech rozchylił usteczka.

— Wtedy — szepnęła — walka byłaby więcéj niż niepodobieństwem, bo niezręcznością...

— A daléj....

Oczy hrabiego dopominały się odpowiedzi. Tola wytrzymała ich spojrzenie.

— Za młodą jestem aby zrezygnować z życia—odparła spokojnie—chcę żyć, żyć w całéj pełni, żyć za te lata wszystkie, w których niedoświadczone dziecko, skrępowane nim myśléć zaczęło, musialo się dusić w klatce zaciasnéj.

W téj chwili walc przerwał rozmowę, młodzież otoczyła Tolę. Zmęczona ciągłym tańcem, usunęła się do buduaru, ale zaledwo rzuciła się na kanapkę gdy stanął przed nią Porajski.

— Pani szuka spokoju — rzekł — a ja właśnie przyszedłem go zakłócić...

Widać że piękna pani podwójne znaczenie nadała jego wyrazom, gdyż rozśmiała się lekceważąco i rzekła z kolącą ironią:

— O! nie ma żadnéj obawy, pan—podkreśliła głosem—nie mógłbyś tego dokazać...

Fala krwi uderzyła do głowy Porajskiemu, farbując jego czoło i blade policzki, usta zacisnęły się silnie.

— Walc męczy przecież—rzekł przez zęby—a ja właśnie panią prosić chciałem.

— Mnie taniec nigdy nie męczy.

I powstała swobodna, opierając rękę na ramieniu Karola. On ją objął silnem ramieniem, jéj zręczna postać przegięła się lekko poddając kierowniczéj ręce, głowa w tył odrzucana przechylała się podług taktu. Porajski spojrzał jéj w oczy: były tak szydercze, tak zimno a złośliwie patrzały, że go przejęło dziwnie niemiłe uczucie, za chwilę odwróciły się i nie mógł już ich spotkać. Miał ochotę przerwać taniec, ale nie mógł się oderwać od Toli, która tańczyła lepiéj niż wszystkie panie zebrane. Ale zaczęło tchu mu brakować, spojrzał na Tolę, nie była wcale zmęczona, oddech miała równy, tylko silniejsze rumieńce na twarz wystąpiły, dodając nowego uroku. Posadził ją i ścisnął mocno jéj rękę, ale mu nie oddano uścisku, chciał zająć miejsce obok, ale piękna pani wskazała wachlarzem w przeciwną stronę.

— Czekają na pana — rzekła z uśmiechem politowania, a oczy jéj błysnęły złośliwością szyderską, jak przed chwilą w walcu.

Porajskiego zęby zgrzytnęły.

— Ale ja na nikogo nie czekam — rzekł z rozdrażnieniem najwyższém.

— O! taka samowola może źle wpłynąć na przyszłość pana...

— To już moja i tylko moja rzecz...

— Niechciałabym mieć tego na sumieniu, niechże się pan niekrępuje względami grzeczności...

— Ja się nigdy niczem nie krępuję!

— Uważam to...

Porajski kręcił się niespokojnie, szydercze słowa Toli przejmowały go coraz większym gniewem, czuł się w fałszywém położeniu, i to mu nie pozwalało się bronić.

— Ale żarty na stronę — ciągnęła piękna pani — rozczulająco pan wyglądasz jako komentator *Amadisa*. — Ślicznie z tém panu...

Porajski do krwi gryzł usta.

— Cieszę się że pani tak uważnie mię studyowała — odparł przez zęby.

— Niestety! nie mogłam sobie téj przyjemności pozwolić, brakło mi do tego sposobności... i trochę téż czasu... Ale za to o tém tylko ze wszech stron słyszałam i dlatego radzę, nie trać pan tego co już zyskane, wracaj pan na stanowisko, bo może być zagrożone...

— Nie rozumiem słów pani, mam zwyczaj kierować się tylko własną chęcią i zostaję tu, bo mi dobrze...

— W takim razie jesteś pan egoistą.

Porajski drgnął jak biczem zacięty.

— Czy moja obecność jest pani przykrą?

— Bynajmniéj, ale jest ona bezużyteczną.

— Pani chce powiedzieć że moje miejsce byłoby zajęte przez innego, czyja obecność byłaby milszą dla pani od mojéj...

Głos z trudnością wydobywał mu się z gardła. Tola była zawsze spokojna, uśmiechnięta szyderczo.

— Milszą, nie powiem — odparła — lubię bardzo nauczające towarzystwo pana, ale prowadzącą do czegoś, mającą cel jakiś...

— A ja, ja jestem dla pani wartością nieprodukcyjną...

— Podobno że tak się to nazywa...

Karol się zerwał.

— A w takim razie ustępuję—zawołał głosem przez gniew stłumionym.

Zaledwo powstał, w tejże chwili Sulimowski jego miejsce zajął. Porajski zwrócił się w stronę Wandy, tam był Bogdan. Spróbował zająć sobą hrabiankę, ale mu nie szło i nareszcie zmęczony ustąpił, i zajął miejsce przy drzwiach, obserwując Tolę. Zły humor jego się wzmagał, widząc, że piękna pani z największém ożywieniem rozmawiała, nareszcie wyjmując kwiatek z bukietu, podaje go Sulimowskiemu. Nie mogąc zapanować nad gniewem, wyszedł z salonu na ganek, wracając, spotkał się oko w oko z Sulimowskim, co uśmiechnięty, promieniejący zadowoleniem, niósł miseczkę lodów.

— Kogóż to hrabia chcesz chłodzić? — zapytał sarkastycznie.

Ton się nie podobał hrabiemu.

— Najwidoczniéj kogoś co tego potrzebuje—odparł sucho.

Porajski obrzucił go od stóp do głowy szyderczém bardzo spojrzeniem.

— Czyż na to aż lodów potrzeba? — zapytał.

Hrabia się zaperzył tak gwałtownie jakby miał zamiar zdusić Porajskiego, ale rzucił mu tylko zjadliwe spojrzenie i wrócił na miejsce.

Porajski usunął się do gabinetu, w nadziei, że długo tu sam nie będzie. Na kanapce leżała mała chusteczka, szeroką koronką oszyta; machinalnym ruchem wziął ją do ręki. Wydobywała się z niéj nader silna woń ekstraktu akacyi, ulubionéj perfumy Toli Sowińskiéj. Porajski oddychał tą upajającą wonią rozbierając z osobna wdzięk każdy pięknéj pani. Aż nareszcie rzeczywistość odpowiedziała jego życzeniom, biała firanka się uniosła i Tola rozgrzana tańcem, zmęczona a zawsze śliczna, wbiegła do buduaru, chwilkę przystanęła we drzwiach, nareszcie zajęła miejsce na kanapce.

Porajski uśmiechnął się z zadowoleniem, bo na twarzy Toli nie było szyderstwa tylko uśmiech śliczny, a oczy tyle, tyle miłych obiecywały rzeczy. Porajski żywo zagadał, pełen najlepszych nadziei, ale gdy skończywszy ogólnikowo przedmowy zabierał się mówić o sobie, Tola zagadnęła go o synowcu, z niezmiernem zajęciem wypytując się o jego życie, usposobienie i rys charakteru każdy. Niezadowolenie dziwne ogarnęło Porajskiego, miał ochotę przerwać rozmowę, ale Tola była taka śliczna, że odwagi mu brakło do tego. Ale jakże pożałował tego, bo gdy Bogdan za chwilę usiadł przy drzwiach gabinetu w salonie, Tola nie tłómacząc się nawet powstała i wyszła aby się z nim połączyć.

Tego już było za wiele. Porajski zagryzł usta aż pod zębem trysnęła drobna krwi kropla, za chwilę kazał zaprzęgać i wyjechał.

IX.

W tydzień po balu państwo Czarnowscy i Tola wybrali się do Drewini. Zastali tam Bogdana, na widok którego uśmiech zadowolenia rozjaśnił twarz pięknéj pani. Sulimowski na to się skrzywił, jakby kto szklankę kwaśnego wina mu podał. Wanda powitała gości z właściwym sobie wdziękiem chłodnym nieco, hrabina zimno a grzecznie.

Pani Tola uśmiechnięta, wesoła, swobodna, cała w zwoje z białego haftowanego muślinu spowita, była tak uroczo powabną, że nawet hrabina, tak surowa pod względem zachowania się, przyznała, że podobać się musiała każdemu.

Była jednak osoba, któréj Tola niepodobała się bardzo — mis Ella. Z początku przypatrywała się jéj w milczeniu, nareszcie wtrąciła się do rozmowy zwracając do Toli, chcąc ją wyciągnąć na słów-

ko, ale piękna pani spojrzała przez ramię, odpowiedziała monosylabem i zwróciła się w inną stronę.

Mis Ella nie zwykła darowywać uraz i natychmiast myśléć zaczęła czemby tu odpłacić za swoje. Bystre jéj czarne oczy łatwo dostrzegły, że Bogdan Porajski wzbudza w pięknéj pani żywe zajęcie, odrazu postanowiła pomagać mu przy Wandzie.

Pod wieczór, gdy towarzystwo opuściło stół herbaciany, Tola chciała obejrzéć ogród i park, przypomniéć sobie miejsca, które znała dobrze dzieckiem będąc. Przysunęła się do Wandy, ale w tejże chwili hrabia stanął przy niéj i biorąc jéj rękę, położył na swojém ramieniu. Ciemne brwi pięknéj pani zsunęły się lekko.

— Czemu pan narzucasz mi swoją wolę? — spytała cicho.

Hrabia się uśmiechnął zwycięzko.

— Bo to najlepszy sposób postawienia na swojém — odparł.

— A jeżeli cudza wola poddać się niechce?

— Zmusza się ją do tego.

— Nie zawsze.

— Ale gdy bardzo, bardzo pragnie się tego?

— Można pragnąć wielu rzeczy: gwiazdy z nieba naprzykład.

— Znasz pani tę dawną piosnkę starą jak świat i uczucie, w któréj oporna uledz nie chce i coraz inaczéj się zmienia, coraz w coś innego przerzuca, od gołębia począwszy a skończywszy na gwiazdce. Ale daremny opór ulega, bo uledz musi, jak ulega z was każda.

Tola wstrząsnęła główką.

— Tak—szepnęła—kiedyś to i mnie niańka usypiała tą piosnką, którą z nas każdéj śpiewają gdy dziećmi jesteśmy. Ale to nieprawda,—gdy dorośniemy, przestajemy w nią wierzyć, jak przestajemy wierzyć cudownym powieściom o ptaku błękitnym i o zaczarowanéj królewnie...

— A jednak stwierdzacie ją doświadczeniem!

— Raz jeden na tysiąc ulegamy sile waszéj, jeden z was na tysiąc jest owym mężczyzną z siły, mężczyzną z ducha, o którym marzy z nas każda, którego spotkawszy, nazywa się szczęśliwą, przed którym prochy zmiataćby chciała, któremu uledz musi, z wolą czy téż bez woli.

— A jednak pomimo tego ulegacie nam często. Czyż to nie dowód że jesteśmy od was silniejsi?

— Nie. Ulegamy gdy nam przyjdzie ochota, gdy się opór znudzi, albo gdy uledz wygodniéj...

Hrabia się zmarszczył.

— Więc pani przyznajesz— rzekł— że u was nawet to, co nam za miłość podajecie, jest wyrachowane, każde uderzenie serca wymierzone, każde słowo obliczone naprzód?

— A jakże z wami się dzieje? Czyż wy nie jesteście zawsze panami swoich uczuć, czynów, słowa każdego?

— Pani! gdy nami uczucie zawładnie...

— Uczucie? namiętność, chcesz pan mówić. A i w takim razie wy siebie tylko macie na celu, zadowolenie swoje. Co macie do stracenia? dajecie bardzo niewiele, a wymagacie w zamian wszystkiego....

— A wieleż to pada ofiarą zalotnic bez serca co bawią się niemi, a potém rzucają jak wyciśniętą cytrynę, obrawszy ich wprzód z majątku, wiary w cośkolwiek, a często honoru.

— Słowa pana zamknęłyby mi usta, gdybym na chwilę jedną, na trwanie błyskawicy przypuścić mogła, że oni mieli na celu kobietę, dla której tracili bądź majątek i wiarę, bądź honor. Oni przez czas trwania téj namiętności o sobie myśleli, tylko o sobie, o niéj— ani przez chwilę. Sobie chcieli dogodzić, poświęcą wszystko, ale nie dla téj kobiety, tylko dla dopięcia celu, zaspokojenia namiętności własnéj. Czyż to można nazwać uczuciem? to miłość własna, rozdrażniona do wściekłości, chęć postawienia na swojém, próżność pobudzana do czynu i te wszystkie drobne, brzydkie instynkta, które w danéj chwili obudzą się w każdym człowieku głuszące rozsądek, a często uczciwość.

— Jakto! więc każdy człowiek złym jest z natury?

— Nie, przynajmniéj niezupełnie. Ale w każdym człowieku są dwie siły: jedna go ciągnie do dobręgo, druga popycha do złego. Postępowanie zależy raz na tysiąc od siły woli, a zawsze prawie od siły pokusy. Ten co potrafi oprzeć się jednéj, ulegnie odrazu przed drugą...

— A zatem, według pani, jeśli kto nie jest zbrodniarzem, zawdzięcza to jedynie okolicznościom, które nie dały mu sposobności do zbrodni?

— Kodeks cywilny i kryminalny broni nas. bo przed obawą kary cofa się wielu. Innych broni wychowanie, rozum, a czasami zmysł artystyczny. Ale w każdym człowieku drzemią instynkta niedobre, które w danéj chwili mogą się zbudzić i przewrócić życie całe, rządzone dotychczas zasadami...

— Tym sposobem nikt nigdy ręczyć za siebie nie może.

— A naturalnie. Alboż my wiemy co zrobimy w okoliczności danéj, gdy pokusy na nas uderzą? czasami po prostu z powodu niezdrowia nerwy nasze bywają wrażliwsze i pociągną nas do czynu co złamie życie nasze lub inne...

— Ależ pani! jakże można zaprzeczyć istnieniu ludzi uczciwych.

— Ja nie zaprzeczam, ale przyznaję, nie wierzę w uczciwość, która nigdy kuszoną nie była. A gdy pokusa przyjdzie, jakże ich wielu ulega! Podobno są gdzieś ludzie umiejący zwalczyć wszystko, nawet siebie samych, silni jak opoka, jak posąg śpiżowy, ale czy ci ludzie to nie podanie takie jak olbrzymi dawni? ja nie wiem...

— Pani masz zdania rozpaczliwe!

— Przeciwnie, ludzie rozumni więcéj szans mają, bo mogą kierować okolicznościami a tém samem i ludźmi...

Hrabia podniósł głowę żywo, słowa Toli go uderzyły.

— Prawda — rzekł półgłosem.

Przez ten czas Bogdan i Wanda tylko sobą byli zajęci. Blada zwykle twarz hrabianki zafarbowała się żywym rumieńcem, ręka na ramieniu Bogdana oparta drżała chwilami, jakby wzruszeniem.

— To nie ironia, panie Bogdanie — mówiła głosem smutnym a cichym—we mnie ironii niema. Ja nie probuję śmiać się z życia, ale tylko smutna ciężko, niosę ten ciężar daléj i daléj. Nie chcę tłómaczyć ludziom, że mi z nimi dobrze, ale staram się wyrobić siły swoje aby iść naprzód.

— I tym sposobem wyrabiając w sobie rozsądek, zabijasz pani uczucie, stajesz się pani maszyną...

Łzy błysnęły w oczach Wandy.

— Nie — rzekła. — Ale tylko gdy uczucie zawiedzie, gdy mi go życie nie da, chcę umieć się obejść bez niego, abym nie zgorzkniała wołając że stała mi się niesprawiedliwość wielka. Nie chcę mieć żalu do życia i dlatego biorę go z téj zwykłéj szaréj strony, tak pospolitéj a niewesołéj.

— Pani się boisz uczucia— zawołał Bogdan gwałtownie— boisz się aby serce uderzając żywiéj trochę, nie zabolało i dlatego kryjesz się pani przed niém troskliwie. Boisz się pani cierpienia.

Wanda żywo głowę podniosła.

— Nie! — zawołała — ja nie cierpienia się boję, ale zdeptania mojéj godności kobiecéj, sprofanowania uczucia. Ból to nic, ale upokorzenie co czoło schyla do ziemi saméj, to upokorzenie bolesne co każe nam wstydzić się za to co najlepszego w sobie mamy, co każe nam gorzko żałować chwili szczerości, — o! wierz mi pan, to za straszne, kobiéta szanująca w sobie godność ludzką, nie zniesie tego...

— A dla czegoż to uczucie ma być sprofanowane?— rzekł Bogdan głosem przez wzruszenie stłumionym — przecież są tacy co je uszanować potrafią jak świętość najwyższą...

Ręka Wandy zadrżała.

— Pani—ciągnął Bogdan ciszéj jeszcze— uczucie, to dobro najwyższe, to siła, to życie... Nie uciekaj pani od niego...

— Boję się... — szepnęła dziewczyna—boję się omyłki strasznéj.

— Czyż nigdy, nigdy nie usłyszę od pani innego słowa? panno Wando, ja chcę, ja potrzebuję innego...

— Usłyszysz je pan pewno nieraz w życiu...

— Może, ale wtedy z moich ust nie wyjdzie słowo żadne. Pani mnie dziś ciemno w życiu, bo jeden obraz zakrył sobą świat cały, dla mnie istnieje jedna tylko kobiéta, w niéj życie moje...

Wanda głowę spuściła.

— Nie wierzę... — rzekła z goryczą.

Bogdan się wstrząsnął cały.

— Pani niewierzy! — zawołał namiętnie — zawsze to słowo na ustach u pani, zawsze i wszędzie niewiara. Ależ czém wzbudzić tę wiarę wreszcie? jakich dowodów potrzeba? Och! panno Wando, gdyby pani wiedziała jak to słowo niewiary zranić może ciężko... jakie wrażenie sprawia w chwili gdy chciałoby się duszę własną wyrwać z piersi, byle wypowiedzieć to co serce czuje, to jak kąpiel zimna dla człowieka w gorączce... Ależ pani sama chyba nic czuć nie potrafi? takiém słowem jedném można zrazić człowieka na zawsze...

Ból palący i obraza namiętna dźwięczały w jego głosie, ręka Wandy zadrżała silnie.

— Ja nie chciałam zranić pana... — szepnęła cicho bardzo — jeżeli ta niewiara panu ból sprawia, to mnie większy jeszcze... ja bym tak chciała, tak bardzo chciała wierzyć panu...

— Więc cóż między nami staje? dla czego pani nie wierzysz?

— Nie mogę, panie Bogdanie—ach! nie mogę, nie mogę... Cożem ja winna, że jak tylko nauczyłam się patrzéć, stanęła mi przed oczami smutna komedya życia... Na pozór wszystko ładne, gładkie, ciche, spokojne, ale ta pożyczana sukienka przykrywa takie smutne, bolesne rany... Nazywają mnie ludzie zimną, a nie wiedzą, że mnie od dzieciństwa wtłaczano w ciasną formę konwenansu, każąc wierzyć tak a nieinaczéj, podając przekonania i zdania przykrojone według światowego szablonu. Tymczasem zapomnieli oczu zawiązać i po za tém w co mi wierzyć kazano, ja wprost co innego widziałam. Widziałam, że ludzie mają dwie twarze, dwa głosy, dwa zdania: jedne dla gości — odświętne, drugie do użytku domowego, a tak do siebie podobne, jak dzień do nocy. Widziałam jak ciągle, w każdéj chwili, kłamano przed ludźmi i przed sobą samym, czynem, słowem, myślą niemal, widziałam życie zawsze z brzydkiéj, smutnéj strony, nierozjaśnione niczem, — widziałam despotyczny egoizm co na chłodno łamał wolę innych, według chwilowego wrażenia. Ale

nie widziałam nigdy prawdy w słowie żadném, nie widziałam konsekwencyi w niczem, nie widziałam nigdy aby słowa się z czynem zgadzały. A gdym pytała co to znaczy, wykładano przedemną teorye piękne chcąc abym wierzyla w nie — jam uwierzyła tylko na koniec, że ludzie o pozory dbają, nie troszcząc się o rzecz samą...

Bogdan słuchał téj długiéj, smutnéj spowiedzi dziewczęcia, nie przerywając słowem żadném. Wanda skończyła i zamilkła, on nie śmiał przerwać milczenia tego, lecz mimowolnym ruchem położył dłoń gorącą na drobnéj rączce, opartéj na jego ramieniu. Wanda drgnęła, lecz nie usunęła się.

— Nie wszyscy tacy— szepnął miękkim, gorącym głosem— nie można wszystkich potępiać. Cóż my winni że pani tylko takie obrazy widziała, że życie dotychczasowe, jakąś mgłą szarą całą przyszłość pani zasnuło. Są inne ogniska domowe, ciepłe, zaciszne, tam wszyscy jednym duchem spojeni, jedną myślą złączeni, a sercem zwarci w zastęp ścisły, tak, że smutek, nieszczęście, nie dojdą do nich. Moja matka była domu naszego duchem dobrym, mój ojciec jego podporą, siostra wcieloném piękna poczuciem, a ja najmłodszy— pieszczochem wszystkich. I zabrałem téż z rodzinnego domu mojego tyle wiary we wszystko co dobre i piękne, tyle wstrętu do udawania i fałszu, tyle pobłażania dla ludzi, że nie zdołały zatrzéć tych wrażeń żadne wpływy późniejsze. Czemu pani w takie ogniska domowe nie wierzy?

Ręka Wandy zaciężyła mu na ramieniu.

— Chciałabym—szepnęła miękko –ach! tak bardzo chciałabym wierzyć, mnie zimno tutaj, zimno ciągle...

— My panią ogrzejemy — ciągnął Bogdan głosem ciepłym, jak pieszczota łagodnym i miękkim... tam, przy mojéj matce, przy siostrze, pani dobrze będzie, urządzimy dla biednego zmęczonego ptaszka takie zaciszne gniazdeczko, że nie zechce nam uciec z niego...

Wanda milczała.

— I cóż mi pani odpowiesz—zapytał Bogdan po chwili.

— Ja nie jestem samą — szepnęło dziewczę — jabym nie mogła rozłączyć się z matką, chciałabym aby ona biédna wypoczęła trochę. Ona mnie jedną ma na świecie, a choć mnie trzyma zdaleka od siebie, choć nigdy nie zbliży się z ciepłém słowem, choć myśmy prawie obce dla siebie, kocham ją gorąco i czuję że ona mnie kocha namiętnie, bo téż nic prócz mnie jéj nie zostało. Kazali jéj zerwać z rodziną całą, nie pozwolili serdeczniéj się zbliżyć do nikogo i aż do ziemi przygnietli despotyzmem twardym, co dziś biało jutro czarno widział. Ja muszę uwolnić ją od tego, muszę jéj dać odpoczynku chwil parę...

Bogdan spoważniał bardzo i rzekł głosem dźwięcznym, stanowczym:

— Matka pani znajdzie syna we mnie. Ja panią kocham całą duszą, całem sercem i obiecuję że pani nie zawiedzie się na mnie. Jeszcze nigdy w życiu nie złamałem słowa, oddaj mi przyszłość swoją, ja cię przeprowadzę przez życie, a w trudniejszych przejściach na rękach przeniosę moję biédną zmęczoną ptaszynę, moję malutką białą gołąbkę... dobrze? — ach! powiedz... powtórz za mną... dobrze? dobrze?

— Dobrze — powtórzyła jak echo posłuszne i w tejże chwili uczuła na ręku gorące usta Bogdana.

— Pani moja! gwiazdeczko moja, skarbie jedyny... szczęście życia mojego — zadźwięczało tuż przy niej tak blisko, że na twarzy uczuła oddech gorący. Ale nie miała czasu odpowiedzieć na to, bo w tejże chwili zabielała przy nich lekka sukienka, a śpiewny głosik Toli zadźwięczał:

— Jaki to śliczny ciepły wieczór, tylko tu u nas na Ukrainie tak piękny być może. Widziałam świetne noce Florencyi, widziałam jak księżyc świecił nad Neapolem, jak gwiaździste niebo przeglądało się między domami Wenecyi, ale nie było tego co u nas tutaj, powietrze lżejsze, przejrzystsze, tutaj szeroko oddychać można. To wiatr ze stepu przynosi jakieś odgłosy co budzą dziwną tęsknotę, coś jakby echo przeszłości, jak dźwięki z świata innego, smutno— a dobrze z niemi, tęskno—a chciałoby się je usłyszéć zawsze...

— Nie mogę podzielić zachwytu pani—przerwał suchy głos Sulimowskiego, który także znalazł się obok, znajduję, że we Włoszech lub południowéj Francyi, bez porównania piękniéj.

— Jak pan sądzisz, panie Porajski? — spytała Tola Bogdana.

Ten byłby uciekł za sine morze od tych ludzi natrętnych, którzy zabierali mu chwile najważniejsze w życiu jego, chwile, w których u niego drgała fibra każda, a które oni mu psuli dźwiękiem pustych swoich frazesów. On słyszał jeszcze cichy głos Wandy, gdy blada dziewczyna posłuszna jego prośbie namiętnéj, cicho mówiła— dobrze—on miał na ustach jeszcze gorące słowa zaklęcia, któremi uspakajał przed chwilą biedne dziecko, co wierzyć tak bardzo temu chciała co on mówił, a tu mu kazano rozmawiać o rzeczach tak obojętnych dla niego, jakby nie istniały na świecie. To téż nie umiał ukryć wrażenia przykrego i niezwykle oschłym był głos, którym odpowiedział Toli. Piękna pani się tém nie zraziła, przeciwnie, z coraz większém zajęciem zwracała się wprost do niego, tak, że odpowiadać musiał. Jednakże był rozdrażniony, mimowoli niechęć przeglądała w słowach. Piękna pani spojrzała raz i drugi na niego swémi

wielkiemi szaremi oczami, w których widziało zdziwienie i smutniało coraz bardziéj, w miarę jak on mniéj panował nad sobą. Nareszcie, gdy z niecierpliwością odpowiedział na jakieś nowe pytanie, po twarzy Toli spłynęły dwie łzy bujne.

Bogdan uczuł wyrzut sumienia, ale zarazem gniew na tę kobiétę co zabierała mu te chwile, które onby krwią własną z pod serca zapłacił. Czego ona chciała od niego? wszak tam z drugiéj strony odciągał ją hrabia, czemuż ona ciągle do niego mówiła? co za kaprys nowy? popychała go do Wandy, zdawała się mu pomagać, a teraz w chwili stanowczéj stawała w poprzek, z temi załzawionemi oczami...

Towarzystwo wróciło do domu w jakimś dziwnym nastroju. Piękna pani posmutniała widocznie, nawet téż ślady były na twarzy, hrabia był zły okropnie, Bogdan jakby zmięszany. Wandy oczy płonęły, na twarzy był silny rumieniec, odeszła do okna i tam oparła rozpalone czoło o szybę. Bogdan byłby kilka lat życia oddał, aby się zbliżyć do niéj, a nie śmiał, machinalnie przerzucał kartki albumu. Jedna pani Emilia rozmawiała z równém ożywieniem, na jej twarzy żadnéj zmiany nie było. Mis Ella przyłączyła się do rozmowy ogólnéj, ale za chwil parę powstała, zbliżając się do Bogdana. Zagadała coś o kwiatach i obiecała pokazać jakąś szczególną begonię, powstał, a ona poprowadziła go do tego właśnie okna, przy którém stała Wanda.

Bogdan zarumienił się gwałtownie, jak na gorącym uczynku złapany, plątał się w odpowiedzi i tak był roztargniony dziwnie oglądając ową begonię, że pewno nie wiedział nawet, czy to roślina czy zwierzę. To téż mis Ella za chwilę zostawiła go samego, pod pierwszym lepszym pozorem. Bogdan prędko się zbliżył do Wandy, i w tejże chwili Tola poruszyła się żywo jakby ją coś ukłuło, a na pięknéj twarzy odbiło się przykre wrażenie. Ale hrabia był przy niéj, rozmawiając żywo i nie dał się jéj poruszyć; z początku odpowiadała od niechcenia, potém z zajęciem, nareszcie przestała uważać na resztę towarzystwa.

Późno już było gdy zaszły powozy. Hrabia owijał starannie Tolę ciepłym pąsowym burnusem, ona dziękując, podała mu rękę i rzekła głosem cichym, smutnym jak skarga:

— Przyjedź pan jutro do nas... miło mi będzie widzieć pana...

Jemu się twarz rozpromieniła jakby słońce padło na nią, usta się roztwarły szerokim, zwycięzkim, a jednak dyskretnym uśmiechem, poniósł jéj rękę do ust.

— Przyjadę — odparł cicho bardzo.

(*d. c. n.*) *Julijan Morosz.*

POCZĄTKI CHRYSTYANIZMU.

(E. Renan, Histoire des Origines du Christianisme: Livre 1. Vie de Jésus; 2. Les Apôtres; 3. Saint Paul; 4. L'Antichrist; 5. Les Evangiles; 6. L'Eglise Chrétienne; 7. Marc-Aurèle. 1862—1882).

Początki każdéj religii są pokryte pewną tajemniczością. Przyczyna tego leży w braku odpowiednich materyałów historycznych. Fakt, będący częstokroć dla ogółu zupełnie obojętnym, w większości wypadków nieznany nawet szerszéj publiczności, w oczach bezpośrednio zainteresowanych rośnie, olbrzymieje, następnie zdumiewa, zachwyca i staje się przedmiotem wiary. Wiara potrzebuje uzewnętrznienia się, pobudza do propagandy. Powstaje więc nowa religia. Nauka jéj, niby ziarno, paść może na grunt mniéj lub więcéj przygotowany. Przyjęcie się i dalszy jéj rozwój zależy od tego, w jakim stopniu odpowiada ona potrzebom społecznym, wynikającym z warunków dziejowych.

Wierzący nie wymagają rozumowań przyodzianych w formę traktatów naukowych, gardzą dowodami, wymagającemi szeregu rozpraw, odrzucają wszelką ścisłość, nie uznają konieczności badania. Przeto, gdy z kolei rzeczy propaganda przybierze, przy odpowiednich warunkach, szersze rozmiary i wyjdzie za obręb pierwotnych działaczy, zaczyna się tworzyć legenda. Będzie to zasłona jednobarwna, która wszystko pokryje. Będzie to warstwa nowego pokładu, która wszystko zarówna. Przerwie się nić, łącząca żywe niegdyś istoty z żywém społeczeństwem. Zginie w pomroce przeszłości indywidualizm główniejszych osobistości. Bohaterowie przetworzą się w ideały.

Najbardziéj przeto stanowcza chwila w dziejach religii usuwa się z pod kontroli naukowéj.

Trudne zadanie oczekuje badaczy. Muszą oni dojść, posługując się metodą krytyczną i różnemi materyałami postronnemi, do istotnego znaczenia samych faktów, które wytworzyły legendę; odsłonić zakryte nią scenaryum dziejowe, przywrócić cechy indywidualne uogólnionym w legendzie zdarzeniom; w ideałach odszukać ludzi rzeczywistych; a tchnąwszy w nich życie, myśl, uczucia, dopatrzéć prawdziwéj pobudki czynów. Następnie należy im zbadać warunki historyczne, które ułatwiły propagandę i umożliwiły przyjęcie się nowéj nauki. Nakoniec obowiązani są oni wykazać przyczyny, w skutek których dana religia stała się wyrazem postępu w danéj chwili dziejowéj, oświetlić drogi, na których ów postęp w istocie się urzeczywistnił.

Zadania tego odnośnie do chrystyanizmu podjął się Ernest Renan i na swój sposób wykonał. Na początku roku bieżącego wyszło dzieło jego: *Marc-Aurèle et la fin du monde antique.* Zamyka ona jako ostatnia a siódma z rzędu księga szereg prac, noszących wspólny tytuł: *Histoire des origines du Christianisme.* Księga pierwsza tego zbioru wyszła przed laty dwudziestu pod tytułem: *Vie de Jésus.*

Siedm ksiąg, któremi Renan obdarzył swój naród, zawierają historyą krytyczną i pragmatyczną najważniejszéj epoki w dziejach chrystyanizmu, gdyż początkowéj, i będąc owocem wyłącznie nauce poświęconego żywota, stanowią, śmiało rzec można, główną pracę naukową tego badacza. Prace bowiem jego dawniejsze z dziedziny filozofii i lingwistyki, krytyki i literatury, które mu już poprzednio zjednały sławę uczonego oryentalisty i samodzielnego krytyka oraz otworzyły podwoje dwóch Akademij, posłużyły tylko, jak to z ich następstwa po sobie zawyrokować możemy, za stopnie prowadzące do wysokości odpowiedniéj przedsięwziętemu zadaniu. Samo wykonanie rozległego, aczkolwiek zmodyfikowanego następnie planu *Historyi początków Chrystyanizmu* wymagało ćwierci stulecia, to jest tyle czasu, ile w życiu ludzkim wynosić może wiek dojrzałości. Autorowi przeto zarzucić się nie da brak dostatecznego przygotowania naukowego lub zbytni pośpiech w wykonaniu.

Lecz jeszcze jedna okoliczność podnosi znaczenie téj pracy Renana. Wskrzesza on tym dziełem studya oddawna w ojczyznie swéj zaniedbane. Francyi, która wydała Ryszarda Simona (1638—1712), założyciela szkoły krytycznéj, i Jana Astruca (1703—1766), pomysłowego propagatora nowéj nauki, wkrótce wydarte zostało przewodnictwo na tém polu przez Niemcy. Uchylenie się Francuzów od badań nad religiami a zwłaszcza od krytyki źródeł historycznych, podstawy tych badań, niekorzystnie wpłynęło na ich charakter i kierunek. W rękach filozofów i teologów niemieckich straciły one mogącą za-

lecać je zawsze żywotność. Pod tym więc względem dzieło Renana stanowi epokę.

Słuszną więc będzie rzeczą, żebyśmy, my, którzy na polu wielu nauk, zwłaszcza zaś tych, które wymagają studyów głębokich i śmiałéj inicyatywy, żywimy się obcym dorobkiem, poznali treść dzieła Renana i choć w taki sposób obeznali się z jedną z najciekawszych i najważniejszych epok w życiu dziejowém ludzkości. Nie możemy atoli przystępować do samych dziejów, nie poznawszy poprzednio materyału historycznego, na podstawie którego napisał Renan *Historyę początków Chrystyanizmu.* Że praca ta przygotowawcza nietylko jest pożyteczną lecz i konieczną, dowodzi tego sam fakt, że autor każdą księgę poprzedza obszernym wstępem, w którym rozbiera krytycznie wartość i znaczenie każdego pomnika służącego mu na źródło dla danego okresu.

I. Źródła historyczne.

Badacz dziejów początkowych chrystyanizmu ma do czynienia z wielce różnorodnym, niejednakowego znaczenia i pochodzenia materyałem historycznym. Materyał ten stosownie do celu podzielić on może na trzy odrębne grupy. Pierwszą grupę utworzą dzieła Józefa Flawiusza i Filona Aleksandryjczyka. Dadzą mu one możność wykonać kunsztowną oprawę historyczną, dla całéj epoki oraz wykażą panujące podówczas teorye metafizyczne, które zlawszy się następnie z chrystanizmem, dostarczyły mu podstaw filozoficznych, ułatwiły dostęp do sfer wyższych oraz przyjęcie się w nich. Grupa druga, Talmud, przedstawi badaczowi kodeks owoczesnéj moralności, wtajemniczy go w ducha społeczeństwa, wśród którego powstała nowa religia. Nakoniec tak przygotowanemu grupa trzecia odsłoni istotę chrystyanizmu, ukaże zawiązek pierwszéj gminy chrześciańskiéj, wyjaśni czyny propagatorów nowéj nauki, przedstawi dzieje początkowego jéj krzewienia się. Będą to bowiem pomniki piśmiennictwa żydowskiego, zostające w bezpośrednim związku z powstawaniem chrystyanizmu, oraz to wszystko, co powstało w łonie dwóch pierwszych generacyj chrześcian a doszło do nas. A więc: 1) Okolicznościowe utwory nieznanych autorów, noszące ogólną nazwę Apokryfów Starego Testamentu; 2) Zbiór pomników nazwany Nowym Testamentem; 3) Pisma tak zwanych mężów apostolskich autentyczne lub im tylko przypisywane.

Na tém miejscu zająć nas przedewszystkiém powinny i mogą materyały historyczne stanowiące grupę ostatnią. Do nich przeto bezpośrednio przystępujemy.

1.

Literatura apokryficzna wyrasta na pniu literatury hebrajskiéj starożytnéj i stanowi bardzo rozległą i bogatą jego gałąź. Nazwa jéj rodzajowa pochodzi od słowa greckiego *apokryptô* (= ukryć, zaciemnić); które to pojęcie da się zarówno zastosować jak do treści stanowiących ją utworów, zawsze ciemnéj i zagadkowéj, tak téż i do autora nigdy niewiadomego, lub ukrytego pod nazwiskiem osobistości dobrze znanéj z dziejów lub legend. W literaturze apokryficznéj osobne i główne zajmują miejsce utwory zwane Apokalipsami (= objawienia, od *apokalyptô* — odkryć, objawić). Jest ich kilka, lecz wszystkie są do siebie formą a zwłaszcza treścią i duchem zbliżone, a pojawiały się zwykle w chwilach stanowczych dla narodu żydowskiego. Do zrozumienia ich przeto tylko historya dostarczyć może klucza właściwego.

Naród żydowski utracił niezależność polityczną jeszcze na początku wieku VI-go przed erą naszą. Cios ostateczny, przyprawiający go o utratę samodzielności państwowéj, otrzymał z ręki króla babilońskiego Nabukudur-usura. Upadek państwa babilońskiego poddał go władzy monarchów perskich; upadek państwa perskiego poddał go władzy zdobywcy całego owoczesnego wschodu historycznego. Wcielony w skład efemerycznego państwa Aleksandra W-go, musiał dzielić zmienne losy wszystkich ludów to państwo składających. Jako zamieszkały w kraju leżącym na drodze łączącéj Egipt z Mezopotamią, przechodził z rąk do rąk dwóch współzawodniczących z sobą dynastyj: Ptolemeuszów egipskich i Seleucydów syryjskich. Nakoniec wraz z całą zachodnią Azyą uległ potędze Rzymian.

Lecz naród ten pod jednym względem wyróżnił się mocno od innych narodów ówczesnych. On pierwszy w świecie starożytnym doszedł do poczucia swéj wśród innych ludów odrębności i zdołał rozbudzić w sobie samowiedzę narodową. On pierwszy w chaosie spowodowanym powstawaniem i upadaniem państw wyrobił sobie historyozofią oryginalną i teorye jéj oparł na istnieniu i potędze swego boga narodowego, Jehowy.

Obdarzywszy Jehowę wyższemi przymiotami etycznemi, wywyższywszy go po nad innych bogów, naród ten nie wątpił o ostatecznem jego zwycięstwie. Zwycięstwo Jehowy musiało pociągnąć za sobą zapanowanie sprawiedliwości na ziemi. Zapanowanie sprawiedliwości zwracało pognębionym narodom wszystkie prawa, wskrzeszało dawniejsze swobody. Sprawiedliwość tylko w taki sposób przejawić

się mogła. Wiążąc przeto losy swe z pojęciem porządku wyższego na świecie, wiek złoty pomieścił on nie w przeszłości odległéj, lecz w bliskiéj przyszłości i spokojnie oczekiwał urzeczywistnienia swoich marzeń i nadziei, gdyż urzeczywistnienia ich był pewny.

A tymczasem, wbrew wszelkim oczekiwaniom, coraz to gorsze następowały czasy. Naród z pod panowania jednego obcego monarchy przechodził pod panowanie drugiego, a każde następne było gorsze od poprzedniego.

Otóż w chwili, gdy zdawało się, że zło dosięga już najwyższych rozmiarów, gdy naród znękany zaczął tracić już nadzieję a w niéj najskuteczniejszy oręż walki, gdyż podstawę odporności, pojawiały się Apokalipsy. Autorowie tych utworów, wprowadziwszy na scenę znaną jaką osobistość, każą jéj podlegać widzeniom i takowe widzenia w imieniu téj osobistości opowiadają. Widzenia te składają się z szeregu obrazów symbolicznych, przedstawiających bieg historycznych wypadków, zawierają sąd nad osobistościami współczesnemi lub znanemi z dziejów i kończą się zawsze alegoryczną przepowiednią bliskiego i pomyślnego rozwiązania sytuacyi groźnéj, zapowiedzeniem nowéj ery, nowego porządku rzeczy na ziemi.

Ponieważ Jehowa dla dokonania zamierzonego przewrotu potrzebował tylko komukolwiek bądź dać rozkaz stosowny, potrzebował obdarzyć w tym celu pełnomocnictwem, przeto autorowie Apokalips upatrują wśród żyjących odpowiednią osobistość i na nią, jako na narzędzie woli Jehowy, wskazują; lub, w braku odpowiedniéj wśród żyjących, przyjście dopiero takiéj na świat zapowiadają.

Ów wybrany przez Jehowę miał posiąść władzę najwyższą, nieograniczoną, a na znak swéj roli, stosownie do przepisów rytuału, otrzymać, jak ongi Saul i Dawid, pomazanie na królestwo *miszcha*, zostać *maszyjach*, *pomazańcem* Jehowy i jako taki widomym przewódcą narodu. Zjawienie się mesyasza i pokonanie przezeń nieprzyjaciół rozpoczynało *erę mesyaniczną*.

Z pojęciem mesyasza związane jest jeszcze i inne: *sądu*, *dnia* Jehowy. Zwycięstwo mesyasza, jako pełnomocnika, narzędzia Jehowy, było zarazem zwycięstwem Jehowy samego, więc chwilą najwyższego przejawu jego potęgi i wszechmocy, *dniem* Jehowy. Nowy porządek rzeczy wprowadzony przez mesyasza mógł wtedy tylko utrwalić się i ostatecznie zapanować, gdy Jehowa osądzi wszystkich i wszystko. Przeto *sąd* Jehowy poprzedzić powinien erę mesyaniczną.

Zwycięstwo Jehowy nad innemi bogami, zwycięstwo mesyasza nad innymi wodzami będzie w istocie rzeczy zwycięstwem narodu żydowskiego nad innymi narodami. Rozprzestrzeni on wiarę w swe-

go boga narodowego po całym świecie, przez co i innym ludom da możność odrodzenia się i stania się godnymi nowego porządku rzeczy. Jedne ludy, uznawszy w Jehowie boga prawdziwego, uwierzą weń; drugie podlegać będą władzy narodu wybranego.

Nakoniec, by wymaganiom sprawiedliwości wyższéj stało się zupełnie zadość, na sąd Jehowy zgromadzić się mają nie tylko żyjący podówczas, lecz i ci wszyscy, którzy byli pomarli przed tém, nie doczekawszy się zapowiedzianéj epoki odrodzenia. Powrót do życia pozwoli im przyjąć udział w nowym porządku rzeczy, który dla dobrych będzie nagrodą zasłużoną, dla złych karą stosowną.

Takie to są główne pojęcia, które spotykamy w Apokalipsach. Rozwijając je atoli i krzewiąc, autorowie tych utworów po części uzupełniali naukę dawnych proroków, po części z téj nauki nowe wyciągali wnioski. I tak: zwycięstwo ostateczne Jehowy nad obcymi bogami oraz w głównych zarysach erę mesyaniczną przepowiadali Izajasz, Jeremiasz i innych pomniejszych kilku. Joel przygotowuje umysły do dnia Jehowy. Nieznany z imienia autor XL—LXVI rozdziałów księgi Izajasza, (Izajasz II,) żyjący w czasach niewoli babilońskiéj, Cyrusa, króla perskiego, nazywał mesyaszem. Więc nie oryginalność pomysłów stanowi główne znaczenie literatury apokaliptycznéj, lecz zapomocą téj literatury krzewienie i rozpowszechnianie tego co podtrzymywało w gnębionym przez obcych narodzie wiarę we własne siły, poczucie własnéj żywotności, pewność istnienia.

Apokaliptycy luźne twierdzenia dawnych proroków ujęli w system oparty na rozwoju dziejowym. Przez ukrycie pod symbolami rzeczy znanych nadali swym utworom więcéj tajemniczości nęcącéj. Przez zręczne przedstawienie faktów z przeszłości lub teraźniejszości, jako wypadków przyszłych, większą wiarę w prawdziwość swych słów budzili. Za pomocą tych sposobów zupełną pewność lepszego jutra wytworzyli; ludzi zwykłych do czynów bohaterskich uzdolniali; życie narodu stosownie do biegu wypadków z dnia na dzień regulowali; upajając społeczeństwo całe nadzieją niezłomną, wprawiali każdego w nieustanny niepokój i oczekiwanie, łudząc świetną przyszłością, utrzymywali wszystkich w nieokreślonym naprężeniu ducha, w zawieszeniu ciągłém.

Jednolitość formy, wspólność pojęć, cele jednakie nie pozbawiają wszakże Apokalips oryginalności pewnéj. Szukać jéj musimy w różnych kombinacyach popularyzowanych przez nie pomysłów oraz zastosowywaniu teoryj ogólnych do wypadków bieżących. Szereg przeto Apokalips przedstawia nam dokładny obraz rozwoju idei mesyanicznych, które, jak o tém świadczą fakty, stanowczy na bieg

wypadków wpływ wywierały. Należy tylko ułożyć je w porządku chronologicznym (1).

Apokalipsę pierwszą, znaną jako księga Daniela, wywołały rządy Seleucydów.

Aczkolwiek po upadku państwa babilońskiego stan rzeczy w Judei dalekim był od tego, jaki wytworzyła sobie w przyszłości rozbujała wyobraźnia gorliwych czcicieli Jehowy, jednakże w czasach perskich i za panowania Ptolemeuszów można było go nazwać stosunkowo bardzo pomyślnym. Mieszkańcy jéj mieli zupełny samorząd wewnętrzny i używali całkowitéj swobody religijnéj. Prześladowanie narodowości żydowskiéj rozpoczęli Seleucydowie, pod których władzę dostała się Judea na początku II-go wieku przed erą naszą. Antyoch IV, zapalony helenizator Judei, na ołtarzu, poświęconym wyłącznie czci Jehowy, wzniósł ołtarz Jowisza (r. 167). Sprofanowanie świątyni boga narodowego jednych ugięło, drugich żądzą walki i oporu natchnęło.

Wówczas to (około r. 167) pokazała się Apokalipsa Daniela.

Doszła ona do rąk naszych w całości i wyjątkowo w oryginale, ponieważ wcielono ją do zbioru pomników Starym Testamentem zwanego. Składa się z XII rozdziałow, z których połowa jest zredagowaną w języku aramejskim, podówczas panującym w całéj Palestynie.

Wywołana prześladowaniem brutalném, rozpalona świadomością krzywdy doznawanéj, podtrzymywana pewnością zwycięstwa, oparta na poczuciu własnych praw i godności walka z potężnymi władcami Azyi trwała lat trzydzieści. Zakończyło ją zwycięstwo dobréj sprawy. Symon, ostatni z żyjących Hasmoneuszów, bohaterskich pięciu braci, został przez naród na władcę kraju powołany (r. 141). Rządy syna jego, Jana Hirkana, zdawały się zapowiadać urzeczywistnienie już blizkie nadziei wszelkich. Jako władca świecki przyłączył Samaryą i Idumeę, czém rozszerzył granice odradzającego się państewka, jako najwyższy kapłan zburzył świątynię w Garizim, czém zcentralizował na nowo kult Jehowy w Jerozolimie. Lecz miał on przeciwników. Nie pochodził bowiem z rodu, który według tradycyi mógł jedynie tylko piastować kapłańskie urzędy. Należało więc władzę Hirkana wzmocnić, znaczenie jego osoby i partyi pod-

---

(1) Chronologiczne uporządkowanie Apokalips znajdujemy w pracach i wydawnictwach: Lücke: Einleitung in die Offenbarung des Joannes 1852.—Hilgenfeld: Messias Judaeorum, 1869. Judische Apocaliptik, 1857.—Tischendorf: Apokalipses Apocryphae 1866.—M. Vernes: Histoire des Idées Messianiques, 1874. Również przydać się może: Dictionnaire des Apocryphes—wyd. Migne'a, 2 v.

nieść, dalszą pomyślność zrobić zależną od jego losów. Miała tego dokonać Apokalipsa druga, znana jako *księga Henocha.* Zjawiła się ona około 110 roku przed naszą erą.

Składające księgę tę CX rozdziałów rozpada się na 5 części odrębnych. Druga z nich (XXXVII—LXXI) wstawioną została w czasach znacznie późniéjszych; może za Heroda W. a nawet—pod koniec I-go stulecia naszej ery, gdyż niektórzy ślady nowéj nauki w niéj upatrują.

Dziwaczne losy obeszły się z Apokalipsą Henocha inaczéj jak z poprzednią. Napisana w języku hebrajskim czy téż aramejskim, przełożoną została na język grecki, z greckiego na etyopski. Oryginał i przekład grecki zaginęły. Więc tylko znaną jest z przekładu etyopskiego, odnalezionego przed kilkudziesięciu laty.

Wypadki nowe wywołują Apokalipsę nową. Dwaj wnukowie Hirkana, Hirkan II i Arystobul II, wszczęli pomiędzy sobą walkę o władzę nad krajem noszącym już podówczas nazwę królestwa. Pierwszy przyzwał na pomoc Arabów, drugi—Rzymian. Pomoc Rzymian okazała się skuteczniejszą. Pompejusz zdobył Jerozolimę (r. 63) i ze sprzymierzeńca jednego stawszy się sędzią obu, słuszność przyznał Hirkanowi. Lecz tylko słuszność, gdyż najwyższą władzę zatrzymał nadal przy sobie. Część kraju przyłączywszy do Syryi, będącéj podówczas już prowincyą rzymską, Pompejusz byłego króla judzkiego mianował etnarchą i nadał mu prawa najwyższego kapłana. Z owych to czasów pochodzi Apokalipsa Mojżesza (1).

Dzieje téj Apokalipsy są zupełnie takie jak i poprzedniéj. Oryginał hebrajski, czy téż również aramejski, i przekład pierwotny grecki zaginęły. Przekład etyopski, dokonany z greckiego, niedawno odnaleziono.

Wypadki szybko biegły. Po śmierci Hirkana II władzę nad krajem chociaż nominalną objął syn powiernika jego i doradcy, Antipatra, Herod. Zręcznéj polityce tego nowego władcy kraj zawdzięcza chwilowy blask zewnętrzny i wznowienie tytułu królestwa. Po śmierci Heroda nastąpił podział ostateczny państwa judzkiego. Judeę otrzymał z tytułem etnarchy Archelaus, syn Heroda. Lecz, wkrótce

---

(1) Księga znana jest jeszcze i pod innemi tytułami, a mianowicie, jako Księga Jubileuszów lub Genesis Mała. Rozmaite te tytuły mają swą podstawę w wielkiéj rozmaitości treści. Nazwaną została Apokalipsą Mojżesza, gdyż Jehowa, a następnie jeden z aniołów jego odkrywa Mojżeszowi na górze Synai dzieje jego narodu na tle dziejów innych narodów. Zwie się Księgą Jubileuszową, gdyż autor zachowuje wielką ścisłość pod względem chronologicznym i za jednostkę czasu przyjmuje peryod jubileuszowy (49 lat). Nakoniec, ponieważ zawiera opowiadanie o początku świata oparte na Genesis, może nosić tytuł Małéj Genesis.

i ten cień niezależności zniknął. Roku 6-go ery naszéj cała Judea została wcieloną do prowincyi rzymskiéj Syryi. Odpowiedzią na to postanowienie cesarza rzymskiego Augusta ze strony przyłączonych było powstanie pod dowództwem Judasza Galilejczyka. Otóż na te czasy przewrotów i klęsk przypada Wniebowzięcie Mojżesza. Tekst téj księgi pierwotny, prawdopodobnie aramejski, zaginął. Lecz i pozostałe dwa przekłady, grecki i łaciński, nie doszły do nas w całości zupełnéj.

Zburzenie Jerozolimy przez Wespazyana i rozpierzchnięcie się żydów po krajach obcych nie zatamowało źródła, zkąd czerpali natchnienie swoje Apokaliptycy. Owszem, literatura apokaliptyczna jeszcze się bardziej ożywiła. Przybyły jej nowe elementa. Bieg wypadków politycznych wzbudził niewysłowioną, niczem zmiękczyć się niedającą nienawiść ku Rzymowi. Wyzuci z ludzkich uczuć i obowiązków Cezarowie, nie przedstawiali w oczach ludu tego pewnych osobistości, lecz siły brutalne a nieznane i wzniecali trwogę i zgrozę zarazem. Stan moralny społeczeństwa, ucisk i prześladowanie, któremu podlegali jedni, bezgraniczna swawola i bezmyślna rozpusta, którym się oddawali drudzy, budziły pesymizm rozpaczliwy. Myśl wzbogacona dłuższém doświadczeniem bezwiednie przekraczała granice pojęć ówczesnych i refleksyą owo zwątpienie jeszcze potęgowała. Zwątpienie stanęło do walki z wiarą. Lecz gdzież szukać należało innego rozwiązania jak nie w tradycyach? Czyż zresztą coraz groźniejszy stan rzeczy nie mógł znamionować zbliżania się epoki przewrotów? Wiara musiała zwyciężyć. Walka atoli przybrała charakter tragedyi psychicznéj.

Uczucia te i prądy znalazły wiernego przedstawiciela w osobie autora księgi IV Ezdrasza (1).

Ponieważ zbliżyć przyszłość lepszą mógł tylko upadek Rzymu, przeto wszystko, co ten upadek zdawało się zapowiadać, czy to niepowodzenie w polityce zewnętrznéj, czy to klęski wewnętrzne, niezwykłe zjawiska przyrody, zamordowanie jednego, nietrafny obiór drugiego Cezara, wszystko to ożywiało nadzieje, wytężone oczekiwaniem umysły zatrzymywało na wypadkach, do nowych kombinacyi pomysłów apokaliptycznych skłaniało. W stuleciu pierwszém

---

(1) Dwie kroniki, pochodzące z IV-go wieku przed erą naszą (księga Esdrasza i księga Nehemiasza) znane są jako *dwie* pierwsze księgi Esdrasza. *Trzecią*, została nazwana z czasów późniejszych pewna kompilacya historyczna. Dla Apokalipsy więc przypadła nazwą *czwartéj*. Pomiędzy *Wniebowzięciem Mojżesza* i *Apokalipsą Esdrasza* przypada miejsce na *Apokalipsę św. Jana*. Lecz ponieważ weszła ona do zbioru zwanego Nowym Testamentem, przeto o niéj będzie mowa poniżéj.

podwakroć państwu rzymskiemu groził w oczach współczesnych upadek. Po zamordowaniu ostatniego z rodu Juliuszów i ostatniego z rodu Flawiuszów. Lecz po Neronie nastąpił wkrótce Wespazyan, który szybko wzmocniwszy sytuacyą na zewnątrz i wewnątrz państwa, pozbawił nadziei wrogów jego. Następca Domicyana, Nerwa, tego nie dokazał. Przyszłość jeszcze niepewniéj się przedstawiała. A nadto żydzi mieli jeszcze inne powody do cieszenia się z wygaśnięcia tak prędkiego dynastyi Flawiuszów i upatrywania w tém kary zesłanéj przez Jehowę. Z imieniem założyciela téj dynastyi związanym został najkrwawszy dramat w ich dziejach, najboleśniejsze wspomnienie z przeszłości. Rana, zadana ich narodowości przez Wespazyana, była świeżą, i miała pozostać nigdy nieuleczoną. Przytém Domicyan został zabity przez swoich, przez tych, którzy tylko korzystali z takiego stanu rzeczy, którzy byli wspólnikami jego okrucieństw, pomagali mu w pastwieniu się nad bezbronnemi ludami. Koniec Domicyana, bardziéj odpowiedni życiu wyrzutka społeczeństwa niż jego wybrańca, obdzierający ze wszelkiego uroku majestat Cezarów, czyż nie mógł być już zapowiedzią sądu Jehowy?

Tak rozumować mógł autor Apokalipsy Esdrasza, gdy w roku pierwszym panowania Nerwy (r. 97) kreślił ten utwór. By myślom swoim nadać szerszy obieg, obrał język grecki. Powodzenie téj nowéj apokalipsy było nadzwyczajne. Dokonane przekłady na języki arabski, armeński, syryjski, etyopski i łaciński świadczą o zainteresowaniu się podówczas treścią jego całego wschodu i zachodu. I rzeczywiście pod względem wzniosłości myśli, bogactwa obrazów, tragicznego nastroju uczuć, głębokości poglądów utwór ten bezwzględnie zasługuje na poznanie i umieszczenie na czele wszystkich tego rodzaju utworów. Żaden tak dokładnie nie przedstawia epoki, żaden takiego wpływu nie wywarł na umysły współczesnego pokolenia i potomnych.

Lecz i tym razem zawiodły oczekiwania. Chęciom i nadziejom nie odpowiedziała rzeczywistość. Po Nerwie władcą świata został Trajan; Trajana następcą Adryan. Potęga Rzymu wzrastać bardziéj niż się chylić zaczęła. Zwycięzkie legiony dotarły do Tygrysu. Cały historyczny wschód wszedł był w obręb posiadłości rzymskich. Fakta te dowodziły, że biegiem dziejów nie kierują chęci lecz czyny. Zrozumieli to żydzi. Wyjątkowe niepowodzenie oręża rzymskiego w Mezopotamii i Armenii pod koniec 116 r. ośmieliło ich. Osądzili, że chwila najodpowiedniejsza do rozpoczęcia walki nastąpiła już. Ponieważ rozsiani będąc po całym wschodzie, w wielu miejscowościach stanowili poważną siłę, zaczęli działać zaczepnie. Wybuchły

rzezie w Egipcie, Cyrenaice, Cyprze. Pod nożami mszczących krzywdy kraju swego padali niewinni a spokojni sąsiedzi i dotychczasowi współobywatele. Ruchy te przygotować i ułatwić miały powstanie w Judei. Wyrazem tych usposobień stała się Apokalipsa Barucha, Chociaż autor naśladował w niéj język i formy księgi IV Ezdrasza, nie pozbawiło to jednakże utworu tego pewnych cech oryginalności i znamion czasu tak ważnego. Oryginał grecki wcześnie zaginął. Przechował się przekład na język syryjski.

Apokalipsa Barucha zamyka szereg Apokalips należących do Apokryfów Starego Testamentu (1). Pokazanie się w Judei Ben-Koriby, ogłoszonego przez garstkę zelotów na mesyasza, doprowadziło do powstania (r. 133), które było ostatniem już na polu szerszéj akcyi wystąpieniem żydów przeciwko porządkowi rzeczy utrwalonemu przez Rzymian.

Uzupełnieniem Apokalips są apokryficzne Księgi Sybilli.

Ze wschodnich narodów jeden tylko żydowski przy zetknięciu się z grekami zdołał przeciwstawić ich kulturze—swoję, ich piśmiennictwu—swoje. W tym przeciwstawieniu występował nawet w roli zaczepnéj. Pole naukowe, na którém otwarcie walczyli Arystobul, Filon, dla ich zelotyzmu zdawało się za szczupłem. Zwyciężać Greków chcieli ich własną bronią. Pojawiały się przeto utwory tendencyjne, głównie propagandzie pomysłów związanych z judaizmem służące, pisane przez żydów lecz wydawane pod imionami znanemi w literaturze greckiéj. Do takich właśnie należą wzmiankowane Księgi Sybilli.

Księgi te składają się z oddzielnych poematów. Poematy pojawiały się w Aleksandryi w przeciągu pięciu wieków. Razem zebrane stanowią ksiąg XV. Dawniejsze są napisane przez żydów, późniejsze przez chrześcian. Do dawniejszych należą: §§ 2 i 4 księgi III. Sięgają one jeszcze początku II wieku przed erą naszą. Księga IV pochodzi z czasów Domicyana. Wstęp do ksiąg Sybilli (*Proëmium*), § 2 księgi VIII, § 3 księgi III pochodzą z czasów Trajana i Adryana (2).

---

(1) Oprócz Apokalipsy św. Jana następne utwory apokryficzne stanowią literaturę apokaliptyczną chrześciańską: 1) Wniebowzięcie Izajasza z II w., 2) Widzenie Izajasza z III w., 3) Apokalipsa św. Piotra, 4) Apokalipsa Kommodiana z III w., 5) Testament XII patryarchów z II w., 6) Pasterz Hermasa z II w.; Apokalipsy zebrane i wydane przez Tischendorfa (Apocaliptes Apocryphae) są jeszcze późniejsze.

(2) Najcelniejszém wydaniem ksiąg Sybilli jest C. Alexandre: Oracula Sibyllina, 1869. Objaśnień wszelkiego rodzaju udzieli tegoż autora: Excursus ad Sibyllina, 1856.

Poematy sybilskie wtajemniczać miały Greków i Rzymian w te pomysły, które rozwijały wśród Żydów Apokalipsy. Ztąd wypływa ich związek z Apokalipsami, ztąd ich znaczenie niepowszednie dla historyi tych czasów.

2.

Apokryfy Starego Testamentu, wtajemniczając nas w nastrój umysłów społeczeństwa, wśród którego powstał chrystyanizm, służą historykowi do odmalowania tła obrazu, do oświetlenia tego obrazu kolorytem właściwym czasowi. Postaci głównych dla zapełnienia tła samego oraz wskazówek, jak należy te postacie odpowiednio ugrupować w akcyi saméj, dostarczą pomniki stanowiące Nowy Testament (1).

Pomniki te tworzą cztery różne działy. Dział 1-szy stanowią Ewangelie. Są to pełne prostoty i wdzięku epizodyczne opowiadania o życiu Jezusa. Nazwę zaś swoją zawdzięczają treści, gdyż obwieścić miały narodowi dobrą nowinę, że ten, którego naród ów oczekiwał z takiém upragnieniem, już był przyszedł na świat, że chociaż go już wśród żyjących niema, lecz zostały jego słowa, zapowiadające prędki powrót do swoich, jego nauka, dobra nowina, którą on objawił światu.

Ewangelij jest cztery. Każdéj z nich tradycya wskazuje inne pochodzenie, gdyż na czele każdéj mieści odmienne napisy. Pierwsza nosi nadpis—„według Mateusza;“ druga—„według Marka;“ trzecia—„według Łukasza;“ czwarta—„według Jana.“

Już samo przeczytanie uważne wszystkich czterech Ewangelij przekona: 1) że trzy pierwsze, tak zwane synoptyczne (2), różnią się

---

(1) Dla studyów specyalniejszych są konieczne:
Wette: Die Einleitung in das. Neue Testament (wydania są liczne).
Bleek: Einleitung in das N. T. (również jest wydań kilka).
Hilgenfeld: Einleitung in das Neue Testament. 1875.
Tegoż: Novum Testamentum extra Canonem receptum. 4 zesz.
F. Chr. Baur: Vorlesungen über neutestamentliche Theologie. 1864.
E. Reuss: Histoire de la Theologie Chrétienne au siécle Apostolique. 1864. (3 v.).
E. Haag: Histoire des dogmes chrétiens. 1862.
Wiele cennych wskazówek udzielić może:
M. Nicolas: Etudes critiques sur la bible N. T. 1864.

(2) Dla ułatwienia porównań a zarazem udogodnienia badania, trzy te Ewangelie były nieraz drukowane w trzech obok siebie leżących kolumnach. To dawało możność objęcia odrazu wzrokiem (σύνοψις) wszystkich trzech tekstów. Od takich to wydań Ewangelie te noszą nazwę *synoptycznych*.

od czwartéj nietylko sposobem opowiadania lecz i faktami przytaczanemi, nietylko duchem ożywiającym całość utworu, lecz i punktem zapatrywania się na osobę mistrza; 2) że to wszystko, co tak stanowczo trzy pierwsze od czwartéj oddala, zbliża te trzy do siebie.

Naprzód co do faktów. Różnica sięga nawet tych, które są pierwszorzędnego znaczenia i jako takie różnić się w opowiadaniach wcale nie powinny. Naprzykład. Powołanie apostołów inaczéj jest opowiedziane w synoptycznych, inaczéj w czwartéj. Według tamtych, Jezus na początku swego wystąpienia publicznego sam wzywał uczniów (Mat. IV, 18—22; Mar. I, 16—20; Łuk. V, 1—11). Według téj uczniowie sami się zgłaszali; Jezus zachowywał się biernie (Jan, I, 35—42). Według synoptycznych Ewangelij, Jezus został schwytany i skazany na śmierć po odbyciu wespół z uczniami uroczystéj wieczerzy paschalnéj i spożyciu baranka pamiątkowego. Z uroczystością tą jest tam związana tajemnica eucharystyi (Mat. XXVI, 2, 17—20; Mar. XIV, 12—18; Łuk. XXII, 7—14). Według czwartéj, schwytanie i ukrzyżowanie poprzedzało o kilka godzin uroczystość baranka (Jan, XVIII, 28). I dalej. Według synoptycznych, Jezus przebywał i nauczał wyłącznie tylko w Galilei i sąsiednich okolicach. Do Jerozolimy udał się tylko raz i wtedy śmierć poniósł. Czwarta twierdzi, że przedewszystkiem przebywał w Jerozolimie, tam głównie nauczał tłumy, wiódł długie spory z faryzeuszami. W niéj tylko dwa rozdziały (IV, VI) są poświęcone wspomnieniom podróży do Galilei i Samaryi. Nakoniec, według trzech pierwszych, działalność publiczna Jezusa trwała nie dłużéj roku; czwarta podaje, że ciągnęła się lat trzy.

Różnica w faktach przytaczanych pozostaje w ścisłéj zależności od odmiennego zapatrywania się na osobę Jezusa w trzech pierwszych a czwartéj. Według tamtych, Jezus był prorokiem, wyższym od innych, gdyż ostatnim. Posłannictwo jego polegało na uzupełnieniu tego, co dawniéj było objawioném. Dla tego mógł on siebie nazywać Mesyaszem; dla tego przyjście jego było oddawna zapowiedzianem. Według czwartéj, Jezus był istotą nadprzyrodzoną. Istniał już przed żywotem ziemskim. Zstąpił na ziemię by przetworzyć ludzi, wyrwać ich z ciemności, w któréj dotychczas pogrążeni byli, zrobić ich uczestnikami królestwa bożego. Przebywając na ziemi, zostawał w najściślejszéj jedności z Bogiem, który go zesłał. Był więc synem bożym. W téj właśnie Ewangelii spotykamy pierwsze zastosowanie pomysłów metafizycznych Filona Aleksandryjczyka do życia rzeczywistego. Jezus bowiem jest w niéj nazwany *słowem* bożym.

Z różnicy téj zasadniczéj w zapatrywaniu się na osobę Jezusa wypływa różnica tycząca się formy i ducha Ewangelij. Wtrzech

pierwszych przeważa ułamkowość, w czwartéj znajdujemy ciągłość i jednolitość. W tamtych uwydatnia się przedewszystkiém chęć przedstawienia wypadków przedmiotowo, w sposób taki, jak według opowiadających, one w rzeczywistości się odbywały. W téj uderza dążność do nauczania, przekonywania. W tamtych góruje nastrój epiczny, w téj dogmatyczny. Tamtych język jest prosty, obrazowy; styl czysto opisowy. W téj język metafizyczny, zawiły, pełny przenośni; styl dyalogowy, kazuistyczny.

Jeśli przechodząc od tego, co trzy pierwsze Ewangelie różni od czwartéj, do tego co te trzy z sobą zbliża, porównamy każdą z nich z dwiema drugiemi, to odkryjemy, że główna przyczyna tego zbliżenia leży w tém, że w każdéj z nich, oprócz przytoczonych tych samych słów i nauk mistrza, znajdujemy nietylko większość tych samych i to najgłówniejszych epizodów, jakie spotykamy w innych dwóch, lecz że epizody te w każdéj z nich są temi samemi prawie opowiedziane słowami. Z takiego układu synoptycznych Ewangelij wypływa, że w 1-széj jedna czwarta część zawartości, w 2-giéj jedna ósma, w 3-ciéj jedna trzecia stanowią tylko oryginalny, właściwy jednéj, wyłączny każdéj z nich materyał. Pozostałe zaś części są bądź wspólne z jedną z dwóch, bądź téż z obydwiema. Ta to właśnie wspólność materyału stanowi podobieństwo między niemi co do formy; na niéj polega zgodność ich co do treści, jedność co do ducha i poglądów.

Przy tém wszystkiém jednakże i w synoptycznych Ewangeliach znajdujemy pewne sprzeczności.

I tak. Częstokroć jedne i te same wydarzenia są podane w każdéj z trzech na tle tak odmiennych okoliczności, że można by było przyjąć je śmiało za trzy różne, od siebie niezależne fakty. Naprzykład. Czytamy w Ewangelii według Mateusza (XX, 29—34), że Jezus uzdrowił *dwóch* ślepych *wychodząc* z Jerycho. W Ewangelii według Łukasza (XVIII, 35—43) znajdujemy, że uzdrowił tylko *jednego* i to *wchodząc* do tego miasta. Nakoniec Ewangelia według Marka zgadza się z poprzednią co do ilości, podając, że ślepy był tylko *jeden* (X, 47—51) lecz za to potwierdza szczegół podany przez 1-szą, że Jezus uzdrowił ślepego *wychodząc* z miasta. W podobnyż sposób Ewangelia według Mateusza opowiada o uzdrowieniu przez Jezusa w krainie Gerazeńskiéj *dwóch* opętanych (VIII, 28). Według Marka (V, 2) Jezus uzdrowił w téj krainie jednego tylko opętanego.

Czasem ta sprzeczność jeszcze się bardziéj uwydatnia. W Ewangelii według Mateusza (X, 10) i według Łukasza (IX, 3) czytamy, że Jezus, rozsyłając Apostołów do różnych ziem na misyą i zakazując im brać cokolwiek bądź z sobą w drogę, nawet i lasek zabronił im

zabrać. W 2-giéj laski jedynie tylko im brać zaleca. Dwie Ewangelię według Mateusza (XXVII, 44) i według Marka (XV, 32), podają, że złoczyńcy, którzy byli pospołu ukrzyżowani z Jezusem, urągali się mu *oba* razem. Ewangelia według Łukasza (XXIII, 39—43) utrzymuje, że *jeden* tylko złoczyńca to czynił. Drugi zaś miał się nawet zwrócić do Jezusa z prośbą następną: „pomnij na mnie, gdy przyjdziesz do królestwa swego."

Nakoniec niektóre sprzeczności przybierają rozmiary bardzo poważne. W Ewangelii według Mateusza czytamy, że niewiasty, przyszedłszy nad rankiem do grobu, w którym ciało Jezusa po śmierci było złożone i ujrzawszy anioła, skoro się tylko dowiedziały od niego, że ten, którego ciało nawiedzić chciały, zmartwychwstał, „z bojaźnią i z radością wielką bieżały opowiedziéć uczniom jego" (XXVIII, 8). Ewangelia według Marka utrzymuje, że niewiasty te „uciekły z grobu, albowiem wzięło je drżenie i zdumienie; a nikomu nie opowiadały, bo się bały" (XVI, 8). Również Ewangelia 1-sza oznajmia, że rodzice Jezusa po narodzeniu jego, z Betlehemu udali się do Egiptu (II, 14). Ewangelia według Łukasza podaje, że udali się do Nazaretu, miasta swego (II, 39).

Przytém należy zwrócić uwagę na jedną jeszcze okoliczność ważną. Pomimo posługiwania się przez autorów Ewangelij jednakowemi zazwyczaj wyrazami przy opisywaniu tych samych wypadków, trudno jest jednakże znaleść chociażby dwa wersety, które-by we wszystkich trzech Ewangeliach były powtórzeniem dosłowném jeden drugiego. Częstokroć nawet przy opisaniu jednego faktu, chociaż się zgadzają wszelkie szczegóły główne i drugorzędne okoliczności, ułożenie zdań i ich następstwo po sobie jest zupełnie różne (Mat. III, Mar. I; Mat. IX, 18, Mark. V, 23).

Zasadnicza różnica pomiędzy trzema Ewangeliami a czwartą jak również podobieństwo uderzające obok niezgodności pewnych, tożsamość zupełna obok sprzeczności najwidoczniejszych pomiędzy pierwszemi, już od czasów reformacyi niepokoiły umysły teologów niemieckich i po części angielskich, budząc pytanie, czemu należy przypisać jak jedno tak drugie. Ponieważ rzeczą było widoczną, że zarówno to, co zbliża, jak i to, co oddala, było wynikiem sposobu powstawania Ewangelij, pojawiały się więc rozmaite teorye powstawania ich. Zwrócono się najpierwéj do trzech Ewangelij synoptycznych, sądząc, i słusznie, że wyjaśnienie ich pochodzenia rzuci następnie światło na pochodzenie czwartéj.

Nim poznamy pogląd na rzecz tę Renana, nim przypatrzymy się powstawaniu Ewangelij w jego Historyi początków Chrystyanizmu, zatrzymamy się chwilowo na pracach i pomysłach jego poprzedników.

Najprostszém tłómaczeniem różnicy pomiędzy synoptycznemi Ewangeliami a czwartą jak zarazem podobieństwa pomiędzy trzema było przypuszczenie, że autorowie trzech pierwszych Ewangelij korzystali jeden z drugiego, że ten, który pierwszy napisał Ewangelią, służył za źródło dla drugiego, oba razem dla trzeciego. Szło tutaj tylko o to, która z trzech Ewangelij mogła być pierwszą. Teoryą tę głównie rozwijali i cechy pierwszeństwa po kolei każdéj z trzech przyznawali Hugo Grotius jeszcze w XVII stuleciu a następnie Storr, Büsching, Evanson, Vogel, Griesbach pod koniec XVIII w. Lecz teorya ta, tłómacząc różnicę między synoptycznemi a czwartą jak również podobieństwo między trzema, nie wyjaśniała wcale sprzeczności między temi trzema zachodzących. Przytém przeciwnicy téj teoryi, opierając się na fakcie, że każda z trzech Ewangelij, oprócz wiadomości, które jéj są wspólne z innemi, zawiera jeszcze takie, które jéj tylko są właściwe, udowodnili, że każdy z trzech ewangelistów, któregokolwiek byśmy trzecim nazwali i któremu byśmy wskutek tego korzystać z dwóch pierwszych kazali, opuszcza takie fakta, które by wybornie uzupełnić mogły te, które zebrał. Śmiały i trafny ten zarzut obalił całą teoryą. Należało zwrócić się w stronę inną.

Jeśli ewangeliści wiadomości swych nie zaczerpnęli jeden od drugiego, musieli czerpać je ze źródeł obcych. Źródła te mogły być dwojakie: piśmienne i ustne. Naprzód wystąpiła teorya źródeł piśmiennych. Teorya ta dwojakie przedstawia stopnie.

Leclerc, a następnie Michaelis, Koppe, Schleiermacher utrzymywali, że ewangelistom materyału do ich utworów dostarczyły drobne a luźne opowieści o Jezusie, krążące w pierwotnych gminach chrześciańskich. Pomysł ten atoli nie tłómaczy wielu rzeczy, a głównie planu Ewangelij synoptycznych: Jeżeli bowiem ewangeliści niezależnie jeden od drugiego korzystali z licznych opowiadań piśmiennych, zkąd pochodzić może układ materyału w Ewangeliach naszych zupełnie prawie jednaki,— a to tembardziéj, że układ ten, nie odpowiadając rzeczywistemu rozwojowi wypadków, a więc nie będąc oparty na chronologii, nie podlega żadnéj normie.

Zarzut ten skłonił Eichhorna do przypuszczenia Ewangelii pierwotnéj. Ponieważ sam pomysł Ewangelii pierwotnéj nie tłómaczył niezgodności z sobą w wielu wypadkach Ewangelij naszych, ani téż wyłączności niektórych w każdéj z nich wiadomości, przeto już i sam autor tego pomysłu, a w ślad za nim główny jego zwolennik Marsh przypuszczali, że owa Ewangelia pierwotna sama podlegała rozmaitym redakcyom, które w niéj różne zmiany stopniowo wprowadzały, i że właśnie w czasie takiego przeistaczania się służyła za źródło i pierwowzór naszym ewangelistom. Eichhorn podawał po-

czątkowo treść takich redakcyj; następnie stopniowe przekształcenie się pierwotnéj Ewangelii przez 12 przeprowadził stopni; Marsh zatrzymał się na 8. (1)

Systemat ten podlegał dwom zarzutom: 1) że jako zanadto sztuczny nie może być rzeczywistym; 2) że nie opiera się na żadnych historycznych danych.

Po obaleniu teoryi zarówno wielu źródeł piśmiennych jako téż i jednego, nastąpił czas na teoryą podań ustnych. Wystąpił z nią Gieseler. Dla należytego wyjaśnienia przez tę teoryą podobieństwa pomiędzy trzema pierwszemi Ewangeliami konieczném było przypuścić, że te ustne podania w czasach, kiedy służyły za źródło naszym ewangelistom, utrwaliły się zupełnie i otrzymały formę stałą i niezmienną. W takim razie czémże objaśnić ten fakt, że przemówienie Jezusa, stanowiące w Ewangelii według Mateusza jedną całość, w Ewangelii według Łukasza rozpada się na kilka drobniejszych, zastosowanych do odmiennych okoliczności, umieszczonych w rozmaitych chwilach życia? Dla czego, jeśli podania były utrwalone, spotykamy tyle niezgadzających się z sobą szczegółów w opowiadaniu każdego ewangelisty o ostatnich chwilach życia Jezusa? I daléj. Nie wszystkie przemówienia i wyrzeczenia Jezusa weszły do naszych Ewangelij. Niektóre z nich przechowały się w innych jeszcze pomnikach Nowego Testamentu, a nawet w pismach mężów apostolskich. Lecz jak te, które zostały przez ewangelistów zapisane, tak zarówno i te, które ewangeliści pominęli, początkowo krążyć mogły tylko w podaniach. Otóż żeby wytłómaczyć dla czego ewangeliści jedne pominęli a drugie tak zgodnie pomieścili w swych pismach, należałoby przypuścić, że działali według pewnych zasad, że ułożyli się pod tym względem z sobą i uchwalili wspólny programat,—co jednakże było niemożebnem.

Wskazanie podań ustnych jako źródło Ewangelij synoptycznych zamyka peryod pierwszy badań nad ich pochodzeniem. Po-

---

(1) 1. Ewangelia pierwotna w języku aramejskim.
2. Przekład jéj grecki.
3. Przekład tekstu aramejskiego *A*.
4. Przeróbka tekstu aramejskiego *B*.
5. Przeróbka dwóch *A* i *B* i zlanie ich w jeden *C*.
6. Kopia przeróbki *A*, zawierająca pewne uzupełnienia *AA*.
7. Kopia przeróbki *B*, zawierająca inne niż w kopii *A*, uzupełnienia *BB*.
8. Ostatnia przeróbka tekstu aramejskiego *D*.

Oto w jaki sposób z tych rozmaitych tekstów korzystali, według Marsh'a, nasi synoptycy: Mateusz, który napisał Ewangelią swoję po aramejsku, korzystał z *AA* i *D*,—Łukasz z tekstów *BB* i *D* i przekładu greckiego,— Marek z *C* i przekładu greckiego.

nieważ nie udało się wyszukać żadnéj teoryi ogólnéj, któraby zadawalniająco objaśnić mogła pochodzenie wszystkich trzech Ewangelij razem wziętych i jako jednę całość rozpatrywanych, w peryodzie drugim zaczęto badać pochodzenie każdéj Ewangelii branéj zosobna. Teoryą formowania się Ewangelij zastąpiła historya powstania każdéj Ewangelii oddzielnie.

Praca poprzednia nie przepadła jednakże bezużytecznie. Owocem jéj było: 1) wszechstronne zbadanie tekstów Ewangelij; 2) hipotetyczne odkrycie Ewangelii pierwotnéj; 3) wykazanie znaczenia podań ustnych i ich wpływu na formowanie się i przekształcanie się Ewangelij naszych. A nadto stało się rzeczą zupełnie widoczną, że niezależnie od źródła, z którego powstały Ewangelie, niezależnie od wzajemnego ich do siebie stosunku, ostateczne sformowanie się dzisiejszych Ewangelij wymagało dłuższego przeciągu czasu niż życie jednego pokolenia.

Badania krytyczne w tym peryodzie są związane w Niemczech z imionami Wette, Baur, Strauss, Schwegler, Bleek, Ewald, Hilgenfeld, Hausrath; we Francyi: Reuss, Reville, Nicolas.

Renan w swojéj Historyi początków Chrystyanizmu przedstawia formowanie się Ewangelij historyczne. Korzysta z prac poprzedników, godzi ich pomysły i porządkuje je na szerokim tle dziejów. W jego Historyi znajdujemy ślady wszystkich poprzednich teoryj, lecz w zupełnie nowém zastosowaniu. Przechodzimy więc do teoryi Renana.

Po śmierci Jezusa, w kole jego uczniów i wyznawców przechowywały się, przechodząc z ust do ust, przemówienia jego. Z rozmów o nim powstały krótkie, epizodyczne opowiadania o jego czynach. Niezapisywano niczego, ponieważ wszystko to co zapisać-by można, tkwiło w sercu i umyśle każdego, kierowało chęciami, rządziło czynami, stanowiło istotę życia, myśli, uczuć; a przytém z dnia na dzień oczekiwano powrotu mistrza i zależnych od tego zmian na ziemi. Dopiero, gdy grono uczestników idylli galilejskich i świadków naocznych dramatu jerozolimskiego zaczęło się przerzedzać, gdy pokolenie pierwsze zstępować zaczęło do grobu, uwydatniła się konieczność utrwalenia nauki mistrza i pamięci czynów jego na piśmie. Powstała więc Ewangelia piśmienna. Zredagować Ewangelią wówczas było rzeczą niezmiernie łatwą. Wszystko było oddawna przygotowaném do tego. Treść jéj rzec można unosiła się w powietrzu. Powstać ona mogła około 75 r. Ewangelią tę nazwano późniéj stosownie do jéj pochodzenia „według Hebreów.“ Urywki jéj przechowały się u różnych pisarzy chrześciańskich. Sama zaś przechowywała się

do V-go wieku. Z natury rzeczy zredagowaną ona była w języku społeczeństwa, wśród którego powstała, będącym zarazem językiem tego, czyje czyny i naukę głosiła. Był zaś to język syryjsko-chaldejski, ówcześnie w Palestynie powszechnie używany.

Lecz chrystyanizm jeszcze za życia pierwszéj generacyi przeszedł za obręb gmin żydowskich. Rozpowszechniając się w świecie greckim, potrzebował Ewangelii greckiéj. Otóż współcześnie z hebrajską powstaje i grecka. Doszła ona do naszych czasów i znaną nam jest jako 2-ga, „według Marka.“ Układa ją Marek, uczeń i towarzysz Apostoła Piotra. Marek czerpał dla swojéj pracy materyał z opowiadań Piotra, ztąd w jego Ewangelii ten realizm życiowy, ścisłość szczegółów, wyrazistość rysunku, oryginalność kolorytu, słowem wszelkie cechy autentyczności. Piotr o życiu Jezusa nie wykładał systematycznie, lecz przemówienia jego cytował stosownie do okoliczności, czyny przedstawiał dorywczo. Dla tego w Ewangelii Marka tyle opuszczeń i brak planu logicznie obmyślanego, a przytém pisał prawdopodobnie z pamięci i po śmierci Piotra; to mogło zwiększyć jeszcze pewne niedokładności. Marek redagował Ewangelią dla Greków i Rzymian, nieznających teatru wypadków ani zwyczajów miejscowych, wdaje się więc w pewne objaśnienia, unika cytat ze Starego Testamentu oraz wszelkiéj egzegetyki. Dowodów więc mesyanizmu Jezusa szuka w cudach i przedstawia je szczegółowo, z uwydatnieniem całego aparatu, z którym ci byli tak dobrze obeznani. Pisał w Rzymie, dla tego w jego Ewangelii więcéj latynizmów niż w innych. Wiersz 2-gi rozdziału XIII, przedstawiającego małą apokalipsę, wskazuje, że pisał po wypadkach 70 roku, lecz wkrótce po nich, gdyż tkwią one mu żywo w pamięci, więc zapewne około 75. Mogła Ewangelia ta podledz uzupełnieniom w rodzaju dodatku do rozdziału XVI (9—20). Lecz w każdym razie uzupełnienia te nie zmieniły pierwotnéj jéj postaci.

Ponieważ Ewangelia według Hebreów ani téż Marka nie wyczerpała wszystkich podań ustnych, a nadto, ta druga oznajmionemu z bogactwem ich i różnobarwnością mogła się wydać zbyt suchą, zbyt prostaczą dla bardziéj wykwintnych usposobień, zbyt materyalną dla patrzących na rzeczy z odległości większéj czasu lub przestrzeni, wynikła przeto potrzeba nowéj Ewangelii. Potrzeba ta zrodziła Ewangelią naszą 1-szą, „według Mateusza.“ Autor téj Ewangelii za podstawę w swéj pracy wziął Ewangelią Marka. Zachowuje więc jéj plan ogólny, trzyma się następstwa epizodów. Tylko w dwojaki sposób ją uzupełnia: już to wtrąca długie przemówienia Jezusa, już to dodaje różne podania późniejsze. Dopełnia zaś tego mechanicznie. Ztąd pochodzi zlanie w jedną całość przemówień

Jezusa mianych w rozmaitych czasach, związanych tylko z sobą myślą przewodnią (Rozd. XIII, XXIII); oraz zdwajania wypadków, naprzykład: dwa uzdrowienia dwóch ślepych (IX, 27—30; XX, 29—34); dwa rozmnożenia pokarmu (XIV, 13—21; XV, 32—39); dwa razy powtórzona rada co do zgorszenia (V, 29—30; XVIII, 8—9). Daléj Marek w prostocie swéj wypowiada wiele takich rzeczy, które późniéj raziły. Otóż autor późniejszéj Ewangelii łagodzi wyrażenia ostre, fakta same modyfikuje stosownie (Mar. VI, 5, Mat. XIII, 58; Mar. X, 29—30, Mat. XIX, 29). Również każe Jezusowi przemawiać już o kościele swoim i nadać mu Piotra za głowę (XVI, 18; XVIII, 17). Dla chrztu wynajduje formułę, w któréj tkwi dogmat Trójcy (XXVIII, 19). Wszystko to świadczy o rozwoju większym nowéj religii a więc i o pochodzeniu późniejszém téj Ewangelii. Jednakże powtórzenie za Markiem wszystkich pomysłów apokaliptycznych nie pozwala zbyt jednę od drugiéj oddalić. Renan téż pod rokiem 85 kładzie redakcyą Ewangelii 1-széj.

Wielką zasługę szkoły teologów tubingeńskich, na czele któréj stali F. Ch. Baur, Schwegler, stanowi wyśledzenie antagonizmu pomiędzy dwoma apostołami: Piotrem i Pawłem. Antagonizm ten był nie małym bodźcem w rozwoju chrystyanizmu pierwotnego. Obie wzmiankowane Ewangelie, jeśli nie z tendencyi, to wskutek wielkiéj obiektywności a poczęści wpływu otoczenia, popierały kierunek Piotra. Autor Ewangelii 3-ciéj rozmyślnie służy widokom Pawła. Prawdopodobnie jest nim ów Lukanus, który od pobytu Apostoła w Macedonii stał się uczniem jego i towarzyszem we wszystkich przygodach i tylekrotnie jest wspominany w listach. Powagę Pawła podkopywała ta okoliczność, że nie należał do owych 12-stu, którym Jezus powierzył misyą apostolską. Łukasz wprowadza zmianę w tradycyi. Oprócz 12—według niego, Jezus naznacza jeszcze 72 innych i rozsyła ich w tym celu, w jakim rozesłał tamtych (X, 1). Duch Pawła stanowczo się uwydatnia w teoryi nawrócenia i przebaczenia, w podniesieniu Samaryi. U niego bowiem znajdujemy przypowieści o synu marnotrawnym, owcy zbłąkanéj, drachmie zgubionéj, dobrym Samarytaninie On każe nawrócić się jednemu z dwóch łotrów ukrzyżowanych z Jezusem; on wkłada te wspaniałe słowa w usta Jezusa: „Syn człowieczy nie przyszedł zatracać dusze, ale zachowywać“ (IX, 56). A nadto zmniejsza udział czynny żołnierzy rzymskich przy ukrzyżowaniu. O biczowaniu zupełnie zamilcza. Setnik, według niego, wydaje nawet świadectwo o sprawiedliwości zamordowanego (XXIII, 47). Autor zna Marka i korzysta z niego w taki sposób, w jaki korzystał „Mateusz“; lecz niezna Ewangelii tego drugiego. Jednę trzecią materyału sobie tylko właściwego, czerpie z ustnych

podań i legend, które obficiéj od innych wprowadza. Zapisuje przytém pieśni i hymny okolicznościowe. Jakkolwiek znać umiejętniejszą i staranniejszą redakcyą, sam sposób jednakże redagowania przyprawia go o niedokładności i powtarzanie się. Prawdopodobnie nie będąc pochodzenia żydowskiego, nie zna Palestyny i obyczajów żydowskich. A ponieważ pisze nie dla żydów, opuszcza więc wszystko, co nie mogło wzbudzać w jego czytelnikach wielkiego interesu. Przytém dwie rzeczy nie zgadzające się z sobą uderzają w nim: zamiłowanie porządku, patronowanie dla rządu i jego przedstawicieli, co zawdzięcza pewnie tradycyom rodzinnym, oraz tendencye socyalne. „Jeśli kto idzie do mnie— mówi Jezus do rzeszy słuchających— a nie ma w nienawiści ojca swego i matki, i żony i dzieci, i braci i siostr, jeszcze też i zdrowia swego, nie może być moim uczniem" (XIV, 26; u Mat. X, 37, to wyrażenie znacznie zmodyfikowane). Przytém autor nienawidzi bogactwa. Zamiłowanie w niém nazywa złem wielkiém. Podnosi więc ubogich i maluczkich. Bogaty, według niego, zawsze winny. Piekło ma się stać jego udziałem. Królestwo boże będzie świętem ubogich. Zmianą porządku społecznego, wystąpienie nowych klas musi się spełnić. Kiedy autor pisał Ewangelią swoję, Jerozolima (jak tego dowodzi w. 24, r. XXI) nie była jeszcze jako *Aelia Capitolina* (r. 122) odbudowana. Więc pisał przed rokiem 122. A ponieważ podzielał jeszcze poglądy apokaliptyczne Marka (XXI) i powtarza zapewnienie Jezusa, że „nie przeminie ten to wiek, aż się wszystko ziści" (w. 32) i, że „są niektórzy stojący, którzy nie ukuszą śmierci, aż oglądać będą królestwo boże" (IX, 27), chociaż stara się je osłabić (XXI, 9), mógł więc pisać jeszcze pod koniec 1-go stulecia (około r. 94). (1)

Przy rozpatrywaniu Ewangelij synoptycznych, złączonych z sobą treścią i duchem, główną kwestyą stanowiło powstawanie tych Ewangelij i stosunek ich do siebie. Osobistość autora, który właściwie był tylko redaktorem. a poniekąd i czas, kiedy powstały, schodziły na plan drugi. Inaczéj rzecz się przedstawia, gdy idzie o czwartą. Tu należy odkryć autora, gdyż z nim związany jest nowy pogląd na osobę Jezusa; należy odkryć czas, gdyż Ewangelia ta, wnosząc nowe żywioły, stanowi epokę w historyi chrystyanizmu.

---

(1) Niektórzy krytycy w ustępach apokaliptycznych pierwszych trzech Ewangelij widzą urywki Apokalipsy Jezusa, która mogła się pokazać w czasie prześladowania chrześcian za Nerona i poprzedzać Apokalipsę Jana. Naprowadzają na ten wniosek słowa Euzebiusza Cezarejskiego (Hist. Eccl. III, V) o proroctwach otrzymanych przez Chrześcian zamieszkałych w Jerozolimie przed zaburzeniami w Judei (r. 60), które skłoniły ich do opuszczenia miasta. Czemu zawdzięczają zachowanie życia swego.

Janowi Apostołowi przypisane są trojakiego rodzaju utwory w Nowym Testamencie: Apokalipsis, Ewangelia 4-ta i trzy listy. Różnica pomiędzy poglądami autora Apokalipsis i autora Ewangelii (Listy w jednym duchu są napisane z Ewangelią) jest zasadnicza. Dwa te utwory stanowią dwa przeciwległe bieguny w jednym zbiorze. Są wyrazem dwóch krańcowych partyj. Autor Apokalipsy stoi na gruncie narodowym i religijnym całkowicie. Jest o tyle wyznawcą Jezusa, w którym uznaje Mesyasza, o ile patryotą. Autor Ewangelii zrywa zupełnie z judaizmem, pod względem narodowym i religijnym. Apokalipsa łączy chrystanizm z mozaizmem. Ewangelia 4-ta przedstawia nowe pojmowanie chrystyanizmu, którego nowość polega na oderwaniu go od mozaizmu. Jednego przeto pióra oba te utwory być nie mogą. Jeśli Jan napisał Apokalipsę, napisać nie mógł Ewangelii. I na odwrót. Większe prawdopodobieństwo przemawia za przypisaniem Janowi autorstwa Apokalipsy niż Ewangelii. W takim razie, kto być może autorem Ewangelii? Gdzie i kiedy powstała ona? Co przykuwa imię Apostoła do niéj?

Według tradycyi, Apostoł Jan, uniknąwszy szczęśliwie prześladowania w Rzymie i Judei, schronił się do Efezu i tam doczekał się późnéj starości, w kole uwielbiających go uczniów. Z opowiadań jego o wypadkach palestyńskich uformował się cykl podań, które pod pewnemi względami różniły się od podań powstałych w innych ogniskach chrystyanizmu, lecz którym autorytet Apostoła, jako widza naocznego i uczestnika wypadków, nadawał przeważające znaczenie. W Efezie tradycya również mieści ognisko filozoficznego ruchu, wywołanego teoryami metafizycznemi Filona, i, co jest w ścisłym związku z tamtém, podaje to miasto za miejsce pobytu jednego z twórców i propagatorów gnostycyzmu Orynta wraz z jego szkołą. Zetknięcie się tradycyj pierwotnych chrześciańskich z filozofią Filona wywarło, jak wiemy, stanowczy wpływ na nową religią. Wstąpiła ona na nową drogę. Ewangelia 4-ta przedstawia, co również wiemy, ten zwrót stanowczy. Otóż zetknięcie się to, według Renana, nastąpiło w Efezie i pierwszą próbę, uwieńczoną pomyślnym skutkiem, zaszczepienia pomysłów metafizycznych na realnym gruncie chrystyanizmu pierwotnego dokonał jeden z uczniów Jana. Próbą tą była Ewangelia 4-ta. Uczniem zaś tym prawdopodobnie był ów *ho presbyteros Jôannês*, o którym wspomina Papias, według świadectwa Euzebiusza Aleksandjskiryego (Hist. Eccl. III, 39). Mogła więc Ewangelia 4-ta powstać dopiero po śmierci Jana. Prawdopodobnie około 126 r.

Uznanie w Jezusie *słowa* bożego stawia odrazu osobę jego na zupełnie innym gruncie, w zupełnie innych stosunkach do dawniej

szego otoczenia. Jako *hypostasis* boska, widoma emanacya na ziemi substancyi bożéj, jako „słowo, które się stało ciałem,“ Jezus nic nie mógł mieć wspólnego z owym przez żydów wyglądanym Mesyaszem, który nieszczęsny ów naród z pod obcéj miał wybawić przemocy i zapewnić mu przewodnictwo wśród innych narodów (1). Dla tego autor téj Ewangelii stanowczo zrywa z tradycyami narodowemi, dla tego nie powtarza już pomysłów apokaliptycznych, które przy tym kierunku nowym tracą już wszelką podstawę.

Dział *drugi* Nowego Testamentu stanowią Dzieje apostolskie. Obejmują one przeciąg czasu od śmierci mistrza nazarejskiego do przybycia Apostoła Pawła do Rzymu (r. 33—63). Autorem Dziejów jest autor 3-ciéj Ewangelii. Dowodzą tego początkowe wersety rozdziału 1-go, język i styl podobny do języka i stylu téj Ewangelii, jednakowe tendencye, a nadto duch tolerancyi, zgody i porządku, wspólny obu tym utworom. W rozdziale XVI, w którym znajdujemy opis pierwszego pobytu Pawła w Macedonii (r. 52) autor, od wersetu 10, zaczyna używać osoby pierwszéj liczby mnogiéj w opowiadaniu. Dowodzi to, że osobiście od tego czasu przyjmował udział w wypadkach, któremi były podróże apostoła Pawła. Zwrot ten w mowie pozwala podzielić Dzieje na dwie części prawie równe (I—XVI, 10; XVI, 10—XXVIII). Główna różnica pomiędzy obu temi częściami wypływa z rodzaju materyału, który służył autorowi do kreślenia tych dziejów. Dla części 1-széj były to legendy, opowiadania tych, z którymi przestawał a może i zapiski jakie piśmienne; dla 2-giéj, osobiste wspomnienia. Zamiłowanie do legend, które autor uwydatnił już w Ewangelii, tu go wcale nie opuściło. Dzieje Apostolskie są od Ewangelii 3-ciéj późniejsze. Powstać przeto mogły około roku 100 i niechybnie w Rzymie.

Dział *trzeci* Nowego Testamentu stanowią listy pisane przez Apostołów do gmin chrześciańskich lub osób prywatnych. Są to najdawniejsze dokumenta piśmienne z całego zbioru. Chociaż wszystkie są okolicznościowe, jednakże ich znaczenie zarówno dla doktryny jak i historyi jest pierwszorzędne. Oprócz bowiem wykładu zasad zawierają jeszcze wskazówki co do zastosowywania tych zasad do praktyki. A przytém, ponieważ wykazują wyjątkowe błędy i karcą wybitniejsze nadużycia, wtajemniczyć nas mogą w wewnętrzne życie chrześcian pierwotnych. Dla historyka przeto, śledzącego rozwój

---

(1) Werset 13, rozd. XIX Apokalipsy zmienić nie może tego twierdzenia o Ewangelii 4-téj. Wyrażenie „a zowią imię jego Słowo Boże“ nie ma tu tego znaczenia, jakie otrzymuje w Ewangelii.

rzeczywisty pojęć i faktów, autentyczność tych listów staje się kwestyą pierwszorzędną.

Na czele wszystkich listów są umieszczone listy Pawła. Jest ich 14. Z téj liczby 13 noszą nadpisy dowodzące, że są Pawła; jeden, do Hebreów, tego nadpisu nie posiada i tylko na podstawie tradycyi Pawłowi jest przypisywany. Jednakże i wśród 13 z nadpisami znajdują się takie, których krytyka nie może uznać za autentyczne, lub o których autentyczności w większym lub mniejszym stopniu powątpiewa. Pod względem przeto autentyczności podzielić się one wszystkie dadzą na 5 grup.

Grupę 1-szą tworzą listy nie wzbudzające żadnego podejrzenia i podejrzeniu nigdy nie poddawane. Takiemi są: Do Galatów; dwa do Koryntyan; list do Rzymian. Razem 4.

Grupę 2-gą składają listy autentyczne, lecz podlegające pewnym zarzutom. Temi są: dwa do Tessalończyków i jeden do Filippian. Razem 3.

Głównie podejrzenie wzbudza w téj grupie list do Tessalończyków 2-gi, a to z przyczyny rozwijanéj w rozdziale 2-gim teoryi o Antychryście. Co naprowadza na wniosek, że ten list późniejszym być może od Apokalipsy Jana, a więc napisany po śmierci Nerona, który w téj Apokalipsie uosabia Antychrysta. Śmierć zaś Nerona (r. 68) o cztery lata nastąpiła późniéj od śmierci Pawła (64). Zarzut ten Renan zbija, wykazując, że autor Apokalipsy tylko do swego czasu zastosowuje pomysł o Antychryście, sięgający w rzeczywistości czasów dawniejszych.

Grupę 3-cią stanowią listy autentyczności prawdopodobnéj, lecz ważnym podlegające zarzutom. Jest to list do Kolossów i do Filemona. Razem 2.

Zarzuty wzbudza list do Kolossów formą swoją i treścią. Język pod względem słownictwa jest odmienny od zwykłego. Styl stracił swą naturalność i wzniosłość. Stał się napuszonym, sztucznym, deklamatorskim. W treści uderza pewne powinowactwo z pismami przypisywanemi Janowi (Ewangelia 4 i listy), zbliżenie się do gnostycyzmu, chęć pogodzenia dawniejszych poglądów Pawła z poglądami przeciwników. Renan, broniąc autentyczności tego listu, powołuje się najpierwéj na czas, z którego pochodzi. Są to lata więzienne Pawła, w ogóle bardzo niedokładnie znane. Daléj utrzymuje, że uderzający sposób wyrażania się, i własności stylowe tego listu dadzą się wyszukać choć w mniejszym stopniu i w innych. Treść listu usprawiedliwia właściwościami charakteru autora. Paweł był umysłu ruchliwego, niespokojnego, łatwo podlegał wrażeniom, nigdy się nie zatrzymywał na jednym miejscu, na jednéj doktrynie. Zmiana poglądów przy

takim usposobieniu leży w naturze rzeczy. Témbardziéj, w tym wypadku to możebne, że i pisma autentyczne dowodzą takiéj zmienności. Co się tycze gnostycyzmu, to właściwie nie śladu, lecz początków jego w pismach z téj epoki szukać by należało. Najbardziéj zaś za autentycznością listu do Kolossów, w oczach Renana, przemawia związek tego listu z listem de Filemona. Oba autentyczne lub oba fałszywe. List atoli do Filemona tchnie rzadką szczerością i prawdą. Tylko Paweł sam mógł stworzyć to małe w swoim rodzaju arcydzieło. Dowody przeto autentyczności listu do Kolossów na szali krytyki przeważają.

Grupę 4 tą stanowi list do Efezów. Autentyczność jego jest bardzo wątpliwa. Renan pozostawia kwestyą nierozstrzygniętą.

Grupę 5-tą składają trzy listy, dwa do Tymoteusza i jeden do Tytusa, uznane przez wszystkich krytyków za fałszywe. Pochodzić one mogą z czasów znacznie późniejszych (r. 90—100). I były napisane w obronie zasad hierarchicznych podówczas już rozwijanych i autorytetu powstającego kościoła.

List „do Hebreów", błędnie Pawłowi przypisywany, jest według Renana, pióra Barnaby, prawdopodobnie został napisany w Efezie, około 66 r. i przeznaczony nie dla Hebreów, jak wskazuje nadpis, lecz dla chrześcian w Rzymie, podówczas wielce prześladowanych (1).

Za listami Pawła idzie w zbiorze listów—Jakóba. Maluje on wiernie stan moralny Ebionitów jerozolimskich w latach poprzedzających wybuch powstania w Judei (r. 66). Po nim następują *dwa* listy Piotra. Pierwszy jest autentyczny, pochodzi z ostatnich chwil życia Apostoła. Drugi, apokryf, o wiele jest późniejszym. Został on napisany około 128 r. w czasach gdy wiara w przyjście powtórne Jezusa ostatecznie się chwiać zaczęła. Nieznany autor tego listu zaleca cierpliwość, uczy jak spokojnie oczekiwać należy ziszczenia się obietnic. Za tém idą *trzy* listy Jana. Pierwszy kilkakrotnie przewyższa dwa inne długością. Nie podlega wątpliwości, że skreśliła go ta sama ręka, któréj zawdzięczamy Ewangelią 4-tą. Ten sam język, te same pojęcia. Należy więc przypuszczać, że autor napisał ten list w celu przygotowania umysłów do przyjęcia Ewangelii. W dwóch następnych dwa wersety pierwsze wskazują już wyraźnie, że pisał je *ho presbyteros*. Nim nikt inny być nie mógł jak ów *Jôannès* domniemany autor Ewangelii. Tak więc nowa jeszcze wskazówka co do osoby autora listu pierwszego i Ewangelii.

---

(1) Listu tego nie należy brać za jedno z listem apokryficznym Barnaby, pochodzącym prawdopodobnie z Aleksandryi i z czasów Nerwy (r. 97—98).

Zbiór listów zamyka list Judy. Powstał on wśród walki apostoła Pawła z partyą żydowsko-chrześciańską. Jest przeto echem téj walki, wyrazem opinii o Pawle jego przeciwników. Renan kładzie go pod rokiem 54.

Zbliżyliśmy się nakoniec do działu 4-go Nowego Testamentu. Stanowi go Apokalipsa. Podlega w niéj widzeniom i takowe następnie opowiada Apostół Jan. Tradycya przypisuje jemu również, jak wiemy, i autorstwo tego utworu. Byłby to wprawdzie wyjątek, odstąpienie od zwyczaju przyjętego w tego rodzaju literaturze, żeby autor we własném imieniu podawał widzenia; ale wyjątek ten w tym razie za możliwy jest poczytywany.

Apokalipsę Jana również jak i wszystkie inne wywołały wypadki dziejowe. Pochodzi ona z początku roku 69. Wtedy rządzili państwem trzéj Cezarowie, a pseudo-Neron na wyspie Cytnos wyczekiwał zgromadzenia się wszystkich swych stronników. Fantazya ludowa zwiększała jeszcze niebezpieczeństwa. Oto prawdziwy Neron, w którego śmierć nie uwierzono, miał się zbliżać na czele Partów, by się pomścić za siebie. Dość przeto było dla rozpalonych nienawiścią i chęcią zemsty, podniecanych przepowiedniami różnemi, żydów i chrześcian by wróżyć upadek Rzymowi. Wyrazem takich usposobień stała się wzmiankowana Apokalipsa. Znajdujemy przeto w niéj jak i we wszystkich innych zapowiedź przewrotów politycznych, erę mesyaniczną, sąd boży, zmartwychwstanie zmarłych, odbudowanie Jerozolimy, zwycięstwo ostateczne żydów. Tylko zamiast wskazania Mesyasza lub zapowiedzenia jego przyjścia na świat spotykamy zapowiedzenie jego powrotu, gdyż w osobie Jezusa już on był na świecie. A ponieważ byli tacy, którzy w niego uwierzyli i śmierć dla niego ponieśli; ponieważ są tacy, którzy w niego wierzą i dla niego prześladowanie cierpią, przeto wyznawcy jego zmarli lub zabici mieć mają swoje osobne zmartwychpowstanie, poprzedzające ogólne, i wraz z żyjącymi swoję erę mesyaniczną, poprzedzającą sąd boży i erę ogólną. Era ta specyalna dla wyznawców Jezusa trwać miała lat 1000. Nastąpić zaś to wszystko miało w bardzo prędkim czasie, gdy Neron, przedstawiony jako Antychryst i nazwany bestyą, któréj imię 44, mszcząc się, zniszczy i zburzy Rzym, a Nerona zwycięży i wrzuci żywego „w jezioro ognia gorejącego i siarki“ powracający napowrót na ziemię Mesyasz, Jezus.

3.

Pod koniec wieku 1-go ery naszéj wśród żyjących już nie stało nikogo z tych, którzy brali udział bezpośrednio w wypadkach pale-

styńskich opowiedzianych w Ewangeliach, lub jedynie byli tych wypadków świadkami. Ich miejsca wybitne w gminach chrześciańskich, zajęli już ci, którzy poszczycić się tylko mogli bliższemi z tamtymi stosunkami. I to już było ważném. I to już przedstawić poniekąd mogło rękojmię, że to co głosili, sami zaczerpnąć mogli z najczystszego źródła. W historyi noszą oni nazwę mężów apostolskich. Tradycye przechowały pamięć a rękopisy imiona dwóch głównie takich mężów: Klemensa z Rzymu i Ignacego z Antyochyi. Poznajmy ich spuściznę literacką.

Najwspanialéj się przedstawia Klemensowa. Oto są przypisywane jemu utwory: Dwa listy do Koryntyan; dwa listy do dziewic; pięć listów dekretalnych; ustawy apostolskie, ksiąg VIII; Spotkanie się (Recognitiones ksiąg X; Homilie, ksiąg XX); O czynach św. Piotra; Liturgia.

Ze wszystkich tych dzieł atoli jedynie tylko jeden list, pierwszy, do Koryntyan jest autentycznym. Pochodzi on z końca 1-go stulecia, a powstał przy okolicznościach następnych. W Koryncie wynikły nieporozumienia pomiędzy władzą przewodniczących w gminie starszych i osobistościami, które opierając się na własném natchnieniu, poczuciem swojéj godności kierowane, nie uznawały i nie chciały podlegać żadnéj władzy. Był to więc spór pomiędzy hierarchią a indywidualizmem. W sporze tym któż bardziéj mógł być zainteresowanym od ucznia i następcy apostoła Piotra? Komuż bardziéj stanowczo głos zabrać należało, niżeli stojącemu na czele gminy rzymskiéj, w któréj tradycye narodowe sprzyjały hierarchii wszelkiéj? List Klemensa do Koryntyan jest to pierwsza odezwa w palącéj kwestyi urządzenia stosunków wewnętrznych w gminach chrześciańskich; pierwsze przemówienie udowadniające konieczności wprowadzenia hierarchii i utrwalenia formalnego porządku opierającego się na karności ścisłéj; pierwszy wykład o obowiązkach wiernych. To téż znalazł list ten wielkie uznanie w sferach właściwych i przez długi czas był zaliczany do pism kanonicznych, składających Nowy Testament.

Ilość pism apokryficznych przypisywanych Klemensowi, świadczy wymownie o wielkiéj jego sławie u potomnych. Apokryfy te powstawały w przeciągu paru wieków, w miarę podnoszenia się tych kwestyj, o których traktowały. Najwcześniejszym wśród nich utworem, gdyż ze środka II-go stulecia, jest Spotkanie się. Doszedł on do nas w dwojakiéj redakcyi; w łacińskiéj pod tytułem Recognitiones; w greckiéj jako Homilie. Jest to powieść obfitująca w przypadki, miejscami alegoryczna. Nić tradycyi jeszcze nie przerwana łączy ją z czasami apostolskiemi a zarazem ze wspomnieniami i obrazami kla-

sycznemi. Bohaterem rzeczywistym w tym romansie jest Piotr apostoł. Przygody rodziny Klemensa, przez niego samego opowiedziane, stanowią tło barwne, na którém rozwija się akcya, czasami wprawdzie dość przewlekła, pomiędzy wszystkiemi główniejszemi osobistościami z ubiegłego stulecia.

Ignacemu Antyochejskiemu są przypisywane wyłącznie listy, pisane na wzór listów Pawła. Doszły one do nas w dwóch zbiorach. Pierwszy zawiera listy do Efezów, Magnezyan, Trallijczyków, Rzymian, Filadelfian, Smyrniotów i do Polikarpa, razem *siedm*. Drugi, oprócz tych siedmiu i to znacznie zwiększonych, jeszcze cztery nowe: do Tarsyan, Filippian, Antyochejczyków i do Herona, a nadto list Maryi z Kastabal do Ignacego i odpowiedź jego na list ten; razem *trzynaście*. Ze wszystkich listów pomieszczonych w obu tych zbiorach jeden tylko, do Rzymian, jest autentyczny. Listy składające zbiór pierwszy zostały napisane pod koniec wieku 2-go. Sześć nowych wchodzących do zbioru drugiego pochodzą z drugiéj połowy wieku 4-go.

List Ignacego do Rzymian wprowadza nas w świat nowy, w świat bohaterów. Ignacy został skazanym na śmierć za swoję wiarę roku 112 w Antyochii. Lecz karę śmierci ku uciesze panującego wówczas ludu i godnego jego wybrańca miał ponieść w stolicy państwa: być rzuconym na pożarcie zwierzętom dzikim w amfiteatrze. Wyprawiono go więc do Rzymu (1). Z drogi, prawdopodobnie ze Smyrny, napisał on ów list do Rzymian, zwiastując im o swojem przybyciu prędkiém do miasta tego i o celu podróży. Czytając list, trudno pojąć, że znanym mu celem podróży nie jest osiągnięcie najwyższych zaszczytów i dostojeństw, lecz śmierć męczeńska w paszczęce lwa lub pazurach tygrysa, że oczekują go oklaski tysiąca rąk, lecz tylko w chwili rozszarpania przez zwierzęta, ku zabawie tłumu. Myśli w nim wyrażone, słowa z mocą wypowiedziane miały stanowić na czas długi pokarm duchowy dla tych, którzy również jak on nie wahali się raczéj śmierć ponieść, niż zaprzeć się własnych przekonań.

Dwa listy powyższe, Klemensa do Koryntyan i Ignacego do Rzymian odkryją dwie drogi, na które weszła nowa religia, wskazują dwa środki, któremi oddziaływać zaczęła na społeczeństwo swoje i ludy obce.

---

(1) Jak błędnie, nie wzniosłszy się nad pojęcia zawsze ograniczone wieku, na rzeczy zapatrywać się można, jak łatwo, skoro się tylko interes partyi ma na względzie, stać się niesprawiedliwym, urągać się prawdzie, krzywdzić najszlachetniejsze uczucia, dowodzi ten fakt, że pochód męczeński Ignacego do Rzymu posłużył, według Renana, Lucyanowi za przedmiot do satyryczno-humorystycznego utworu p. t. *Peregrinus*,

Stanęliśmy u mety. Wiemy obecnie jakiego to rodzaju materyał piśmienny posiadać może historyk, gdy przystępuje do badań dziejów początkowych chrystyanizmu. Ilość pomników i, co więcéj, charakter dostarczonych przez nie wiadomości, skłonił Renana do ostrzeżenia „rozumiejących tylko pewność materyalną“, by zdaleka się trzymali od tych studyów. Po téj uwadze autor *Historyi początków Chrystanizmu* dodaje; ,,w dziejach téj oddalonéj epoki rzadko się zdarza osiągnąć możność wyjaśnienia dokładnego, jak się rzeczywiście wypadki odbywały; lecz za to często jest się w stanie przedstawić różne sposoby, w jaki się one odbywać mogły; co już jest ważném.“

Słowa te wypowiedziane ze spokojem mędrca a szczerością człowieka prawego przynoszą zaszczyt autorowi i zarazem świadczą o trudności zadania każdéj nauki, o powolnym postępie wiedzy przeszłości.

I. Radliński.

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

IX.

W Warszawie kolonia puławska stale zamieszkiwała w pałacu Błękitnym, dziś stanowiącym własność Ordynatów Zamojskich. Członkowie jéj odwiedzali Puławy na wszystkie familijne święta, to jest 25 marca, 15 maja, 15 sierpnia, 19 listopada i 24 grudnia, za każdym przyjazdem zwykle przez miesiąc cały tutaj bawili. Byli jednak między niemi tacy, którzy z powodu podeszłego wieku lub terminowych zajęć od obowiązków tych byli zwolnieni. Do takich należeli: pani Rynarzewska, Czaplic, stary Borysławski ze swoim synem, pułkownik Rogaliński, Michał i Józef Szymanowscy, Kurdwanowski, przezwany *le Marquis bien jambé*, i inni.

Pani Rynarzewska, staruszka wielce szanowna, ale precedencyi jéj nie wiem. Czaplic, czasami gubernatorem, czasami łowczym tytułowany, był to pan wielkiego tonu, przytém poeta, w 1766 roku marszałek sejmowy i pokilkakroć poseł na sejmach za Stanisława Augusta. Jemu to w owych czasach jeden ze słynnych warszawskich *bibulusów* zrobił figla, który później niesłusznie na inne osoby składano! Czaplic, przestrzegając dawnych obyczajów eleganta, codziennie brał z rana kąpiel, kiedy właśnie do niéj się wybierał, wszedł ów ktoś. Gospodarz chcąc mu dać zajęcie zanim się wykąpie, prosił, żeby sprobował i ocenił wino w jadalnym pokoju na wieczorne przyjęcie przygotowane. Gość z polecenia sumiennie się wywiązał i kiedy Czaplic z łazienki wyszedł zaraportował mu, że wina są wyborne i może śmiało z tych samych sklepów kazać je przynieść, on bowiem próbki znajdujące się w sali jadalnéj wykosztował. Było zaś win rozmaitych dwa kosze, czyli dwadzieścia cztery butelki.

Młody Borysławski, imieniem Antoni, był w szczególnych łaskach u ks. Konstantego Czartoryskiego. Pułkownik Rogaliński nosił się zawsze w zielonym, materyalnym fraku i w trzewikach. Nos miał potężny i duże wyłupiaste oczy. Fizyonomia jego zupełnie czaplę przypominała i jak ona też ryby lubił namiętnie. Żaboklicki, kawaler maltański, także do tego grona się zaliczał.

Pałac Błękitny nie miał takiego jak dzisiaj pozoru. Od ulicy, zamiast kraty żelaznéj, oddzielały go mury wysokie, wewnątrz których kordegardy się mieściły. Architekturą swą przypominał pałac Lubomirskich, dziś Stanisława Potockiego.

Warszawa do r. 1815 zupełnie inaczéj jak dzisiaj wyglądała, chociaż przestrzeń przez budowle zajęta była prawie dwa razy tak duża jak dzisiaj. Praga, aczkolwiek ucierpiała przez szturm Suwarowa, liczyła jednak 12,000 ludności i bardzo obszerne stanowiła przedmieście. Znieśli ją w 1806 r. francuzi. Napoleon, który wówczas w środkach obrony był jeszcze bardzo przezorny, nie omieszkał i tu się zabezpieczyć i most na Wiśle szańcem o pięciu bastyonach zasłonił. Roboty te, tylko z ziemi i palisad dokonane, spowodowały rozrzucenie większéj ilości domów i tylko mała ich część przy samym moście została. Następnie cała część miasta aż do Marymontu, chociaż oprócz Żoliborza nie wiele posiadała gmachów, zajmowała ogromną przestrzeń. Oczyszczano ją z domków po r. 1841, zajmując plac pod cytadelę.

Jakkolwiek Warszawa i dzisiaj w porównaniu do innych miast obcych wielką czystością i porządkiem nie celuje, wówczas niewypowiedzianie była brudną. Żydzi po wszystkich mieszkali ulicach i to nie żydzi cywilizowani, jakich się dzisiaj spotyka, ale tacy, jakich mnóstwo jeszcze po małych miasteczkach. Dopiero r. 1808 król saski a książę warszawski wzbronił im mieszkać przy pryncypalnych ulicach.

Pałace wszystkie miały dachy piramidalne o ogromnych rozmiarach, a murami tak były otoczone, że widzićć je i ocenić ich architekturę było niepodobna. Potrzeba obrony w nich z dawnych czasów jako pamiątka została.

Do Zamku samego dopierały ciasne i ciemne uliczki Starego Miasta i z Podwala na Ś-to-Jańską prowadziła brama, obok któréj znajdowała się słynna kawiarnia Włoska, gdzie na czekoladę Włosi i warszawscy napoju tego amatorowie się schodzili i gdzie się kuły rozmaite plotki i wnioski polityczne.

W środku Rynku znajdował się poważny ratusz, budowa ogromna, cały rynek zawalająca. Plac około Zygmunta był także bardzo ścieśniony, bo zajmował go klasztór Bernardynek i inne ka-

mienice, które aż pod Blachę sięgały. Najmniej może zmieniło się samo Krakowskie Przedmieście, bo choć nie było arkad obok Bernardynów i od pałacu Tarnowskich aż do Wizytek małe drewniane domki przestrzeń zajmowały, wszakże szerokość ulicy była taż sama. Dziedziniec Saski zamknięty był trzema bramami osadzonemi w kratach żelaznych, z których jedna stała naprzeciw kamienicy Wizytkowskiéj, druga przy oficynie pałacu Brylowskiego prowadziła na ulicę Wierzbową, a trzecia naprzeciw dzisiejszego domu Malhomma. Pałac Saski, dawniejsza dzielnica Morsztynów składał się z mnóstwa zabudowań wpuszczonych w ogród, a ogród sam o wiele mniejszy dokoła był otoczony drewnianemi przeważnie domami z bramą żelazną po środku. Granice jego dawniejsze dokładnie oznaczają aleje lipowe, dotąd istniejące, w miejscu gdzie jest *le rond point*, wysypana górka i na niéj glorietta z cukiernią Lessla, sławną podówczas tak samo jak i dzisiaj.

Za Żelazną Bramą ulice Grzybowska, Żabia i inne, wpośród niesłychanych brudów i wiecznego błota oprócz koszar Mirowskich, pałacu Krasińskich i ks. wojewody Wileńskiego, tudzież pana Gutakowskiego, innych murowanych budynków nie posiadały. Grzybów miał swoją własną juryzdykcyą miejską, którą pełnił Starosta warszawski i dla tego pośród trójkątnego placu wznosił się tu ratusz z małą wieżą i zegarem.

Na ulicy Rymarskiéj był pałac Ogińskich w miejscu, gdzie Bank dzisiaj, ale ten tak wysokim murem był otoczony, że go z ulicy widać nie było. Leszno, ulica Długa i Bielańska, jakkolwiek na miejscu drewnianych domów murowanémi dzisiaj przyozdobione gmachami niewielkim uległy zmianom, ale inaczéj się stało z ulicami Senatorską i Nowosenatorską. W miejscu, gdzie dziś hotel Rzymski, istniały ruiny jakiegoś pałacu, zwanego Rydzyną, a daléj rozciągał się słynny Pociejów, mieszkanie żydów i główny punkt ich tandeciarskiego handlu. Stek wszystkich śmieci i brudów, łachmanów i rupieci na publiczny wystawionych widok, przykre obudzał wrażenie.

W miejscu, gdzie dziś Teatr i Plac Ratuszowy, widać było ogromny gmach zwany Marywil, stawiany w arkady z czworoboczną wieżą — siedziba PP. Kanoniczek. Gmach ten późniéj zabrano na skład towarów jarmarcznych, a wreszcie rozrzucono. Nowy-Świat prócz pałacu Branickich, książąt Jabłonowskich, domu Petrego i Oliera nie miał murowanych domów. Gdzie dziś znajduje się gmach Loteryi, wznosił się kościół ks. Dominikanów Obserwantów, słynny grobami książąt Szujskich. Kiedy ojciec mój był jeszcze paziem przy królu Stanisławie Auguście, mieli Paziowie kwaterę swą

w domu Karasia, oddzielonym od klasztoru Dominikanów małą uliczką. Jednego dnia spostrzegli oni, że z okna Dominikanin jakiś daje znaki pełne rozpaczy i jakby wzywające ratunku. Zaciekawieni chłopcy wynaleźli sposób bliższego z nim porozumienia się i dowiedzieli się, że księdza tego żywcem w jego celi zamurowano. Doniesiono o tém zaraz królowi i ten nakazał zakonnika oswobodzić. Później kościół ten był zamknięty i znajdował się pod interdyktem z powodu samobójstwa popełnionego przy ołtarzu przez księdza w czasie odprawiania nabożeństwa i to posłużyło za powód jego zburzenia. Ksiądz Staszic z własnych funduszów ruinę zakupił, wystawił gmach do dzisiejszego dnia istniejący i darował go Towarzystwu Przyjaciół Nauk, po którego zniesieniu Dyrekcyą Loteryi tu umieszczono.

Warszawa taka, jak ją tu przedstawiamy za Księstwa warszawskiego, mało się odmieniła. Biéda powszechna nie dozwalała ani rządowi, ani miastu, ani osobom prywatnym myśléć o budowaniu gmachów, jednakże zyskała na przeniesieniu żydów z Pociejowa, który rozrzucić kazano. Dopiero od roku 1815 zaczęła się epoka właściwego jéj upiększania, a pierwsze usiłowania w téj mierze należą księciu Zajączkowi i Mostowskiemu.

Teatr polski znajdował się na placu Krasińskich, gdzie obecnie skład wełny i Bogusławski wówczas na swoje ryzyko prowadził to przedsięwzięcie, nie uzyskując żadnego ze strony rządu pruskiego zasiłku, to też w usiłowaniach utrzymania sceny narodowéj ponosił ciężkie straty. Znajdujący się współcześnie i teatr włoski zadanie jego wskutek konkurencyi robił jeszcze trudniejszém.

Bogusławskiego trupę poraz pierwszy widziałem we Lwowie, kiedym tam z matką przepędzał zimę i pamiętam że dawano Axura, Drzewo Dyanny, parę oper i jakąś sztukę, któréj tytułu nie pamiętam, nieosobliwie moralną, księża bowiem Dominikanie tańcowali w niéj ochoczo w klasztorze. Tam także widziałem Krakowiaków i Górali i Bogusławski sam w niéj występował, chociaż już był w wieku, a cała postać jego miała w sobie coś majestatycznego. Owsiński wtedy także jeszcze grywał, ale już ten talent był przy schyłku, a deklamacya jego dla braku zębów stawała się wielce niewyraźną. W Warszawie zaczęły już pojawiać się młode talenta, które późniéj ogromne uzyskały powodzenie. Był to początek wystąpień nieocenionego w rolach komicznych Aloizego Żółkowskiego, który także i literackim swym dowcipem zasłynął; wydawany bowiem późniéj przez niego humorystyczny *Momus* ogólnie się podobał. Obok niego panie Ledóchowska i Aszperger i panna Piękweska, z którą się ożenił Ludwik Dmuszewski, słusznie ucho-

dziły za primadonny. Szymanowski, Kudlicz, Szczurowski zwiększali ten szereg prawdziwych zdolności.

Jeśli jednak w talenta trupa Bogusławskiego była bogata, to za to kostiumów i dekoracyj zupełny był niedostatek. Baletu nie było wcale i utrzymywały się tylko podania o słynnym balecie za Stanisława Augusta, w którym pomiędzy mężczyznami odznaczał się Michałek, tancerz tak zgrabny, że ze sceny do loży pierwszego piętra wskakiwał.

W tymże roku 1805 przybyli do Puław panowie Brochocki, Okołów, Zaleski, administratorowie dóbr ks. Dominika Radziwiłła, żeby złożyć rachunki z administracyi, książę bowiem pełnoletności dochodził i sam zarząd miał objąć na siebie. Książę feldmarszałek uznał za stosowne, żeby młody Radziwiłł wybrał się do Petersburga, złożyć tamtejszemu dworowi swoje uszanowanie. Matuszewicz podjął się być jego opiekunem i przewodnikiem, a nieodłączni dwaj bracia Michałowscy, Narbutt i Łopot towarzyszyli mu także.

Ten Łopot był roku poprzedniego z Witosławskim w Pyrmoncie, ale kiedy pierwszy leczył się i kąpał, drugi z nudów pojechał do Hamburga. Tam namówiono go, żeby zwiedził Lubekę. W Lubece jeden z towarzyszów przy *table d'hôte* poradził mu, żeby pojechał do Kopenhagi. Witosławski rady tej usłuchał i dotarł do duńskiej stolicy. Kiedy jednak chciał nazad powracać, wzniosły się wiatry przeciwne i ponieważ parowców jeszcze nieznano, wypadło cztery tygodnie w Kopenhadze czekać. Pan Ignacy więc nudził się fatalnie nie umiejąc ani słówka po duńsku i tak jak nic po niemiecku. Co gorsza pieniądze wyszły do ostatniego grosza, a listy kredytowe, jakie miał w Pyrmoncie u Łopota zostały. Dobiwszy się nakoniec do Pyrmontu, towarzysza już swego tutaj nie zastał, ten bowiem do Paryża pojechał. *Per pedes apostolorum* więc musiał pan Witosławski dalszą odbywać drogę, żeby z Łopotem się złączyć.

Ten wypadek przypomina mi inne zabawne zdarzenie. Bywał w Puławach Gordon, pułkownik wojsk polskich. Familia ta angielska Huntleyów Gordon, książąt Hamiltonów wydaliła się z Anglii z ostatnim Stuartem, a kiedy córka Sobieskiego wydaną została za znanego pretendenta Stuarta, osiedlili się Gordonowie w Polsce, koło Mniszewa majątki ziemskie nabywszy. Z najlepszymi rodami później się spokrewnili, a z Morsztynami i Olędzkimi w najczęstszych bywali stosunkach i zupełnie się spolszczyli, o angielskim swoim rodzie zapominając. Druga gałąź Gordonów pozostała w Anglii, oddziedziczyła po kądzieli księstwo Hamilton i spokrewniła się ze Stuartami i hrabiami O'Atthal. Owóż dziad wspomnianego pułkownika, szlachcic z ogoloną głową i w kontuszu się noszący, odbiera

wiadomość, że linia Gordonów w Anglii, posiadaczów księstwa Hamilton i majoratu Huntley wygasła i że na niego cały ten olbrzymi majątek przechodzi. Potrzeba tylko żeby przybywał do Anglii i wykonał przysięgę wierności, jedyny warunek do objęcia spadku, inaczéj bowiem dziedzictwo przejdzie na najbliższego krewnego.

Stękając wybrał się poczciwy Polonus w drogę i dojechał do Hamburga, ale tu, skoro zobaczył wzburzone morze, zawołał:

— A, *Deus me avertat*, żebym ja dla tytułu i majątku robił podobne głupstwo i życie swe ryzykował. Wszak i w Osiemborowic mam, chwalić Boga, chleba kawałek dla siebie i dla braci szlachty.

I rzeczywiście do Osiemborowa swego powrócił, o sukcesyi już ani myśląc a szlachta z całéj okolicy się zjechała, żeby za ten afekt sąsiedzki podziękować.

Z tych to Gordonów, z którymi po kądzieli i Lubomirscy i Rzewuscy są spokrewnieni, wynikł ów ciekawy trzydziestodwu-herbowy rys genealogiczny pani Rozalii Rzewuskiéj, w którym nietylko Stuartów, Attholów i Hamiltonów, ale także Balzaców, Chateaubriand'ów i innych sławnych francuskich napatrzyć się można nazwisk.

X.

Z wiosną 1805 r. powrócił do Puław Stanisław Grabowski ze swojéj wycieczki do Petersburga, ale nic tam nie wskórał oprócz komandorskiéj pensyi maltańskiéj; że jednak fundusz z ordynacyi Ostrogskiéj rząd rosyjski pobierał, w miejsce więc należnych 24,000 złp. płacił 3,600 rs., a że wypłata odbywała się na ruble asygnacyjne, przeto stanowiło to zaledwie 7,000 złp. po strąceniu kosztów przesyłki. Natomiast stracił całe swoje mienie, składające się z dóbr Krubki w Galicyi i 40,000 dukatów w gotowiźnie. Zapoznał się w Petersburgu z pułkownikiem Wittem i ten go wprowadził w grono oficerów gwardyi, posiadającéj bajeczne majątki. Grabowski chcąc im dotrzymać placu prędko całę swoję fortunę przeszastał. Jaki zbytek zresztą podówczas panował w téj stolicy, można wnosić z tego, że najstarszy syn słynnego Szczęsnego Potockiego płacił swemu kucharzowi Daniel, francuzowi, 500 dukatów miesięcznie. Siostra moja podbiła serce Grabowskiego i dla tego bawił on naprzód u Kickich w Rykach, a późniéj na stałe przeniósł się do Puław.

Matka jego, jenerałowa Grabowska, mieszkała w Warszawie. Zjednawszy sobie serce króla Stanisława, zawarła ona z nim związki małżeńskie, co się potwierdza i Pamiętnikami Michałowskiego i Tablicami chronologicznemi panny Korzeniowskiéj, które podobno Le-

lewel układał. Oba tylko źródła nie zgadzają się na to, kto ślub dawał i w jakim kościele. Panna Korzeniowska twierdzi, że błogosławił tę parę biskup Albertrandi, Michałowski zaś, który się świadkiem ślubu mieni, powiada, że dawał go ksiądz Wargocki w kaplicy Zamkowéj, a jako świadków, oprócz siebie, wymienia księcia Ekspodkanclerzego, brata królewskiego i Szydłowskiego, starostę mielnickiego, brata pani Grabowskiéj. Zdaje się że związek ten miał miejsce około r. 1785. Pani Kicka opowiadała mi, że jednym ze świadków był także biskup Naruszewicz.

Pani Grabowska miała trzech synów i dwie córki. Najstarszy Kazimierz pojąwszy w małżeństwo pannę Monikę Sobolewską, siostrę Walentego Sobolewskiego, osiadł na Litwie i tam prawie całe życie spędził. Trudnił się trochę literaturą i wydał parę powieści z angielskiego tłómaczonych.

Drugi syn Michał, mężczyzna niezmiernie przystojny, o rysach twarzy regularnych, brunet, średniego wzrostu, należał do najwybitniejszych elegantów warszawskich i był prawdziwą ozdobą salonów. Związany ścisłą przyjaźnią z ks. Józefem Poniatowskim i panią Aleksandrową Potocką, z domu Tyszkiewiczówną, przez tę ostatnią namówiony został, żeby zaczął starania o rękę panny Laury Potockiéj. Rozpoczęte konkury byłyby zapewne pomyślnym uwieńczyły się skutkiem, gdyby nie wojny, jakie w owym czasie nastąpiły. W 1806 r. mianowany pułkownikiem odbył Grabowski kampanią z tegoż roku i z następnego i posunięty na stopień generała brygady, objął dowództwo pułków polskich, składających garnizon Gdański. Wreszcie w 1812 poległ przy szturmie Smoleńska.

Najmłodszy z braci Stanisław, nie tyle przystojnością ile niewyczerpanym zasobem wiadomości encyklopedycznych błyszczał w salonach. Namiętnie lubił czytywać, a czytywał niepojęcie wiele. Zwykle cztery tomy, oprócz dzienników, stanowiły codzienną jego konsomacyą, a posiadał tak szczególną pamięć, że to, co raz przeczytał, pozostawało nazawsze w jego głowie.

Jedna z córek pani Grabowskiéj wyszła za Krasickiego, druga za Walentego Sobolewskiego.

Król Stanisław, który tak był hojny dla poprzednich swoich kochanek, gdy np. starościnę Opeską (!) obdarzył starostwem 200,000 złp. rocznéj intraty czyniącém, który również pamiętał o swych faworytach, dając Branickiemu starostwo Białocerkiewskie, zapomniał zupełnie o losie swéj małżonki, matki licznego potomstwa Nadał jéj wprawdzie starostwo Dembskie pod Mińskiem, ale to tylko 8,000 złp. rocznie czyniło. Zaniedbanie to posunął aż do końca życia, bo gdy dla siebie w układach z dworami zastrzegł pensyą i tytuł królew-

ski, dla żony ani feniga nie wyjednał i nie miał przezorności testamentem losu jéj zabezpieczyć, albo przynajmniéj opiece dworów polecić. Jedynę pamiątkę po drugim mężu stanowiło dla niéj Dembe, piękny portret królewski, pędzla Bacciorellego i parawan z chińskiéj laki. Utrzymywała się jedynie ze swych szczupłych starościńskich dochodów i z procentu od 11,000 dukatów, u księcia Czartoryskiego lokowanych. Jakoż po jéj śmierci nie miała się familia czém dzielić.

Moja siostra nie była bardzo piękną. Czarne oczy i młodość stanowiły jéj wdzięki jedyne. Lecz Opatrzność, wynagradzając poskąpienie w przyrodzie, ozdobiła ją nieocenionemi przymiotami duszy. Nieporównana łagodność, przywiązanie bez granic do rodziny, rzadki rozsądek, zimna krew, biegłość w obcych językach i kilka talentów, aż nadto wynagradzały niezbyt świetną urodę. Pan Michał Grabowski, który częściéj w Puławach bywał, odkrył te cenne w kobiecie przymioty i chcąc brata swego przed zbytnią rozrzutnością uchronić, postanowił go z moją siostrą ożenić. Pan Stanisław skoro ją poznał także się do niéj szczerze przywiązał i konkury zaczęły się z wiosną, a ślub nastąpił w jesieni.

Moja siostra miała poprzednio kilku adoratorów i ci postępowali drogą, przez Puławskie obyczaje uświęconą. Księżna Wirtemberska zaprowadziła ten zwyczaj, że każda panna miała swego *cavaliero servanto*, którego obowiązkiem było wybraną damę otaczać szczególniejszą atencyą i uszanowaniem. Mając takiego sługę panna pewna była, że jéj na balu nie zabraknie tancerza, że przy podwieczorkach, przy majówkach dojdą ją frukta, konfitury i lody, co przy takim ścisku jaki bywał często w Puławach, nie było rzeczą małéj wagi, nie było obawy, że na spacerze się zaziębi, bo jéj kawaler miał zawsze na pogotowiu szal, lub salopę. Prowadziło się także zawsze damę swoję do stołu i wieczorem odprowadzało lub odwoziło do domu. Za tę służbę dostawał się czasami wdzięczny uśmiech, czasami dewiza, zawsze przyjaźń, a czasami miłość, która się kończyła małżeństwem. Choćby jednak do tego nawet i nie przyszło, zawsze ten obyczaj zaszczepiał w młodzieży grzeczność i rozbudzał *un esprit de galanterie chevaleresque.*

Podobnego Cavaliera servanto siostra moja miała w księciu Puzynie, który się tak do niéj przywiązał, iż ze szczególnym zapałem jéj służył, narażając się często na słuszne zarzuty dam innych, żeby bowiem być zawsze na każde jéj żądanie gotowym, nie zważał na innych, zebranych w pośpiechu roztrącał i w towarzystwie nikogo więcéj od panny Cecylii nie widział.

Ja w dziecinnym jeszcze wieku zaciągnąłem się na usługi panny Maryanny Dzierżanowskiéj i przez cały czas mojego pobytu w Puławach jéj nie opuściłem. Piękna ta osoba miała poważniejszego adoratora w Białopiotrowiczu, że jednak wiek nasz był prawie równy i żeśmy się wychowali razem, przeto ja miałem nad nim pewną wyższość. Choć nie mogę powiedzieć żebym był w niéj zakochany, jednak wspólna przyszłość, ukoronowana małżeństwem często mi się marzyła, a zdawało mi się, że ja i ona biedni, będziemy stanowić odpowiednią parę. Los, jak to się okaże niżéj, zrządził inaczéj, niemniéj przeto wzajemną przyjaźń dochowaliśmy sobie nazawsze.

Podobne związki, w takich jak je opisuję towarzyskich stosunkach, zawiązywały się łatwo i zrywały bez żadnych trudności, a ani o Werterowskich cierpieniach, ani o jakich nieprzystojnych zabiegach nie mogło być w nich mowy.

Parą laty przedtém ustanowiono mundur Puławski. Składał się on dla kobiét z sukni z kazimierku ciemno-piaskowego z haftem złotym u kołnierza, dla mężczyzn z fraka podobnego koloru *en habit habillé* z takimże haftem. Mundur damski okazał się zupełnie niepraktyczny, w lecie bowiem był za gorący, a na balach zupełnie niestosowny, to téż go prędko zarzuciły, a za niemi poszli i mężczyzni.

Kiedy te formy zewnętrzne coraz więcéj nabierały znaczenia, księżna Wirtemberska wybrała siedmiu młodzieży na swych rycerzów, rozdając im dewizy i złote pierścienie z odpowiednim napisem. Mnie dostała się gwiazda ze słowami: „Niech cię zawiedzie do szczęścia i sławy.“ Niestety—nie wypełniła tego zadania i ani do jednego, ani do drugiéj mnie nie zawiodła. W każdym razie, żeby być na wysokości swego zadania, posprawialiśmy hełmy, tarcze, lance i jak w słynnym romansie Abdel-Malek, wyprawialiśmy turnieje na cześć naszéj damy.

Ponieważ wspomniałem o tym czytanym przez wszystkich romansie, może nie od rzeczy będzie nadmienić, jaka literatura wówczas cieszyła się największym powodzeniem. Powieści czyli romanse, obecnie w naszéj literaturze zajmujące takie pokaźne stanowisko, podówczas nie istniały prawie wcale. Krasicki w Doświadczyńskim i panu Podstolim pierwszy zaczął próby w tym rodzaju. W jego ślady poszli księża Krajewski i Kossakowski, a Jezierski, Niemcewicz i Anna Mostowska wyczerpują podobno powieść ówczesną. Więcéj posiadaliśmy tłómaczeń, ale i te nie wyrównywały produkcyi dzisiejszéj.

Za granicą podobnież, chociaż Anglia, Francya i Niemcy wiele w tym kierunku wydawały, chociaż wychodziło nawet pismo spe-

cyalne *Bibliothèque des Romans*, rozbiorom powieści poświęcone, jednak ilość ich była znacznie mniejsza jak dzisiaj.

O ile zapamiętam najdawniejsze romanse, które ogólną rozbudziły ciekawość, były: *Vie du Chevalier Faublas*, Żyrondysty Louvet'a i nie pamiętam już jakiego autora *Les Liaisons dangereuses*. Płody te rewolucyi francuzkiéj po mistrzowsku pisane, ale obrażające przyzwoitość i moralność. Faublasa wszyscy czytali, chociaż nikt do tego przyznać się nie chciał i z jednego ustępu téj powieści zrobiono operę *Lodoiska*, gdzie występował polak *Metusco*. W towarzystwie Puławskiém imię to nadano Matuszewiczowi. Po tych dwóch romansach zajął wszystkich nowy: *Le Moine*, gdzie mnich światowiec rozpustny wyrządza psoty płci pięknéj za pomocą szatana, póki go djabli jak swoję własność do piekła nie zabrali. Duch rewolucyi francuzkiéj, ohydą duchowieństwo katolickie okrywający, także się tu silnie odbija.

W końcu wieku ubiegłego i na początku bieżącego wpadły w łaski czytających dwa zupełnie różne rodzaje – romanse angielskie pani Redcliffe, osnute na dziejach starych zamków, na podaniach o strachach, upiorach i rozbójnikach i pani de Genlis, najczystszą tchnące moralnością, chociaż trochę mdłe i bezbarwne.

Około r. 1803 ukazała się Valerie, pani Krüdener, która pięknością stylu i siłą uczucia zawsze celować będzie, oraz dzieła pani Cottin, a na ich czele Abdel-Malek, który tyle łez płci pięknéj wycisnął, że z nich obfity strumyk mógłby się stworzyć. Niemcy w tym czasie obdarzyli nas romansami Lafontaina, a prostota ich i naiwność językiem potocznym wypowiedziane, kwadrowały z gustem ówczesnym do sielanki. Za Napoleona we Francyi pod brzmieniem surmy bojowéj literatura przycichła i romanse tylko ukazywały się od czasu do czasu, Pigault le Brun w swoich powieściach Bostońskich (w rodzaju Pawła Kock) rozśmieszał i bawił, Botle swoim *Les barons de Felsheim* także przyjemnie rozrywał. Jednak ponad wszystkich zabłysła p. de Staël. Jéj Delfina i Corinna niesłychane uzyskały powodzenie, a najlepszym dowodem ich wartości może być to, że Korynnę po półwiekowéj przerwie na polski przełożono język. Wreszcie w zupełnie innym rodzaju pisała pani de Souza, w powtórném małżeństwie Flahaut zwana. Żona adjutanta cesarza Napoleona tworzyła obrazki z życia towarzyskiego wielce sympatyczne.

Z romansu Malek-Adel, holenderska królowa Hortensya ułożyła hymn „*Partons pour la Syrie*,“ który za Napoleona III stał się powszechnym w całéj Europie.

Wszystkie te utwory zepchnięte zostały ze szczytu przez romanse historyczne Walter-Scotta, a późniéj Dumas, Sand, Sue. Soulié Standhal i Féval czytelników ku sobie pociągnęli.

U nas, jakkolwiek żyli jeszcze poeci epoki Stanisławowskiéj, wszakże były to już gasnące gwiazdy, którzy bądź wiekiem, bądź ogólną niedolą przyciśnięci, pisali mało i nie zmieniali barwy w literackiéj swojéj karyerze przyjętéj. Nie rzadko to już mi spostrzegać się dawało, że dzisiejsza generacya o poetach Stanisławowskich wyraża się z lekceważeniem i niemal z pogardą. Jest to sąd niesłuszny. Pominąwszy drugorzędnych ówczesnych poetów jak na przykład Benedykta Hulewicza, tłómacza Owidyusza i takich wieszczów jak Dyzma Tomaszewski, są tam przecież i inni, którzy godnie reprezentują nasz Parnas. Czyż wszechstronny Krasicki może zasługiwać na zarzut bezmyślnego rymotwórcy, czyż Naruszewicz w satyrach, Zabłocki w komedyi małe położyli zasługi? Jeżeli zaś sielankowi autorowie jak Karpiński i Kniaźnin, lub niesielankowi jak Trębecki i Węgierski czasami pochlebstwem się skazili, to wina w tém bardziéj wieku, aniżeli ich własna, każdy piszący i biorący za pióro ma dwa cele: jeden uzyskanie sławy i pochwał, drugi wywalczenie sobie środków do życia. Jak jedno tak drugie osiąga się jeżeli się trafia w gust epoki. Otóż za panowania Stanisława Augusta miłość, galanterya, pochlebstwo górowały i bądź przykład panującego, bądź obyczaje dworu Ludwika XV, wiodły na tę drogę. Temu kierunkowi przypisać należy rodzaj twórczości poetów i przyznać im, że bez względu na wady w duchu epoki leżące, pisali językiem czystym, wdzięcznym i niepospolitego dowiedli talentu.

W okresie, któremu byłem współczesny, literatura w mniéj świetnych znajdowała się warunkach jak za Stanisława Augusta, Franciszek Dmochowski wydawaniem Pamiętnika Warszawskiego siaki taki ruch wywoływał, Bogusławski chociaż z trudem pracował dla sceny narodowéj i bądź tłómaczeniami, bądź oryginalnemi sztukami ją zasilał, Linde słownik swój układał, a Czacki Tadeusz dzieło o prawach polskich i litewskich ogłaszał.

Między poetami ówczesnymi trudno pominąć pułkownika Molskiego, którego wena pochlebstwu poświęcona, hołdowała zasadzie wygłoszonéj przez Kandyda, że nie ma na świecie nic, coby szczęścia i uciechy nie przyniosło. Pochlebiał wszystkim, a ztąd i na niego satyryczne skomponowane wierszyki, zanadto znane, żebym je tu powtarzał.

Najważniejszym jednak objawem naszéj działalności naukowéj i literackiéj, było założenie w 1800 roku Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Troska o przechowanie ojczystego języka, któremu giermanizm zagrażał, była głównym powstania tego towarzystwa powodem a zatwierdzenie jego od króla Fryderyka Wilhelma uzyskano dopiero 1802 r. Pierwszym prezesem towarzystwa wybrany był pełen za-

sług biskup Zenopolitański ksiądz Jan Albertrandi. Był to prawdziwy muł pracowitości a podówczas już starzec zgrzybiały. Chudy, mizerny, zmarszczkami okryty tak był nizkiego wzrostu, że mało co dwunastoletniego chłopczyka przewyższał. Urodzony 1731 r. początkowo Jezuita, następnie zarządzał księgozbiorem Załuskich i na mentora Feliksowi Łubieńskiemu dodany odbył z nim kilkoletnią wycieczkę za granicę. Po powrocie mianowany lektorem Stanisława Augusta, wysłany został następnie do Szwecyi i Rzymu aby wypisywać potrzebne do historyi polskiéj materyały z tamtejszych zbiorów. Tych wypisów zebrał sto dziesięć tomów z bibliotek i archiwów rzymskich, a siedmdziesiąt ze szwedzkich. Dokumenta te darowane przez króla Czackiemu, następnie z Porycka przeszły do księgozbioru puławskiego. Znany nadto jako historyk. Familia ta mieszczańska warszawska, wydała także w młodszym bracie biskupa Albertrandiego, cenionego malarza.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk podzieliło się na cztery wydziały: 1. Fizyczny i matematyczny. 2. Historyczny. 3. Wydział literatury i 4. Sztuk wyzwolonych.

Towarzystwo składało się z sześćdziesięciu członków czynnych i nieograniczonéj liczby członków honorowych i korespondentów. Do roku 1812 z pomiędzy grona założycieli nielitościwa śmierć zabrała już dwudziestu ośmiu członków. Przedniejsi między nimi: książę biskup Krasicki, Józef Szymanowski, ksiądz Józef Osiński, ksiądz Grzegorz Piramowicz, ksiądz Pilchowski, ksiądz Reptowski, Chreptowicz Joachim, Franciszek Dmochowski, Poczobut, Ignacy Potocki, książę Aleksander Sapieha, ksiądz Kołłątaj i w. i.

Pierwsze początki w każdym zawodzie zwykle trudne i postęp bywa powolny. Jakkolwiek więc Towarzystwo zawiązało się w roku 1800, pierwsze posiedzenie odbyło się w maju 1801 i prezydujący zadał każdemu wydziałowi rozmaite kwestye do opracowania. Metodę tę jednak zmieniono późniéj i na następnych dwóch posiedzeniach w październiku i grudniu odbytych naśladowano coraz więcéj Akademią Francuzką, wygłaszając mowy pochwalne na cześć członków ubyłych. W roku następnym dwa posiedzenia miały miejsce i na pierwszém z nich Jan Śniadecki, czyniąc zadość żądaniu położonemu na pierwszém posiedzeniu, złożył swą rozprawę o Koperniku. W roku 1803 dwa posiedzenia w maju i grudniu były w naukowe prace obfitsze i odtąd zwyczaj upowszechnił odbywanie dwóch tylko posiedzeń publicznych. Późniéj wojna w 1806 i 1807 r. przerwała szereg prac Towarzystwa i dopiéro z ustaleniem księstwa Warszawskiego r. 1808 energia i czynność jego odżyły nanowo.

Materyalny stan prowincyi do Prus włączonych wiele się różnił od innych. Zaprowadzono tu hypotekę i może rząd pruski, znając polską naturę, że lubi pożyczać na mały procent, choć pieniędzy nie potrzebuje, zamierzał wyzuć posiadaczy z własności ziemskiéj. Agenci bankowi przebiegali kraj, zachwalając dogodności pożyczek, i rzeczywiście wszyscy właściciele bądź w Banku Berlińskim, bądź w tak zwanéj kompanii morskiéj obdłużyli się po uszy. Że jednak podówczas ciągłe wojny miały miejsce pomiędzy Francyą, Anglią i Niemcami, zboże więc płaciło się wysoko i dochody z majątków były ogromne, tak że nikt ciężaru długów bardzo nie uczuwał. W Galicyi dobra czyniły także bajeczne dochody, nie tylko z powodów tych samych co w Prusiech, ale także i z téj przyczyny, że kraj nie posiadał żadnych innych pieniędzy jak papiery *banknotami* zwane i najpodlejszą monetę cwancygiery, czyli czterdziesto-groszówki. Srebro istniało tylko nominalnie i talara przedstawiała bronzowa sześćdziesięciokrajcarowa sztuka, takież mniejsze po 30 i 15 krajcarów i tak zwane *Siebnery*, miedziane, posrebrzone, kurs tych znaków wymiany arcynizkiéj wartości zgromadzał w ręku właścicieli ziemskich pakiety papierów i wozy miedziaków. Obok tego system prohibicyjny co do towarów zagranicznych pozwalał korzystnie sprzedawać własne nędzne wyroby, a obcych produktów dostarczała obficie kontrabanda. Nie tylko więc, że tu majątki się nie obdłużały, ale owszem składano znaczne kapitały bez wartości, które spowodowując złudzenia, sprowadzały liczne bankructwa.

Począwszy od roku 1795 historya miejscowa łączyła się z dziejami państw, do których nas wcielono, a niezależnie dalsze tradycye pielęgnowała mała liczba wychodzców, która się osiedliła we Francyi.

Po Maciejowickiéj przegranéj jenerał Dąbrowski zaproponował Radzie wojennéj, aby zanim armia Suwarowa do stolicy się zbliży, z całą siłą: która składała się jeszcze z 40,000 wojska, z 200 dział i z 10,000,000 gotówki, z królem i Rządem Narodowym opuścić kraj i przedrzeć się do Francyi. Właśnie pod tę porę Pichegru podbił Niderlandy, Jourdan zdobył Kolonią, a Kleber oblegał Moguncyą. Siły króla pruskiego były rozdwojone. Część ich nad Renem broniła Moguncyi, a druga, która przed sześciu tygodniami opuściła Warszawę zdziesiątkowana chorobami, przytłumiała Wielkopolskie powstanie. Plan Dąbrowskiego uznano za zanadto zuchwały i nie przyjęto go, on więc przeprowadził go w inny sposób. Z Radoszyc każdy jak mógł i którędy mógł przeżynał się ku Renowi, a między emigrantami oficerów było dosyć, ale żołnierza mało, cywilnych zaś najszczuplejsza liczba. Jednych Suwarów do Petersburga wysłał, innych zaś, któ-

rzy się do Puław i Galicyi chronili rząd austryacki powięził. Tego losu doznali; Stanisław Potocki, Piatoli i Kołłątaj; z magnatów dwóch tylko Polskę opuściło: Michał Ogiński, który osiadł w Wenecyi i Potocki, Starosta Sczyrzecki.

W Paryżu Barsa uważano jako dyplomatycznie reprezentującego Polskę i Konwencya nawet półurzędownie go na tém stanowisku uznała. Obok niego zgromadzili się: Wybicki, Prozor, Wojczyński, Józef Wielhorski, Jan Dembowski, Turski, Mniewski, Dmochowski Franciszek, książę Giedrojc Romuald, Taszycki, Niemojowski, Maruszewski, Kociełł, Liberadzki, Broniec Adam, Zabłocki, Jasiński, Mejer, Prusiński, Łazniński, Nagurski, Wysogird, Jezierski, Węgliński, Kołysko i Stanisław Sołtyk. Jak zwykle w takiem zebraniu, pozbawioném przewodnictwa, bywa, emigracya ta zaczęła swoje działanie od kłótni i niezgód. Najwięcéj intryg knuto przeciw Barsowi, któren z urzędu swego już naczelne powinien był objąć stanowisko, utworzono komitet, mający zastępować Kościuszkowski Rząd Narodowy i Barsa obalono, a na jego miejsce Wyszkowskiego dyplomatą obrano. Jednakże emigracya ta do żadnych nie mogła przyjść rezultatów i jedni wstąpili do legionów, drudzy wrócili do kraju, a inni bezczynnie w Paryżu siedzieli.

Wśród podobnych wypadków Dąbrowski trzy lata strawił na ustalaniu rozmaitych związków i szukaniu protekcyi. Pozyskał wreszcie poparcie generałów Jourdana, Championneta i Bernadotta. Tymczasem upadła konwencya i zastąpił ją Dyrektoryat, nowéj więc téj władzy przełożył Dąbrowski projekt, aby z błąkających się rozbitków polskiego wojska sformować narodowy legion, wzmocnić go ochotnikami, którzy z kraju przybędą i użyć go w walce o wspólną sprawę. Dyrektoryat myśl tę przyjął i wykonanie jéj generałowi Bonaparte powierzył. Wódz ten okrył się właśnie nieśmiertelną sławą, gdyż w roku poprzednim rozproszył liczne armie austryackie, kapitulacyą Mantuy i poddaniem się armii Wurmsera godnie dopełnił liczby wawrzynów. Wskutek tych zwycięztw sformowano rzeczpospolitą Lombardzką, a późniéj Cyzalpińską.

Z tém nowém państwem z polecenia generała Bonapartego zawarł Dąbrowski następujący układ:

1. Oddziały wojska polskiego, które się mają utworzyć nazywać się będą Legie Polskie, pomocnicze Lombardyi.

2. Zatrzymają organizacyą, mundur i komendę własną.

3. Nosić będą kokardę francuzką i pobierać żołd taki, jaki dla wojska francuzkiego jest naznaczony.

4. Nominacye na stopnie zawisłe od rzędu Lombardzkiego, zatwierdzane będą przez jenerała Bonapartego.

5. Rzeczpospolita Lombardzka uważać będzie legionistów za braci i udzieli im prawa obywatelstwa u siebie.

W dwanaście już dni po podpisaniu téj umowy okazał Dąbrowski dwa bataliony gotowe do boju. Użyto zaraz tych sił w bitwie pod Rimini i przed pokojem w Leoben w kwietniu 1797 r. liczba legijonistów wzrosła do 5.000, a w końcu tego roku wynosiła głów 7,146. Żądał Dąbrowski, aby przy negocyacyach w Campo-Formio reprezentant polski do traktowania był przypuszczony, ale mu tego odmówiono. Mimo to legiony się zwiększały i wskutek napływu ochotników dwa sformowano. Użyto ich do podboju Stanów Papieskich i królestwa Neapolitańskiego, z których utworzono krótkotrwałe rzeczypospolite: Rzymską i Partenopejską. Gdy jednak narzucone te rządy nie podobały się ludności i gdy umysły podburzone zostały przez angielskie intrygi i pieniądze, wtedy południowe Włochy powstały. Kniaziewicz szturmem zdobywa miasta Fabricia i Fallari, łącznie z Cyzalpinami dzielnie się broni pod Civita Castellana i Neppi i tu z siłą 6.000 rozbija 40.000 powstańców i do niewoli bierze 3.000 i dział 16. Współcześnie Championnet, zdobywszy Rzym, posuwa się do Kapuy i w r. 1798 mają miejsce krwawe bitwy pod Tralti, Sezza, Coslanna i Terracinna. W ostatniéj bitwie zginął Tremo, który wraz z Amilkarem Kosińskim najdzielniejszą był Dąbrowskiemu pomocą w formowaniu legionów. Zdobyte w tylu walkach chorągwie odesłał Championnet Dyrektoryatowi przez Kniaziewicza.

Odwróciło się jednak szczęście od francuzkich zastępców. Anglia i Niemcy, potężném Rosyi ramieniem wsparte, zabierały się odebrać Włochy. Suwarow wkroczył z armią potężną i 25 Marca 1799 r. legia polska napróżno broniła przejście Adygi, a w bitwie pod Magnano, gdzie poległ zacny Rymkiewicz, znacznie uszczuplona, przeznaczona została jako garnizon do Mantuy. Potém zaraz Suworów coraz więcéj zajmuje kraju i ani Scherer, ani Moreau oprzéć mu się nie zdołają. Neapolitańska armia Macdonalda także do opuszczenia tego kraju zmuszona. W licznych bitwach pod Trębią, Grattano, Tidone, Rivalto i następnie pod Novi, druga legia polska ucierpiała tak, że już jéj szczątki złożyć oddzielnéj całości nie zdołały. Jak niegdyś Spartanie pod Termopilami zginęli prawie wszyscy.

Legia stanowiąca osadę Mantui poddać się musiała 28 lipca 1799 r. i cała załoga do niewoli została zabrana.

Dopiéro po 18 Brumaire'a, kiedy Bonaparte jako pierwszy konsul zagarnął prawie samowladnie rządy, zniesiono prawo przez konwencyą wydane, że niewolno jest w służbie francuzkiéj zagranicznych utrzymywać pułków i współcześnie polecono Dąbrowskiemu utworzenie siedmiu batalionów polskich, na żołdzie Francyi pozosta-

wać mających. Organizować nową legię włoską zaczęto w Marsylii, a Kniaziewicz ze szczątków z pod Novi pozostałych formował legią Dunajską nazwaną.

Legia Dąbrowskiego brała udział w bitwach pod Marengo i Montebello i do ośmiuset ludzi straciła, ale wzmocniona niewolnikami z wojsk cesarskich wzrosła znowu do 5,000 i na czele jéj Dąbrowski zaszczytnie odznaczył się pod Calvacallo, a Chłopicki przy oblężeniu Peschiery.

Legia Dunajska okryła się sławą pod Hohenlinden i Moreau, oddając jéj sprawiedliwość, w raporcie swoim się wyraził: „Szczęśliwy rezultat osiągnięty w tym pamiętnym dniu w znacznéj części zawdzięczamy dzielności generała Kniaziewicza, którego wojsko pierwszy raz w ogniu się znajdowało.“

Jak wiadomo zaraz po téj bitwie pokój z cesarzem zawarto i obie legie polskie w Lombardyi otrzymały kwatery. Wynosiły one wtenczas 15,000 ludzi i rzadki to zapewne wypadek w dziejach wojskowych, żeby armia nie zmniejszała się w tak licznych bitwach, ale owszem powiększała się szybko napływem nowych ochotników.

Razem z upadkiem Dyrektoryatu upadła i cywilna reprezentacya interesów polskich i z natury rzeczy przeszła na Dąbrowskiego. W czasie kampanii 1800 r. chciał się on z legionami swojemi przedrzeć do Galicyi i tam na własną rękę rozpocząć wojnę. Przychylał się do téj myśli główny wódz armii włoskiéj Massena, ale nie zgodził się na nią Napoleon i niebawem pokazał czego się po nim można było spodziewać. Większa część legionów, która po nad Po i Dunajem zwycięztwo na stronę francuską przechylała, wysłana została do St. Domingo, gdzie prawie cała wyginęła, bo zaledwie tylko kilkadziesiąt z niéj osób zdołało uratować życie. Reszta oddana została w służbę rzeczypospolitéj Cyzalpińskiéj. Wówczas wielu oficerów przeszło do służby francuskiéj, jak naprzykład Zajączek, który porzucił armią cyzalpińską i przeszedł do armi Neapolitańskich i tu go zastały wypadki 1806 r.

Z pomiędzy polskich żołnierzy najpiękniejsza karyera zdawała się uśmiechać generałowi Sułkowskiemu. W wojsku polskim służył jako porucznik w kampanii Targowickiéj i odznaczył się odwagą i zimną krwią w obronie mostu pod Zelwią. Wyszedłszy za granicę, udał się do Francyi, a później do Stambułu i to oddalenie było przyczyną, że nie wziął udziału w kampanii 1794 r., następnie wstąpiwszy do służby francuskiéj przy sztabie generała Bonapartego zostawał. Posiadając języki wschodnie, z którymi wówczas Francuzi byli mało obeznani, towarzyszył wyprawie do Egiptu i oprócz wojskowych zajęć zamianowany został członkiem uczonéj komisyi, w któ-

réj Denou, Monge i inni poznaniem Egiptu się zajmowali. Ranny nad brzegami morza Czerwonego, zginął w powstaniu w Kairze. Zostawił po sobie napisany po francusku pamiętnik, odnoszący się do kampanii Targowickiéj. Lubiany i ceniony wielce przez Napoleona, miał przed sobą otwartą najświetniejszą przyszłość i gdyby nie zginął przed r. 1806 w kwiecie wieku, mając dopiero lat dwadzieścia ośm, prawdopodobnie by losy Księstwa warszawskiego wzięły całkiem inny obrót. Żaden z Polaków, a nawet żaden z Francuzów, nie posiadał w tak wysokim stopniu zaufania Napoleona.

Cypryan Godebski, adjutant Rymkiewicza, godzien także wspomnienia, gdyż napisał Dekady polskich legionów. Grabiński generał należał do wyprawy egipskiéj, a umarł w r. 1806 pod Bolonią, w majętności, którą tam nabył. Opowiadają o nim, że nie umiejąc dobrze po francusku Napoleona na paradzie raz w ten sposób przywitał: „*Vous en Italie*, *moi en Italie*, *Vous en Egypte*, *moi en Egypte*— *Vous consul*, *moi rien.*“ Michał Wielhorski generał jeden z najgorliwszych organizatorów legionów, Jabłonowski Władysław generał, który umarł na San Domingo i wielu innych dzielnych, których tu trudno wymieniać.

Generał Dąbrowski spisał dzieje legionów i złożył je w darze warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk.

Napoleon z konsula tymczasowego na dożywotniego się zamieniwszy, wkrótce głowę swą koroną cesarską ozdobił i pod silne berło poddał tę Francyą, która od lat kilkunastu tak często rządy zmieniała. Wojownik z rzemiosła, geniuszowi swemu i odwadze niepojęte wywyższenie zawdzięczając, do zwycięztw przywykły, coraz śmieléj zagarniać począł pod ręką leżące kraje.

Zaraz po koronacyi swéj dokonanéj przez papieża w 1804 r. postanowił rzeczpospolitę zamienić na królestwo włoskie. Za pośrednictwem arcy-kanclerza Cambacerès i rezydenta włoskiego Marescalli rozpoczęto układy z panem Melzi, wice-prezesem rządu włoskiego i tamtejszą konsultą. Włosi chętnie na zmianę rządu zezwalali, żądali tylko, żeby uwolniono ich od haraczu płaconego Francyi i żeby tron ich oddano Józefowi lub Ludwikowi Bonapartemu. Odmowa ze strony Józefa była zdaje się prostą komedyą, boć późniéj nie wahał się przyjąć korony neapolitańskiéj i Hiszpańskiéj i brat musiał się zastosować do wyraźnéj woli Napoleona, który sam chciał we Włoszech panować. Choć więc kładąc na swą głowę żelazną Włoch koronę, w Monza przechowywaną, Napoleon zapewnił, że władzę obejmuje tymczasowo, jednak rzadko ktoś się wyrzeka tronu, a zwłaszcza on, który brata z Holandyi wypędził, byle tylko kraj ten wcielić do Francyi. Nadto oprócz téj zmiany Genuę

wcielono do Francyi, a księstwo Lukki oddano Elizie, siostrze Napoleona. Współcześnie w Boulogne przygotowywała się wyprawa na Anglią.

Lecz i przeciwnicy nie zasypiali i zagrożona Anglia starała się do planów swoich wciągnąć Rosyą. Starań w tym względzie wielkich nie była potrzeba, gdyż cesarz Aleksander I urażony już był zabraniem Piemontu i odmówieniem zań wynagrodzenia królowi Sardyńskiemu i zajęciem Hanoweru. Niebawem téż nakazano posłowi rosyjskiemu p. Oubril zerwać stosunki dyplomatyczne i Paryż opuścić.

Thiers utrzymuje, że projekt medyacyi przymusowéj, jaka w téj chwili na scenę polityczną występuje ułożony był i podany cesarzowi Aleksandrowi przez Piatolego. Piatoli, o którym niżéj obszerniéj będę mówić, znajdował się wówczas w Petersburgu, gdzie się zajmował interesami księżnéj kurlandzkiéj i bardzo dobrze był widziany przez księcia Adama Czartoryskiego, syna, pełniącego podówczas zastępczo obowiązki ministra spraw zagranicznych. Czartoryski go cenił, boć Piatoli był współpracownikiem Ignacego Potockiego i Kołłątaja w konstytucyi 3 maja, niemniéj przeto dwór rosyjski nie mógł go uważać zbyt dobrze, bo zarzucano mu opinie rewolucyjne. Wszakże gdyby pomysł medyacyi, jak chce Thiers, był jego robotą, nie upoważnia to historyka nazywać Piatolego awanturnikiem.

Jakkolwiek-bądź zatrudniano się w Petersburgu ogólną pacyfikacyą i warunki jéj podstawowe ułożono, Nowosilcow wysłany został do Anglii i do Francyi, żeby usposobienia tych dwóch dworów wyrozumiał. W Anglii wszechwładny Pitt objawił gotowość przystąpienia do tych planów i zgodzenia się na ustępstwa, dodał jednak poufnie, że na ustępstwa dobrowolne ze strony Napoleona liczyć nie można, że medyacyą należy od razu uczynić przymusową i do koalicyi wciągnąć koniecznie Prusy. Lord Goover, późniejszy lord Granville upoważniony został do podpisania warunków z Rosyą. Wskutek takiéj odpowiedzi wysłano p. Wintzingerode do Berlina. Dwór pruski, jakkolwiek był przychylny planowi, oświadczył jednak zarazem, że mając pod bokiem siły francuskie w Hanowerze, występować otwarcie nie może, Francuzi bowiem wprzódy państwo Pruskie zaleją, zanim się siły na odparcie ich znajdą. W Austryi nie było żadnéj trudności, cesarz bowiem, wystraszony nowymi dowodami samowoli Napoleona we Włoszech, chętnie wiązał się z każdym kto przeciw Francyi występował. Przy takiém usposobieniu Europy, książę Czartoryski i lord Goover podpisali umowę, któréj punkta były następujące:

a. Każde mocarstwo ma prawo przystąpić do tego traktatu.

b. Celem jego jest odzyskanie niepodległości Szwajcaryi i Holandyi.

c. Uwolnienie od zajęcia militarnego państw: Neapolu i Hanoweru.

d. Zwrot Piemontu domowi sabaudzkiemu wraz z Genuą.

e. Niderlandy mają być przyłączone do Holandyi, a Lombardya do Austryi.

f. Francya ma być ścieśniona w dawnych granicach.

g. Po zakończeniu wojny, gdyby ta okazała się konieczną, zwołany kongres europejski ustali prawidła federacyi między państwami i położy podstawy trwałego pokoju.

h. Gdyby dla doprowadzenia do skutku tego traktatu trzeba było wziąć za oręż, Anglia zobowiązuje się każdemu państwu wypłacić 15,000 funtów szterl. za każde 6,000 ludzi wysłane do boju.

Do traktatu tego przystąpiła naprzód Szwecya, a następnie Austrya i w dziesięć lat późniéj posłużył on do głównych stypulacyj traktatu wiedeńskiego.

Ogłoszenie się przez Napoleona królem włoskim i samowolne postąpienie jego z Genuą i Lukką, przekonały także Rosyą, że tylko siłą można na nim ustępstwo wymódz. Rosyjskie więc siły w trzech oddziałach z głębi państwa ku zachodowi posuwać się zaczęły. Najliczniejszy 80-tysięczny korpus, pod wodzą Beningsena stanął nad Niemnem, 50-tysięczny pod Michelsonem w Brześciu i 40-tysięczny pod Kutuzowem na Podolu.

Choć uzbrojenia te tajono, nie mogły one jednak ujść uwagi wodza tak bacznego jak Napoleon. Wszystko zresztą wydał porywczością swą król szwedzki. Zaczął on przeprawiać żołnierzy swych do Stralsundu, Napoleon więc chociaż nie lękał się garstki Szwedów, bał się jednak, żeby oni nie złączyli się z Prusakami. Dlatego królowi pruskiemu oświadczył, że jeśli Szwedzi do Stralsundu przeprawiać się nie przestaną, on podwoi załogi w Hanowerze i nie pozwoli zgwałcenia neutralności północnych Niemiec. Dwór pruski wysłał do Szwecyi z prośbą zastosowania się do woli Napoleona, król szwedzki jednak w odpowiedzi zwrócił ordery, jakie posiadał od króla pruskiego, oświadczył, że nie chce nosić oznak tych, jakie współcześnie Prusy *ciemiężcy narodów* udzieliły, że jest panem u siebie, że Stralsundu opuszczac nie myśli, a ani Prus, ani Napoleona się nie lęka, bo ma zapewnioną pomoc Anglii i Rosyi. Ta wyniosła odpowiedź odkryła istnienie koalicyi.

Mimo to Napoleon w sierpniu jeszcze nie porzucał swego zamiaru wylądowania w Anglii i, przybywszy do Boulogne, robił przegląd zebranych tu 125,000 wojska, oczekując na flotę, która pod do-

wództwem Villeneuve'a i Gravin'a miała osłaniać statki kanonierskie i przewozowe. W Holandyi także 25,000 wojska gotowego do wyprawy się znajdowało. Ale flota, wracając z Antyllów, stoczyła niepomyślną utarczkę z angielskim admirałem Colder i zamiast do Boulogne, zdążała do Kadyksu, żeby uniknąć spotkania z Nelsonem, który ścigając ją od Antyllów, ślady jéj utracił.

Chcąc na lądzie także być spokojnym z Boulogne wysłał Napoleon do Berlina Duroc'a, ofiarując królowi pruskiemu Hanower, jeśli ten zawrze z nim traktat zaczepno-odporny i wojska swe ku Czechom posunie. Król pruski znajdował się między młotem i kowadłem i wiedząc, że Napoleon wojną będzie niedługo zaskoczony, za radą Hardenberga, swego ministra, postanowił temporyzować i Duroc'a posłuchanie o ile możności odkładać. Napoleon wszakże, dowiedziawszy się tymczasem o ruchu swojéj floty i o tém, że Austryacy nad Innem i Adygą znaczne siły gromadzą, poczytał wojnę za niewątpliwą i 27 sierpnia wydał rozkaz, żeby wojsko pod Boulogne zgromadzone forsownym marszem nad Ren się przeniosło. Pułki gotowe w Holandyi i te, które zajmowały Hanower, miały się zgromadzić w Würtzburgu nad Menem. Bernardotte, dowodzący wojskami w Hanowerze dla pośpiechu obrał drogę przez Anspach i przez to neutralność Prus zgwałcił.

(*d. c. n.*)

TEORYA DARWINA

W STOSUNKU DO NAUKI I ŻYCIA.

Szkic ogólny.

III.

Darwinizm i Religia.

> Kiedy się jaka nowa teorya pojawi, przeciwnicy jéj twierdzą najprzód, iż jest fałszywą; gdy zarzut ten zostanie podkopany, utrzymują, że jest przeciwną religii, a gdy i to okaże się niedorzecznością, pocieszają się mniemaniem, iż w nowéj teoryi nie ma nic nowego.
>
> *Stara prawda.*

Kiedy się okazało, że teoryi Darwina, która wprawiła w osłupienie cały świat konserwatywnych uczonych, niepodobna zabić milczeniem, kiedy Darwin pobijał swemi przeważnemi siłami wszelkie próby podkopania podstaw, na których się opierał, przeciwnicy uczuwszy zupełnie zachwiany grunt pod swojemi nogami, zmienili front, przeszli na inne pole i gdy się nie udało wykazać fałszywości teoryi, okrzyknęli ją jaką niereligijną.

Czytając napaści antydarwinistów do tego obozu należących, zdawałoby się, że Darwin i jego zwolennicy postawili sobie za jeden z głównych celów obalenie religii, że w dziełach ich co krok napotykamy wycieczki przeciwko religii, lub że przynajmniéj teorya descendencyi służy materyalistom czy ateistom za główną podstawę. Tymczasem przeciętny czytelnik zobaczy—zapewne z wielkiém zdumieniem,—że religia i darwinizm mogą istnieć obok siebie, i że dar-

winizm w niegorszym znajduje się do religii stosunku jak powszechnie uznane i zostawione w spokoju, teorye Kopernika, Newtona, Laplace'a, Lavoisiera i dziesiątki innych poglądów naukowych.

Posłuchajmy najprzód co powiada Darwin, któremu przecież nikt nie odmówi, że jest najradykalniejszym i najkonsekwentniejszym darwinistą.

Oto jego słowa.

„Nie widzę żadnego dostatecznego powodu, aby poglądy w téj książce zawarte, mogły wejść w kolizyą z czyjemiś religijnemi uczuciami. Powinno podziałać uspokajająco (albowiem okazuje jak przelotnemi są podobne wrażenia) przypomnienie, że największe odkrycie, jakie kiedykolwiek przez człowieka dokonane zostało, mianowicie prawo przyciągania czyli ciążenia powszechnego, doznało również napaści ze strony Leibnitz'a, „„„albowiem podkopuje religią naturalną a neguje objawioną.“‘‘ Pewien słynny autor i duchowny pisał do mnie „„„że powoli przyszedł do przekonania, iż podobnie wzniosłem pojęciem Boskości jest wiara, w stworzenie przez nią kilku typów pierwotnych, zdolnych do samodzielnego rozwoju w inne i konieczne formy,—jak ta, że potrzeba jéj było coraz to nowych aktów stworzenia dla wypełnienia luk, które przez działanie jéj własnych praw powstały.‘“‘ (1).

A dalej:

„Według mego mniemania, więcéj się zgadza z prawami wlanemi przez Stwórcę w materyą pogląd, że powstawanie i zagłada dawniejszych i teraźniejszych mieszkańców ziemi spowodowana została pochodnemi (secundäre) przyczynami, podobnemi do tych, które stanowią o życiu i śmierci osobnika. Gdy uważam wszystkie istoty, nie za oddzielne stworzenia, lecz za linie potomstwa niewielu przodków, istniejących na długo przed osadzeniem się pokładów kambryjskich, to wskutek tego wydają mi się one uszlachetnionemi“ (2).

Dzieło zaś swe kończy Darwin słowy:

„Jest to zaiste pogląd wspaniały, że zarodek wszelkiego życia, nas otaczającego, tchnął Stwórca.“

Widzimy więc, że teorya descendencyi nie wyparła z umysłu Darwina uczuć religijnych; że zaś Darwin jest ideałem konsekwencyi, więc wnieść wypada, iż obie ideje mogą się doskonale obok siebie pomieścić w mózgu najmędrszych ludzi. Kto więc został religijnie wychowanym, tego z pewnością darwinizm nie uczyni ateistą, tak jak

---

(1) L. c. str. 568.

(2) O początku gatunków. Przekład niemiecki wyd. V. str. 559.

z drugiéj strony ateisty nie nawróci bynajmniéj ani wielkość Stwórcy, który wlał własność rozwoju w kilka istot pierwotnych, ani przykład Darwina. Biorąc rzecz objektywnie a logicznie, obie sfery można uważać za współrzędne i równoległe. Po za teoryą Darwina istnieje jeszcze ogromne pole, do którego nie sięga bynajmniéj jéj nić przewodnia, a które każdy, według natury i kierunku swéj indywidualnéj sfery duchowéj zapełnia. Inaczéj wygląda ona u Darwina, inaczéj u Haeckl'a, inaczéj u każdego z tysiąców innych darwinistów. Przy darwinizmie można być katolikiem, anglikaninem, buddystą, ateistą tak samo, jak można wyznawać zasady każdego z osobna z tych systematów, będąc przeciwnikiem teoryi ewolucyjnéj. Nie sięgając daleko, przytoczymy osławionego „materyalistę“ a może i ateistę Karola Vogta. Do r. 1859 był on stanowczym i jaskrawym przeciwnikiem teoryi descendencyi, czyli że będąc materyalistą, stał po stronie teoryi Cuvierowskiéj, uważanéj za zgodną z religią. Gdy go Darwin przekonał, stał się ewolucyonistą; jednakże przez cały ten czas, pomimo tak ogromnéj zmiany w jego pojęciach o świecie organicznym, nie powstała żadna zmiana w jego pojęciach filozoficzno religijnych i w obu okresach był jednym i tym samym materyalistą, podobnie jak Darwin i wielu innych pozostali, pomimo wpływu podobnéj zmiany, religijnymi jak dawniéj.

Czyż może być dowód jaskrawszy, że ta lub owa teorya powstania świata organicznego niezmiernie mało wpływać może na taki lub owaki stan pojęć religijnych człowieka.

Fakta są w zupełnéj zgodzie z tym wywodem. Nikt nie wskaże systemu filozofii materyalistycznéj opartéj na teoryi Darwina. Jeśli to, że np. Büchner powołuje się na nią, może służyć za dowód jéj niereligijności, to i fakt łączenia się pierwiastków chemicznych w stosunkach oznaczonych, na który Büchner również się powołuje, powinien być uważany za antyreligijny. Filozofia materyalistyczna opiera się na ogólnych rezultatach wszystkich nauk a w szczególności na wnioskach z fizyologii, i bez teoryi Darwina mogłaby się tak nadal obchodzić, jak się dotąd bez niéj obchodziła, i „Büchneryzm“ z teoryą Darwina jest tak silnym i tak słabym, jak był bez téj teoryi. Jedném słowem, jeżeli chodzi o religią w najogólniejszém, naukowém, znaczeniu tego wyrazu, znajduje się ona w takim samym stanie wobec teoryi Darwina, w jakim była w obec teoryi Cuviera i najzupełniéj z tą samą słusznością można powiedzieć, że istnieje Bóg, który rządzi prawami rozwoju istot, jak się mówiło, że tworzył każdy gatunek z osobna; jak również z drugiéj strony materyalista przy téj czy owéj teoryi zawsze może przypisywać powstanie istot nieświadomym siłom natury. Teorya Darwina nie zajmuje się bynajmniéj przyczynami ostateczne-

mi, ma ona za zadanie tylko zbadanie przyczyn najbliższych i praw, według których dokonało się powstanie świata organicznego. Przyczyny dalsze, prostsze, należą do innych nauk lub do metafizyki, będącéj właśnie polem dla filozofów wszelkich odcieni. Powtarzamy raz jeszcze, że teorya Darwina nie posiada w sobie wcale bezpośrednich materyałów do metamorfozy człowieka religijnego na niereligijnego, tak jak jéj nieposiada do zamiany materyalisty na idealistę.

Wdaliśmy się w ten objektywny wywód logiczny tylko dla wykazania nieznajomości rzeczy panującéj w sferach, chcących wydawać o kwestyach podobnych wyrok stanowczy. Wykazuje nam to jednocześnie, że wszystkie napaści na teoryą Darwina powstać mogły tylko na zasadzie kwestyj drugorzędnych. Mianowicie zarzut niereligijności darwinizmu utworzony został na mocy znanych podań biblijnych, o stworzeniu zwierząt i człowieka, czyli na podstawie nie religii w filozoficznéni znaczeniu tego wyrazu, ale kosmogonii według tradycyj hebrajskich. Jest-że to jeszcze możliwém po Koperniku i Galileuszu? Najciekawszém jednak jest to, iż zeloci nawet śród własnego obozu tracą coraz bardziéj grunt pod nogami. I tak ksiądz Lecomte w antydarwinistyczném swém dziele „Le Darwinisme et l'origine de l'homme" powiada, że komentarze ś-go Augustyna „mogą się jak najlepiéj zgodzić z hipotezą ewolucyi gatunków", a daléj zaznajamia nas z faktem, iż pogląd wyższego duchowieństwa katolickiego na darwinizm jest podzielony. „Kiedy jedni, mówi, zwracają uwagę na antychrześciańskie następstwa darwinizmu, inni sądzą, że wszystkie te wskazane następstwa nie wypływają wcale z téj teoryi, i że ci katolicy, którzy jéj są przeciwni, albo mają o téj nauce wyobrażenie bardzo błędne, albo téż nie znają dobrze swego katechizmu." Ale choć i uznany powszechnie za religijnego filozofa, nieodżałowanéj pamięci Tyszyński dowodził, że Geneza nie mówi wcale o tém, jak były stworzone istoty, że nie wyłącza utworzenia człowieka z materyi organicznéj, choć cytował nadto ś-go Augustyna, który powiada, że pojęcie jakoby istoty stworzone zostały nagle, na podobieństwo działań człowieka, jest dziecinném (s. Aug. Conf. XII, 17); choć kler anglikański, któremu bynajmniéj braku gorliwości zarzucić nie można, przyjął zwłoki Darwina do Opactwa Westminsterskiego i choć głosił z katedr kościelnych, że nauka jego bynajmniéj nie sprzeciwia się religii, jednakże nasi antydarwiniści bynajmniéj nie mogą zrozumiéć doniosłości téj nici Aryadny wyprowadzającéj ich z labiryntu, w którym się znajdują, i z prawdziwie dziecinnym uporem uderzają o mur, którego nie rozwalą.

Zająwszy nawet najobjektywniejsze stanowisko, nie podobna zrozumiéć ich logiki. Napadają na darwinizm dla tego, że się oddala

od wyrazu wiedzy przedtysiącoletniéj. Ale czyż obecne zasady moralności są zasadami biblijnemi? A przecież twórca Biblii kładł chyba na etykę więcéj nacisku niż na pojęcie zoologiczne! Czemże więc poprą narzucanie nauce pojęć przestarzałych, przez kościół nawet w części odrzuconych?

Ku ostrzeżeniu zelotów na jakie niebezpieczeństwo narażają się podobną krytyką i ograniczaniem swobody badania naukowego, ku uprzytomnieniu im jaką kartę gotują sobie w historyi, niech posłużą poniższe słowa Oskara Peschla, uczonego, którego bynajmniéj nie można nazwać darwinistą.

„Wiernym chrześcianom przypomnimy, na jakie wystawiają się niebezpieczeństwo, uwłaczając tak poważnemu badaczowi jak Darwin. Gdy Kopernik wystąpił ze swą, słabo jeszcze uzasadnioną nauką o planetarnym charakterze ziemi, a nawet późniéj, gdy luneta w sierpowatym kształcie planety Venus oraz w świecie Jowisza, dała przekonanie zmysłowe, a Kepler prawami swojemi zapewnił ścisłe dowody prawdziwości poglądu Kopernikowego, nowa prawda została, pomimo to i przez dwór rzymski i przez protestanckich zelotów potępioną. Ponieważ prawdziwy Stwórca postępował w swych dziełach nie po ptolemeuszowsku lecz po kopernikowsku, więc w osobie tych, którzy Jego prawdy głosili, został umieszczony na indeksie, a ci, na których Bóg czekał sześć tysięcy lat, aby dzieła jego poznali—jak to Kepler o sobie pisze—byli jako kacerze prześladowani. I teraz mamy przed sobą dwojako pojętego Stwórcę: raz takiego, który, jak sobie Cuvier wyobraził, niszczy swe dzieła albowiem wymyślił coś lepszego, a drugi raz takiego, jak go pojął Darwin, który stworzył istoty żyjące zmiennemi, ale przewidział kierunek tego przekształcenia się i rozpuścił tylko sprężynę zegarka, nie tamując jego biegu... Trudno pojąć jakim sposobem pobożne umysły mogą być tą nauką zaniepokojone, albowiem stworzenie zyskuje na godności i znaczeniu, jeśli nosi w sobie siłę odnawiania się i rozwoju do większéj doskonałości...“

„Jedna tylko, jedyna, znaleziona w ziemi skamieniałość, któréj zresztą tęsknie nie wyczekujemy, ani też z góry przepowiadać nie chcemy, mogłaby już jutro stwierdzić, że prawdziwy Stwórca jest bliższym wyobrażenia Darwinowskiego niż Cuvierowskiego, a nieopatrzni zeloci musieliby wtedy, tak jak prześladowcy Galileusza, oskarżać siebie samych, że prześladowali prawdziwego Boga dla jakiegoś tam naukowego widziadła. Przecież sama historya teoryi przekształcenia zna już właśnie przypadek takiego świetnego odparcia. Cuvier zamknął usta poprzednikowi Darwina, Lamarck'owi tém, że zażądał znalezienia formy pośredniéj pomiędzy Palaeotherium

a dzisiejszym koniem, jeśli rzeczywiście miała miejsce przemiana gatunków, z owego zaginionego na dzisiejsze zwierzę. Gdyby Cuvier żył teraz i gdyby w jedném z naszych muzeów zobaczył zgrabnego przedpotowego Hippariona, z dwoma kopytkami, musiałby ze wstydem przyznać, że jego żądaniu stało się zupełnie zadość" (1).

Prawie tak samo odzywa się w „Bibliotece Warszawskiéj" *X.* krytyk przekładu „Homo versus Darwin" (prawdopodobnie A. Tyszyński) (2). „Ci namiętni przeciwnicy teoryi Darwina, którzy w każdym przeciwniku jéj widzą przyjaciela religii, a w każdym jéj stronniku nieprzyjaciela religii, nie oddają téj ostatniéj dobréj przysługi; jeśli bowiem hipoteza ta Darwina, jak niegdyś Kopernika, znajdzie swego Newtona i Keplera i przestanie być hipotezą, tedy ich dowodzenia usilne, iż ona jest wręcz przeciwną Biblii, nie pójdzie wcale na korzyść bronionéj sprawy."

Widzimy więc, że można być darwinistą a przytém człowiekiem religijnym, że można być uczonym teologiem i wiernym chrześcianinem, a zaprzeczać niezgodności darwinizmu z religią, że krytyka nauki na zasadzie tradycyj hebrajskich dowodzi z jednéj strony braku naukowego wykształcenia i cofnięcia się do czasów przed kopernikowskich, a z drugiéj jest pociskiem, zwracającym się ku rzucającemu i ku sprawie bronionéj, wysokim nietaktem, wywołującym skutek przeciwny zamierzonemu.

Lecz nie w tém leży główny punkt zetknięcia się religii z darwinizmem, punkt rzeczywiście wielkiéj dla religii doniosłości. Nie dostrzegli go nasi zeloci, ale dostrzegli darwiniści i z mniejszém lub większém szczęściem opracowali, torując drogę nowemu na znaczenie religii poglądowi. Zarysuję to stanowisko w ogólnych wyrazach, nadmieniając, że pomiędzy darwinistami, którzy je zajęli, znajdują się uczeni, jak Gustaw Jaeger, który ze względu na swe filozoficzne przekonania, należy do obozu t. z. materyalistów.

Krytyka metafizycznéj treści systematów religijnych — powiadają oni—nie wchodzi bynajmniéj w zakres zadania teoryi Darwina. Teoretyczna wartość pojęć religijnych należy do zupełnie innego działu. Jéj zaś stanowisko jest zupełnie praktycznem, biegunowo różnem od filozoficznego. Filozof podda krytycznemu rozbiorowi np. fatum greckie i dojdzie do przekonania, że jest fałszem lub wyrazem prawdy, i już mało go to obchodzi jaki wpływ wiara w fatum na ludzi wywiera; darwinista zaś przy rozbiorze fatum, bierze je jako objaw gotowy, rozpatruje jego pożyteczność i szkodliwość dla społeczeństwa i dochodzi do przekonania, że dla społeczeń-

---

(1) Peschel, Völkerkunde. — (2) Bibl. Warsz. 1873. Listop. str. 342.

stwa toczącego ciągłą wojnę, wiara taka jest wielce pożyteczną, jako czynnik pomocny w walce o byt, czyli jako pomoc w utrzymaniu bytu danego społeczeństwa. Podobnież rzecz się ma z religią. Darwinista z wyłącznego swego stanowiska pyta się tylko o to, czy religia daje siłę człowiekowi i społeczeństwu w walce o byt i na téj drodze może się zgodzić dwóch darwinistów zupełnie przeciwnych przekonań metafizycznych, materyalista z idealistą, tak samo np. jak przed dwudziestu kilku laty Vogt wraz ze spirytualistami spotkał się na polu obrony teoryi Cuviera i napaści na teoryą descendencyi.

Wobec najnowszych badań naukowych na polu etnologii, religii nie można bynajmniéj uważać za sztuczny utwór kapłanów wyzyskujących swoje położenie, jak to twierdzili francuzcy filozofowie XVIII w. Jest ona objawem naturalnym, koniecznym i dostateczne prawa istnienia mającym. Nie ma prawie tak dzikiéj grupy ludzi, któraby nie szukała przyczyn zjawisk świata, któraby nie dążyła do ich uogólnienia, któraby nie pragnęła nadać niewzruszonéj podstawy, prawom będącym koniecznemi warunkami jéj bytu. Czyni temu zadość sfera religii. Jak według hipotezy fizyków eter wypełnia wszystkie przestwory pomiędzy atomami, tak religia zapełnia wszelkie luki poznania, praw i urządzeń społecznych. Jak „natura nie znosi próżni,“ tak téż nie cierpi jéj umysł ludzki i ma stosowne do swego rozwoju zapełnienie. Gdybyśmy się odważyli na niemożliwy zresztą eksperyment pozbawienia danego ludu, np. indusów lub samojedów religii, to w próżnią ztąd powstałą wpadłoby zaraz cośkolwiek — i zapewne nie pozytywna nauka. I jakaż wynikłaby dla tego ludu korzyść z podobnie sztucznego wtargnięcia w bieg jego rozwoju? Ludzkości w inspektach hodować nie można. Ale przypuśćmy na chwilę, żeśmy dokonali rzeczy niemożliwéj, żeśmy wygnali z danego ludu religią, żeśmy mu odebrali wiarę w gotowe już pojęcia. Cóż daléj? Pozwolimy każdemu osobnikowi wyrobić sobie samodzielne pojęcia ogólne. — Dobrze. Ale na podstawie jakiego materyału? Nauczymy każdego filozofii i nauk przyrodniczych? Przypuśćmy, że już to jest możliwém, ale co zrobimy wobec milionów, z lukami niezapełnionemi — z przyczynami ostatecznemi? Ale przecież mówić o wysokiém wykształceniu każdego człowieka jest niczém więcéj jak pustym brzękiem wyrazów. Trzeba brać poziom umysłowy ludzkości takim, jakim jest teraz. A jak rzadkiem zjawiskiem w porównaniu do ilości ludzi jest materyał naukowy odpowiedni do wyrobienia jakich takich pojęć ogólnych! Zdolność do logicznego myślenia nie jest bynajmniéj częstą właściwością. Wypompujmy z jakiego ludu religią i zacznijmy go uczyć wiedzy pozytywnéj. Rzecz jasna, iż każdy zanim się nauczy *A* będzie już miał

swoją nową filozofią i ogólny poziom tych filozofij będzie może niższy od najniższéj obecnéj religii. Przytém zapanowałby chaos, zamieszanie wcale niepożyteczne. Powtarzamy, żeby naukowo myśléć i to samodzielnie, żeby przy nauce nie wpadać na dzikie manowce, potrzeba mieć dość rzadkie zdolności i bardzo kosztowne (co do środków materyalnych, czasu i zdrowia) przygotowanie, które dotąd niestety, tylko jednemu na tysiąc mogą być dostępne. Chcieć aby ktoś, co całe życie zajęty jest robotą w polu lub dopasowywaniem części zegarkowych, wytworzył sobie racyonalną filozofią lub przyswoił najgłębsze wyniki nauki, jest to być ideologiem. Nie przychodzimy na świat z jednakowemi zdolnościani i ideami wrodzonemi, a „chłopski rozum,“ zjawisko bardzo niepowszechne, jest zaledwie zaczątkiem rozumu naukowego. Małoż to w wiekach przeszłych było zdrowego rozsądku, a jednak w jakież dziwactwa wierzył za Paracelsa najmędrszy świat naukowy! Do utworzenia sobie dobrych pojęć trzeba nietylko ścisłéj logiki, zdolności, lecz i materyału, a ten zaledwie wyjątkom jest dostępny. Potrzeba téż tradycyi, stopniowego rozwoju. Jeden człowiek może nagły skok uczynić, ale nigdy naród. Ogół musi poprzestawać na wierze, musi mieć pojęcia skończone, zaokrąglone, aby nie męczył się wątpliwością i przy braku środków nie wychodził na manowce. Więc religia ze stanowiska teoryi Darwina jest i konieczną i potrzebną.

Na miejsce różnolitego chaosu wprowadza jedność pojęć, nie pozwala im się rozstrzelić w tysiącznych promieniach, i jednostki, których umysły rozbiegać się mogą w najdzikszych kierunkach, spaja jednym węzłem, czyni je zwolennikami jednych zasad, daje im spójnię duchową, czyni z nich towarzystwo, zaprowadza braterstwo. A stan taki jest rzeczą pierwszorzędnéj wagi w walce o byt i w sprawie postępu.

Naturalnie, że im religia jest wyższą, tém korzyść z niéj dla społeczeństwa większa. Ale nawet religie bardzo nizkiéj wartości są już wielkiem dobrodziejstwem dla narodów, jako wyższe od średniego poziomu umysłów i jako czynniki mniéj więcéj doskonałéj jedności.

Cóż dopiero jeśli religia nosi w sobie czynniki takie, które przy najściślejszéj krytyce wydadzą się jako dźwignie siły i postępu człowieka, społeczeństwa i ludzkości! Zasada miłości bliźniego ma na celu spojenie silnym węzłem społeczeństwa, uczynienie zeń szeregu współpracowników, niemal organizmu. Zasada równości głosi wolność w walce o byt, znosi kasty, niewolnictwo, przywołuje nowe żywioły do rozwinięcia całkowitéj swéj działalności, umożliwia wybór w większych masach ludzi, pozwala na rozwój wielu talentom, któ-

reby niewolnictwo lub kastowość zabiły; obie zasady kładą silny hamulec na zwierzęcą walkę o byt i dążą do kierowania jéj na lepsze tory. Religia więc ze swéj politycznéj strony przedstawia się etnologowi — którym nie może nie być darwinista, jeśli chce mówić o ludzkości — jako jedyny najpowszechniejszy, najprzystępniejszy, najskuteczniejszy, a zapewne i jedynie możliwy środek podnoszenia poziomu umysłowego i moralnego mas od stanu największéj dzikości do stanu kultury, większego lub mniejszego stopnia, ale zawsze kultury.

Prawda, iż gdybyśmy wszystkie religie istniejące na ziemi zaczęli rozważać ze stanowiska wiedzy i moralności najwyżéj rozwiniętych grup ludzkości, to napotkalibyśmy w nich mnóstwo niedorzeczności i potworności. Weźmy dla przykładu choćby grupę religij uralo-ałtajskich, z ich wiarą w życie i potęgę fetyszów z kamienia i drzewa, w możność zyskania ich przychylności przez modlitwę, ofiary i wstawiennictwo szamanów. To prawda, ale czyż nie widać jednocześnie w ich religii pierwszych prób tłómaczenia i podbijania zjawisk natury, czyż umieszczenie ostatniéj przyczyny wszechrzeczy w słońcu nie jest bardzo filozoficzném, czy wreszcie ich godne najwyższego podziwu i uznania zasady moralności, nie okupują tego wszystkiego. Fałszywy pogląd na świat, który daje im ich religia, jest obrazem rezultatów badania, do których doszli najzdolniejsi ich ludzie. Jak on jest stosunkowo wysoki, spostrzeże każdy kto wie, że i w Europie pomimo warunków, których ani porównać nie można z warunkami na tundrach, całe masy przerabiają sobie wysokie pojęcia na fetyszyzm i szamanizm. Czyby lepiéj było, gdyby każdy za wiewiórką lub niedźwiedziem biegający tunguz lub samojed tworzył sobie własne, jak Kant mówi „postulaty praktycznego rozumu.“ Wolimy, aby to była zbiorowa praca pokoleń i głów najzdolniejszych, bo z pewnością wyższą będzie od średnich pojęć i zasad indywidualnych.

Trudno téż zaprzeczyć, że ponieważ szamanizm jest sformułowany, unieruchomiony więc żadnego postępu nie dopuszcza. Wychodząc ze stanowiska, iż jest ostatnim i najświętszym wyrazem prawdy, mógłby po tyrańsku zagłuszać każdą genialną myśl. W niniejszym przykładzie możnaby powiedzićć, że więcéj tunguzom pożytku przynosi obecna przez pokolenia wyrobiona religia, aniżeli jeden lub dwóch geniuszów, którzy, jeżliby nie byli Attylami lub Czyngischanami, lecz Kopernikami lub Newtonami, zmarnieliby, zgaśli jak błędne płomyki, lub mogliby doznać takiego samego prześladowania od niereligijnego, jak i od religijnego tłumu. Attyla zaś t. j. geniusz, który trafia do przekonania mas, nie lęka się sza-

manów. Bądź co bądź jednak, tyrania podobna jest wielką wadą religii, ale téż jest jednocześnie tylko szczegółowym objawem niedoskonałości ludzkiéj. Cywilizacya postępuje nie prosto lecz zygzakami i często wstecz się cofa, jak powszechnie wiadomo. Jeśli są tylko inne warunki rozwoju oświaty, to ona zetrze te szorstkie wyzębienia, a może być nawet, że podobna walka obu stronom wychodzi na korzyść. W saméj nauce, najpozytywniejszéj, również podobne walki się toczą. Darwinista nie może mieć nic przeciwko temu, aby szamaństwo przemieniło się w religią wyższą, szlachetniejszą, bardziéj z nauką zgodną, tak samo jak nie ma nic przeciwko temu, aby czynność oka, uznanego przez Helmholtza za bardzo niedokładny przyrząd fizyczny, stała się dokładniejszą. Darwinista nie może być tylko zwolennikiem wyłupywania oczu i ustawiania na ich miejscu choćby najlepszych przyrządów Hartnacka.

Przedstawiliśmy tu umyślnie pojęcia darwinistów - materyalistów, dla dania jaskrawego dowodu kierunku jaki nawskróś praktyczne i najgłębiéj wglądające w przyczyny zjawisk postulata téj teoryi najskrajniejszym poglądom teoretycznym narzucają. Że darwiniści religijni, choć w inny sposób do tego samego doszliby rezultatu, o tém już nawet wspominać nie potrzeba. Zbyteczną téż jest rzeczą mówić o ich wywodach, bo mówilibyśmy o ich przekonaniach religijnych, nie zaś o odłączonych od wszystkiego postulatach teoryi Darwina, jakich jasność dowodzenia wymaga.

Streśćmy wyniki powyższego rozumowania.

Religia nie jest zrobionym na obstalunek towarem, który w danéj chwili można odrzucić lub zmienić. Jest to objaw faktyczny, żyjący, naturalny, powszechny i konieczny. Wypełnia on pewną sferę potrzeb człowieka, zapełnia próżnię po nad dziedziną wiadomości czy wiedzy doświadczalnéj i jest wcieleniem sankcyi najszlachetniejszych uczuć człowieka, sankcyi, która utwierdza i wysoką siłę nadaje czynnikom korzystnym w walce o byt.

Czyż więc darwinizm wrogim jest religii, czy choćby dla tego jedynego powodu usprawiedliwione są prześladowania, którym podlega, czy skazywanie go na banicyą z literatury i niedopuszczanie do szkół ma więcéj sensu od dawnego interdyktu na odkrycie Kopernika?... Niech czytelnik sam sobie na to odpowie.

IV.

Teorya Darwina w literaturze polskiéj.

Pierwsze echo teoryi Darwina odbiło się u nas dopiero wtedy, kiedy „Origin of species“ wyszło już w trzeciem wydaniu w Anglii,

a francuzi i niemcy mieli już po dwa wydania przekładu. Pochodziło zaś ono nie od samego dzieła Darwina, ale od jego krytyków. Autorka lekkich felietonów p. t. „Kronika Paryzka“ w Bibliotece Warszawskiéj była pierwszym zwiastunem nowéj epoki w nauce, podając we wrześniu roku 1864 wiadomość o poglądach d'Archiac'a, w świeżo wyszłym tomie Kursu Paleontologii i Flourens'a w „Examen du livre de M. Darwin“ — na nową teoryę ewolucyi. Z króciutkiego tego sprawozdania, widać że autorka nawet krytyk tych nie czytała i nie dobrze rozumiała o czém pisze. Nic więc dziwnego, że wzmianka ta przeszła bez żadnego wrażenia, że nikt uwagi nie zwrócił na teoryą Darwina, która zresztą w świetle bardzo wątpliwéj wartości z „Kroniki Paryzkiéj“ wychodzi. Nie obwiniamy za to wcale zdolnéj felietonistki. Nie do niéj należało wprowadzać do nas nowe idee naukowe. Zrobiła co mogła i odpowiedziała swemu stanowisku.

W tymże samym roku nowy profesor zoologii w szkole Głównéj Warszawskiéj p. August Wrześniowski, rozpocząwszy wykład systematyczny zoologii, pomieścił przy rozbiorze znaczenia gatunku krótkie streszczenie teoryi Darwina, w którém widocznie staje po stronie téj teoryi. Pierwsze to naukowe choć zbyt lakoniczne przedstawienie nowego poglądu znajdzie czytelnik na 27—31 str. litografowanego kursu zoologii prof. Wrześniowskiego, wydanego przez jednego ze studentów w roku szkolnym 1864/5.

W r. 1865 dr. Małecki w Poznaniu miał kilka wykładów publicznych o teoryi Darwina. Prelekcyj tych nie znamy i nie wiemy jakie one wrażenie w Ks. Poznańskiem wywołały. Są one jednak ważne z tego powodu, że jak widać z czasu na nie poświęconego, były pierwszém obszerniejszém przedstawieniem téj teoryi, a nadto wywołały polemikę, któréj echo, wprawdzie dość słabo, ale bądź co bądź doszło do Warszawy, gdzie miał się za lat kilka rozwinąć żywy ruch darwinistowski.

Polemikę podjął ksiądz Wartenberg w Tygodniku Katolickim i dla nadania jéj szerszego rozgłosu wydał broszurę „O teoryi Darwina“ 1866 r. Naturalnie że z niéj tylko fałszywego wyobrażenia o nowéj teoryi nabrać było można. Przyszła ona bardzo późno do Warszawy i bodaj czy nie dopiero w 1868 r. ukazała się na wystawach księgarskich. Bądź co bądź, ma ona jednak dla nas pewne znaczenie, gdyż zwróciła uwagę na tę kwestyą.

Od początku swego powstania ruchliwy Przegląd Tygodniowy podał w tym samym roku artykuł p. t. „Dwie nowe teorye ustroju świata organicznego,“ mający za przedmiot teoryą Darwina i Agassiza. Pierwszéj poświęcił autor około 30—40 wierszy. Zbyt pobież-

ny i niezdecydowany we wnioskach, artykuł ten nie mógł wywołać żadnego wpływu i w rok czy dwa lata późniéj nawet współpracownicy Przeglądu o nim nie wiedzieli.

W 1867 r. w lipcowym zeszycie Biblioteki Warszawsktéj pomieścił prof. Edward Strasburger swą wstępną prelekcyą „O istocie i zadaniu nauk przyrodniczych, w któréj wspominając w kilku wierszach o teoryi Darwina, mówi o niéj jakby o rzeczy powszechnie wiadoméj.

W r. 1868 znajdujemy w Przeglądzie Tygodniowym artykuł „Darwin i Buckle" przez Świeżawskiego, zajmujący się głównie treścią dzieła Rolle'go o pochodzeniu człowieka. Rzecz nietylko dla ówczesnego ale i dla dzisiejszego czytelnika niejasna.

W Nr. 256 (czy 265) Gazety Polskiéj z r. 1868 autor kroniki przyrodniczéj podaje wzmiankę o teoryi Darwina z powodu wyszłego niedawno dzieła: *The Variations of animals and plants* etc. Co autor chciał powiedzieć — niewiadomo.

W kilka tygodni późniéj w tejże saméj gazecie pomieszczona była recenzya „Naszych najserdeczniejszych," któréj autor J. Ł. mówiąc o Tholozanie, „zwolenniku Darwina," czyni wycieczkę przeciwko Darwinowi, która wywołała odpowiedź a potém polemikę autora niniejszego szkicu z chemikiem O.

W tymże samym roku, w ostatnim tomie Encyklopedyi Powszechnéj Orgelbranda znajdujemy artykuł *Zoologia*, w którym prof. Wrześniowski wybornie streszcza na 4 stronnicach teoryą Darwina. W poprzednich tomach ani w artykule „Erazm Darwin," ani „gatunek," ani „Lamarck," żadnéj wzmianki o istnieniu Karola Darwina nie było! — Niestety, to jedyne do owego czasu przedstawienie teoryi Darwina, jako zamaskowane tytułem „zoologia," do którego niewielu czytelników zajrzéć się odważyło, pozostało zupełnie nieznaném.

W r. 1869 w styczniowym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj, w artykule „Dwupłciowość, wielokształtność i krzyżowanie się roślin," rzeczy w duchu teoryi Darwina wyłożonéj, poświęcił autor, prof. Strasburger, trzy kartki przedstawieniu teoryi.

Pod koniec 1868 już silnie był rozbudzony w kółkach studenckich interes dla teoryi Darwina, co przypisać należy głównie wykładom prof. Wrześniowskiego i broszurze Wartenberga. Gdy jednak wszystko, co o niéj do owego czasu pisano, było albo za szczupłe, albo niedostępne, albo bez żadnéj wartości, w gronie studentów, będącém zaczątkiem przyszłéj t. z. młodéj prasy, powstała myśl przyswojenia językowi polskiemu jakiegoś większego wykładu. O tłómaczeniu dzieła samego Darwina, które już niektórzy studenci wte-

dy studyowali, ani myśleć nie można było: wypadało dać kolegom nienaturalistom wykład obznajmiający z głównemi zasadami teoryi, niewielki i zrozumiale napisany.

Jakby dla zadośćuczynienia téj potrzebie ukazało się owego czasu na półkach księgarzy warszawskich nowe dzieło Büchnera pod tyt. *Sechs Vorlesungen ueber die Darwinische Theorie* etc. (Lipsk 1868). Büchner był znany studentom z *Kraft und Stoff* z przystępności, łatwości i świetności wykładu. Postanowiono więc przetłomaczyć lub przerobić tę część, która głównie traktowała o teoryi Darwina. Wyszła ona w marcu 1869 r. p. t. „Teorya Darwina, według popularnéj prelekcyi Ludwika Büchnera“ (str. 30).

Powodzenie téj broszury było — jak na rzecz mającą za przedmiot kwestyą naukową—niezwykłe. W kilka miesięcy rozeszło się kilkaset egzemplarzy. Choć jedna tylko Biblioteka Warszawska dała sprawozdanie z téj broszury (i to bardzo chwiejne) i choć jeden tylko znalazł się krytyk darwinizmu w Gazecie Polskiéj, w osobie jakiegoś obywatela z Płockiego, ale zainteresowanie się ogółu nowemi poglądami było już silnie rozbudzone. Wkrótce potém prof. Strassburger dwu czy trzygodzinnym specyalnym o darwinizmie wykładem dla małego grona studentów nauk przyrodniczych wzbudził jeszcze większy zapał dla téj teoryi, zapał, który się nie mógł ograniczyć na audytoryum botaniczném. Daléj w sierpniu T. S(komorowski) wydał prelekcyą Schleidena o „Pochodzeniu gatunków“ (str. 20), a w listopadzie B. S. pomieścił w Bibliotece Warszawskiéj 18-stronnicowy artykuł „O Darwinie.“ Mówiąc mimochodem, rzecz ta, jak na owe czasy nie zła, ale zbyt wiele kwestyj podrzędnych poruszająca i dla tego niejasna. Autor trzyma się na stanowisku umiarkowaném, ale jednocześnie występuje przeciwko zdaniu jakoby teorya ewolucyi była niereligijną.

W r. 1870 teorya Darwina miała już u nas mnóstwo zapalonych zwolenników i przeciwników. W każdém poważniejszém towarzystwie mówiono o niéj. W pismach ciągle się pojawiały podjazdowe wycieczki, na które tylko Przegląd Tygodniowy odpowiadał. W takim stanie rzeczy ukazała się w handlu księgarskim polemiczna broszura d-ra Stefana Pawlickiego „Materyalizm wobec nauki,“ i dolała oliwy do ognia.

Tymczasem znajomość teoryi Darwina coraz szersze u nas robiła postępy. W r. 1870 czy 1871 profesor Wrześniowski znacznie rozszerzył swój wykład o darwinizmie i nadał mu objętość kilkanaście razy wyższą od pierwotnéj. Studenci więc ze wszystkich wydziałów mieli możność dokładnego obznajmienia się z podstawami teoryi ze źródła najlepszego. W 1871 r. wyszło we Lwowie dzieło

Haeckla p. t. „Dzieje utworzenia przyrody“ w przekładzie Masłowskiego i Czarnowskiego (tomów 2), które się rozpowszechniło u nas w r. 1872, a w Warszawie redakcya gazety Polskiéj wydała w r. 1872 przekład rozprawy Broca „O przemianie gatunków“ (str. 103).

Nastąpił punkt kulminacyjny wrzenia, spowodowanego przez teoryą Darwina.

Darwin, wydawszy w r. 1871 dzieło „o Pochodzeniu człowieka“ zawiódł zupełnie nadzieje umiarkowanych (pomiędzy innemi B. S. z Bib. Warsz.), że teoryi swéj do świata ludzkiego nie zastosuje. Haeckel zaś, przeprowadzając absolutnie konsekwencyą do ostatnich granic, żadnéj już wątpliwości pod tym względem nie zostawił. Przytém dopuściwszy się rozmaitych niepotrzebnych wycieczek, do wysokiego stopnia sfery nienaukowe rozdrażnił.

W przeciwnym obozie wyszła wtedy broszura „Człowiek i małpa“ dra. Pawlickiego, która oparta na zupełném niezrozumieniu rzeczy i zdradzająca brak wszelkiego pojęcia o krytyce naukowéj, niczego nie zbiła, nic nie objaśniła, a wołając, że Darwin jest niedołężnym umysłem, tylko słabość obozu przeciwnego okazała.

Po stronie darwinizmu stojąca „młoda prasa,“ która wtedy zwiększyła się o dwa pisma „Przyroda i Przemysł“ oraz „Niwa“, rozwijała i rozpowszechniała poglądy Darwina, prowadząc jednocześnie zaciętą walkę z przeciwnikami. „Niwa“ wydaje wyborne prelekcye Huxleya p. t. o Przyczynach zjawisk w świecie organicznym w przekładzie A. Wrześniowskiego, „Przyroda i Przemysł“ drukuje mnóstwo artykułów darwinistycznych (1).

Literatura darwinistyczna coraz bardziéj się mnoży. Nawet wychodzące dzieła ogólnie filozoficzne, pisane przez autorów nie mających związku z młodą prasą, jak Levittoux: Filozofia natury (2), Szyszły: „Przegląd dziejów przyrody“, Sapalskiego: „Badania o jestestwach organicznych“, trzymane są w części, w duchu Darwina. Do téj kategoryi należą wydane przez „Niwę“, Zagadki życia Laugel'a. W r. 1873 J. Ochorowicz tłómaczy dzieło Quatrefages'a „Karol Dar-

---

(1) Przytoczymy ważniejsze: w r. 1872 „Walka o byt w naturze i życiu ludów“ prof. Eckera, str. 196 i nast.—„Czy nauki przyrodnicze materyalizują człowieka“ str. 25.—„Wybór sztuczny“ 479.—„Zwierzęta przejściowe“ przez dra Sznabla.—„Maskowanie się zwierząt“ p. Beuneta str. 270 i nast. — „Miznetyzm u roślin“. „Teorya Darwina i hipotezy Haeckla“ p. Rejchmana (wyszło w odbitce 1873).

Rok 1873 „Stosunek teoryi transformistycznych do nauki o pochodzeniu człowieka“ przez Lyella N. 33 i nast.—„Walka o byt między roślinami“ przez Maxwella; „Geneza gatunków“ według Mivasta przez T. Skomorowskiego (wyszło w odbitce 1874).

(2) W pierwszém wydaniu z 1869 dr. Levittoux nic jeszcze nie wie o teoryi Darwina.

win i jego poprzednicy“ a „Niwa“ przystępuje do wydania dzieł samego Darwina. Usiłowania jéj niestety zostały tylko w części uwieńczone pomyślnym skutkiem, wyszło w całości tylko dzieło o „Wyrazie uczuć“, zasadniczego zaś o „Pochodzeniu gatunków“ wydano tylko 4 zeszyty (do str. 228).

I stara Biblioteka Warszawska nie może pozostać obcą temu ruchowi i drukuje Tyszyńskiego „Darwinizm i pozytywizm,“ gdzie autor chce godzić nową teoryą ze słowami Biblii, a doznawszy nagany ze strony ks. Nowodworskiego, odpowiada mu w Gazecie Polskiéj (1873, N. 82) w artykule: Hipoteza Darwina jest, czy nie jest antychrześciańską?

W 1872 i 1873 r. walka trwała na całéj linii i prowadzona była z wielką zaciętością.

Nie powiem, aby wszystko, co wtedy o Darwinie wyszło z pod pióra i z ust młodéj prasy, było zupełnie uzasadnioném; nie ulega jednak wątpliwości, że wydała dużo rzeczy dobrych i kto chciał wtedy poznać zasady teoryi Darwina, to bynajmniéj nie potrzebował się uciekać do literatury zagranicznéj. Jeżeli się zdarzyły nietaktowne wystąpienia ze strony kilku dyletantów-darwinistów, to nie mniéj było nietaktu ze strony przeciwnéj. Nie znając wcale Darwina ani nauk, w łonie których powstała ta teorya, potępiono ją z góry. Nikt nie zbijał podstaw, na których teorya się opierala, lecz wysnuwszy sobie najfałszywsze wnioski, oburzał się na nie, drwił, dowcipkował. Jeśli pojawił się artykuł odpierający te wnioski (np. w Przyrodzie, „czy nauki przyrodnicze materyalizują człowieka“, lub w „Niwie“ „Nieporozumienie co do pewnych wyrazów“), zbywano go milczeniem i daléj harcowano na dawnym koniku. Przytém zbito wszystkie idee, lub to co uważano za idee młodéj prasy w jeden konglomerat. Przegląd Tygodniowy, tendencyjność i realizm w powieści, emancypacya kobiét, pozytywizm, materyalizm, utylitaryzm, ba nawet kommunizm i petroleizm, pisownię nową i wiele innych rzeczy połączono wraz z teoryą Darwina i swojemi z niéj wnioskami w jednę wieżę Babel, do któréj szturmowano insynuacyami i wymysłami. Dr. Stefan Pawlicki wołał na Darwina i darwinistów: szalbierze! szarlatani! Darwina nazwał niedołężną głową itd. Inni mówili to samo. Czyż potrzeba było przeciwko takim przeciwnikom argumentów naukowych? Próby zawiodły. Nawet z punktu religijnego wypływające nawoływanie do porządku, z którém się odważył wystąpić we wszystkich obozach szanowany prof. Tyszyński, odbijało się bezskutecznie o mur uprzedzeń. W podobnych warunkach walka bezpośrednia była niemożliwą. Nic nie wyjaśniając, rozdrażniała tylko, bo nie mogła być starciem argumentów lecz wyrazów obelży-

wych. W takim stanie rzeczy, walka w imię nauki powinna była ucichnąć, i sądzimy, że darwiniści postąpili bardzo słusznie, pierwsi broń składając, albowiem dowiedli zrozumienia wysokości stanowiska naukowego.

Gdybyśmy tylko na zaznaczeniu téj jednéj przyczyny zawieszenia broni poprzestali, popełnilibyśmy niedokładność. Jak wogóle w świecie na każdy skutek składają się zwykle rozmaite przyczyny, tak też i tutaj działało kilka różnorodnych czynników. Przedewszystkiém rozpowszechniająca się wtedy u nas idea pozytywizmu została przez niektórych, dotąd żarliwych krzewicieli darwinizmu, doprowadzona do krańcowości, do wymagania matematycznéj prawie ścisłości, wskutek czego w umysłach ich nastąpiła faza grubego empiryzmu, uważającego tylko fakta za rzecz mającą prawdziwą wartość naukową. Hipotezy z tego punktu widzenia spadły do poziomu nader podrzędnego, i zastanawiano się niemal nad tém, czy nie są w ogóle szkodliwemi. Pominąwszy już to, że zanim ta przelotna faza niektórych umysłów minęła, zastanawianie się nad metodą dochodzenia do prawdy pochłaniało całą ich działalność, – ale nadto taki stan sceptycyzmu, na polu teoretycznego myślenia, samemi swemi postulatami musiał deprymująco podziałać na rozwój literatury darwinistycznéj. Siły młodéj prasy zmniejszyły się wtedy o całą frakcyą ścisłych empiryków, do któréj chwilowo niemal wszyscy jéj naturaliści należeli. Faktycznym objawem tego kierunku było zwinięcie sztandaru przez Przyrodę i Przemysł i ogłoszenie krytyki darwinizmu według Misarta, ściśle empiryczny kierunek zdradzającéj.

Partya antydarwinistyczna wcale nie przeczuwała, iż w łonie darwinistów powstał taki krańcowy pozytywizm, taka zawada na polu teoretycznych poglądów. Przewidział to, tylko dedukcyjnie Tyszyński, biorący pozytywizm właśnie w tak ściśle matematyczném znaczeniu; ale rzecz dziwna, słowa jego przeszły bez śladu.

Sceptycyzm zaś ów był wcale niemałoważnym czynnikiem. Nastąpiło również zniechęcenie wskutek przekonania się, że publika nasza jest za mało poważną, że lubi tylko powieść i humorystykę. Spostrzeżono, że walki o darwinizm i metody badania są budową od dachu; że gdyby ogół czytający miał jakie takie przygotowanie naukowe, walka taka, jaka była, niebyłaby możliwą. Realny kierunek myślenia powiedział, iż przedewszystkiem trzeba się zająć wykształceniem elementarném mas, że lepiéj jest mówić im o tém, co to jest ogień i ogrzewanie, machina parowa i roślina, spółka i przestrzeganie swych praw; że może bardzo jest to przykrém, iż nie mamy dość znacznego pocztu mogących i chcących słuchać o Darwinie

i samorodztwie, o logice Milla i psychologii Spencera, ale niepodobna muru przebić głową. Trzeba przyłożyć swych cegiełek, aby przyszłość do tego poziomu umysły doprowadziła, trzeba pracować u podstaw.

Zachwianie się podstaw teoretycznych, a szczególniéj metodologicznych z jednéj strony, a z drugiéj uprzytomnienie sobie zawsze żywych, zawsze jasnych i nie ulegających wątpliwości potrzeb ogólnych otworzyło téż w umysłach darwinistów przystęp dla rad i rozumowań ludzi starszych, powszechnie znanych z rozumu i zasad obywatelskich, którzy stojąc na stanowisku praktyczności, dowodzili, że choć teorya Darwina ma zupełnie prawo bytu w nauce, jednakże pożyteczność jéj popularyzacyi jest wątpliwą wobec umysłów ciemnych i niewykształconych, które jak najfałszywsze wnioski mogą sobie z niéj wyciągnąć. Gdy rzeczywiście wielu zagranicznych i naszych krzykaczy do najfałszywszych antysocyalnych z niéj wniosków dochodziło, gdy darwiniści tego, co istynktownie czuli, uzasadnić nie mogli, choćby dla tego, że to była kwestya za świeża, i mająca za przedmiot pogodzenie dwóch napozór niezmiernie różnych i wyłączających się postulatów; gdy w nich samych dopiero wrzała walka nowych a sprzecznych poglądów, nic dziwnego że ulegli radom osób doświadczonych, występujących ze stanowiska potrzeby powolnego, a odpowiedniego do stanu umysłów i warunków, rozwoju organicznego.

Były téż i przyczyny materyalnéj natury. Wskutek rozpadnięcia młodéj prasy na kilka grup, wskutek wyjścia oddziałów na skrzydła, osłabła nietylko doniosłość strategiczna armii, ale zabrakło téż skrzydłom środków materyalnych. Byt nowych pism spoczywał na barkach ludzi bardzo młodych, niezamożnych, nieznających rozmaitych tajemnic życia praktycznego. Pisali oni na swym sztandarze „wiedza to potęga“ a smutne doświadczenie przekonało ich, że „pieniądz to potęga przynajmniéj chwilowo.“ Zatopieni w niebie nauki, stracili pod nogami grunt materyalny, ofiarą z siebie tylko okupywany. „Niwa“ upadła, niedończywszy przekładu „Początku gatunków“, „Przyroda i przemysł,“ wśród nieprzyjemnych przejść ciągle się chwiała (1).

Proces ten ułatwiła zmiana stanu rzeczy, wśród staréj prasy. Rozsądniejsi jéj członkowie, zoryentowawszy się w przedmiocie wal-

(1) Powszechném było przekonanie, że dwa te pisma upadły z powodu głoszenia poglądów darwinistycznych. Tymczasem „Przyroda i Przemysł“ upadła potém dwa razy pod antydarwinistyczną redakcyą, a obecna „Niwa“ konserwatywna istnieje dzięki ofiarom swych wydawców.

ki, spotrzegli, iż krzykacze konserwatyzmu zadaleko się posunęli, i wskutek tego zaczęto im odmawiać miejsca w pismach na antydarwinistowskie, antypozytywne itd. wycieczki. Jednocześnie, czy to wskutek samodzielnego rozwoju zarodków nauki Darwina w umysłach ukształceńszych przedstawicieli staréj prasy, czy téż, za wpływem zewnątrz jéj się trzymających uczonych, w szeregach konserwatywnych, choć jeszcze nie uznawano teoryi ewolucyi za uzasadnioną, zaczęto jednak mówić o jéj twórcy jako o znakomitym uczonym, jako o badaczu, którego praca bądź co bądź przyczyni się do postępu nauki, jako o człowieku godnym szacunku i niesłusznie obrzuconym obelgami i insynuacyami. Ale oddawszy Darwinowi tę sprawiedliwość, nie pozbyto się jeszcze uprzedzeń względem jego zwolenników i całą „winę“ zrzucono na „popularyzatorów, którzy nie pojmując prawdziwéj nauki Darwina... itd.“ Było to już dowodem wielkiego postępu, i wielce osłodziło konieczność złożenia broni stronie przeciwnéj.

Bądź co bądź, „młoda prasa“ dokonała swego, w miarę swych sił i środków. Zrobiła wyłom, którego już nie można było zamurować; choć jéj strzały zamilkły, wyłom pozostał, i umożliwił wejście do naszéj literatury nowym pracom, wprawdzie nielicznym ale w stosunku do naszéj niezamożności naukowéj dość często się ukazującym. W r. 1875 wyszedł przekład dzieła Oskara Schmidt'a „O pochodzeniu gatunków.“ dokonany przez prof. Wrześniowskiego, oraz dzieło samego Darwina „Pochodzenie człowieka i dobór płciowy“ w tłómaczeniu Masłowskiego. W r. 1876 prof. H. Hoyer pomieścił w kwietniowym zeszycie Ateneum wyborny „Pogląd krytyczny na darwinizm“, w którym rzuca kilka pięknych myśli przyrodniczych, i stara się wyjaśnić stosunek darwinizmu do religii i moralności. W r. 1877 wydaje prof. Petelenz we Lwowie wykład teoryi ewolucyi, w r. 1879 prof. uniwersytetu Jagielońskiego Rostafiński drukuje w Krakowie swą prelekcyą warszawską „O prawie Malthusa w przyrodzie. Wreszcie w r. 1882 pomieszcza prof. Wrześniowski w NN. 5—8 Wszechświata, napisaną ze zwykłą sobie zdolnością i ścisłością ocenę działalności Darwina.

Nie brakło téż objawów opozycyi w tym okresie. Dr. Bonifacyusz Nemo wydał przekład nonsensowego angielskiego paszkwilu antydarwinistycznego p. t. „Homo versus Darwin“, dr. Stefan Pawlicki p. t. „Studya nad Darwinizmem wyd. II,“ puścił w r. 1875 na świat zamaskowany nowym tytułem niezmieniony przedruk „Człowieka i małpy“, a wreszcie dr. Chałupczyński drukował w Przyrodzie i Przemyśle i wydał w osobnéj odbitce r. 1880 swe pojęcia „O niektórych błędach w teoryi Darwina.“ Książki te albo wcale żadnego, albo niezmiernie małe wywołały wrażenie.

Publiczność czytająca postąpiła naprzód równocześnie ze starą prasą a prawdopodobnie nawet ją wyprzedziła. Za *signum temporis* w tym okresie może służyć to, że w r. 1879, z publicznéj katedry będącéj w rozporządzeniu konserwatywnego żywiołu profesor Rostafiński wykładał o darwinistycznéj „walce o byt“ i zbierał huczne oklaski od publiki przynajmniéj w połowie z konserwatywnych klas złożonéj.

Bądź co bądź, jednak bierna opozycya ze strony większości „staréj prasy“ trwa dotąd bez przerwy. Żadne z pism liczących się do jéj szeregu, a przynajmniéj ich większość, nie pozwoli umieścić w swych szpaltach artykułu darwinistycznego. I nie zawsze to jest skutkiem przeciwnych przekonań; przyczyną opozycyi bywa tu często nieświadomość ważności przedmiotu oraz brak odwagi cywilnéj szeroko teraz po naszéj prasie rozpościerający zagony. Łatwiéj to jeszcze wybaczyć prasie, która może się tłómaczyć, choć tylko w części, brakiem miejsca w programie dla rozpraw naukowych. Ale wychodziły u nas dzieła naukowe, którym się zdawało, że trzeba i wolno ignorować darwinizm. Wydawnictwo tak poważne jak „Encyklopedya Rolnictwa“, mające za przedmiot sprawy w tak blizkim stosunku będące z teoryą Darwina, ograniczyło się tylko na lekkiéj o niéj wzmiance w artykule Botanika, opatrzywszy ją przytem całkiem nie logiczném zastrzeżeniem. W artykule „Hodowla bydła,“ nie są uwzględnione dzieła Darwina! I to w r. 1876! To téż nic dziwnego, że autor tego artykułu chwieje się pomiędzy „stałością krwi“ i „potencyą“ i pozbawia naszych ziemian téj nitki przewodniéj, którą Darwin wplótł w kwestyą hodowli. Ale będzie to zapewne ostatni fakt wyjątkowy.

Chwila tedy obecna jest chwilą przełomu ze stanowczém przechylaniem się ku nowemu prądowi. Naturalnie, mówimy tu o sferach niespecyalnych, bo w naukowych już dawno zajął darwinizm odpowiednie stanowisko. Wprawdzie znajomość téj teoryi stosunkowo do naszéj literatury darwinistycznéj, z któréj, pomimo jéj niezupełności (1), można zaczerpnąć ogólne zasady nowéj nauki, jest jeszcze niezmiernie małą, ale bądź co bądź rozpowszechniło się i ustaliło przekonanie, że po za tém x, obrzucaném dotychczas błotem, kryje się coś poważnego, coś bardzo silnego, czego się krzykiem nie zagłuszy i co warte poznania.

---

(1) Dotychczas nieposiadamy całkowitego przekładu dzieła Darwina o „Początku gatunków.“

W takiéj chwili, po długiém w tych kwestyach milczeniu, wysyłam na świat nowy szkic darwinistyczny, zarysowujący kilka poglądów, będących przedmiotem kilkoletnich moich rozmyślań. Jest to tylko zagajenie, które, jeśli mi okoliczności pozwolą, postaram się rozwinąć i uzupełnić. Wstępuję tu na pole kwestyi nowéj i nieopracowanéj, nie tylko u nas lecz i zagranicą. Czy znajdzie się kto z czytelników, który jéj ważności odmówi? Łatwo przewidzieć, że to jest kierunek, któremu nauka w przyszłości wiele sił poświęci, albowiem ma on związek z najważniejszemi podstawami naszego życia. Czy siły moje sprostały zadaniu, czym się nie porwał na zbyt wielkie rzeczy? Oczekuję na to odpowiedzi od sumiennéj naukowéj krytyki. W każdym razie spełniłem swój obowiązek, rzucając myśli i zagajając kierunek, który uważam za sprawę pierwszorzędnéj ważności, a w którym jeśli nie ja, to może inni, zdolniejsi i uczeńsi odemnie, dojdą do pożądanego celu. Czy doszukam się, tak skąpo przez literaturę naszą wydzielanéj krytyki w ogóle, a krytyki bezstronnéj w szczególności? Niech na to odpowiedzą fakta. Przyszły historyk prądów w naszéj literaturze znajdzie w tém nowe *signum temporis.*

Bronisław Rejchman.

ARYOWIE PIERWOTNI.

I.

„Rzeczą jest niezawodną — powiada historyk francuzki Marius Fontane (1) — że na piętnaście wieków przed erą naszą istniała na północnym zachodzie półwyspu hindustańskiego społeczność plemiennie odrębna, wysoko pod względem towarzyskim rozwinięta. Społecznością tą: Aryowie. Jeśli inne gromady ludzkie przedstawiają się historykowi w przeszłości bardziéj odległéj, jeśli mamy wierzyć, że w epoce kiedy przodkowie nasi Aryowie znajdowali się dopiero w stanie postępowego wzrostu, inne ludy, Egipcyanie lub Chińczycy byli już na przekwicie swych dziejów, natomiast należałoby powiedzićć, że sama tylko grupa aryjska początkuje w historyi starożytnéj cykl rozwoju, do którego my należymy, że zatém od życia Aryów zaczynać potrzeba obszerne badania własnego naszego żywota."

Dzieje tych właśnie Aryów, osiadłych w Indyach, opowiada nam Fontane w pierwszym tomie swéj pracy, zakreślonéj na olbrzymie rozmiary. Pokazuje kolebkę rodu, nad którą przed trzema tysiącami lat z okładem brzmiały pierwsze hymny świętéj ich księgi Wedy, początkową prostotę i obyczajność ich życia, rozrost plemienia, zetknięcie się z rasą ludzi czarnych, zwanych Dasyusami, długi szereg walk z niebezpiecznym, bo licznym nieprzyjacielem, podbój nareszcie Dasyuszów, i w końcu powolny ale fatalny zgon samych Aryów wedyjskich, którzy opanowawszy półwysep, znikać zaczęli, tonąc pod ubezwładniającym wpływem gorącego nieba tych stron, w falach zmysłowych ponęt przyrody przepysznéj, choć groźnej,

(1) Histoire universelle, t. I.— Inde vedique, Pary[illegible]

w zachwytach umysłowego ascetyzmu braminów i buddystów, a głównie w nadużyciach władzy wygodnéj i samowolnéj, jaką nad podbitymi rozciągnęli.

Jest to wszakże dopiero historya jednéj tylko gałęzi szczepu aryjskiego, gałęzi indyjskiéj. Dalsze tomy dzieła Fontana obejmą najprzód dzieje Irańczyków, przodków Persów, których księgą świętą jest Zend-Avesta, następnie zaś dzieje Greko-Rzymian, Celtów, Germanów, Litwinów i Słowian. Owi Irańczykowie, Grecy, Rzymianie, Celty, Germanie, Słowianie, Litwini — kimże są? — Aryami również.

Zachodzi tedy pytanie: w jakim stosunku, w jakim stopniu rodowego z sobą powinowactwa zostają wszyscy ci Aryowie? Byliżby Hindusowie, czyli Aryowie wedyjscy, ojcami Aryów innych, gdzieindziéj, w innych warunkach osiadłych? Przeczy temu nauka. Zkądinąd, niepodobna również wyprowadzić ani Greków lub Rzymian od Słowian, ani Słowian od Germanów, ani Germanów od Irańczyków lub Celtów — ani na odwrót. Stało się dziś pewnikiem, że żadna z gromad aryjskich nie da się związać z drugą poboczną, węzłem bezpośredniego, synowskiego pochodzenia. Tymczasem pokrewieństwo samo istnieje, niezaprzeczone, niewątpliwe. Żywe jego świadectwa leżą zarówno w Wedzie indyjskiéj, w Zend-Aveście irańskiéj, jak w podaniach pogańskiéj Grecyi lub Rzymu, jak w zwyczajach, pieśniach, klechdach Celtów, Germanów, Litwinów lub Słowian; zarówno w języku i umysłowéj konstytucyi Aryów wedyjskich jak w języku, towarzyskim ustroju i pojęciach pierwotnych Aryów europejskich. Hindusowie, Irańczykowie, Grecy, Rzymianie, Germany, Słowianie, Litwini, Celtowie, są to konary jednego olbrzymiego pnia, rzeki wypływające z jednego źródła.

Wniosek ztąd, że skoro żadne z tych pokoleń nie może być wprost wyprowadzone od innego, i skoro wszystkie razem przedstawiają cechy sprawdzonego, sprawdzić się dającego pokrewieństwa, przypuścić trzeba, że istniała gdziekolwiek, kiedyśkolwiek rodzina, co te dzieci na świat wydała, a następnie, wysyłała jednych do Indyj, drugich do Persyi, rozsiewając resztę po Europie.

Czem był ów rozsadnik rodów? jakie zamieszkiwał strony? z jakim zasobem sił organicznych opuścił pierwotne swe siedliska?

Zagadnienia te stanowią w obecnym czasie przedmiot „nauki nowéj,“ która, zdaniem niektórych, powołaną jest sprawić w pojęciach kończącego się wieku XIX przeobrażenie podobne do tego, jakie w wieku XV sprawił przypływ świeżych potoków cywilizacyi greckiéj i rzymskiéj ku wyczerpującéj się rzece oświaty średniowiecznéj.

Metodą nauki téj—porównanie. Porównawczość poprzestaje dotychczas w ogólności, na zestawieniu z sobą danych przeważnie lingwistycznych i etnograficznych. Dziedzina moralna i umysłowa prawie nietknięta. Potrzebowałaby ona poprzedniego skupienia i ułożenia materyałów surowych, rozproszonych po wszechświecie w postaci mitologicznych aryjskich baśni, obrzędów, guseł, przesądów. Trud nad siły już może na téj wielkiéj mogile przedhistorycznéj, okrytéj pasorzytném zielskiem wymysłów późniejszych.

Bądź-co-bądź, w poszukiwaniach nad przeszłością Aryów, jakikolwiek miałyby one charakter, literatura wykwitła z ksiąg Wedy, przechowanéj w zabalsamowanym słowie przez Hindusów, stanowić zawsze będzie punkt wyjścia i punkt porównania. Najdawniejszy to bowiem, najstarożytniejszy pomnik życia Aryów, sięgający posadami swemi czasów i miejsc, w których się plemię wychowało przed swym rozpływem po Azyi i Europie.

Nasamprzód tedy powiedzmy słówko o téj Biblii aryjskiéj.

II.

Księgi Wed późno się do nas dostały.

W wieku XVII jeden z misyonarzy portugalskich przywiózł ze wschodu pewną ilość rękopismów, między któremi znajdował się egzemplarz Wedy, bardzo jednak, jak się okazało następnie, wadliwy, zanadto nachylony ku zgodzie z dogmatami kościoła panującego. Z uczonych pierwszy Wolter miał go w ręku, i o ile na owe czasy przepowiedzieć było podobna, przepowiedział, że pisma starożytnych Hindusów wywrą wpływ wielki na umysłowość Europy. Długi atoli czas święta księga indyjska, zarówno jak cała oświata wyprowadzona z Wedy, uchodziły w oczach ludzi wykształconych XVIII i początku XIX wieku za wymysł lub za coś zbliżonego pod względem doniosłości do literatury chińskiéj. Dopiero ostateczny podbój Indyj przez Anglików, dał możność przekonania się, jak dalece pod tym względem się mylono i jakie skarby kryje w sobie rzeczywiście ten świat wedyjski, „który w żywém ludzkiém słowie przechować zdołał metrykę swoich urodzin, sięgającą po za okres, uważany przedtém, na podstawie chronologii semickiéj, za okres stworzenia ziemi.“

Jakim sposobem dochowała się starożytna ta literatura?

Posiadamy bezwątpienia — są słowa Maks. Müllera z odczytów w Westminsterskiem opactwie (1)—rękopismy Wedy; nie sądzę prze-

(1) Origine et développement de la Religion étudiés à la lumière des religions de l'Inde, traduction de Darmesteter. Paryż 1879, str. 144.

cież, żeby się znalazł manuskrypt sanskrycki, któregoby data przechodziła tysiączny rok ery naszéj; wszystko zdaje się wskazywać, że pismo znaném było w Indyach dopiero na początku okresu budyjskiego, kiedy się już kończył okres bramińskich komentarzy nad Wedą. Święte hymny plemienia aryjskiego przechowane zostały za pomocą środków mnemonicznych. Jakkolwiek głęboko sięgnęlibyśmy w przeszłość Indyj, spostrzeżemy, że uczniowie trzech wyższych stopni spędzali tam zawsze lata, odpowiadające naszemu wykształceniu uniwersyteckiemu, na nauce pisma świętego; należało to do obowiązków religijnych. System zaś nauczania, ujęty w przepisy drobiazgowe, nie ustępował co do rygoru najsurowszym praktykom talmudystów. Innego sposobu przed wynalazkiem pisma nie było; nie pominięto zatém żadnéj ostrożności ubezpieczającéj skrupulatny, nienaruszony przekaz tradycyi ojcowskiéj. Nauczyciele wykładający słowo przedwieczne, stanowią korporacyą kapłańską, świętą; żyją z jałmużn po wsiach, samotnie lub gromadami; wszyscy na pamięć umieją Wedę; wszyscy w jednaki sposób wdrażają ją wyraz po wyrazie, trybem przyjętym od niepamiętnych czasów, w umysły pokoleń młodych ustnie. I lubo posiadają rękopismy, lubo mają drukowany tekst Wedy, nie z nich przecie czerpią naukę świętą. Przejmują ją i w spadku podają, wzorem swych ojców przed tysiącami lat: w żywem słowie. Głosowy ten wykład szczegółowo opisany został w ceremoniale ksiąg Wedy, w *Pratisakii*. Już komentatorowie bramińscy z czwartego i piątego wieku przed Chrystusem odwoływali się do tego regulaminu; atoli istnieć on musiał daleko dawniéj, czytamy bowiem w jednym z hymnów Rig-Vedy, opowiadającym powrót pory żabiéj—wiosennéj: „Żaba za drugą powtarza jako uczeń za mistrzem słowa jego“ (VII, 103, 5). Każdy z młodych mistrzów uczy się po kilka wierszy dziennie, powtarzając je godzinami całemi na głos; wyrabia to w nich pamięć do tego stopnia, że po skończeniu nauk możecie otworzyć chodzące te księgi w miejscu, na ustępie, na wierszu, na wyrazie, na akcencie, jaki wam potrzebny, jakiego szukacie.

Taką drogą dostała się do nas Weda. Z podziału literatury, któréj ona dała początek, dowiemy się z kolei do jakiéj mianowicie chronologicznéj głębokości sięga pokład gleby, w którym księga ta Aryów powstawała, rosła, zanim w skamieniałéj nad sobą roślinności, stała się „hymnem umarłych zmartwychwstającym przez wieki w słowie żyjących.“

Na cztery peryody czyli właściwiéj warstwy, rozkłada tę literaturę Maks Müller. Warstwa najświeższa, górna — *Sutra*, zawiera przepisy odnoszące się do nabożeństw bramińskich, fonetykę, ety-

mologią, gramatykę, prozodią, zbiór praw zwyczajowych i ustaw pisanych, traktaty geometryczne, astronomiczne, filozoficzne. Jest to napływowy uczoności czarnoziem na grunt poprzedzających go komentarzy bramińskich nad Wedą, coś w rodzaju naszéj scholastyki z czasów Abelarda; początkami swemi sięga ten okres szóstego wieku przed Chrystusem. Warstwa druga — *bramana*, sformowana w ciągu dwóch wieków dalszych — licząc wstecz — obejmuje, że tak powiemy, złoty ołtarz modłów i obrzędów, które kapłani spełniają przy wyroczniach, przy sądzeniu spraw świeckich i duchownych. Poniżéj warstwy *bramana* leży warstwa trzecia— *mantra*, trwać mogąca od trzech do czterech wieków dalszych w głąb'; jest to okres kodyfikacyjny. W życiu Aryów indyjskich *mantra* zajmuje stopień powagi i znaczenia odpowiedni temu, jaki w rozwoju Chrystyanizmu naznaczamy dekretom soborów, bullom średniowiecznym. Kościół bramiński cały wznosi się nareszcie na podwalinach warstwy czwartéj, granitowéj, zwanéj *kanda*. Kanda jest okresem samorodnego powstawania i tworzenia się hymnów, stanowiących biblię wedyjską—Wedę.

Weda w końcu ze swojéj strony roztwiera się na cztery księgi, zbiory czyli piętra, idące w porządku następującym, od najmłodszego, najświeższego:

Atharva-veda — wyjątki z Rig-Vedy, przemięszane ze śpiewami gminnemi, egzorcyzmami i t. p.

Sama-veda — hymny z Rig-Vedy i pieśni ludowe przeznaczone do śpiewania przy nabożeństwie przez dyakona pospołu z wiernymi.

Jadżur-veda — hymny z Rig-vedy i modlitwy przeznaczone do cichego czytania przez kapłana odprawiającego nabożeństwa; nareszcie:

Rig-veda, czyli właściwa Veda, składająca się z 1017 hymnów podzielonych na ksiąg dziesięcioro; jest to zasadnicza część literatury indyjskiéj, jéj kamień węgielny, ziarno zarodkowe na dnie wieków posadzone.

Ile setek lat rosły, rozwijały się, starzały, mchem porastały hymny Rig-vedy, te pieśni nad pieśniami aryjskiego szczepu? Daremnym byłby tu rachunek wszelki — zapewnia Maks Müller w pomienionych odczytach. Wszystko, co jest w téj sprawie do uczynienia, ograniczyć się musi na wytknięciu względnéj jedynie starożytności, względnego między hymnami starszeństwa, czyli na pokazaniu, które z nich należą do epoki ciemniejszéj, a które jaśniéj się nieco wydobywają z przeddziejowego mroku. Dla takiego wymiaru głębokości chronologicznéj, wskazówek niebrak. Znajdują się one w hymnach samych. Są niemi: przekształcenia językowe, zmia-

ny rytmu, stałe przeciwstawianie przez poetę hymnów dawnych nowym, powolny, stopniowy rozwój ceremoniału religijnego, nareszcie pierwsze ślady urządzeń kastowych spotykane dopiero w najświeższych stosunkowo hymnach.

Zaprawdę, dziwne to jedyne dzieło umysłu ludzkiego ta Weda. Powiedziećby o niém można słowami Tomasza Carlyle'a, określającemi historyą w ogólności. „To co nazywamy dziejami rodu ludzkiego — pisał on przed laty w *Oliver Cromwell's letters and speeches*— jest z natury swéj niczem więcéj tylko labiryntem i chaosem; kupą drzew zwalonych i karczów, oczeretem ogromnym jak świat, rodzącym się i umierającym jednocześnie. Pod zielonemi liśćmi i owocami jego teraźniejszości spoczywają w rozkładzie mniéj więcéj szybkim, mniéj więcéj głębokim, puszcze całe wszystkich innych lat, wszystkich innych dni. Kilka krzewów o dorocznym wzroście, oddawna wróciło do przyrody nieorganicznéj; inne są jak aloes trwający tysiąc lub trzy tysiące lat. Okazy wszelkich gatunków roślinności, na wszelkich stopniach wzrostu lub upadku, sięgają tu najpierwszych podwalin dziejów człowieka na ziemi. Ziarna naszych myśli i perły naszych uczuć dzisiejszych znajdziesz w glebie, którą deptali pierwsi nasi rodzice... W gruncie rzeczy niema wcale historyi prawdziwéj..."

Niema téż i w Wedzie historyi rzeczywistéj, faktycznéj, ujętéj w daty, okresy. Są w niéj jedynie, jako w geologii, osady wiekowe, przemieszane, poucinane, wzajem za siebie zachodzące, poprzedzierane przęsłami skał wulkanicznego początku. Jest to podziemie o tysiącznych wejściach i wyjściach, przez które, wrąc i kipiąc, falowało niegdyś życie młode, dziś kryształami słowa połyskujące po ścianach ciemnych tych katakumb, kędy—w majestacie wiekuistego nieładu rzeczy bożych na ziemi— spoczęły myśli i czyny prapradziadów naszych. „W Wedzie — powiada Vivien de Saint-Martin w swych *Etudes sur la géographie de l'Inde*—wyobrażenia nasze przenoszą się odrazu w wieki samorodnéj twórczości ludu świeżego, po raz pierwszy czystemi oczyma spoglądającego na dziwy tego świata, oddychającego pełnią czerstwych, tylko-co zapoczętych sił życia. Historyi pisanéj w naszém rozumieniu słowa, szukać tu oczywiście nie trzeba; lecz zdarzenia, wypadki, uczucia, myśli płyną tu wezbranemi, przepełnionemi łożyskami." — „Nie sądźmy — mówi ze swéj strony E. Burnouf w *Essais* — iżby hymny wedyjskie były utworami poezyi czystéj, oderwanéj od rzeczywistości, od powszednich jéj kolei. Związane owszem z pospolitym, codziennym trybem bytu plemienia, śród którego powstały, są one jego echem wiernem, nieustającém. Wojna i pokój, praca rolna, dogląd trzody, podróże, wesela,

pogrzeby, chrzciny, są to przedmioty najczęściéj podnoszone przez poetę. Wymienia on swoich przyjaciół, braci, kapłanów, swoję czeladkę, rodzinę, siebie samego. Mówi o ludziach możnych, o przywódcach, z którymi zostaje w stosunkach, i nigdy nie zaniedba wspomnieć o wypadku, jeśli gdzie jaki ważniejszy zaszedł."

Taką jest osnowa hymnów religijnych. Jakkolwiek piękna, chwytająca za serce prostotą swą i rzetelnością, wydaje się ona niekiedy czemś podobném do skarbów położonych... na księżycu. Nikt nie przeczy, że ich blaski wpływać muszą na ogólny stopień jasności miesięcznéj. Lecz tyleż w tém tylko—powie kto może—ciekawości, co w księżycowém świetle. Dziś człowiek kocha jedynie to, po co ręką sięgnie...

Wszelakoż uważniéj spojrzawszy na przedmiot, nie trudno się przekonać, że przeddziejowa ta literatura wedyjska daleko bliżéj położoną jest względem nas, niżbyśmy sądzili na pierwszy rzut oka, i kto wie czy nie o tyle bliżéj, o ile głębiéj którakolwiek z jéj odnóg schowana w ziemi.

W téj przynajmniéj wierze chcielibyśmy postawić tu parę pytań, a na ich czele: w jakich mianowicie stronach mieszkali pierwotni owi Aryowie, którzy stworzyli najdawniejsze hymny wedyjskie? Jest bowiem wiele za tém, iż najstarożytniejsze te hymny powstały w czasach poprzedzających rozejście się plemienia po Indyach, Persyi i Europie. Być więc może, że coś rodzimego posłyszymy w dźwiękach śpiewanych lat temu sześć, siedm tysięcy.

III.

Z trzech możebnych istniejących hipotez o pochodzeniu Aryów, usuwamy najpierw tę, która pradziadów naszych wyprowadza szlakami wytkniętemi przez Geigera, Spiegla i Benfeya, z ziemi niemieckiéj, ze środkowéj Europy. Na poparcie bowiem germańskiego tego rozejścia się Aryów, nie mamy pod ręką dowodów odpowiednio dawnych, a te któreśmy sami zapamiętali, świeże są zanadto.

Na mocy drugiego przypuszczenia, bronionego we Francyi przez Burnoufów, za których zdaniem poszedł wspomniany M. Fontane, należałoby szukać pierwotnych siedzib plemienia na półwyspie hindustańskim, gdzie zamieszkała wedyjska rodzina Aryów.

Trzecią hipotezę podtrzymują Lassen, Schlegel, Muir i w pewnéj wierze Maks Müller. Według niéj, kolebką rodu ary g byłaby Azya środkowa, u źródeł Oxusa, dawna Baktryana. wyżyny i doliny dzisiejszego Balku, Chulmu, Maimene, aż ku sławnemu He-

ratowi na zachód południowy. Najgoręcéj twierdzenia tego bronił za naszych czasów genewczyk Adolf Pictet, autor dzieła „O początkach Aryów,“ które doczekało się niedawno powtórnéj edycyi.

Jako dowód najbardziéj może dotykalny trafności swego mniemania, Pictet stawia niewątpliwy fakt wędrówek aryjskich, fakt kilkukierunkowego rozpływu plemienia, który to rozpływ, ze względu na powszechnie przyjęte pobratymstwo ludów indo-europejskich, musiał być jednoźródłowym (1). Obecne siedliska rodów aryjskich w Azyi i Europie widomie zdają się naprowadzać na to źródło. Rozłożone od Indyj przez Persyą, Grecyą, kraje celto-romańskie i Germanią, ku wczoraj dopiero powstałym krańcom ziem słowiańskich, zakreślają one półkole mocno wydęte na zachód, ku Atlantykowi; sam niejako zbieg promieni téj elipsy, wyznaczając jéj środek, wyznacza poniekąd ognisko pierworodnego pochodzenia Aryów. Ognisko to wypada właśnie na dawną Baktryanę.

Żadne inne geograficzne stanowisko—powiada Pictet— niezdoła trafniéj odpowiedziéć tradycyom i lingwistycznym danym, jakie posiadamy w sprawie początkowego pobytu i następnych wędrówek plemienia, zgarnąwszy do tego ula wszystkie roje aryjskie, odlot ich uzmysłowimy sobie najdokładniéj. Zobaczymy przy świetle lingwistyki i etnografii porównawczéj, że Irańczykowie zajmowali północno-wschodnią siedzib tych stronę, graniczącą z Sogdyaną, ku Belutagowi, i że pchani ztamtąd rozrostem ludności, rozszerzać się mogli jedynie ku wyniosłym szczytom tych gór; i do tego to zdarzenia stosują się słowa Zend-Avesty, opisujące powiaty, przez które przechodzili Irańczykowie, dążąc do ziem szczęśliwszych, od Ormuzdowéj *Airyana-vaedża*, „gdzie ciepła jest siedm miesięcy a chłodu tylko pięć,“ aż do stron ośnieżonych przez Arimana, „gdzie zima trwa dziesięć miesięcy a lato zaledwie dwa.“ Dopiero późniéj, po upływie innych rodów aryjskich z ziem Baktryany, Zendowie posunęli się od Belutagu na zachód i zaludnili Iran. Obok nich, w stronach południowo-wschodnich ojczyzny pierwotnéj, najprawdopodobniéj na urodzajnych ziemiach Badakczanu, siedzieli Aryo-Hindusowie, oparci o hindukuskie stoki Himalajów, które późniéj musieli przejść lub okrążyć, by się przez Kabulistan dostać do Indyi. Na skraju południowo-zachodnim, u źródeł Artamizy i Nari umieścilibyśmy Aryo Pelazgów (Greków i Rzymian), którzy w epoce wędrownéj posunęli się ztąd w kierunku Horatu i daléj, przez Małą-Azyą ku Helespontowi. Pokolenie, z którego urosł wielki lud Celtów, zamieszkiwało

(1) Les origines indo-européennes ou les Aryas primitifs. Paryż, 1877—1878, tom I, str. 66.

powiaty zachodnie kraju, w dzisiejszym chanacie Maimene; otwarte ztąd mając drogi wygnania, wcześnie postąpili przez Merw i Hirkanyą ku południowym wybrzeżom morza Kaspijskiego i wąwozom Kaukazkim, prąc wciąż w kierunku kędy słońce schodzi na spoczynek, zanim się oparli na brzegach oceanu i zaludnili między innemi krajami dzisiejszą Bretonią i Irlandyą, wówczas prawdopodobnie połączone.

Nareszcie, w sercu kraju, przy dzisiejszym Chulmie i na północ, wzdluż górnego Oxusa, śród uroczych i urodzajnych dolin, po których biegną dopływy téj rzeki, mieszkali Aryo-Słowianie (1) i Aryo-Germany. Wcześnie zapewne dwie te płodne rodziny przeniosły się za Oxus, na przestworza Scytyi, którą zamieszkiwały wieki może całe, zanim parte przez napastnicze hordy turańskie, skierowały się ku Europie. Ostatni ten ruch zaczął się prawdopodobnie na kilka wieków przed erą naszą, i pierwszą jego widownią były zapewne krainy położone między dzisiejszym Dnieprem a Dniestrem, gdyż za czasów Aleksandra Macedońskiego masa ludów germańskich posunęła się już od morza Czarnego ku Renowi i Baltykowi. Co się zaś tycze Słowian i Aryo-Litwinów, rozsianych nieco daléj na wschód za Germanami, ci nadeszli późniéj i znalazłszy Europę zajętą w większéj części, zatrzymali się w północno-wschodnich jéj stronach...

Niewiem, czy się nieuwodzę— kończy Pictet— ale zdaje mi się, że żadne inne przypuszczenie nie zdoła wyraźniéj zdać sobie sprawy z faktów dotyczących wędrówki rodów aryjskich. Czy punkt wyjścia dla nich umieścimy bardziéj na północ lub na południe, czy go szukać zechcemy więcéj na zachód lub na wschód, napotkamy zawsze trudności i sprzeczności nierozwikłane.

Są jednak okrom topografii inne świadectwa popierające myśl pochodzenia Aryów pierwotnych z Azyi środkowéj. Klimat najpierw.

Zastanawiając się nad najstarożytniejszemi wedyjskimi hymnami, Fontane zgodzić się musiał, że noszą one na sobie niezaprzeczony ślad wpływów klimatycznych takich, które nie mogą być odniesione na karb przyrody hindustańskiéj. Na ogół, ziemia i niebiosa Wedy są umiarkowańsze, wdzięczniejsze niż ziemia i niebiosa położone z południowéj strony Himalayów.

Weźmy ustęp z najdawniejszego może hymnu, *Veda*, I, 90 (6—8), opiewający wdzięki przyrody w tych kilku prostych, czułych słowach:

---

(1) Na szczegółowszych mapach Azyi środkowéj Kieperta i Petermanna łatwo w stronach tych spotkać się z mianem osady dość swojsko brzmiącém; np. *Lechmien* nad rzeką Wachsch (?) lub *Kakajty* u Babichgór Hissaru. Złudny zapewne traf

„Wiatry miód zlewają na człowieka prawego; rzeki miód toczą; o, pełne miodu bądźcie rośliny nasze!

„Miodu pełna bądź nocy i ty jutrzenko! Miodem się gwiazdy nad ziemią roztoczcie! miodem płyńcie rodzicielskie niebiosa!

„Drzewa nasze miodu bądźcie pełne! Słońce jasne miodem nam bądź! Miodu pełne bądźcie krowy nasze!“

Znamię najodleglejszéj przeszłości aryjskiéj leży widomie na tych słowach prastaréj pieśni; powstała ona w czasach, kiedy jeszcze wyraz *miód* oznaczał zarazem wino, mleko, napój przyjemny, deszcz w porę przychodzący, a nawet zgoła słodycz, przyjemność wszelką. Hymn ten słyszeli praszczurowie nasi w epoce poprzedzającéj rozejście się rodów indo-europejskich, wyraz bowiem miód (w znaczeniu ścieśnionéni już stosującém się jedynie do właściwego miodu lub wina) znajdujemy w brzmieniu jednopochodném, we wszystkich bez wyjątku narzeczach szczepu: w sanskryckiém i zendzkiém *madhu* lub *madha*, w greckiém *methy*, w łacińksiém *mel* (*mellis*), w słowiańskiém *miód—med*, w litewskiém *medus—middus*, w staroniemieckiém *metu*, *medu*, *milith*, w skandynawskiém *miödr*, w anglosaskiém *medu — medo*, w irlandzkiém *meadh — miodh*, w celtycko-cymbryjskiém *medd* i *mel*. Owóż, równie świąteczne, miękkie i spokojne określenie zjawisk przyrodzonych, jak w przytoczonym hymnie, byłoby niepodobne chyba w otoczeniu, gdzie przyroda posiada wszystko, okrom miękkości, słodyczy i spokoju. Jeśli gdzie, zaiste to nie w Indyach miodowe są rzeki, mleczne niebiosa a ciche i miłośne wiatry w Indyach, których wody wspaniałe i szerokie, roznoszą po ziemi zaraźliwe gorączki, a niebo przepyszne, roziskrzone, ciska cyklony unoszące za sobą miasta całe i znaczące swe przejścia milionami ofiar. Takiéj sprzeczności między rzeczywistością a pojęciem żaden lud młody u siebie nie uświęci. Jedynie w społeczeństwach postarzałych zdarzają się podobne rozdźwięki faktów i wyobrażeń. Odległe a strakcye wybujałe przenośnie, wydęte myśli, rozkwilone uczucia tam tylko zaczynają się szerzyć, gdzie człowiek już się oderwał od bezpośredniego obcowania z warunkami najbliższego swego otoczenia, z ziemią swoją. Naród świeży, początkujący na widowni dziejów, potrafi utrzymać i odległym pokoleniom w spuściźnie przekazać tradycyą *własną*, w jakiémkolwiek położeniu zewnętrznéni powstałą. Niewolę swą egipską zapamięta i rozmyślać nad nią będzie wtedy nawet, gdy się od niéj morzem odgrodzi. Tryumfów swych trojańskich nie przestanie opiewać w wiekach, kiedy wieść, gdzie była Troja, przepadnie. Etap po etapie zaznaczy, jak w Zend-Aveście, krainy po których się tułał wygnany ze swéj Airyany. Lecz nigdy nie powie ze swego natchnienia, ani z na-

tchnienia swych bardów, że mu obłoki i niebiosa miód spuszczają, skoro naprawdę huraganami zabijają dobytek i niszczą zagrody— „wary“ jego odwieczne.

Czy klimat Azyi środkowéj bardziéj odpowiada szczerości wedyjskich dla przyrody uwielbień? Pytaniu temu A. Pictet poświęcił większą część mozolnéj swéj pracy. Nie wynika wprawdzie z tych jego poszukiwań, by dzisiejsze chanaty Balk i Maimene, w których pradziadowie nasi prowadzili wdzięczną rozmowę z niebem swém mlecznérm, miały być drugim z kolei rajem ziemskim—jakkolwiek podziśdzień utrzymują to niektórzy światli ideologowie. Uczony Play, komisarz jeneralny wystawy powsz. 1867, niedawno jeszcze zalecał społeczeństwom tegoczesnym powrót do szczęśliwego patryarchalnego bytu ludów pasterskich nad Oxusem i Jartaxesem (w dziele *La Reforme sociale en France*, 1868, t. II). Na gruncie atoli, na miejscu samem, rzecz się przedstawia mniéj sielankowo, za to zgodniéj z hymnami Wedy, w których pochwała dla niebios, nie umniejsza bynajmniéj prośby do nich.

Przyrodzone własności gleby i powietrza Azyi środkowéj są w ścisłém znaczeniu wyrazu umiarkowane. Ile potrzeb człowieka zaspakajają, tyle ich budzą; rodzą pragnień niewiele więcéj jak środków do ich pracowitego zaspokojenia. Natura tych stron nie różni się znacznie w téj mierze od natury krajów, które szczep aryjski, jego przeważna większość, posiada dzisiaj. Po wiekach kilkunastu plemię indo-europejskie znajduje się, bez mała, w takich samych warunkach klimatycznych, jakie były świadkami pierwszych cywilizacyjnych jego usiłowań na północnych stokach Himalajów. Warunki te dobrze są nam znane. Rajskiemi nie można ich nazwać; posiadają przecież znaczną ilość czynników sprzyjających postępowemu rozwojowi człowieka. Rodzą one żądze nie większe nad możność starannego im zadośćuczynienia; nie stawią zawad nieprzezwyciężonych, nie sieją klęsk lub cierpień niepodobnych do ukojenia. Taką téż właśnie zdaje się być górująca nuta pieśni wedyjskiéj, ilekroć się odzywa do otaczających ją gór, lasów, rzek, gwiazd. Czuć w niéj, że ani te gwiazdy lub góry nie spieszą zbytnio naprzeciw pobożnym wołaniom człowieka, ani téż znów nie ociągają się zanadto z pomocą w potrzebie rzetelnéj. Nie są ani groźne bez powodu, ani łaskawe bez przyczyny; w ogólności: niezłe. Cokolwiek tylko, być może, zanadto zmienne, jak się o tém np. przekonać można z usposobienia wiatrów wedyjskich.

Wiatry te nie zawsze w Wedzie są umiarkowane i łagodne; nie zawsze powiedzieć o nich można naszemi słowy: wieją, dmą,—*wejur wti*; niekiedy—biją, niszczą. Niejeden stary hymn wyraża się o nich

jako o istotach niebezpiecznych. „Gnieść nas one mogą,—a my nic im uczynić nie jesteśmy wstanie.“ Dowodu jednak przeciw hipotezie Picteta stanowić to nie może; nie ulega bowiem zaprzeczeniu, że tylko pewna ilość starodawnych hymnów wedyjskich powstała przed rozejściem się plemienia z wyżyn środkowéj Azyi, reszta wzięła początek w Hindustanie.

Źródłowa alegoria wiatrów aryjskich, bądź co bądź, przedstawia się na ogół niegroźnie. Pierwiastkiem słowa *Maruty* (posłańcy wiatrów—bóstwa burzliwe) jest *smar*; od niego pochodzi nasza *śmierć*; daje on wszakże wyjście pojęciom wielorakim. Jedne z nich wyrażają *pamięć*, *miłość*, *uczucie* (serce nasze, wedle określenia Mickiewicza); drugie stosują się do wód ruchomych, do *morza*; inne odpowiadają wyrazom *mara*, *marzenie*, *mgła* (mrzeć), *boleść* (niem. schmertz). Wszystkie te pojęcia, pochodzące od *smar* są, rzecby można, różniczkami jednéj myśli, któréj calka (integrał) jest do znalezienia, do wyznaczenia. Gdybyśmy równowartość téj calki dać chcieli—sposobem raczéj przykładu niż ściśle naukowym, w funkcyi zajmującéj nas w téj chwili, w funkcyi wiatru, otrzymalibyśmy, że „maruty“ geniusze niebios „napędzający chmury jako stada krów, i deszcz z nich dający“, były niegdyś, przed tysiącami lat, istotami budzącemi w człowieku uczucia bardziéj żałośne niż bojaźliwe, bardziéj czułe niż z przerażenia płynące. Są to uczucia niemal te same, jakie się w nas dalekich potomkach czcicieli „marutów“, podziśdzień rodzą w posępne doby wiatrów i słoty: uczucia tęsknot półboleśnych, półrozmarzonych, serdecznych—nieraz śmiertelnie „nudnych.“ Mamy tu do czynienia z *marutami* naszych prawie niebios i naszych wrażeń, tych niebios i wrażeń, które w poezyi polskiéj przedostatniego okresu znalazły odgłos i odpływ, co najmniéj obfite. Mówię o czasach, kiedyśmy wszyscy potrochu zarażeni byli ową „nudą jakąś,“ którą tak pięknie wysłowił poeta w czterowierszu:

> *Jakoś* mi tęskno, smutno i nudno,
> Na dworze deszcz i mgły:
> Kochać niewolno; zapomnieć trudno,
> A w sercu sny i sny.

Snów takich rozkochanych, niepamięci czujnych, radości smętnych, smutków przyjemnych, rozkoszy cichych, cierpień pożądanych a głoszonych na widok natury zachmurzonéj niebrak Wedzie. Pewniejsze w nich z tego powodu niż w czém innéм świadectwo, że stary Arya, zanim poznał rozhukaną i przytłaczającą przyrodę hindustańską, oglądał wpierw widnokręgi mniej jaskrawe, podziwiał niebа więcéj umiarkowane. Charakter jego języka byłby za tém. Są

w pierwotnym sanskrycie osobliwości, które bodaj najlepiéj przetłómaczyćby można w mowie ludu naszego. Są to wyrażenia powiewne, niepewne, niestałe, a jednakże głębokie i delikatne. Owe np. porównania twierdząco-zaprzeczne, za pomocą których dawni Aryowie określali przyrodę swoję, czyliż potrafi oddać należycie którekolwiek z narzeczy żyjących?

Pobożny Arya niesie niebiosom obiatę; chodzi o dokładne oznaczenie uczuć, w jakich to czyni. Czy poeta wedyjski powie, że obiatę tę wierny niesie jako córka obiad swoim rodzicom? Prawie tak, lecz niezupełnie i poniekąd. Rzeka zbliża się rycząc, ależ nie ryczy jako wół, tylko niby jako (*nikiej*) wół. Maruty w ramiona swe biorą człowieka, dziecię téj ziemi. Czy jako ojciec syna? Nie, *niejako* (*niby*) ojciec syna.

Przyroda niemałéj liczby hymnów wedyjskich śmiało odniesioną być może na téj podstawie pod strefy nieindyjskie; niebo hindustańskie nie przypuszcza bowiem w żadnym wypadku owych niejako, niby, poniekąd. Maruty nie obejmują tam syna ziemi niejako matka dziecię. Biorą go owszem wręcz, po prostu: *jako* dzik ofiarę swą na kły, *jako* słoń wroga na trąbę.

Oprócz tego, wiatry, deszcze, burze—zgoła „maruty“ nadchodzą i wieją w Indyach najczęściéj nie ztamtąd, zkąd one wieją i nadchodzą w Wedzie. Hindus zawsze z obawą spogląda na wschód i południe, zkąd nań nadlatują złe duchy zagłady i zniszczenia, siedzące na oceanach. W hymnach zaś, przeciwnie ku stronom tym, niebieski Agni najspokojniéj zwykle wyjeżdża w górę na swym złotowłosym rumaku. Mgły, słoty, ulewy wysuwają się w Wedzie dopiero tam, kędy słońce na spoczynek dąży, prowadząc za sobą dzień jasny—niejako jeździec spoconego swego rumaka—ku rubinowym stajniom. Jest to horyzont Azyi środkowéj; szare chmury i białe mgły nadpływają w tamtych stronach z zachodu, z morza kaspijskiego, jako na Rusi litewskiéj—z Bałtyku. W Wedzie również zachodni deszcz umarza najpospoliciéj pragnienia ziemi; ze wschodu zaś i południa nadlatują „suchny,“ złe duchy upałów.

Dane klimatyczne popiera z kolei roślinność, tudzież świat kopalny i zwierzęcy. Pictet zebrał i zestawił wszystkie kruszce, drzewa, zwierzęta, które się znajdują lub żyją w narzeczach indo-europejskich, a zarazem w Wedzie i w Azyi środkowéj. Niektóre z nich znane są poetom wedyjskim i nam, mieszkańcom Europy lub Azyi środkowéj, nieznane zaś w Indyach. Lecz się zdarza odwrotnie; są trawy, których nazwę i użyteczność odgadnie tylko Rusin i Hindus, nikt inny na kuli ziemskiéj. Co jest np. *kucia*? Wiedzieć o tém może

jedynie ten, kto w wigilią Bożego Narodzenia był na wieczerzy ruskiéj w ziemi podlaskiéj, lub patrzał na pobożne obiaty Hindusów, kiedy rozesławszy *kutsię*, zapraszają do spólnego spożycia darów bożych: jutrzenkę, niebo, słońce, ziemię, bóstwa i ludzi.

Ze wszystkich atoli tych poszlak kwestya pierwotnych siedzib Aryów wedyjskich, praojców całego szczepu indo-europejskiego, nie wyłania się dość jasno i dokładnie. Gdzie mianowicie żyli, jakie kraje zamieszkiwali, pozostanie to prawdopodobnie na zawsze przedmiotem sporu uczonych. Dowodów ścisłych, faktycznych, być w téj mierze nie może; tymczasem, z drugiéj strony, głęboka i ciemna przeszłość otacza zewsząd światła, które niegdyś biły z okien domów i „war" aryjskich. Zwykła to zresztą kolej rzeczy ludzkich, wielkich i małych, że łacniéj się u nich dopytać o miejsca gdzie się wzniosły grobowce, niż gdzie były kolebki. To samo z dawnymi Aryami. Mniéj bez porównania wiemy o dacie ich urodzin przedwiekowych, niźli o tém w jakich ziemiach na wieki... spoczęli. Spoczęli w *Amarcie*—w nieśmiertelności, w stronach, zkąd śmierć przychodziła na ich rozmarzone dusze jako cicha, biała mgła wieczorna schodzi na jasne promienie dzienne; tam gdzie znikał i zniknąć nie mógł boski ich Agni, i kędy rozłożyli wielkie ognisko cywilizacyi nowoczesnéj, zgasiwszy stos swój pogrzebowy; spoczęli na Zachodzie.

Zapłynęli tam... jakiemi drogami? w jakiéj drużynnéj liczbie? z jaką stosunkową siłą? Z taką może nieledwo, z jaką rozpłynęło się ich słowo lekkie, chybkie, chwiejne, a uroczyste i urocze niby ta ich nawa, *nau*, która u nas jest nawą świątyń, i łodzi, u Rzymian okrętem całym, u Celtów zaledwo korytkiem a u Skandynawców już tylko miską (*navis*, *nev*, *noi*), choć właściwie znaczy niewięcéj jak—ruszać się, iść, postępować—postępować naprzód a naprzód!

Tam, i *tém* dziś żyją, tak umierają. Spójrzmy jak ich niegdyś—chowano...

IV.

Ze czci, jaką lud pewien otacza śmiertelne szczątki nieboszczyków, z jaką żegna ich cienie i pielęgnuje pamięć po nich, sądzimy słusznie o stopniu moralnych jego usposobień. Ztąd również wnioskujemy, dość niekiedy trafnie, jakie były tego ludu wyobrażenia o przyszłości, o życiu zaświatowem, o wiekuistych prawach i przemianach bytu.

Z tego zakresu, obrzęd aryjskiego pogrzebu, szczegółowo opisany w X-éj księdze Rig-Vedy, zasługuje na zaznaczenie.

Przodkowie nasi palili ciała umarłych. Pierwotna powszechność tego zwyczaju w całéj pogańskiéj rodzinie ludów indo-europejskich, u Greków zarówno jak u Słowian, u Celtów zarówno jak u Skandynawów, zapisana, co do nas, w kronikach paleontologicznych i u Nestora, znikła w końcu, kolejami wieków, bez śladu. Wyraz tylko „palenie", o ileby zdaniem Grimma, zaprzeczoném przez Sonnego i Zeussa, dał się powiązać z łacińskiém *sepelio*, *sepultura*, gorzałby samotną pochodnią nad wspomnieniem starożytnego wedyjskiego chowania zmarłych,—nad „ciepłym" dotąd stosem naszym, którym jest „*tapczan*", od sanskr. *tap*, urere, calefacere. Tyle tylko, bo czyliż mówiąc o „popiołach" przodków, mamy kiedykolwiek na myśli wspaniały obrzęd, który płomiennym całunem okrywał niegdyś ciała nieboszczyków? U pradziadów naszych obrzęd ten jednak niebył prostym jedynie sposobem „obojętnego zkądinąd pozbywania się trupów"—według orzeczenia pewnego francuzkiego senatora-ateusza. Sądzili oni owszem, że płomień życia tylko płomieniowi przyrody *godnie* powierzonym być może.

Zaginął sławny stos wedyjski, na którym starzy ojcowie nasi składali niebu ofiarę ostatnią z pozostałości czasowego mieszkania duszy człowieczéj. Prawnuki, piękny ten pomnik gorącéj wiary swych ojców zostawili u siebie w czasach późniejszych, jedynie—rzekłbym—dla żywych: dla heretyków, dla niedowiarków, jakby w wiekuistym hołdzie i uwielbieniu dla myśli aryjskiéj: że światło i życie wywiązują się tam tylko, gdzie zaprzeczenie z twierdzeniem skutecznie się ściera; że wiedza i dobrobyt postępują naprzód a naprzód dopiero wtedy, gdy nad niemi swobodnie świeci gwiazda nieustającego umysłowego i moralnego „niejako"; że prawda tli i rozpromienia się jedynie wówczas, kiedy przy niéj nieprawda spokojnie rumienić się lub blednąć może.

Wrodzony szczepowi sceptycyzm—gdyby tak wolno było nazwać pierwotną badawczą oględność Aryów—nigdzie, w rzeczy saméj, z większą nie wystąpił siłą jak przy chowaniu umarłych. Wobec pytania: czem jest zgon, zkąd przychodzi? i czy rzeczywiście człowiek żyć przestaje, kiedy umiera? stary Arya wpadł w większą jeszcze wątpliwość i niepewność, niż kiedy chodziło o orzeczenie materyalnego do siebie stosunku rzeczy; trudno mu było, jak widzieliśmy, oznaczyć czy rzeki jego, zbliżając się, ryczą jako wół czy też niejako,—jakże przeto niepewnym być musiał, ilekroć wypadło zdać sobie sprawę z nieśmiertelnéj zagadki bytu i niebytu!

Całe zachowanie się Aryi przy pogrzebie dowodzi téj jego wrażliwéj a siebie niepewnéj pogoni... za niepodobną do uchwycenia *istotą* rzeczy.

Wzniesiono oto stos wysoki dla nieboszczyka. Domyślać się trzeba, że jest zamiar spalenia go. Dla czegóż atoli, tradycyjnym zwyczajem przechowanym w niektórych celtyckich i germańskich rodach, wzięto ku temu materyał najmniéj suchy i smolny? Czyliżby zachodziła jaka obawa co do rzeczywistości faktu? Czyliżby aż do ostatniéj chwili wątpiono o istnieniu granicy między tym a tamtym światem? między ciałem a duchem? między życiem a śmiercią?

Złożono umarłego na stosie. Za zgasłym mężem idzie niewiasta. Czy po to by spłonąć z nim razem, i los jego dzielić w krainie drugiéj, może lepszéj... jeśli istnieje jaka? Tak pojęli to późniéj Hindusowie, tak pojęli Słowianie, Celty, Germanie, gdy zatraciwszy w sobie istotę zakonu, litery jego trzymali się ślepo. Dobrowolny znak niezbędnéj solidarności życia ze śmiercią, ofiarne pytanie opuszczonego serca do odlatującéj duszy: czy nie pragnie nadal pozostać razém, ujęto w formularz przymusu, potwornego jak wszystko, w czém zgasła iskra szczerości, prawdy, uczucia. Stary Arya, on, niewieście, po odebranéj od męża stanowczéj tym razem odpowiedzi odmównéj, schodzić kazał ze stosu, wołając: „Podnieś się, o kobiéto! wracaj na świat do życia! mąż twój nie żyje! Chodź! dość byłaś żoną tego, który cię wybrał i matką uczynił“ (*Rig-Veda*, X, 18. 8) (1).

Zapalono nareszcie, po téj próbie, stos. Z jakiegoż powodu podłożono pod zwłoki tarcze ochronne od ognia, świeże skóry zabitych na obiatę krów lub kóz? czemu samego nieboszczyka okryto warstwami ubezpieczającemi? „Przyjmij—wołają zgromadzeni bracia—przyjmij tę obronę od płomieni, iżby radośnie rozpłomieniony Agni, *nie od razu*, nie ze wszech stron wziął cię w objęcia.“ (*R. Veda*, X. 16. 7). I zaprawdę, ostrożność niezbyteczna! bo jeśli nieboszczyk nie umarł? jeśli dusza żyć jeszcze pragnie, lub wrócić zechce?

Lecz oto ciało jest już w objęciach boskiego Agni. Posłuchajmy co towarzyszowi na pożegnanie śpiewają towarzysze.

„O Agni!—wołają—nie czyń mu złego, nie niszcz go, nie psuj mu członków! Gdy go przejmiesz, o ty co znasz jestestwa, zanieś go wtedy na łono ojców. Tak jest, gdy go przenikniesz, oddać go ojcom możesz. Wiernie z nimi pełnić będzie służby w życiu nowém.

„Odejdź, druże! niech wzrok twój spocznie na słońcu! niech dusza twoja w powietrzu odetchnie! Odejdź: ku niebu, ku ziemi, gdzie pragniesz! ku wodom, jeżeli wolisz! Prochy twe legną w cieniu drzew i ziół dobroczynnych.

---

(1) W cytatach z Wedy liczba rzymska oznacza księgę, bezpośrednio za nią idąca, z punktem—hymn, dalsze—wersety hymnu.

„Nieśmiertelna istoty połowo, wielki ogniów Boże! ogrzej go, otul go płomieniem swym jasnym i czystym! Weź postać najmilszą, najlżejszą i zanieś go w świat ludzi sprawiedliwych! Pozwól niech wróci do ojców, i tchnieniem ożywiony świeżém niech szczątki swe zbierze i z ciałem się swojem złączy!“ (*R. Veda*, X, 16. 1, 2, 3, 4).

Zebrano, złożono do urny popioły; urnę wstawiono do grobu; na grób, krewni i blizcy składają ziemię—grudka po grudce oczywiście: bo kto wie, człowiek żyjący w proch się obrócił, z prochu powstać może.

Nie powstał. Grzebiąc przeto, śpiewają wszyscy daléj, słowo po słowie:

„Idź ku matce! Idź ku ziemi, szerokiéj, niezmierzonéj, dobroczynnéj, która dla ludzi sprawiedliwych słodką jest niejako młoda niewiasta pełna czułości!

„Otwórz się mu o ziemio! nie czyń mu złego! przyjmij go czule! bądź mu łaskawą! Okryj go, o ziemio! otul jako matka płachtą swą otula dziecię“ (*R. Veda*, X, 18. 10, 11).

Zasypano. Kończąc śpiewają:

„Niechże się teraz zamknie nagromadzona ziemia, niech na nią pył i mgły spadną! Niech spadną na nią obiaty niebios mleczne, i niech mu ta matka opiekunką będzie po wszystkie czasy!“ (*R. Veda*, X, 18. 12, 13).

Niezależnie od zewnętrznych piękności przytoczonych ustępów, łatwo z nich postrzedz jak dalece pojęcie zaświatowości, pośmiertnego życia, chwiejném było u Aryów, chybkiem, sprzeczném—wszechstronném. Czy wyobrażał sobie nasz przodek tę zaświatowość materyalnie czy niemateryalnie, cieleśnie czy niecieleśnie; w jednéj czy dwu postaciach? Nikt tego pytania stanowczo rozwiązać niepotrafi na żądną wyłączną tezę. Każda doktryna znajdzie tu dostatecznie rozwinięte kiełko dla swoich twierdzeń, każda inna dostatecznie ugruntowany motyw dla swoich zaprzeczeń (1).

---

(1) Że „zaświatowość“, „wiekuistość“, „nieśmiertelność“ wedyjska inne ma całkiem znaczenie niż nasz dzisiejszy spirytualizm. o tém trzeba ciągle pamiętać, gdy mowa o wyobrażeniach starożytnych Aryów. Dla tłómacza Wedy jest to trudność nie do przezwyciężenia. Z tego powodu często się zdarza, że jeden i ten sam ustęp Rig-Vedy zupełnie inaczéj przedstawia się w przekładzie Rosena (łacińskim) inaczéj w przekładzie Langlois (franc.) a jeszcze inaczéj w przekładzie Maks Müllera (angielskim). Odwołanie się zaś do oryginału nie dla każdego dostępne, i ostatecznie żadnéj nowéj gwarancyi nie przynosi. W ogólności powiedzieć można, że w Rig-Vedzie, zaświatowość jest to *przymiot rzeczy nieznany lub nieobecny, w objawie téj rzeczy znanym lub obecnym.* „Jaką pieśnią uczcimy boskiego Agni—woła poeta—gdy czysty, wspaniały, *nieśmiertelny śród śmiertelnych*, powstaje tu ku ofiarze bogów?“ (R-V. I, 77. 1). „Jutrzenka, córa niebios postępuje jakoby

A jednakże, z drugiéj strony, o ile kruchém i powiewném było samo wyobrażenie o nieśmiertelności, o jéj formie, o tyle znowu silném, nieprzepartém jéj pragnienie, chęć napicia się ze źródeł bytu, z krynic wiekuistéj jego treści. Większéj rzeki tęsknot za „wielką przyszłością“ nie znają dzieje umysłowego rozwoju ludów. Księgi Wedy są jakoby jedną wielką powodzią westchnień ku nieskończoności rozlaną na dalekie, nieznane, niewidziane kraje istnienia. Wszystko inne znika pod nabrzmiałym poziomem tych wód. Wprawdzie, od czasu do czasu nie zapomina Arya w swych pieśniach o pastwiskach, o krowach, o deszczu na pola suche, o słońcu na ziemię zziębniętą, o zdrowiu własném, o opatrzeniu licznego potomstwa. Radby był również, gdyby mu bogowie raczyli rozproszyć nieprzyjaciół, „ażebyśmy—powiada—żyć choć spokojnie mogli“ (*R. Veda*, II. 28. 7). Są to jednak niejako wysepki na brzegu oceanu w chwili, kiedy sam ocean próśb odpłynął za widokrąg; wrócił—i oto już ani jednéj z nich nie widać; znikły, zatonęły najwyższe wydmy powszedniego bytu pod tém morzem, którego każda fala, każda głębsza brózda zdaje się wołać o nieśmiertelność.

Maks.Müller przytacza jedną z legend indyjskich, należącą do okresu już powedyjskiego, do *bramana*, który w pewnéj mierze obrazowo przedstawia nieukojony ten prąd wiedzy aryjskiéj w zaświatowość, w dziedziny „zamknięte dla oka ludzkiego“—przyszłe, nieśmiertelne.

Ojciec Naciketasa złożył niebiosom obiatę powszechną, na mocy któréj człowiek poświęca bogom wszystko co ma. Syn, posłyszawszy przyrzeczenie rodzica, zapytuje go, ażaliby żadnego wyjątku nie uczynił. Otrzymuje odpowiedź, że nie. Niedługo się tedy namyśla; sam śpieszy w państwo śmierci, powiadając: „spojrz duszo przed siebie na tych, którzy odeszli, spojrz za siebie na tych, którzy

---

znanemi sobie ścieżkami Rity, niezbłąkana *w krainie bogów*“ (I, 124. 3). „O Indra! *wieczne* twe mieszkanie jest już pewno *niedalekie*. Przybywaj....“ (III, 30. 2). Znawcom, którzyby przeczyli temu tłómaczeniu zaświatowości wedyjskiéj (jako nieobecność lub niewiadomość) proponujemy przekład jednéj tylko strofy Rig-Vedy, a mianowicie 5-téj hymnu 54 księgi III, lub téż, jeśli wolą, objaśnienie znaczenia całego hymnu 95-o księgi X-éj, jednego z najpiękniejszych z całéj téj przecudnéj literatury wedyjskiéj. Fontane we wspomnianém dziele *Indye wedyjskie* (str. 355) uznał dyalogowaną tę perłę za niemoralną, jedynie dla tego, że posługując się tłómaczeniem Langlois wziął rozmowę żywiołu *nieśmiertelnego*, nieujętego, powietrznego, *uru*, *urvasi*, z żywiołem śmiertelnym, ziemskim, *pururavas*,—rozmowę oczywiście ścisłą i poufałą, za rozmowę niejakiéj Urwasi z niejakim Pururasem... Atoli i w téj nawet, antropomorficznéj sukience, hymn nie przestaje być prześlicznym, jak, być może, przekonamy o tém czytelnika w drugiéj części niniejszego opracowania.

odejdą: jako zboże, rodzi się, niknie i odradza się życie." Powędrował. Śmierci w domu nie zastał; nie było jéj dnia tego w królestwie umarłych. Wypadło czekać. Czekał dzień, drugi, trzeci; nareszcie zjawia się władczyni, a dowiedziawszy się, że podróżnego nikt gościnnie dotąd nie podjął, rzecze do Naciketasa:

— „Jako zadośćuczynienie, możesz żądać odemnie trzech rzeczy, do swego wyboru, do swojéj woli.

Naciketas rad przystał. Dwu pierwszych łask zażądał rozumie się dla ojca. Poczém, gdy przyszło do trzeciéj, ozwie się w te słowa:

— „Zachodzi wątpliwość, gdy człowiek żyć przestał. Jedni utrzymują, że go niéma, drudzy—że jest. Chciéj mię wyraźnie oświecić w tym względzie, o królowo! a będzie to moja trzecia prośba.

Śmierć pokręciła głową.

— „Widzisz—odpowie—co do tego, to sami bogowie w wątpliwość zachodzili. Przedmiot niełatwy do zrozumienia, materya delikatna. Zażądaj czego innego, o Naciketasie. Nie nastawaj, uwolnij mię od téj obietnicy. Proś natomiast o co chcesz, choćby o coś najtrudniejszego do otrzymania w świecie ludzkim. Dam ci najpiękniejsze rusałki (*absaras*, boginie wodne), na rydwanach, z harfami, jakich człowiek mieć nie może, i żyć z niémi będziesz. Ale nie pytaj mię o tajemnicę śmierci.

Na to jéj Naciketas.

— Wszystko to są rzeczy marne, o śmierci! i tylko zdrowie niszczące. Co mi po nich. Trzymaj sobie swe panny, swe wozy, swe tańce. Nie czyni ludzi zadowolonymi pomyślność. Insza zupełnie sprawa z tém, czy będziemy szczęśliwi, gdy ciebie ujrzymy. To rzecz główna. Powiedz nam tedy raczéj o tém, o królowo, co stanowi przedmiot udręczeń naszych: jaką jest właściwie owa przyszłość wielka i co rzeczywiście w sobie zawiera? Żadnych dobrodziejstw Naciketas nie wymaga; świat ten tylko tajemniczy przeniknąćby pragnął."

Kiedy przed laty przodkowie Słowian, Germanów, Celtów wybierali się z siedzib prastaréj Airyany w dalekie zachodnie kraje— w kraje mórz, mar, zmierzchu, cieniów, ciemni i potomności—mówili może jako Naciketas: „Świat ten tajemniczy przeniknąć pragniemy, tę przyszłość wielką zbadać chcemy. Czém jest ona właściwie i co rzeczywiście zawiera, to nas dręczy. Czy będziemy szczęśliwi, gdy królestwo śmierci ujrzymy—być nam czy nie być nieśmiertelnymi w tém rzecz główna..."

W Wedzie marność *obecnego* życia nieodczuta jeszcze z równą mocą jak w legendzie o Naciketasie; zamiłowanie dóbr *toświatowych*

żywszém jest bez porównania. Niemniéj, kierunek i nastrój ten sam, taki sam. Jest to jakoby jeden powietrzny prąd dusz młodych, skazanych, w powszechnéj obiacie ojców, na poznanie tego, co niewidome i niewiadome. Całość hymnów wedyjskich daje z tego względu wrażenie łodzi małéj, przepełnionéj drobiazgami powszedniości, a niesionéj na ogromnych okrętowych żaglach natchnień poetyczno-metafizycznych.

Dokąd z natchnieniami temi szczep zapłynie? na czem skończy? jaką odpowiedź otrzyma w państwie marzeń, zmartwień, mroku, i mroźnéj śmierci? Przewidziéć to już można z samego przebiegu owéj „zaświatowości" w Wedzie.

Zaznaczmy główne, wytyczne jéj punkta. Ciekawszych ewolucyjnych przemian, niezna historya umysłu ludzkiego.

V.

Z ogólnego stanowiska religia Wed przedstawia się jako politeizm naturalny; jest czcią przyrody ożywionéj i upostaciowanéj. Mitologia wedyjska, w pełni swojego rozwinięcia, niewiele się w tym punkcie różni od mitologii greckiéj, rzymskiéj lub skandynawskiéj.

Słońce występuje w Wedzie w uosobieniu wielorakiém. Jako światło rozpraszające ciemności, *Surya*, o twarzy rozpromienionéj, jedzie na ognistym rydwanie ciągnionym przez siedm rumaków; jako źródło twórczości, *Savitar*, ma wóz złoty, ramiona złote, język złoty, policzki rozognionego żelaza; jako jasność dzienna, *Mitra*, wstaje w purpurze, na spoczynek idzie za ciemne bramy zachodu. W jednym czy drugim wypadku, w téj czy innéj postaci, bóstwo słoneczne jest nieskończenie dobroczynném i wspaniałomyślném. To samo z innemi siłami przyrody. Stróż ogniska domowego i zarazem pan świata, *Agni*, władca i brat człowieka, jego ojciec i jego przyjaciel, z tronu własnych swoich przymiotów jest równie jasnym, dobrym i szlachetnym jak Savitar lub Surya. *Varuna*, rządca niebios, niebo upostaciowane, obejmuje i zwiera pod sobą ziemię, zna porządki świata, jego przemiany, prawa i obroty, *vratas*; „warunkuje" bieg gwiazd, ptaków, wiatrów, rzek, łodzi; dzierży w swéj dłoni ster bytu, zna przyszłość i kryje w swojem łonie bezdeń jutrzenek, „które nad ludźmi jeszcze nie zaświeciły" (*Rig-Veda*, II, 28. 9). Wielką i wszechpotężną jest również ziemia-matka, *Prithivi-matar*, rodzajność bierna obok męzkiéj twórczości nieba, zwanéj *Dyaus-pitar*. Jutrzenka, *Utszas* albo *Vasas*, odbiera w hymnach hołdy niemniéj wdzięczne i szczere, jako córka Dyausa, *duhita-divas*, i córka Suryi, *suryasya-*

duhita; zkądinąd jest ona matką bogów, *mata-devanam*, odsłaniającą przed rankiem dnia, w postaci niewiasty młodéj, pierś swą rumianą i czystą, wrota niebieskie, *dvarau-divas*. Gospodarz deszczów, rodzic rzek, *Indra*, rozkazuje gromom, wznosi pod obłoki słupy pyłów, dowodzi wiatrami, piorunem roztrąca najmocniejsze warownie. W towarzystwie szybkonogiego *Vayu*, od którego pożycza rączych koni, mając przy swoim boku mruczącego *Rudrę*, z całém jego potomstwem Marutów, stacza walkę ze srogim *Vrtą*, trzymającym w oblężeniu obłoczne stado owiec i przeszkadzającym dobroczynnemu z nich dojowi deszczów; on téż zabija potwornego smoka, „pożerającego na wysokich górach rzeki życiodawcze, które ztamtąd ku dolinom uciekają“ (*R. V.* IV, 17. 12, 13).

Z przytoczonych przykładów wychyla się pierwszy charakterystyczny rys teologii wedyjskiéj. Jakikolwiek byłby zakres, jakakolwiek potęga działalności jednych bóstw w Wedzie, nie cierpi na tém zakres działalności bóstw innych. Pomimo wszechwładztwa Varuny, wszechwładcami nie przestają być ani Savitar ani Surya. Wielkim i jedynym jest Dyaus, ale Indra równości z nim przez to nie traci. Niedość na tém; bogi wedyjskie żyją z sobą w zgodzie i spokoju. Rodzą się, rosną, miejsc sobie ustępują bez swarów i zajść, jakiemi przepełniona zaświatowość grecka lub skandynawska, i umierają w końcu bez skarg, bez żalów.

Znamię to wytyczne. Niezawsze atoli właściwie rozumiane. Maks.Müller dla wytlómaczenia ciekawego zjawiska zażyłości potęg, z których każda kolejno jest „najwyższą“, przypisuje poetom Wedy osobną moc duszy: zdolność takiego nastroju i podniesienia uczuć, przy któréj wierny, w chwili składania hołdu jednemu bóstwu, zapomina o wszechmocy bóstw innych; poczém, w stosownéj chwili, wraca do bogów zapomnianych i niesie im dań zapałów równie jak poprzednie pochłaniających, wzruszonych — *hrszitas*, grzesznych. Uczony wydawca Wedy cześć podobną nazywa *henoteizmem*. Przypuszczenie jednak, na któremby się opierał ów henoteizm praojców naszych, jest, co najmniéj, zbyteczném. Wszechwładztwa bogów wedyjskich nie były *jednoczesne*. Wedę tworzyły szeregi pokoleń. Potęga Dyausa nie jest w niéj téj saméj daty, co potęga Varuny lub Indry. W jednym i tym samym hymnie mieszczą się „uduchowienia“, przedzielone od siebie całemi stuleciami, zupełnie jako w naszych księgach liturgicznych, gdzie obok modlitw z wieku VII po Chrystusie znaleźć się mogą modlitwy z wieku XVII-o. Usta pobożnych powtarzają słowa dogmatów i przykazań z jednakiém uwielbieniem, ztąd wszakże nie wynika by jednaką być miała wiara co je wywołała, by ta sama epoka tworzyła i dogmata i przykazania i modlitewniki.

Jeśli w powstawaniu mitów wedyjskich tkwiła jakakolwiek racya ogólna. trwalsza, szukać jéj należy raczéj w przedmiocie samym niż w podmiocie, raczéj w tém co mianowicie hymny opiewały niźli w usposobieniu tych, którzy je wyśpiewali.

Na tę zaś przedmiotową racyą wskazywać zdają się same już *stosunki* bogów wedyjskich. Majestatyczny spokój ich postępowania, obok „częściowych" ich wszechwładztw, znajduje swe uzasadnienie w „sile większéj", któréj uznanie przez Wedę sprowadza jéj mitologią na grunt rzeczywistości, wolny od nadzwyczajnych natchnień i szczególnych wysiłków podmiotowych. Działania bogów wedyjskich nie są ani kapryśne ani dowolne. Kieruje niemi prawo niezłomne—*Rita*. Jéj to ścieżki, *pathya ritasya*, jéj gościńce, *gatu*, łączą na niebie i ziemi wszelkie pierwiastki czynne, *da*, *dyati* (*R.-V.* VI, 51. 1); ona tylko, Rita, jest niezmienną, jako sama nieskończoność, będąca bezczynną, *A-diti*, któréj miejsce niekiedy zastępuje (X, 66. 4); do niéj kroki swe stosuje Savitar (VIII, 75. 5), jéj drogami wschodzą jutrzenki (I, 124. 3), nakazy jéj znaczy stopami swemi Varuna (I, 24. 8); mędrzec świadom jest jéj kierunków (X, 66. 13), stroni od niéj jedynie złoczyńca (IX, 73. 6).

Znaczenie téj *Rity* wyjaśni się dokładniej gdy z kolei nadmienimy, że okres mitologiczny, z któregośmy zaczerpnęli kilka powyższych danych, jest *drugim* dopiero, późniejszym okresem Wedy, okresem właściwie indyjskim. Rozwinął się on już po rozejściu się Aryów, i obejmuje historyą *panowania* bogów. Jest to, rzecby można, nowy testament religii wedyjskiéj. Poprzedza go testament stary, należący do całego plemienia, a zawierający *genezę* bogów aryjskich, to jest zarówno indyjskich jak greckich, słowiańskich, litewskich, lub celtyckich. Nad widnokręgiem mitologii wedyjskiéj rozsuniętéj w ten sposób płoną nie same tylko gwiazdy pierwszego rzędu. Obok bóstw wielkich a dokonanych, są tam bóstwa małe, niedonoszone (*R.-V.* I, 27. 13). Jakkolwiek olśniewającą jest jasność Dyausa, jakkolwiek niezmierną władza Indry, nie gaszą one i nie przyciszają świateł, kształtów i blasków poczynających, rodzących się lub tylko możebnych. Przy gromowładcach i życiodawcach udzielnych, o temperamencie niezaprzeczenie indyjskim, mżą w Wedzie, wznoszą się, do powstania dążą gromady istot, potęg, żądz i bóstw nieupostaciowanych, czeredy sił mgławiskowych, powiaty dróg mlecznych, ukrainy światów i zaświatowości w pieluchach. Dokoła bogów *in actu* kupią się legiony duchów i półbogów *in potentia*: półbogów jasnych—*devas*, zasobnych—*bagas*, ożywczych—*pranas*, niezmierzchających—*amartyas*, powietrznych—*asurach*, zdrojowych—*apas*, przewodnich—*naras*, czujnych—*manas*.

I z tych to właśnie duchów drobnych, z tych początkujących uosobień „zdrojowych", „powietrznych", „zasobnych" lub „czujnych" wyrosły mitologiczne wierzchołki bóstw dokonanych: zarówno Varuny indyjskie, jak Uranosy greckie, zarówno Perkunasy litewskie jak Jowisze rzymskie lub Marzanny słowiańskie.

Etymologiczny proces tego przeobrażania się bogów w Wedzie łatwo zaznaczyć na kilku przykładach bliższych, bardziéj znanych.

Z liczby wyrazów, jakich europejska odrośl Aryów używa dla oznaczenia Istności najwyższéj, germański *God*, słowiański *Bóg*, łaciński *Deus*, spólnie sięgają owych to właśnie *źródeł* wedyjskich; początki ich tkwią w starym testamencie biblii aryjskiéj. Przebieżmy pokrótce ich rodowody.

Dawny germański *Guth*, *God* spoczął na samém dnie wedyjskich „uduchowień." Najwyższa naukowa powaga, Grimm, stanowczo usuwa pokrewieństwo słowa *guth* z *gods* dobry, godny, i z imieniem Gotów *Gutans*. Schweizer wyprowadza *Guth* od *dhu*, *dhuti*, poruszać, brzmiéć, dąć, przy możebnéj według niego (zaprzeczonéj przez Picteta) zmianie w sanskrycie *dh* na *h*, a w gockiém *h* na g. Trafniéj podobno połączył Ebel *god* z wedyjskiem *gudh*, kryć, w ukryciu zostawać, tajemnicą osłaniać—lub osłaniać się. Dla Germanów Bóg, źródłowo, byłby tym sposobem istotą niemą, niewidzialną, w ciemnościach pogrążoną, niedającą się ująć w znak widzialny—zgodnie ze znaném podaniem Tacyta, że dawni Germanie bóstw swych nie postaciowali. *God* w takim razie miałby przymioty jednego z wedyjskich pół-bogów, o którym poeta powiada: „ten którego głos słyszymy, nie widząc jego ciała" (*R. V*, X, 162. 4). Słowiański pierwiastek *hud*, huczeć, gędzić, wskazywałby może na blizkość domysłów Ebla z wywodem Schweizera, i germańskiemu *god* nadawałby szemrzące życie głębokich, ciemnych bóstw leśnych. Bądźcobądź, niedoszło w Wedzie do ubóstwienia zalet ukrytych w pierwiastkach, z których urosło germańskie miano Boga. Metamorfoza tych pierwiastków odbyła się po za obrębem spólnych źródeł aryjskich.

Inaczéj z imieniem *Bóg*, *Boh*. W Wedzie posiada ono drugi już stopień wzrostu; z pierwotnego *badż* lub *bacz* staje się *baga* (z *bh* w sanskrycie), i wyraża to prawie, co dziś rozumiemy pod przymiotnikami obfity, bujny, rodzący, płodny—niemal bogacz i pan. Rys ten ożywiony—a raczéj ożywczy, staje w starotestamentowém wedyjskiém zakolu jestestw ożywionych w téj saméj roli, co *apas*, *pranas*, *asuras* itd. Lecz i w tym tu szeregu zachodzą już pewne wyróżnienia wyższo lub niższo stopniowe. *Asuras* np. jest przymiotem uoso-

bionym boskości, gdy tymczasem *bhaga* zdaje się być zaledwo uosobieniem boskości *przymiotném*, i w takiém dostojeństwie Savitar jest lub może być *bhaga*, Aditja baga, Agni baga, zgoła cała przyroda, o ile wspaniałomyślnie wspiera człowieka, równém prawem zwie się „bogatą“ i „bożą.“ Niewiele tu brak słowu, żeby się stało ciałem i żeby poeta mógł rzec: *visve-bagas* (wszyscy wielmożni) jak mówił *visve-devas*, wszyscy jaśni, wszyscy święci (bogowie). Dalej jednak *bhaga* nie poszedł w hymnach.

Z trzech tedy wymienionych nazw bóstwa, los najwyższego upostaciowania w Wedzie wypadł jedynie na rzecz pierwiastku *div*, *deva*. Z bóstw aryjskich, raz jasnych, to znów chmurnych i groźnych, dobroczynnych lub tylko możnych, najjaśniéj—lubo na krótko – zabłysnął, ów właśnie jasnowłosy *deva*, późniejszy grecki *Zeus*, łaciński *Deus*, litewski *Dewas*, irlandzki *Dia*, cymbryjski *Dew*, *Duw*—ten ostatni, jakby zwrotem w przeszłość, przypominający czasy, kiedy *Deus*, *God*, *Bóg*, spoczywały w pierwiastkach *div*, *bacz*, *gud*, i tyle zaledwo przemawiały do pradziadów naszych, ile do nas przemówiłyby słowa: dziw, patrz, huczy. Czasy te atoli daleko za sobą pozostawił *div*. Ze stopnia *deva*, równego temu, jaki w Wedzie zajmują *baga*, *asura* lub *mana*, wszedł na stanowisko wyższe, najprzód przymiotowe, uogólnione i zbiorowe: bóstwo, „bozi,“ tyle co visve-devas, następnie, własno-boże. Z jestestwa stał się osobą, bogiem, *Dyaus* a nareszcie żywicielem, ojcem niebieskim, *Dyaus-pita* (Deus-pater, Jupiter), i nawet, chwilowo, jedynowładcą, zanim go z niebieskiego rydwana nie zrzucił Perun indyjski, *Indra*.

Taki jest zasadniczy zarys, elementarne rusztowanie mitologii aryjskiéj. W czasach, kiedy Olimpy i alegorye zajmowały w literaturze miejsce mniéj upośledzone, kilka pobieżnych uwag odsłoniłoby odrazu, z po za tych rusztowań, tajemnicę zaświatowości wedyjskiéj. Dawne owe bogi, z których jedne z kolebki wyjść nie mogą, drugie rodzą się i umierają na swoim gruncie, trzecie obcych stron potrzebują dla swego wzrostu, a wszystkie razem żyją i działają wedle niezmiennych przykazań Rity—bogi owe przemówiłyby same za siebie. Język ich byłby dla nas zrozumiałym. Dziś jednak zeszło do tego, że prosty śmiertelnik dużo trudu włożyć musi, zanim ich istnienie usprawiedliwi, zanim ziemską już tylko ich godność ocali...

VI.

Czemże tedy była w swéj istocie upragniona owa, gorąco przez ojców naszych pożądana „zaświatowość“ wedyjska? Była „to-świa-

towością"—dziś dla nas zwyczajną, prostą, naturalną,—bo wyłonioną z chaosu „bezdziejowéj" nieskończoności pracą i geniuszem Koperników, Newtonów, Lavoisierów, lecz niewidomą wówczas, niewiadomą, boską jeszcze. Była „wielką ziemią nieznaną," oglądaną wtedy, śród dziejowych zamroczy, z małego czółenka pierwotnego *podziwu* rodu ludzkiego; matką przyrodą *huczącą* nad kolebką dziecka pieśń początkującego życia; światem rodzącym się, *bogatym* (1), zawieszonym tuż u samych okien, nad samą przyzbą najpierwszego lichego mieszkania człowieka. Dlaczego zaś kraj ten niezmierzony, myślą ludzką nieprzedeptany, był dla praojców naszych *żyjącym*? Dlatego, że w owe lata przemawiał do nich, działał w ich oczach, groził, pieścił, karał, nagradzał—prowadził, doświadczał ludzi, aż w końcu sam się stał przedmiotem ich doświadczenia. Nadzwyczajnym zaś, nadludzkim wydawać się świat ten musiał dlatego, że był wyższym, silniejszym, mędrszym, zasadniejszym od człowieka, a trwał, „wracał" ciągle, kiedy człowiek ciągle umierał. i ilekroć, jak Naciketas, po rzetelną odpowiedź do śmierci się udał, nie wracał.

Łacno pojąć jaki rzeczywiście był powód „zaświatowych" owych pragnień, nadziei i żądz praojców naszych w Wedzie. Zaświatowość ta wiedzę im dawała. Człowiek, chwytając za jéj usuwające się wciąż cienie, czuł, że w dłonie swe ujmuje światło, kształt, rzeczywistość coraz rozleglejszą, coraz pewniejszą. W miarę jak postępował naprzód, przed siebie, niewiadomość przed nim powoli znikała, wtedy gdy nęcąca go wciąż tajemniczością swoją zaświatowość (świat niepoznany) nie zmniejszała się przez to, owszem rosła jeszcze, rozszerzała się. Ściegów tych, półzłudnych z jednéj strony, półdoykalnych z drugiéj, świtających tu, zmierzchających tam, Arya dawny pilnował się i trzymał iście „jako dziecię pilnuje się i trzyma poły swéj matki." Wiodła go ona niemal za rękę wskróż te brózdy rozdzielające dziedziny widzenia i wiadomości (*vid*, *ved*) od dziedzin dziwu (*div*, *dav*), dziwu zaprawdę „bożego", bo niezbadanego, coraz większego, coraz bogatszego, coraz głębiéj i wyżéj huczącego, pomimo bezustannie rozstępujących się, co chwila mnożących się zakresów poznania (sanskr. *gna* = co-gnosco) (2). Weda zaznaczała

---

(1) Sanskryckie *badż*, *baga* ma bowiem przedewszystkiem znaczenie obfitości podzajnéj.

(2) Potrzebujemy uczynić tu zastrzeżenie. Studyum niniejsze nie jest żadnym traktatem etymologicznym. Zbliżeń i podobieństw używamy jedynie dla wyjaśnienia ogólnych pojęć i wyobrażeń; ale stałyby się one poprostu niedorzecznemi, gdybyśmy je brać chcieli ze stanowiska *specyalnego*. Za mało—lub za wiele wiemy z „nauki nowéj," byśmy uledz mogli staréj chorobie zwanéj przez Potta chorobą „Urformenschwindel'ów.."

granice dwu tych światów: widu i dziwu, wiedzy i niewiadomości, tego co nazawsze poznane i tego co docześnie zakryte. Jest to księga rozgraniczeń ciągłych pomiędzy „niebytem“ boskim, a bytem ludzkim, między tém co było dziwem a tém co się stało widném z pośród widm wszelakiéj bezdziejowéj nieskończoności. Jest to pierwsze w ludzkości słowo wiedzy, źródłowe pojmowanie i poznawanie tego, co przechodząc z niewiadomego w wiadome, z dalekiego w blizkie, z niedocieczonego w docieczone, rodzi się z niedokonanego dokonaném i skończoném. Zgoła, Weda jest najdawniejszém „ojczenasz“ aryjskiem (w znaczeniu, jakie wyrazowi temu usiłował nadać A. Cieszkowski), a tém ważniejszém od innych, późniejszych, gdziebądź objawionych, przyjętych lub filozoficznie wyrozumowanych, że w nim wiekuiste „stań się“ wiedzy, odubóstwiającéj to co ubóstwiła niewiedza, zaznaczone zostało zgłoska po zgłosce, nabytek po nabytku, od pierwszego pytania czém jest rycząca ta rzeka, która się do nas nie wiedzieć zkąd zbliża, aż do ostatniéj odpowiedzi, jaką hymny dały poecie zadumanemu nad początkiem bytu, kiedy wołał: „był li ten świat stworzonym czy nie był?“

Nie brak szczegółowych dowodów na poparcie syntetycznego tego wyobrażenia o staréj mitologii aryjskiéj. Z saméj natury przedmiotów ubóstwionych w Wedzie wypada, że mitologiczna poetyczność Aryów zwiększała się istotnie w stosunku odwrotnym do *konkretności* przedmiotów. Im mniéj zjawiska przyrodzone były „ujętne“, im bardziéj skomplikowane, im trudniejsze dla intuicyi zmysłowéj, tém wyższe i trwalsze było ich uduchowienie.

Nasamprzód, przedmioty bezpośrednio podpadające pod zmysły, dotykalne lub będące dziełem rąk ludzkich, nie uległy w Wedzie żadnemu religijnemu upostaciowaniu. Tu i owdzie wprawdzie spotykamy w hymnach uroczyste słowo na cześć wozu, łuku, siekiery, obiatnéj czaszy po ojcach, na cześć narzędzi lub sprzętów domowych, których, jak się wyraża Maks.Müller, podziśdzień opiewać nie przestali Wordsworthy i Tennysony; ale nawet podobnym przedmiotom poeta wedyjski nie przyznaje ożywionego, uosobionego istnienia; były to rzeczy święte w tém jedynie znaczeniu, w jakiem są dla nas świętemi pamiątki po ojcach lub symbole drogich dla duszy zdarzeń.

Arya nie kłaniał się ani kamieniom ani drzewom, nie czcił ani gór kiedy je obszedł i obejrzał, ani lasów gdy je przetrząsł, wytrzebił. Okolice boskości zaczynały się dla niego dopiero tam, gdzie się kończyła możność dokładniejszego postrzegania zjawisk; trwały w tym charakterze dopóty, dopóki trwała ich nieznajomość, znikały wtedy gdy człowiek mógł je dosięgnąć, posiąść, ująć, pojąć. Zaświatowość rozpościerała się u Aryów dopiero na gruntach i głębinach, które

okrywała zasłona czasowéj niewiedzy: za widokręgiem ziem, w gąszczach puszcz, nad górami gdzie słońce w śniegach się kąpie i nieśmiertelnych swych blasków im użycza, nad rzekami płynącemi bez widomego początku ni końca, wiecznie, nieznikomie, raz wspanialéj, to znów posępniéj, jako same światła na niebios oponie.

Lecz w tym nawet zakresie zaświatowości czy rzeczywiście bóstwa wedyjskie były dla Aryów właściwemi bóstwami? Azaliż za istotnych bogów uważali oni tę oto rzekę nieznaną, tę górę niebotyczną, ten ostęp puszczy głuchéj, tę jutrzenkę poranną, to słońce wspaniałe?—Zapewne, bogi to były, ale w takiém określeniu „bóstwa,“ jakie mu nadawali najdawniejsi indyjscy komentatorowie Wedy, powiadający, wedle podania Maksa Müllera, że „bóstwem nazywa się to, o czém poeta mówi......“

W miarę jak zasłona niewiadomości zsuwała się z przedmiotów bliższych, Arya z tém większém upragnieniem zawieszał „boskie“ swe natchnienia śród empireów odległych, na obłokach, chmurach, wiatrach i promieniach. Im mniéj niewiedzy „zaświatowéj“ zostawało na wodach i śnieżnych wierzchołkach gór, tém bogatszemi stawały się niebiosa; w ciągłéj zaś owéj eliminacyi jestestw, żywiołów i zjawisk, poznanych pierwéj, na rzecz poznanych późniéj, zawsze i wszędzie *vid*, pierwiastek wiedzy i świadomości, stawał przeciw pierwiastkowi *div*, dziwu i ubóstwienia, jako nieprzejednana tego ostatniego antyteza.

Koleje przeobrażeń w mytach świetlanych i powietrznych były bezwątpienia dłuższe; przesilenia ich jednak, przejścia z doby ubóstwień do doby „zubożeń,“ z krain uroku w kraj rzeczywistości odbyły się w przeważnéj mierze, już po rozejściu się Aryów. Gdy ze szczytu swojego wszechwładztwa zchodził wielki Dyaus, plemie aryjskie znajdowało się w przededniu rozsypki. Kilka ważnych okoliczności na fakt ten wskazuje. W saméj Wedzie, po krótkiém lubo wszechmocném panowaniu Dyausa, znika on naraz bez śladu; z „żywiciela świata,“ z ojca niebios, staje się niebem po prostu, niebem nieboskiém, zwyczajném, pokrowcem świetlanym; zmienia nawet rodzaj, z męskiego na żeński. Cóż zaszło? Czy nie o téj to właśnie porze przenieśli się Hindusowie z północnych na południowe stoki Himalajów, z kraju, gdzie Dyaus siał ciepło błogie na wiernych, w kraj, kędy ziać począł gorączki i posuchę? Twierdzić stanowczo niesposób; zdarzenie przecież, o ile miało miejsce, zaznaczyli w swych księgach nie sami tylko Hindusowie. Zapisali je również w swéj mowie oględni, baczni, z Aryów europejskich najbardziéj aryjscy, Litwini, skoro wyraz *Dewas* (pruskie *Deivas*) zachowali dla imienia Boga, gdy tymczasem wartość jego zaćmioną (odubóstwia-

jącą), *deiwys*, *deiwe*, (Pictet, t. III, str. 414) przeznaczyli na nazwę widm nocnych i brył ciemnych, bezkształtnych. Niemniéj surowo obszedł się z wedyjskim Jowiszem Słowianin, gdy miano starego bóstwa przechował w słowie o pułku Igora zaledwo jako synonim ducha złéj wróżby: „*Div* kliczet vrchu dreva.“ Gorzéj jeszcze postąpił z żywicielem niebieskim Irańczyk, w którego Zend-Aveście, rodzonéj siostrze Wedy, *deva* znaczy tyle co szatan, demon, duch zły, niewiele zapewne różny od germańskiego *zio* lub od skrycie huczącego *gudh*. Słowem, o ileby bliższy podział Wedy na okresy uzasadnił przypuszczenie, plemię aryjskie rozchodziło się po świecie w miarę jak gasła boskość i potęga Dyausa, podarta w Hindustanie gromami nieba podzwrotnikowego, rozsnuta i rozwiana w Europie na mgły, zawieje i zimna przyrody leśnéj, posępnéj.

W Wedzie los innych bóstw kroczył tymczasem szlakami dawnemi, szlaki były indyjskie, kierunki i logika ogólna, aryjska. Wschodziły jedne gwiazdy, spadały drugie. Surya, Savitar, Mitra, Aditya, Agni, każdy dobroczynny promień słońca, każde ożywcze spojrzenie jutrzenki, raz Varuna to znów Visznu lub Prithivi, wspólnie lub kolejno przybierały majestat Dyausa, wznosiły się, panowały aż do jawniejszego dowodu swéj nieudolności. Dowód ten, z dzisiejszego naszego stanowiska, łatwy do przewidzenia: okazał się téż w Wedzie powszechnym bez wyjątku. Im więcéj słońc nieśmiertelnych spadało z niebios, tém jaśniéj patrzał człowiek na świat; im mniéj było duchów na zewnątrz, tém widniéj robiło się w duchu, aż do ostatniego wyrazu wszystkich tych przekształceń niebieskich, w Indrze. Zgodnie bowiem z zasadniczym wykładnikiem Wedy, jak i wszelkiéj w ogólności wiedzy, przenikającéj fenomena mniéj złożone przed bardziéj złożonemi, bez względu na ich zakres i obszar, hymny aryjskie w niebiosach nawet swoich wpierw odgadły niebоskość słońca niżli odczuły i odubóstwiły naturę chmur, deszczów, obłoków, piorunów. Indra, główne upostaciowanie niesfornych żywiołów atmosferycznych, na samym dopiero ostatku schodzi z firmamentu mitologii wedyjskiéj. Najmniéj w objawach stały, najmniéj berłu Rity poddany, przeżył on potęgi o wiele od siebie wyższe i jaśniejsze, lecz jednostajniejsze, bardziéj uporządkowane, wyobrażeniu dostępniejsze. Poeta nie umie wprawdzie odszukać dla niego przymiotników wspanialszych nad te, jakiemi uposażył był niegdyś poprzedników jego, Dyausa, Suryę, Varunę (*visva-akszas*, *visva-vyakas*, *visva-vedas*, etc.), lecz za to wyraźnie powiada: „Inne bogi dostały odprawę niejako starce zużyte; ty jeden, Indro, stałeś się wszechwładcą“ (*Rig-Veda*, IV, 19. 2). W niego jednego *wierzyć* trzeba było koniecznie, wówczas kiedy istnienie bóstw świetlanych było prawdą powszech-

nie przyjętą, uznaną. O obecności słońca, jutrzenki, nieba, nikt niewątpił, lecz „któż kiedy *widział* Indrę?" (*R.-V.* VIII, 89. 3). Nieujęty a przecież błyskawicami dziwów olśniewający chyżéj niż słońce, obfitemi ulewami pomnażający bogactwa człowieka, groźny i rozhukany ilekroć nadchodził, potrzebował on wielkiéj siły wyobraźni dla swego upostaciowania; ztąd też upadek jego był zapowiedzią upadku dla całego Olimpu wedyjskiego. Z końcem ubóstwionego panowania Suryi, Mitry, Savitara, rozczarowanie głębokiém być nie mogło, spora część uroków na zawsze nawet przy nich została; słońca, jutrzenki, niebios, Hindus nigdy calkowicie nie odubóstwił; stracił zaufanie do ich wszechmocy, ale wpływów ich dobryczynnych zaprzeczyć nie mógł. Indra natomiast cóż zostawił wiernym w spadku po swojém wszechwładztwie? Rozprzężone po nim żywioły widziéć dały jedynie niedorzeczność swych łask lub gniewów, spadających ślepo, swarliwych, zarówno rażących wroga jak niewroga.

Myśl indyjska zmieniać od téj pory zaczęła punkta swéj ciężkości i osie swoich obrotów; z przedmiotowéj staje się podmiotową. „Śmierć" odpowiedziała Naciketasowi. „Zaświatowość — rzekła — któréj śmiertelnik zewnątrz siebie szuka, w nim samym spoczywa. Oddech przedwieczny, treść bytu, oko świata, *atman*, duszą jest *twoją;* dziecię tylko widzi bóstwo w ziemi, słońcu, powietrzu, niebiosach. Duch ani się rodzi, ani umiera, z nicości powstaje, w nicość się obraca. Nieśmiertelność przychodzi dla ludzi wtedy, gdy w sercu ich milkną pragnienia wszelkie, gdy pęka ostatni łańcuch wiążący ich ze światem. W sobie nie w Wedzie szukaj mądrości."

Do takiego krańcowego zwątpienia, które kolejami późniejszego bramińskiego rozwoju, pełnię swojego słowa zostawiło w buddyzmie, hymny wedyjskie nie dotarły; zwrot atoli ku subiektywizmowi znalazł w nich—miał jeszcze czas znaleść—uwydatnienie żywe, barwne, lubo ujęte w peryod stosunkowo już krótki, zwięzły. Ostatnie, po ostatnich rozdziałach Wedy rozrzucone wersety, są z tego względu niesłychanie ciekawe; piękno ich z niczém porównać się nie da. Szczere, rzewne, tęskne, wydają się wiązankami kwiatów rzuconemi na grób dogasających—zgasłych „boskich" złudzeń i nadziei. Sławny hymn 129 księgi X Rig-Vedy — przedmiot rozkoszy i rozpaczy indyanistów niemogących odźwierciedlić w przekładzie całéj jego prostoty metafizycznéj—należy właściwie do tego okresu, zamykającego mitologią Wedy. Prawdziwa ta perła literatury indyjskiéj, skamieniała jakoby w żalu po tém wszystkiém, co z czystéj wiary wyrosło w młodocianéj ludzkiéj duszy i samo się późniéj przekonywa, że było nie do ziszczenia. Przytaczamy hymn ten w całości.

„Nie istniało nic wówczas—powiada Weda—nie było ni niebios ni nieba, ni bytu ni niebytu. W czemże spoczywało wszystko? Co było źródłem i zbiornikiem czegokolwiek? Czy woda? otchłań głęboka? Ani śmierć nie istniała wtedy, ani nieśmiertelność. Nie świeciło żadne światło śród powszechnéj nocy. Sam tylko On oddychał w sobie bez oddechu i nic nie było zewnątrz Niego. Ciemność panowała na początku, trzymając wszystko w ciszy jako uśpiony ocean sił życia. Pragnienie wyszło ztąd najprzód i było pierwszém nasieniem ducha.... Taki jest związek bytu z niebytem, który mędrcy, rozmyślając, wykryli w swém sercu. Czy promień rzucony wskróś istnienia, pochodził jéno zgóry, czy pochodził zdołu?.... Były usposobienia twórcze: tu jako przyroda, tam jako woda. Lecz kto może wiedziéć, kto twierdzić, zkąd poszła ta twórczość? Sami bogowie przyszli dopiero późniéj; któż tu odgadnie początek? Z czego się świat wywiązał i czy był lub nie był stworzonym, znaném to tylko Jemu, który jest kierownikiem w niebiosach, a być może, że i On o tém nie wie.“

Przekonywamy się z tego, że niejeden wiersz Wedy z okresu zamykającego śród Hindusów cykl panowania bogów a otwierającego dla Aryów europejskich historyą pracowitego podboju i osiedlenia ziemi, przemierzył i przetrząsł obszary myśli ciemniejsze jeszcze i głębsze od tych, jakie pradziadowie nasi przedeptać musieli po drogach zachodniego swego pielgrzymstwa.

Czy w przędzy swych snów i pomysłów religią wedyjska wzniosła się aż do szczytów monoteizmu, jak to utrzymują niektórzy orientaliści na podstawie ustępów podobnych do przytoczonego, kwestya dotąd pozostaje sporną. Trzeba jednak zauważyć, że nazwy tego rodzaju jak monoteizm, ateizm lub panteizm tam tylko odpowiednią treść znajdują, gdzie religia przyszła... gotową, nieomylną, niezmienną. Formuła w takich razach ma wartość realną, jest zgodną z faktem, jak zgodném jest imię pewnego architektonicznego porządku z architekturą, którąśmy od obcych zapożyczyli. Nie tak z Wedą. Kościół jéj ma to do siebie, że rósł, dźwigał się powoli u siebie w domu, z własnych materyałów i natchnień. Krynicą jego objaśnień: żywa przyroda, któréj głosy wpisywano słowo po słowie do drugiéj kięgi życia, którą jest dusza ludzka, wiedza. Jest to nie ewangelia wiary początkującéj, lecz początkującego doświadczenia—doświadczenia niemowlęcego z początku, lecz docierającego stopniowo aż do pojęcia „Rity,“ ustawy, prawa, prawidłowości wiekuistéj, która jednemi zawsze ściegami wstaje i zachodzi, w jednych i tych samych stronach zaznacza tu poranki tam wieczory, jednemi brózdami ryje tu urodzajną nabrzmiałość gleby tam sędziwą dojrza-

łość czoła. Kościół to był, ale bez kapłanów, bez proroków, bez apostołów — przeto i bez męczenników. Męczeńską w nim była jedynie praca plemienia całego, dążącego niezmordowanie o własnych siłach do upragnionéj owéj ziemi nieśmiertelności, ku któréj Aryowie pierwotni kierowali wiedzę swą, nawę niegdyś wiotką i kruchą, a dziś noszącą miano cywilizacyi nowożytnéj.

VII.

Historyozoficzne znaczenie badań staro-aryjskich dla zadań naszego czasu wytknął Pictet w kilku doniosłych słowach.

Dalecy jesteśmy — powiada — od mniemania, iżby wpływ plemienności na postęp dziejów miał być bezwzględnym, ale nie ulega wątpliwości, że rola tego czynnika należy do pierwszorzędnych. Prawa w nas złożone aczkolwiek mniéj stałe od praw przyrody, działają bez przerwy. W tém rozumieniu historya ludzka się powtarza, idąc po konieczném linii swojego rozwoju jako ziemia po linii swojego obrotu około słońca. Wolności działań pojedyńczych to nie uwłacza, jako nie uwłacza siła powszechnego ciążenia działaniu sił mniejszych, objawiających się na powierzchni naszéj kuli. Pojąć na czém polega zadanie odrębnych plemion w ogólnym postępie ludzkości, oto powołanie filozofii dziejów. Dotąd filozofią tę podprowadzano pod jedno-jedyny mianownik (monoteistyczny), który nie może być wyłącznie prawdziwym. Niezaprzeczenie Hebrajczykowie byli wiernymi wyznawcami monoteizmu; udział ich w dziejach świetnie się z tego powodu przedstawia; lecz zapytujemy coby się stało z oświatą, gdyby sami oni pozostali byli na czele cywilizacyjnego pochodu ludów? Pewném jest w każdym razie, że kiedy plemie semickie gorliwie strzeże zasady swéj absolutnéj, Opatrzność tymczasem inną rasę sposobi na przyszłych przywódców postępu. Przywódcami tymi Aryowie, posiadający przymioty i właściwości na jakich zbywało Hebrajczykom. Przeciwieństwa między dwoma plemionami są téż krańcowe. Przy Hebrajczykach zasada władzy, która zachowuje; przy Aryach dążność do wolności, która ożywia i rozwija. Przy tamtych nietolerancyaześrodkowująca i wyosóbniająca, przy tych wyrozumiałość i przystępność, które przyswajają pomnażają. Tam moc natchnienia skierowana ku jedynemu celowi, tu twórczość rozpromieniająca się we wszystkich kierunkach. U Hebrajczyków wyłączny kult narodowości skupionéj, ścisłéj, u Aryów niezmierna podatność i wrażliwość na wszystko co wyróżnia, co daną modłę poddaje kontroli wszechstronnego badania i postrzeże-

nia. Skutkiem tego, kiedy Hebrajczykowie pilnują nietykalności skarbca prawd swych bezwzględnych, Aryowie rzuceni na obszary świata, rozwijają wszędzie działalność wrodzoną, wydają z siebie gromady ludów odrębnych, wyłaniają narodowości nowe, liczne, zakładają państwa i rzeczypospolite, pielęgnują przemysł, tworzą wspaniałe dzieła poezyi, rzeźby, malarstwa, budownictwa. Wprawdzie nie zawsze z jednakiém powodzeniem postępują naprzód; niekiedy przechodzą chwile ciężkiego zastoju, ale ponieważ wolność obrali za gwiazdę swą przewodnią, ostatecznie przeto nie zatrzymują się nigdy, najcenniejszym bowiem darem wolności jest właśnie, że nawet z obłędu umie ona dobro wyciągnąć i iść ku prawdzie przebojem poprzez fałsz (1).

Charakterystykę dwu zasad, aryjskiéj i semickiéj, trafnie tu mamy skreśloną; pogląd jednak Picteta wymaga wyjaśnienia. Utrzymuje uczony genewczyk, że w koncercie posłannictw plemiennych szczep nasz *wziął przewodnictwo* od chwili, kiedy lud hebrajski, piastun zasady monoteistycznéj, zamknął się w wyłączném ubóstwieniu swojego ideału... Twierdzenie niezupełnie zgodne z faktycznym przebiegiem dziejów. Nie trzeba zapominać, że ideał hebrajski, przeodziany w chrystyanizm, przeszedł z Judei do Aryów, utrwalił się śród nich, zapanował, wyolbrzymiał. W Grecyi zgnębionéj i podupadłéj znalazł pierwsze dla swych dogmatów osłony; rozkrzewił się późniéj i urosł na ruinach największéj państwowéj potęgi aryjskiéj, Rzymu; ogarnął z kolei zdziczałego w wędrówkach ducha Germanów, podbił przez nich do współki ze światem romańskim krainy zaatlantyckie i sięga dziś przez odrośl anglo-saską z jednéj strony, przez Słowian wschodnio-europejskich z drugiéj ku ziemiom, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa były kolebką naszego plemienia, ku źródłom Oxusa i Jaxartesa w Azyi środkowéj. Bezwzględność przeto semicka głęboko przesiąkła glebę nowoczesnéj cywilizacyi aryjskiéj, z posad i dążności swych wielowykładnikowéj, różnostronnéj, niewyłączającéj żadnych form myślenia, przypuszczającéj wszelkie postacie wyobrażeń. Chwilowo, do współki z pokrewnym sobie monoteizmem muzułmańskim, monoteizm izraelski wziął nawet pod swoję wyłączną pieczę bieg oświaty powszechnéj. Do renesansu jego blaski jaśnieją nad widnokręgiem europejskim, jego scholastyczne słowo rozlega się z katedr, jego mszę odprawia duch ludzki. Dziś alboż uroszczeń swych zrzekł się gdziekolwiek? Bynajmniéj. Pod tym czy innym pozorem umie nawet brać w obronę pojęcie, a niekiedy nawet samą istotę wolności, nieśmiertelny wy-

---

(1) Wymienione *Origines*, t. III.

rób politycznych popędów aryjskich. Osłabiony przez reformarcyą, zaprzeczony energicznie choć nieco na oślep przez filozofią i politykę francuską wieku XVIII, podparty jednak niebawem, co do treści przez idealistyczny kierunek literatury niemieckiéj, a co do środków działalności zewnętrznéj przez absolutyzm monarchiczny Napoleona I i jego szczęśliwych zwycięzców, został on zasadniczo podważony i zachwiany dopiero przez naukowe prace ostatnich czasów, odkąd metodę postrzeżeń, roztrząsań i doświadczeń wniesiono do wszystkich bez wyjątku działów erudycyi i umiejętności ludzkiéj. Zewnętrzna atoli jego strona, objawów jego organa, narzędzia działań jego urosły może jeszcze, wzmogły się, spotęgowały za dni naszych pod natarciem żywiołów mu nieprzyjaznych, z któremi miłośnik prawdy i wiedzy niezawsze do wspólnictwa przyznać się zechce. Bądź-co-bądź wiele zatém przemawia, że spór toczący się w piśmiennictwie tegoczesném o rozmaite bieżące zagadnienia naukowe i społeczne—spór wytoczony przez obozy liberalne pod hasłem usamowolnienia myśli, usamowolnienia jednostek i gromad, jest w gruncie niczém więcéj jedno wydobywaniem się czynników i pojęć aryjskich z pod okrzepłéj warstwy urządzeń i widoków monoteistycznych, autokratycznych, tłocząco-ujednoczających—zgoła absolutno-semickich...

Atoli do zaświatowych złudzeń i zawodów pradziadów naszych u stóp Himalajskich dodalibyśmy jeszcze jedno, daleko szersze i powszechniejsze, gdybyśmy w siebie wmówić pozwolili, że spór ten i to dźwiganie się życia aryjskiego... wzięły już, wziąć dziś są gotowe w swe dłonie ster nawy cywilizacyjnéj!

Okrążmy bowiem zagadnienie dotyczące *istoty* przedmiotu i przypuśćmy, idąc w ślady uczonego Haveta, prof. kolegium francuzkiego, że jesteśmy w stanie zważyć dwie abstrakcyjne zasady monoteizmu i politeizmu. Zgódźmy się następnie na wyższość drugiéj nad pierwszą—wyższość dającą się wykazać od źdźbła wiedzy rzuconéj na płaszczyznach Azyi środkowéj, aż do owoców potężnego owego drzewa nauk noszącego miano oświaty europejskiéj. Cóż ztąd za pociechę otrzymamy? Pociechę prawdy i słuszności *po swojéj stronie?*

Lecz czemże są prawda i słuszność wobec *życia?* Blaskiem stali, którą najczęściéj kto inny w ręku trzyma — promiennym wieńcem Rity, któréj wyroki ludziom tłomaczy na stosie lub szafocie— rytuał najzwykléj. Na morzu zjawisk, noszącém podstawy towarzyskiego bytu człowieka, *słowo* prawdy, niezaprzeczenie spływa z ust najmniéj siebie pewnych; wątpiących gdzie wszyscy twierdzą, pytających gdzie wszyscy przeczą. W tym względzie filozofia aryjskiego

„niejako“ pozostanie na dalekie wieki kamieniem węgielnym i zwrotnym. Ale inaczéj cokolwiek płynie *życie.* Tu panem i władcą ten właśnie, kto silniéj wiosłem czynu uderza po jego falach— na lewo? na prawo?—to mniejsza, byle raźnie i bez żadnego „niejako!“

Samo tedy nawet zagadnienie, postawione na ostrzu religijnego oderwania pomiędzy politeizmém wedyjskim a monoteizmem semickim, jakkolwiek zajmujące i teoretycznie ważne, jałowem musiałoby się okazać dla zadań i niepewności naszego stulecia, lecącego w przyszłość w kierunkach bynajmniéj niezaświatowych i kolejami wcale nie abstrakcyjnemi. Zkądinąd zarówno ów politeizm wedyjski jak i ów monoteizm biblijny przed siebie patrzą. Rzucanie szmaragdowych i turkusowych kamyków sanskrytu w ciężką płytę hebraizmu, do czegóżby wiodło? Bezcelowość téj roboty, któréj widokiem, niezawsze pocieszającym, coraz dziś częściéj mężowie nauki (np. Chavée we Francyi) słodzą nudy mężów stanu z téj i z tamtéj strony Renu—bezcelowość ta, na gruncie naszym, staćby się mogła niebezpieczną. Tak bo łatwo u nas przez niezręczność lub nieuwagę uderzyć kamieniem we własne serce!...

Walka zasad oderwanych, zaświatowych, jest walką bezpłodną. Minęły na nią czasy. Zejść dziś trzeba do *życia* i w życiu szukać lekarstwa na przesądów rany i gorączki!

I szczęściem dla nas, że nie wszystko co było aryjskie, przeszło i zginęło w pieśni, w marach, snach i myślach. Aryowie żyli, Aryowie żyją!

Ci z nich, co zapał i pragnienia swoje ponieśli za Himalaje, usnęli na czas śród przepychów i bogactw przyrody, ze świętemi hymnami na ustach. Lecz bracia ich rodzeni, ci, co „siedm gór i siedm rzek“ przebyć wprzód musieli, zanim się dostali w kraj „śmierci,“ kędy boskie słońce na spoczynek zachodziło i zkąd niebiosa mlecznemi obiatami ziemię zraszały—oni co uczynili z nieprzepartą swą żądzą bytu, rozwoju—nieśmiertelności?

Czy i oni w dumania smętne i tęskne Wedę swą owinąwszy, zmęczoną głowę na niéj złożyli? Czy i oni doznali zawodu i rozczarowania we własném swojém przed-himalajskiém „zaświeciu?“— Doznali. Lecz był to zawód jak piorun raźny i dokładny: lasy, stepy, puszcze, błocka, bezdroża, chmury, mgły, chłody—z rojami czerniących się wskróś zarośle „biesów,“ „niemków,“ „czudów,“ o których istnienie sprzeczają się z sobą, w czas swobodny, tu u nas Virchow z Quatrefages'em, tam u was Duchiński z Pogodinem, pierwszy mając po swojéj stronie Nestora i Karamzina, a drugi... nad duszą drugiego świeć Panie!

Lecz siła siłą. Natchniona czy tylko rozumna, muszkularna czy tylko duchowa, zniknąć nie może. Stłumiona—przeobrazi się. Zagrodzona w pędzie swym ku górze, ku niebu, pójdzie dołem, ścieżką najwygodniejszego spadku...

Tak się téż stało z siłą pierwotnego rzutu, która Aryów europejskich pchnęła z Azyi na zachód. Z wyżyn zaświatowych rozlała się ona na niziny tośwjatowe, użyźniając na nich niwy, karczując puszcze, zakładając sioła i grody, zakładając podwaliny „społeczności nowéj..“ Jest to druga karta Wedy i „nauki tćj nowéj,“ któréj kartę pierwszą usiłowaliśmy odczytać według marginesowych na niéj notatek Maks. Müllera i Picteta.

Paryż,
14 go Lipca 1881 r.

J. T. Hodi.

SOCYOLOGIA WOJCIECHA SCHAEFFLEGO.

(Bau und Leben des socialen Körpers. Von Dr. Albert E. Fr. Schäfle. Zweiter Theil. Das Gesetz der socialem Entwickelung. Tübingen 1878. Dritter Band. Specieller Theil, Familie, Bevölkerungsschichtung, Niederlassungs- und Transportwesen, Schutzeinrichtungen, Socialstoffwechsel oder Volkswirthschaft und Technik.—Vierter Band Die geistigen Erscheinungen der Gesellschaft, die sociale Ausbildung des Vernunft und der Sprache, das Staatsleben, die heutigen Civilisationskreise. Tübingen, 1881).

Wszechstronne porównania pomiędzy życiem osobnikowém i społeczném, pomiędzy budową ciała istot zwierzęcych i społeczeństw ludzkich, w ogóle pomiędzy biologicznemi i socyologicznemi zjawiskami, wykonane starannie i umiejętnie przez Spencera, Lilienfelda i Schäffle'go, ustaliły dzisiaj w nauce to przekonanie, że społeczeństwo nie jest dowolnym i przypadkowym zbiorem jednostek, lecz organizmem, który w swém życiu i rozwoju ulega pewnym stałym prawom. Wprawdzie, wszyscy ci trzéj socyologowie w porównaniach swoich zapędzili się za daleko, lecz to nie zmniejsza ani wielkiéj doniosłości ich pracy, ani prawdziwości głównéj zasadniczéj myśli. Schäffle sam spostrzegł, że w pierwszym tomie (1), zanadto śmiałe porobił wnioski co do podobieństwa, jakie zachodzi pomiędzy budową a życiem osobnika i społeczeństwa, i w następnych tomach większe w tym względzie okazuje umiarkowanie.

Wreszcie podobieństwo organizmów społecznych z biologicznemi tak jest widoczne, że trochę zastanowienia wystarcza, ażeby przyznać, iż nawet nie może być inaczéj. I dziwić się należy, że taki zdolny biolog, jak Karol Letourneau, nie chce tego widzieć w swojéj Socyologii. Społeczeństwo bowiem, tak jak wszystkie żywe organi-

(1) Sprawozdanie o tym tomie patrz w Ateneum 1877 r. T. I. str. 214.

zmy, żyje, wzrasta i przeobraża się. Odnajdujemy w niem wszystkie istotne cechy jestestw żywych, przez biologa Klaudyusza Bernarda wskazane: ustrój, powstawanie z innych tworów żywych, żywienie się, ewolucya, chylenie się do upadku (la caducité), chorobę, śmierć. Lecz żywe osobnikowe organizmy—możnaby powiedziéć—przedstawiają się nam jako individua, jednostki, całostki; tymczasem społeczeństwo jest zbiorem, zrzeszeniem, skupieniem jednostek samodzielnych. Wszakże—jak wiadomo dzisiaj—jest to różnica pozorna tylko. „Wszelki organizm, jakkolwiek byłby skomplikowany—powiada przyrodnik angielski, Allman, w swojéj mowie na kongresie w Szefildzie w r. 1879—jest społecznością komórek, w któréj każdy pierwiastek indywidualny ma rzeczywistą samoistność, samodzielność... Samodzielność ta każdego pierwiastku jest połączona z zależnością każdéj jednostki od całego organizmu, co zapewnia jedność całemu organizmowi, utrzymuje we wszystkich zjawiskach jego życia zupełną zgodność i harmonię" (1). Lecz wszystkie komórki organizmu osobnikowego—możnaby znowu powiedziéć—spełniają zupełnie identyczną pracę, tymczasem w społeczeństwie podział pracy nie tylko ilościowy lecz także jakościowy jest widoczny. Różnicy téj jednak niema. Ten sam Allman przestrzega, ażeby nie mniemano, że „praca wykonywana przez każdą komórkę jest tylko powtórzeniem pracy wszystkich innych komórek," i powołuje się w tym względzie pomiędzy innemi na badania botaniczne naszego rodaka, Strasburgera. Różnica więc pomiędzy osobnikowym i zbiorowym organizmem zmniejsza się—jak widzimy; podobieństwo zaś, w miarę dokładniejszego porównania, wzrasta. Dastre, oceniając nowsze prace biologiczne, kreśli taki obraz organizmu zwierzęcia wyższego. „Zorganizowany jest jak społeczność, w ten sposób że warunki życia elementarnego czyli indywidualnego wszystkich obywateli anatomicznych są szanowane, ponieważ warunki te są jednakowe dla wszystkich. Lecz równocześnie, każdy członek zależy w równéj mierze, przez swój rodzaj życia, przez swoją czynność i z powodu swéj czynności, od całości, któréj część stanowi, od grupy socyalnéj, do któréj należy, i od miejsca, które zajmuje. Równocześnie jest istotą samodzielną, pierwiastkiem całości, kamieniem budowy narodowéj. Słowem, używa życia indywidualnego i jednocześnie życia narodowego" (2). Mając to na widoku, Espinas rozszerza granice socyologii i rozpoczyna ją od społeczeństwa komórek organicznych.

(1) La Revue Scientifique. N. 13. 1879. Str. 293.

(2) Str. 306. Revue Philosophique, dirigée par Th. Ribot. N. 3. 1879. Artykuł: Le problème physiologique de la vie.

Głównym bodźcem rozwoju postępowego tworów biologicznych jest *walka o byt.* K. du Prel usiłuje nawet przy jéj pomocy objaśnić tworzenie się systematów planetarnych (Der Kampf ums Dasein am Himmel, 1876). Z tém większą słusznością Schäffle odwołał się do niéj, dla objaśnienia rozwijającego się życia społecznego, i wykonał to umiejętnie i dokładnie. Drugi tom jego dzieła właśnie tém się zajmuje.

Skutki działania walki o byt dają się nawet łatwiéj spostrzegać w socyologii aniżeli w biologii. W świecie roślinno-zwierzęcym zmiany odbywały się powoli, wymagały one ciągu całych tysiącoleci; tymczasem w życiu społeczném uwydatniają się większemi rozmiarami i następują po sobie w krótszych przestankach, niemal na oczach naszych. Nadto związani psychicznie ze społeczeństwem, które—według Espinas'a—jest przedewszystkiém żywą świadomością czyli organizmem myśli, odczuwamy często świadomie działanie jego ważniejszych bodźców.

Alfred Fouillé zrobił trafne porównanie, że jak las ułatwia życie drzewom, tak społeczeństwo ludziom. Korzyści życia społecznego są tak widoczne, że nie znamy prawie ludzi, którzyby żyli bez jakichkolwiekbądź związków społecznych. Walka o byt, przeważnie indywidualna w świecie biologicznym, w świecie ludzkim przybiera charakter coraz bardziéj społeczny. Hordy walczą z hordami, plemiona z plemionami. Nawet zupełnie anarchicznego usposobienia Fuegijczykowie rozumieją korzyść wspólnego działania i, wybierając się na wojnę, wyznaczają z pomiędzy siebie naczelnika.

Walka o byt wśród ludzkiego społeczeństwa przejawia się w dwóch głównych formach: jako wojna i jako współzawodnictwo.

Wojna bywa zewnętrzna i wewnętrzna. Zewnętrzna wojna sprowadziła niewolę, ale ta ułatwia nagromadzanie kapitału i rozwój pracy ekonomicznéj. Schäffle nawet dość niefortunnie powiada, że „niewolnictwo w swoim czasie było szczęściem dla ludzkości" (92, III); dość byłoby powiedziéć, że w swoim czasie przyniosło pożytek. Poddaństwo i szlachectwo powstały także w znacznéj części skutkiem wojen zewnętrznych. „Nowsze badania historyczne, etnograficzne i lingwistyczne prawie wszędzie wykazały, że podbój ludów autochtonicznych stanowi podstawę tworzenia się dziedzicznych niższych kast." (359, II). Jak wiadomo, Augustyn Thierry, Franciszek Palacki, Karol Szajnocha, Franciszek Piekosiński tłómaczą pochodzenie szlachty podbojem. Wewnętrzna wojna, nader częsta w dzikich społeczeństwach, schodzi następnie do coraz mniejszych rozmiarów, przejawia się wszakże nawet w społeczeństwach, na wysokim stopniu uobyczajenia znajdujących się, pod postacią powstań, buntów

i zbrodni. Z postępem jednak umysłowego rozwoju, walka na pięści ustępuje coraz bardziéj przed walką na rozumy; z szerzeniem się zaś wolności i sprawiedliwości, zmniejsza się liczba powodów do gwałtownego ścierania ludzi pomiędzy sobą. Co do wojny zewnętrznéj, to widzimy, „że wojna coraz bardziéj sama siebie niweczy" (364, II). Techniczne udoskonalenia i powszechna służba wojskowa nadają jéj tak wielkie rozmiary, że staje się coraz trudniéj ją prowadzić. Z rozrostem ciał politycznych, staje się ona coraz rzadszą, ale za to coraz bardziéj olbrzymieje. Wielka wojna pochłania małe. Z drugiéj zaś strony, wzmaganie się udziału narodu w rządach państwa podkopuje militaryzm.

Wszelka wojna usiłuje rozstrzygnąć spór za pomocą siły czyli przemocy. Tam więc, gdzie wytworzylo się już pojęcie sprawiedliwości, samo zwycięstwo fizyczne nie wystarcza ani do uspokojenia strony zwyciężonéj, ani do zadowolenia strony zwycięskiéj. Obie pragną uczynić zadość swemu przekonaniu moralnemu i odwołują się ze sprawą swoją do sądu i uznania innych osób. Walka cielesna zaczyna przeistaczać się w moralne współzawodnictwo.

Darwin rozróżnia dwa rodzaje walki o byt: jednę mającą na celu własne istnienie, drugą—zachowanie swego rodzaju. Są one następstwem dwóch najnatarczywszych potrzeb: potrzeby odżywiania organizmu i potrzeby rozmnażania się,

Pożywienie i popęd płciowy są to owe główne przedmioty, o które ludzie staczają nieustanną pomiędzy sobą walkę, owe bodźce, które zmuszają człowieka do pracy i organizacyi, i owe szkopuły, o które rozbija się pomyślność społeczna. Po walce o chléb dla siebie najzawziętszą jest walka o chleb dla rodziny. Pierwsza zmusza ludzi do pracy (produkcyi) i robienia zapasów (kapitalizowania), druga do tworzenia stadła, rodziny; pierwsza staje się podstawą rozwoju gospodarskiego, druga towarzyskiego.

Starania o pożywienie i zaspokojenie miłości sprowadzają atoli przeciwne sobie skutki: pierwsze przyczyniają się do gromadzenia żywności, drugie do jéj spożywania. To ostatnie o wiele jest łatwiejsze od pierwszego. Usta więc, potrzebujące jeść, mnożą się nieodpowiednio do wzrostu pożywienia. Spożycie odbywa się szybciéj od wytworu; równowaga więc pomiędzy niemi zachwiewa się, a następstwem tego są: choroby śmiertelne, głód, wojna, zbrodnie, nędza i całe piekło jéj towarzyszące.

Prawo ludnościowe, tak zwane prawo Multhusa, w ostatnich czasach stało się na nowo przedmiotem szczególnego badania. Socyaliści, którzy za przykładem Godwina zaprzeczali byli temu prawu,

bardziéj powodowali się uczuciem, aniżeli bezstronném rozumowaniem, i więcéj mieli na względzie dalsze konsekwencye tego prawa, aniżeli je samo. Z ważniejszych przeciwników teoryi Malthusa, którzy starali się ją zwalczyć dowodami przyrodniczemi, wypada wymienić Carey'a, Doubleday'a i Spencera.

Zarzut Carey'a opiera się na tém, że płodność niższych tworów jest większa od płodności wyższych, a zatém człowiek nie mnoży się w szybszéj progresyi, aniżeli niższe twory, służące mu do pożywienia. Zgoda, lecz przecież musi być granica mnożenia się niższych tworów a właśnie ta granica stawi także tamę rozmnożaniu się ludzi. Ta właśnie granica zmuszała powiększoną czyli gęstszą ludność zamieniać przy warunkach przyjaznych myślistwo na pasterstwo i rolnictwo. Niższe i wyższe twory, rozradzając się na téj saméj przestrzeni, muszą zabierać sobie miejsce. Obfitość niższych tworów, któremi żywią się wyższe, pobudza te ostatnie do rozpładzania się; skutkiem tego, stosunek pierwszych do drugich zmienia się na niekorzyść drugich, i tym ostatnim zaczyna braknąć pożywienia. Przeciwnicy Malthusa nie zwracali uwagi na to, że ze wzrostem ludności coraz bardziéj musi zmniejszać się przestrzeń, służąca dla jéj wyżywienia. Karol Kautsky, jeden z nowszych badaczy kwestyi ludnościowéj, uwidocznia to liczbami.

W angielskich miastach—powiada Kautsky—przypada 70.000 ludzi na milę kwadratową. Jest to jednak stosunek uciążliwy dla ludności. Chcąc, by jéj życie nie upływało w niedostatku i cierpieniu, niepodobna żądać większego stosunku od 50.000 ludzi na milę kwadratową. Europa liczy 300 milionów ludności; ludność więc ta potrzebuje 6.000 mil kwadratowych, by mogła żyć dogodnie. Podług Daniela, powierzchnia Europy wynosi 150.000 mil kwadratowych; odjąwszy 6.000 mil kwadr. na siedliska ludzkie, pozostaje 144.000 na pola, pastwiska, lasy itd. Zróbmy więc obliczenie wzajemnego stosunku przestrzeni i ludności, wiedząc, że ta ostatnia może podwajać się co 25 lat.

1880 r.	300	mil.	ludności	mieszka	na	przestrzeni	6,000	kw.	m.;	pozostaje	144,000	kw.	m.
1905 „	600	„	„	„	„	„	12,000	„	„	„	138,000	„	„
1930 „	1,200	„	„	„	„	„	24 000	„	„	„	126,000	„	„
1955 „	2,000	„	„	„	„	„	48,000	„	„	„	102,000	„	„
1980 „	4,800	„	„	„	„	„	96.000	„	„	„	54,000	„	„

Dzisiaj w Europie jedna mila kwadratowa żywi mniéj więcéj 2082 ludzi. Musiałaby ona wyżywić:

w 1905 r. — 4,348 ludzi
„ 1930 „ — 9,524 „

w 1955 r. — 23,529 ludzi
„ 1980 „ — 88,888 „

„To znaczy—powiada Kautsky—jeżeli ludność powiększa się o 16 razy, wydajność ziemi musi powiększać się nie 16 razy tylko, lecz o czterdzieści dwa razy. Po stu więc latach każde pole musi 42 razy tyle wydawać co dzisiaj wydaje. Kto uważa to za możliwe, ten nie jest optymistą, lecz głupcem" (1).

Doubleday, opierając się na pewnéj liczbie spostrzeżeń nie dość krytycznie ocenionych, przyszedł do błędnego wniosku, jakoby mniejsza ilość żywności sprzyjała rozpładzaniu się, większa zaś obfitość pokarmu powstrzymywała płodność. Przeczy jednak temu znany powszechnie fakt, że obfitość plonu zależy od żyzności gruntu; przeczy temu znana okoliczność, że do ważnych przyczyn bezpłodności należy słabość cielesnego organizmu lub jego wycieńczenie wskutek chorób lub nadużyć wszelkiego rodzaju; przeczy również temu płodność pasorzytów. Jeśli w społeczeństwie ludzkiém widzimy w klasach zamożnych mniejszą ilość dzieci, aniżeli w ubogich, przypisać to należy bardziéj moralnym (ograniczaniu się) i społecznym (niestosowności w małżeństwie) przyczynom, aniżeli większéj ilości pożywienia. Wreszcie jak słusznie zauważał Lilienfeld—teorya Doubleday'a nie obala twierdzeń Malthusa, lecz popiera je ponieważ rodziny ubogie, niemające obfitego jadła, stanowią znaczną większość ludności.

Zbadawszy przyczyny większego lub mniejszego mnożenia się tworów organicznych, Spencer przychodzi do tego przekonania, że płodność ludzi, w miarę wzrostu cywilizacyi, musi być mniejsza, albowiem walka o byt pomiędzy wyższemi tworami wymaga większych duchowych wysileń, a więc przedłuża peryod kształcenia się i zużywa więcéj siły mięśniowéj i nerwowéj. Dziwna rzecz, że Spencer, który tak znakomicie zastosował teoryą przemienności sił do życia społecznego, zapomina o niéj w tém miejscu i spuszcza z oczu, że wyższa organizacya i wyższe przejawy życia gromadzą w sobie większą ilość siły, aniżeli niższe twory i niższe stopnie życia. Dziki je wszystko, co mu się nadarza; je kiedy może; nie zna miary w jedzeniu, lecz głód znosi długo i cierpliwie. Człowiek w społeczeństwie cywilizowaném potrzebuje pewnego wyboru i urozmaicenia w żywności, regularności w jedzeniu, pożywności, strawności i lekkości ja-

---

(1) Str. 78. Jahrbuch für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik, Herausgegeben von dr. Ludwig Richter. Zweiter Jahrgan. Zürich 1881.

dła. Uogólniając, powiemy: mniejsza liczba wyższych tworów potrzebuje dla swego rozwoju z ogólnéj skarbnicy sił tyleż, ile ich potrzebuje większa liczba niższych tworów. Zmniejszona więc płodność na wyższych stopniach ustrojowości wcale nie oznacza mniejszego zużywania sił złożonych w przyrodzie. Wreszcie, gdyby w miarę wzrostu cywilizacyi, istotnie indywidualna płodność ludzka zmniejszała się, to społeczna płodność niewątpliwie zwiększać się musi, w miarę jak położenie kobiéty polepsza się w społeczeństwie. Na dowód niech posłuży obrazek położenia kobiety u Australczyków, skreślony przez Oskara Peschela. „Kobiéta w domu męża—powiada ten znakomity etnograf—to niewolnica, narzędzie jego *rzadkich* zwierzęcych rozkoszy. Na niéj spoczywa cała robota koło domu, a podczas wędrówki ona nieść musi wszystko mienie wraz z dziećmi. Kiedy mąż najlepsze kęsy z zebranéj żywności spożywa, siedzi jego żona z uszanowaniem na boku i zadawalnia się szczątkami tego jadła, które on zostawi. Wskutek takiego grubego obejścia się z kobietą, starzeje się ona prędko i staje się *niepłodną*. A chociażby i to nie nastąpiło, to społeczeństwo nie wiele na tém by zyskało, gdyż *dzieci*, zwłaszcza jeżeli to dziewczęta lub bliźnięta, *bywają natychmiast po urodzeniu zabijane* z powodu, że środki do wyżywienia ich są niedostateczne“ (1). Wreszcie sam Spencer dobrze rozumie, że „złe obchodzenie się, niedostateczny pokarm i nadmiar pracy mogą doprowadzić kobiety do tego, że jeżeli nie umierają, to stają się niezdolne do wychowywania dostatecznéj ilości dzieci, potrzebnéj do utrzymania ludności na tym samym poziomie liczbowym; to zaś pociąga za sobą wymieranie społeczeństwa“ (2). A czyż z obniżaniem się stopnia cywilizacyjnego, nie widzimy coraz gorszego obchodzenia się z kobietami, coraz bardziéj niedostatecznego ich pożywienia, coraz większego przeciążenia pracą tych pierwotnych niewolnic rodzaju ludzkiego?! (3).

Schäffle uznaje słuszność teoryi Malthusa, ale mniema, że jest ona tylko „teoryą jednego z objawów walki ludzkiéj o byt, badanego pod względem ruchu ludnościowego“ (55, III). Nadaje więc jéj drugorzędne znaczenie. Sam jednak twórca teoryi: *walki o byt*, Dar-

---

(1) Str. 339. Nauka o ludach. Przełożona przez prof. dr. T. Wisłockiego. Warszawa 1876.

(2) Str. 359. Principes de Sociologie par Herbert Spencer. Traduit de l'anglais par MM. E. Cazelles et J. Gerschel. Tome deuxième. Paris.

(3) „W pierwotném społeczeństwie kobiety stanowią klasę niewolniczą, i pierwszy podział pracy jest ten, który ustanawia się pomiędzy niemi i ich panami.“ Spencer, 364, II.

win powiada. „Walka o byt jest nieuniknionym skutkiem wielkiéj zdolności rozmnażania się istot organicznych. Każda istota, która w naturalnym ciągu swego życia wydaje wiele jaj i nasion, skazana jest na zagubę w pewnym peryodzie życia swego i w pewnéj porze roku, inaczéj podług zasady postępu geometrycznego, liczba istot tego gatunku stałaby się tak nadzwyczajnie wielką, że żaden kraj nie byłby w stanie ich wyżywić. I tak, ponieważ więcéj rodzi się istot aniżeli ich wyżyć może, musi więc zatém być walka o byt jednéj jednostki przeciwko drugiéj tegoż gatunku, albo przeciwko innemu gatunkowi, albo téż przeciwko fizycznym warunkom życia. Jest to nauka Malthusa, zastosowana ze spotęgowaną siłą do całego zwierzęcego i roślinnego państwa...." Tém widoczniejsze jest pierwszorzędne znaczenie prawa ludnościowego w życiu ludzkiém, w którém walka o byt przybiera coraz mniejsze rozmiary i coraz łagodniejszą formę. *Prawo ludnościowe* w statystyce społecznéj ma doniosłość niemal prawa ciążenia w astronomii. Znakomite angielskie dzieło: „Zasady nauki społecznéj — przez Doktora Medycyny" (polski przekład, Genewa, 1880) objaśnia, na podstawie tego prawa, wszystkie ważniejsze ekonomiczne prawa wytworu, podziału i zamiany bogactw. Dla dynamiki społecznéj, którą Schäffle niemal wyłącznie opiera na teoryi walki o byt, ma ono także bardzo doniosłe znaczenie.

„Każdy poważnie myślący i nieuprzedzony człowiek musi prawo ludnościowe uznać jako jedno z praw stałych i niezmiennych, rządzących absolutnie losami ludzkiemi na ziemi, jako prawo, którego ani zmienić ani uniknąć niemożna, tak samo jak niemożna wstrzymać ciał niebieskich w ich biegu lub zniweczyć powinowactwa chemicznego" (1).

Oburzać się przeciwko temu prawu, wykazywać jego nieludzkość, jest-to dawać świadectwo dobroci serca, lecz nie wyświadcza się tém żadnéj usługi ani ludziom, ani społecznemu porządkowi. Należy więc dokładnie zbadać prawo i jego następstwa i z pomiędzy równoważących się następstw wybrać to, które jest najmniéj uciążliwe i najmniéj nieszczęścia sprowadza. Zaszczepiając organizmowi ospę, wnosimy do wnętrza jego pewne złe, lecz jest ono o wiele mniejsze od tego, któremu-by organizm prawdopodobnie uległ, gdyby nie zaszczepiono ospy. Schäffle zastanawiając się nad środkiem zaradczym, proponowanym przez autora „Zasad nauki społecznéj," przychodzi do tego przekonania, że środek ten, bez radykalnéj zmiany porządku społecznego, nie przyniesie sam społeczeństwu

(1) Zasady Nauki Społecznéj, str. 457.

spodziewanych korzyści. Dopóki interesy społeczeństwa całego identyfikować się będą z interesami klas posiadających, dopóty niepodobna przypuszczać, aby szczerze pomyślano o uregulowaniu wzrostu ludności. „Przeciwnie— powiada Schäffle — przy dzisiejszéj (kapitalistycznéj) podstawie organizacyi gospodarstwa narodowego, przyrost ludności robotniczéj jest nawet rzeczą korzystną dla klas posiadających, zmniejsza bowiem stopę płacy robotniczéj a powiększa rentę dochodową. Jedni mogą się wzbogacać kosztem nędzy drugich. Wzrost ludności, działając na społeczny podział dochodów, nietylko pomimowoli popiera interesy klasy bogatszéj, ale nadto, wzmagając walkę o byt pomiędzy jednostkami, pobudza wyzyskiwanie i otwiera szersze pole wszelkim jego formom: lichwie, oszustwu, pasorzyctwu.“

Oprócz głównéj zasady biologicznéj: *walki o byt*, widzimy w socyologii także inne objawy biologiczne, jak dziedziczność, przystosowywanie się, krzyżowanie się, atawizm i t. d.

Dziedziczność objawia w społeczeństwie dążność zachowawczą; przystosowywanie się—czynność reformacyjną, postępową.

Dążność zachowawcza przejawia się: 1) w odziedziczaniu przymiotów cielesnych, przedewszystkiém organizacyi nerwowéj, 2) tradycyi przekonań i myśli i 3) odziedziczaniu dóbr materyalnych.

W społeczeństwie odziedziczanie przymiotów cielesnych nie jest tylko dziełem fizyologicznego procesu. Staje się ono czynnością świadomą, która przez stosowne wychowanie i kształcenie wyrabia zręczność, biegłość, wprawę ruchów cielesnych, a samemu organizmowi nadaje krzepkość i hart.

Myśli i przekonania odziedziczają się w drodze wiary, nauczania i piśmiennictwa. Społeczny rozwój ma pod sobą grunt historyczny. Jak organizm cielesny rozwija się z komórki do wyższego ustroju drogą pośrednich form, tak i społeczeństwo do wyższych stopni cywilizacyi może dojść tylko po szczeblach ogólnego rozwoju.

Dobra materyalne, w miarę rozwoju społeczeństwa mnożą się. Powstają miasta, budują się drogi, kanały, groble, mosty i t. d.; zawiązują się instytucye pożyteczne. Kapitał jest dziedzictwem społecznėm, które jedno pokolenie przekazuje drugiemu.

Przystosowywanie się bywa materyalne i duchowe. Przejawia się ono w społeczeństwie najczęściéj czynami świadomemi, w których rozmaite żywioły społeczne biorą udział. Zaprowadzają się rozmaite ulepszenia w sposobie życia, wychowaniu, pracy, ustroju społecznym i politycznym, stosunkach międzynarodowych. Charakter postępowy przystosowywania przejawia się: 1) w nagromadzaniu się sił społecznych, 2) w różniczkowaniu się tych sił, odpo-

wiednio do celów właściwych,—inaczéj, w podziale pracy i 3) w łączeniu się jednokierunkowych sił w celu osiągnięcia największego rezultatu. Ekonomia polityczna, mając za przewodnika Adama Smitha, wykazała wielkie korzyści podziału pracy; jakiemi zaś są korzyści płynące z łączenia jednorodnéj pracy, dopiero gruntowniéj zaczęto badać w ostatnich czasach.

Dążność zachowawcza w społeczeństwie jest przeważnie natury nieświadoméj, podtrzymuje się głównie zwyczajami i obyczajami. Prawo użycza im poparcia materyalnego. „Najbardziéj zachowawczém jest społeczeństwo dzikich. I to w podwójnym względzie. Nie tylko trzyma się ono dawnego zwyczaju, ale nadto przestrzega, by powszechnie był jednakowy; przyswojone przystosowania nie tylko są stałe, ale przytém jednostajne. Stałość i jednostajność wyrobionych form znamionują najwcześniejsze epoki cywilizacyi; panuje tam przewaga dziedziczności nad przystosowywaniem się, skutkiem czego chód rozwoju nadzwyczaj jest powolny. Szybkość bowiem społecznego rozwoju znajduje się w prostym stosunku do siły zmienności i w odwrotnym do dziedziczności“ (27, II).

Wszelki postęp opiera się na przeszłości, jest dalszym jéj ciągiem. Tylko to, co się rozwija z gruntu historycznego, ma w sobie warunki pełnego życia w przyszłości. Nowe formy raz wykluwszy się z dawnych, dążą wytrwale do zastąpienia tych ostatnich. Odbywa się to wśród walki, nieraz bardzo upartéj. Używa się niezawsze broń duchowa; walczący chwytają się często środków „fanatyzmu, który kamienuje, krzyżuje, morduje, spotwarza.“ Wszelka nowa myśl, wszelkie nowe odkrycie, wszelka nowa społeczna zasada napotykają odrazu prześladowanie. Ze względu tylko na to, że z początku mało zwracają na nie uwagi, mogą one okrzepnąć i nabrać dość siły do przyszłego boju. Im więcéj doznają przeszkód, tém gwałtowniejsze sprowadzają wstrząśnienia. Giną ludzie, rozstraja się społeczeństwo. „Najszlachetniejsi reformatorowie muszą stać się męczennikami, ażeby zapewnić zwycięstwo swojéj sprawie“ (290, II). Całym szeregiem strat dotkliwych społeczeństwo okupuje nowe nabytki, wprawdzie ważne dla jego dalszego życia i rozwoju. W interesie przeto tak całego społeczeństwa jak oddzielnych jednostek, jest ułatwienie wolnego obiegu myśli i przekonań, a więc wolność wyznania, myśli, słowa, pisma, druku, nauczania, zgromadzania się, stowarzyszenia, pracy, wyboru zawadu.

Poglądy o krzyżowaniu się w biologii nie są jeszcze ustalone. Jedni przypisują mu wsteczne, drudzy postępowe działanie na tworzenie się form organicznych. Socyologiczne spostrzeżenia — jak mniema Schäffle—przekonywają, że najkorzystniejszém dla postępu

bywa krzyżowanie się cywilizacyi niezbyt oddalonych charakterem swoim od siebie, ponieważ przedstawia najwięcéj warunków do spotęgowania podziału i łączenia pracy. Przeciwnie, krzyżowanie się zbyt odległych typów cywilizacyjnych nie jest korzystne.

Przeszkody, stawiane postępowemu rozwojowi, mogą sprowadzić w społeczeństwie cofanie się ku formom dawniejszym. Objawi się w ten sposób atawizm społeczny. Mamy tego przykład jaskrawy na Hiszpanach w rzeczypospolitéj Argentyńskiéj i Portugalczykach w Sertajo (w Brazylii) i na wschodnim wybrzeżu Afryki. Tylor mniemał, że niższe rasy łatwiéj ulegają wstecznemu skarłowaceniu, aniżeli te, które posiadają wyższą ustrojowość.

* * *

Gospodarstwo społeczne albo téż narodowe przedstawia jeden z ważniejszych dowodów podobieństwa życia socyologicznego do biologicznego. Jest to jedna z funkcyj społecznych, mających najwięcéj analogii z odpowiednią funkcyą życia osobnikowego. I nic dziwnego. Jest bowiem zasadniczym procesem życia społecznego, tak samo jak *odżywianie* jest podstawowym procesem życia roślinno-zwierzęcego.

Zarówno proces odżywiania jak funkcya gospodarstwa społecznego polegają na tém: ażeby siły przyrodzone materyi, wprowadzanéj do organizmu, przyswoić odpowiednio do jego potrzeb. I tu i tam widzimy szukanie, przywłaszczanie, przerabianie, krążenie, przyswajanie i wydzielanie materyi. Organizm społeczny najwięcéj ma podobieństwa w tym względzie do organizmu zwierzęcego, „strzeżmy się jednak społeczną przemianę materyi uważać tylko poprostu za ciąg dalszy zwierzęcéj“ (239, III). Jest ważna różnica. Różnicą tą jest wytwór mienia (das Gut) (1).

Schäffle określa materyą odżywczą słowami fizyologa Rankego: „Wszelka materya, *zawierająca siły napięte*, które organizm może wyzwolić dla wytworu własnych, jak również ta materya, która *umożliwia* owo wyzwolenie, jest materyą odżywczą; wszelka materya, która bierze udział w *normalném budowaniu organów*, chociażby nie miała *bezpośrednio* dostarczać napiętych sił organizmowi do zużytkowania, powinna być także uważana jako materya odżywcza.“ Zu-

---

(1) Tłómaczę *Gut* wyrazem *mienie*, trzymając się słownictwa Supińskiego, który powiada: „właściwem *mieniem* człowieka będzie to tylko co przejdzie w jego posiadanie, skutkiem udziału jego samego“ (Szkoła polska gospodarstwa społecznego. T. I, str. 83. Lwów 1862).

pełnie podobną definicyą *mienia* podaje autor. „Mieniem gospodarczem— powiada— jest wszelka nagromadzona, tak w saméj ludności jak w jéj majątku (1), organiczna i nieorganiczna materya, o ile ta z jednéj strony wyraża się w kosztach, które ponoszą potrzebujący, a z drugiéj strony służy jako zapas sił (czynnych) mogących być użytemi i jako narzędzie i środek pomocniczy do wyzwolenia sił napiętych" (258, III). Inaczéj mówiąc, „mienie jest z jednéj strony *ponownie zmateryalizowaną częścią poprzednio wyzwolonéj siły społecznéj*, z drugiéj strony *środkiem* odnowienia téj siły i *nowego wyzwolenia* żywych sił społecznych" (272, III). Mienie — mówiąc prościéj — jest wynikiem pracy i środkiem nowéj pracy: z jednéj strony, materya i praca zużyta; z drugiéj strony materya i praca umożliwiająca przyszły pożytek. Mienie więc przedstawia koszta i użyteczności. Ekonomia narodowa powinna dążyć do tego—powiada autor—by koszta były jak najmniejsze a użyteczność jak największa. W każdym razie użyteczność powinna przewyższać koszta. Inaczéj upada tak prywatne gospodarstwo, jak cała cywilizacya. Im bardziéj użyteczność przewyższa koszta, tém więcéj cywilizacya wygrywa na tém. „U(żyteczność)—K(oszta) = 0; jest to punkt obojętności materyalnego interesu ze stanowiska gospodarstwa prywatnego, państwowego, narodowego i światowego" (308, III).

Tak określiwszy znaczenie kosztów i użyteczności, autor przechodzi do *teoryi wartości zamiennéj*. Teorya ta, z powodu znakomitego dzieła Karola Marxa, stała się w ostatnich czasach jakby główną podstawą nowego ruchu społeczno-gospodarczego. Właściwie jednak mówiąc, ruch rozwija się swoją koleją i mało zależy od téj lub owéj teoryi. Zupełnie podzielam zdanie, wypowiedziane w recenzyi dzieła Schäfflego (Jahrbuch für Sozialwissenschaft u. Sozialpolitik, 1879, str. 113), że wcale jest mylnem, jakoby z obaleniem teoryi Marxa nowoczesny naukowy socyalizm miał także upaść.

Wogóle zajmowanie się zanadto wiele kwestyą wartości — podług mego przekonania — świadczy, że metafizyczny sposób myślenia przeważa jeszcze ogromnie w badaniach społecznych. Ponieważ jednak teorya ta stała się osią dzisiejszych dyskusyj ekonomicznych, przeto wypada zbadać ją dokładnéj.

Ekonomiści rozróżniają wartość użytkową i zamienną. W pierwotném, naturalném gospodarstwie, gdzie każdy stara się wszystko produkować sam dla siebie, wartość użytkowa przeważa. Ze zwiększonym jednak podziałem pracy, zaczyna się gospodarstwo zamien-

---

(1) Schäffle odróżnia Gut (mienie) od Vermögen (majątek). Pierwsze jest pojęciem ekonomiczném, drugi zaś — ekonomiczno-jurydyczném.

ne. Wytwórca przestaje być głównym spożywcą własnych wytworów, ponieważ stają się one coraz bardziéj jednorodnémi. Z konieczności rozpoczyna się zamiana jednych wytworów na drugie. Przy wzajemnéj zamianie towarów musi być pewna pomiędzy niemi miara, która określa ich wzajemny stosunek. W czemże się wyraża tu miara czyli wartość? Adam Smith i Ricardo twierdzili stanowczo, że w *pracy*. Bastiat i Thiers, chcąc usprawiedliwić indywidualną własność, opierali ją także na pracy, dowodząc, że wszelki majątek jest wynikiem pracy. Marx to samo uczynił i doszedł do tego rezultatu, że ponieważ właściwie pracują tylko robotnicy, więc oni tylko powinni być właścicielami wszelkiego mienia.

Samo istnienie towaru jest dla Marxa wartością użytkową. O niéj więc nie mówi. Mówiąc o wartości, Marx ma na myśli tylko wartość zamienną. Jedynie ważném jest jéj określenie. Podstawą wartości— podług Marxa — jest *społecznie konieczny czas pracy* czyli średnia ilość czasu pracy, koniecznéj w normalnych warunkach produkcyi, połączona ze średnim stopniem zdatności i siły. Więc praca—podług Marxa— jest tą stałą miarą, która oznacza wartość pewnego towaru. Ze względu na wartość, towar jest pracą skrystalizowaną—powiada Marx. W tém określeniu spostrzegamy dwa błędy: pierwszy — że spuszcza się z uwagi sama materya lub przedmiot, z którym praca się łączy; drugi—że nadaje się wartości pewna cecha substancyalności, kiedy tymczasem jest ona tylko stosunkiem względnym. Co do pierwszego błędu, Laveleye przytoczył kilka przekonywających przykładów (1). Dwóch myśliwych w ciągu całego dnia upolowało: jeden sarnę, drugi zająca. Czy wartość ich zamienna będzie jednakowa? Butelka wina Château-Laffite kosztuje 15 franków, a butelka wina z sąsiedniéj winnicy tylko 1 franka. Różnica jednak pracy albo żadna, albo bardzo mała. I nietylko w kategoryi produktów myśliwsko-pastersko-rolniczych to spostrzegamy, widzimy to samo w produkcyi rękodzielniczéj i fabrycznéj. Pieczęć złota i pieczęć miedziana, materya bawełniana i materya wełniana nie w samym tylko stosunku do pracy mają wartość zamienną. Na oznaczenie wartości wpływa więc jeszcze większa lub mniejsza użyteczność i rzadkość materyi lub przedmiotu. Co do drugiego błędu, Schäffle (310, III) wskazał tylko jednę jego stronę, zwracając uwagę, że na wartość zamienną (2) wpływa także *społeczna wartość użytkowa*,

---

(1) Le socialisme contemporain par Emile de Laveleye. Str. 87. Paris 1881.

(2) Mill rozróżnia wartość zamienną naturalną, która zlewa się prawie z wartością nakładową i wartość chwilową czyli targową. Supiński wartość zamienną nazywa ceną i odróżnia cenę nakładową i cenę targową. Wartość zaś—podług Supińskiego—jest to skutek pracy użytecznéj.

wyrażająca się w popycie. Drugą stroną tego błędu, zacierającego niejako w wartości jéj charakter względny, jest mierzenie wartości pracy tylko czasem, co upowszechnia mniemanie, jakoby ilość wytworów mogła wzrastać, bez wpływu na zmianę ich wartości zamiennéj. Wprawdzie Marx sam ostrzega, że mówi tylko o pracy użytecznéj i przynoszącéj korzyść innym. Można więc, stosując się do tego, uważać, że wszelka produkcya powinna mieć pewną potrzebami ludności oznaczoną granicę. Ale zwolennicy Marxa nie zwracają na to uwagi. Gdyby pamiętali, że „wartość jest tylko stosunkiem," nie zadowolniliby się jednym czynnikiem, chociażby to był najważniejszy. Po pracy ważnym czynnikiem jest żywność. Większa lub mniejsza jéj obfitość na rynku wpływa na wartość towaru, nietylko pośrednio przez pracę, ale nawet bezpośrednio. Jeżeli z tego lub owego powodu nastąpi drożyzna, spożywca zaczyna oszczędzać się na tém, co uważa za mniéj niezbędne dla siebie (u nas np. książki). Jeżeli poprzednio para butów nie wystarczała na rok, teraz zaczyna wystarczać; jeżeli poprzednio surdut służył na rok, teraz służy na dwa lata i t. d. Słowem, ilość towarów sprzedawanych zaczyna być mniejsza, czyli mówiąc językiem ekonomicznym, popyt na nie zmniejsza się. Chcąc sprzedawać dawniejszą ilość towarów, trzeba zmniejszony popyt pobudzić zniżeniem ceny. Jak widzimy, ilość żywności wpływa na popyt towarów, a popyt ten na wartość ich zamienną.

„Dwie wartości—powiada słusznie autor „Zasad nauki społecznéj"— *wartość pracy* i *wartość żywności* wywierają największy wpływ na wszystkie inne. Mała zaś wartość jednéj zależy od téj saméj przyczyny co wysoka wartość drugiéj, to jest od przeludnienia. Cena żywności bywa wysoka dla tego, że ludność zanadto wielkim ciężarem gniecie ziemię; cena pracy bywa niska dla tego, że ludność zanadto wielkim ciężarem gniecie kapitał" (str. 573). Dla czego wartość produktów rolniczych podnosi się w stosunku do wartości wytworów fabrycznych, tłómaczy nam także prawo ludnościowe. „Pochodzi to ztąd, że maszyny i inne ulepszenia, oszczędzając pracę, zmniejszyły koszta produkcyi fabrycznych towarów; kiedy tymczasem ulepszenia rolnicze, prawie tak samo wielkie jak fabryczne, zostały zneutralizowane przez nieustanny przyrost ludności. Okoliczność ta zmuszała ciągle do rozszerzania uprawy rolniczéj na gorsze grunta, tak, że produkcyjność ziemi, stanowiącéj granicę uprawy (od któréj wyłącznie zależy cena zboża), mało zmieniła się. Wszystkie udoskonalenia i cała oszczędność pracy powiększyły po prostu produkcyjność ziem *lepszych* i w taki sposób przyczyniły się tylko do wzbogacenia klasy właścicieli ziemskich, powiększając pobieraną

przez nich rentę; tymczasem, wskutek nieustannego wzrastania ludności, na gorszych gruntach nie było żadnego oszczędzania pracy, produkcyjność więc ich pozostała ta sama, a także skutkiem tego i cena żywności" (1).

Teoryi Marxa szczególnie ważne nadano znaczenie dla tego, że ma ona wyjaśniać, jakim powinien być słuszny podział produktów. Płaca powinna stosować się tylko do pracy. Robotnik ma pobierać to, co rzetelnie przypada na jego pracę, czyli równoważnik swéj pracy. „Lecz—jak słusznie uważa Schäffle— najdoskonalszém narodowém gospodarstwem nie jest to, które wymienia równe równoważniki kosztów (pracy), lecz to, które dostarcza wogóle wszystkim członkom ciała społecznego społecznie możliwe maximum pożytku za społecznie możliwe minimum kosztów (pracy) i wszystkich z osobna równomiernie zadawalnia w tym stosunku" (351, III).

Dzisiejsze kapitalistyczne gospodarstwo nie jest tém najdoskonalszém. Jest ono wszakże wyższe od feudalnego i fiskalnego, które poprzedziły je. Sprzyja ono rozwojowi wolności, nagromadzaniu się kapitału a więc także powiększaniu się produkcyi. Główną cechą ustroju kapitalistycznego — a każda epoka ma właściwy sobie ustrój gospodarczy, jest „zapewnienie i uporządkowanie swobodnego współzawodnictwa, osobistéj wolności, wolności handlu i umowy, wolności zamiany, rynku i obrotu pieniężnego, zupełnéj własności osobistéj środków wytwórczych i prawa ich odziedziczania, pełnego i co najmniéj ograniczanego przez policyą wyzyskiwania pracy" (383, III).

Krytyka kapitalistycznego ustroju, którą podaje Schäffle, jest najlepszą częścią tomu trzeciego. Kardynalną wadą tego gospodarstwa i źródłem wielu niesłuszności jest to, że daje ono przewagę prywatnym interesom nad społecznemi. Kapitał będąc dominującym czynnikiem, bierze więcéj niż mu się należy i jego zdolność pochłaniania rośnie wraz ze wzrostem jego samego. Współzawodnictwo, którém głównie reguluje się czynność kapitalistyczna, nie powoduje się samą uczciwością.

Autor liczbowemi przykładami wykazuje, dla czego w kapitalistycznym ustroju z wartości zamiennéj towarów zawsze korzystają ci, co więcéj mają, a tracą ci, co mają mniéj.

Przypuśćmy, że na rynku jest popyt na 1,000,000 miar zboża. Odpowiednio do kosztów produkcyi, $^9/_{10}$ téj ilości można sprzedawać miarę po 1 złotym reńskim, $^1/_{10}$ zaś należy sprzedawać miarę po 3 złot. r. W takim wypadku cena targowa miary zboża

(1) Zasady Nauki Społecznéj. str. 574.

ustanawia się na 3 złot. reń. Gdyby produkcya odbywała się społecznie, miara zboża kosztowałaby tylko $1\frac{1}{5}$ złot. reń., ponieważ $900000 \times 1 + 100000 \times 3 = 1200000$. W kapitalistycznem gospodarstwie, gdzie produkcya odbywa się prywatnie, koszta wytworu 100,000 miar nie mogą być rozłożone na wytwórców, a skutkiem tego całe zboże podnosi się do najwyższéj ceny i sprzedaje się na rynku za 3,000,000 zł. r. Traci więc na tém spożywca, który płaci na każdéj mierze $1\frac{4}{5}$ zł. r. więcéj t. j. 150% więcéj aniżeli to, co odpowiednio do kosztów należałoby się płacić. A któż ciągnie zyski? Nie ci wytwórcy co ponoszą większe koszta, lecz ci co mają lepsze lub korzystniéj położone grunta, a więc nie wskutek ich pracy lub zabiegów produkcyjniejsze. Ponieważ zboże kosztuje ich wszystkiego 900,000 zł. r., a wzięli oni na rynku 2,700,000 zł. r.; zysk ich przeto wynosi 1,800,000 zł. r. czyli 200% (432, III).

Ricardo objaśnił dokładnie uprzywilejowany ten zysk w teoryi renty gruntowéj. Ani Carey ani Bastiat nie zdołali jéj obalić. Przeciwnie, dzisiaj teoryą renty rozszerzono na wszystkie gałęzie wytworu.

Podnoszenie się i zniżanie ceny w kapitalistycznym ustroju także odbywa się zawsze z krzywdą słabszych ekonomicznie. Bierzemy znowu przykład przytoczony przez autora (434, III).

Pewna ludność potrzebuje 1,000,000 (milion) metrów sukna. Koszta produkcyi dzielą się w następujący sposób: $\frac{5}{10}$ téj ilości sukna metr po 1 talarze, każda zaś następna dziesiąta część o $\frac{1}{5}$ talara drożéj na metrze (a więc $1\frac{1}{5}$, $1\frac{2}{5}$, $1\frac{3}{5}$, $1\frac{4}{5}$, wreszcie 2 talary). Metr więc sukna sprzedaje się na rynku po 2 talary. Tymczasem popyt na sukno, po części wskutek zapotrzebowania z zagranicy, wzmaga się jeszcze na 100,000 metrów, tak że koszta produkcyi metra można podnieść na $2\frac{1}{2}$ tal. Skutkiem tego, cena targowa sukna ustanawia się na $2\frac{1}{2}$ tal. Widoczna jest rzecz, że podrożenie to dotknie najsilniéj spożywców niemajętnych, przyniesie zaś największy zysk tym, co produkują najtaniéj. Gdyby produkcya była społeczna, cena metra sukna wynosiłaby przed zwiększeniem się popytu nie 2 tal., lecz 1.3 tal. ($500000 \times 1 + 100000 \times 1.2 + 100000 \times 1.4 + 100000 \times 1.6 + 100000 \times 1.8 + 100000 \times 2 = 1300000$), następnie zaś nie $2\frac{1}{2}$ tal. lecz 1.4. Dotąd rozważyliśmy podnoszenie się ceny. W razie zaś jéj obniżenia się, kto z pomiędzy wytwórców traci? Oczewiście, ci co największe ponosili koszta a więc najmniejsze zyski ciągnęli.

Podnoszenie się ceny rynkowéj do wysokości kosztów najdroższéj wyprodukowanego towaru, co jest nieuniknioném w gospodarstwie kapitalistyczném, musi częściéj i silniéj zachwiewać równowagę pomiędzy spożyciem i wytworem, aniżeliby to mogło dziać się

przy produkcyi społecznéj. W pierwszym wypadku, ze zbożem, 100,000 nowych centnarów zboża podniosło cenę z 1 na 3,—w uspołecznionéni zaś gospodarstwie powinnoby podnieść cenę tylko z 1 na $1^{1}/_{5}$; a więc zamiast stosunku 1 : 3, mielibyśmy stosunek 1 : 1.2. W drugim wypadku, z suknem, zamiast stosunku 2 : $2^{1}/_{2}$ czyli 80 : 100, mielibyśmy stosunek 1.3 : 1.4 czyli 93 : 100. Oczywista, że większe wahanie się cen nietylko jest dotkliwsze dla spożywców, ale nadto nęcąc kupców większym zyskiem, musi sprzyjać rozwojowi usposobienia spekulacyjnego, które rozlicza więcéj na przypadkowe powodzenie aniżeli na własną pracę (435, III).

Autor przechodzi po kolei wszystkie wady kapitalistycznego gospodarstwa: niemożność dokładnego określenia istniejących potrzeb, zawodność popytu targowego, wytwarzanie szkodliwych i zbytkowych przedmiotów, podporządkowanie publicznych potrzeb interesom spekulacyi i t. d. Kapitalistyczne gospodarstwo, w stosunku do feudalnego i fiskalnego, powiększylo wprawdzie ogromnie produkcyą, ale mieści w sobie takie organiczne wady, które nie dozwolą dojść wytworowi do możliwéj doskonałości. Wyliczmy ważniejsze wraz z autorem. Robotnicy nie mają żadnego interesu w powiększaniu się wytworu. „Jednym ze smutniejszych skutków kapitalizmu jest rozdział w produkcyi pomiędzy kierującą inteligencyą i wykonywającemi rękami“ (442, III). Niepewność nieustanna zakłóca rozwój życia społecznego. Kapitał nie używa się dla wytworu najpotrzebniejszych i najpożyteczniejszych przedmiotów, ale zwraca się często „do najbrudniejszéj produkcyi, nawet do niszczenia i psucia“ (443, III). Kapitałowi nie chodzi o to, „by najlepsze dostarczać towary, lecz o to, by ciągnąć z nich największy zysk“ (443, III); nie chodzi o to, by mnożyć ilość produktów, lecz o to, by sprzedawać je drożéj, chociażby rozmyślnie zmniejszając ich liczbę (444, III). Oszczędzanie kosztów wytworu prowadzi do okrótnego obchodzenia się z ludźmi, które zmusiło nawet rząd angielski, tak niechętny do wtrącania się w sprawy prywatne, do zaprowadzenia policyi fabrycznéj. Przesilenia gwałtowne, spowodowane chciwością, zaścielają raz po raz kraj ruinami. Handel kapitalistyczny ma także liczne złe strony. Kredyt popiera silniejszego przeciwko mniéj silnemu. Rynek papierowy, „na którym nadzieje i obawy, przewidywania i przestrach paniczny stanowią o trwałości popytu na pewne rentowe papiery, jest najbardziéj charakterystycznym objawem kapitalistycznego społeczeństwa“ (449, III). I jednym może ze smutniejszych. Któż nie wie, że giełda „staje się grobem dla licznych majątków rodzinnych, dźwignią legalnego złodziejstwa na wielkie rozmiary, miejscem szybkiego tracenia kapitałów przez średnie kla-

sy, cieplarnią bankructwa, rozsadnikiem tych, co wraz z Falstaffem: „„Nie chcą zwracać pożyczonych pieniędzy, byłaby to bowiem podwójna praca““? (449, 450, III).

Zaiste, dziwném byłoby mniemać, ażeby tak wadliwe gospodarstwo miało pozostawać niezmienném. Musi przecież w biegu dziejowym wyrobić się doskonalsza jego forma. Czy jest ona możliwą? Schäffle podaje jéj kardynalne cechy: „Własność kolektywna wszystkich środków produkcyi (ziemi, warsztatów, machin, narzędzi i t. p.) zamiast własności ich prywatnéj; *społeczna organizacya pracy* zamiast jednostronnéj, prywatnéj konkurencyi kapitalistów t. j. zastąpienie instytucyi prywatnych przez korporacyjne organizacye; społeczne kierownictwo produkcyi; publiczny rozdział pracy wspólnéj, opartéj na wspólném posiadaniu wszystkich środków pracy społecznéj; wreszcie podział rozmaitych produktów wspólnéj pracy pomiędzy wszystkich pracujących, względnie do wartości i ilości dostarczonéj przez nich pracy“ (1). Autor szczegółowo zbadawszy o ile porządek, oparty na tych zasadach, może się godzić z ekonomiczno-socyologicznemi prawami, przychodzi do tego przekonania, że taki porządek nietylko jest możliwy, ale nadto musi być naturalnym wypływem dzisiejszego kapitalistycznego gospodarstwa. Część ta bardzo ważna i bardzo ciekawa jest rozwinięciem tylko więcéj umiejętném i ścisłém tych poglądów, które autor zawarł w tłómaczoném na wszystkie ważniejsze języki europejskie dziełku: „Kwintesencya socyalizmu“ (2).

Gospodarstwo społeczne zajmuje największą część trzeciego tomu (234—548 str.) i stanowi najważniejszy jego przedmiot; z tego téż powodu zajmowaliśmy się niém przeważnie. Lecz oprócz gospodarstwa społecznego, tom trzeci obejmuje jeszcze badania stosunków ludnościowych, zastosowań czasu i przestrzeni do życia społecznego, środków bezpieczeństwa i znaczenia techniki.

---

(1) Str. 6. D-ra A. Schaefflego: Kwintesencya socyalizmu. Tłómaczenie z niemieckiego przez S. Genewa, 1881.

(2) Tym co mówią o „wielkiém wspólném korycie do żeru i wielkim domu przymusowéj pracy“ (patrz np. znakomitą skądinąd mowę Ottona Hausnera w 1879 r.), radzilibyśmy bardzo przeczytać to dziełko. Ciekawe szczegóły podaje p. Hołyński w studyum o Kolonii komunistycznéj Ikaryjczyków w Ameryce, zamieszczonym w trzecim tomie *Philosophie Positive* z 1881 r. P. Hołyński po kilka razy zwiedzał tę kolonią i zaprzyjaźnił się z jéj członkami. Pomimo że nazywa ją „znakomitym klasztorem pozbawionym przesądów,“ zgadza się jednak zupełnie na to, że los robotników w niéj jest o wiele przyjemniejszy aniżeli tam, gdzie panuje konkurencya. „Mają — powiada—lepsze mieszkanie, lepsze jadło i lepsze odzienie, i wszystko to *kosztem mniejszego wysilenia muszkularnego.*“

Część poświęcona ludności zawiera umiejętne zsumowanie wiadomości statystycznych, etnograficznych i historycznych o rodzinie, małżeństwie, mieszkaniach, ludności i jéj ruchu, cielesnych i duchowych jéj znamionach, narodowości, stanach i klasach.

Oznaczenie czasu jest nader ważném dla rozwoju społecznego. Kalendarz i podział czasu dziennego w produkcyi, komunikacyi, stosunkach wzajemnych—jak wiadomo powszechnie—stanowią ważną stronę życia społecznego.

Bardzo obszerny rozdział zajmuje się przestrzennemi stosunkami społeczeństwa (die Raumbeziehungen der Gesellschaft), t. j. osadami, drogami, położeniem i komunikacyą. Cały ten rozdział jest rozwlekły i drobiazgowy, tak że uciążliwość czytania nie jest w żadnym stosunku do otrzymanéj korzyści. Nie znaczy to jednak, by brakło w nim ważnych spostrzeżeń i trafnych myśli. Autor dość skrzętnie zaznacza, jak w rozwoju dziejowym dziedzina prywatna zwęża się a społeczna rozszerza. Mówiąc o mieście i wsi, podnosi myśl Engela, że wieś jest najodpowiedniejszém miejscem dla wychowywania dzieci. Wykazuje szkody nieuporządkowanéj emigracyi, która z tego powodu traci daremnie wiele sił i nie przynosi téj korzyści którejby można było się spodziewać w innym wypadku. Sprawa to bardzo ważna. W Szwajcaryi, dzięki niedającym się niczém zrazić zabiegom radcy Joosa, stanęła ona na porządku dziennym i prawdopodobnie prędzéj niż w innych krajach zostanie uregulowana w drodze prawodawczéj.

Technika u Schäfflego ma bardzo obszerne znaczenie. Zalicza on do niéj organizacyjną pracę polityki, którą już Arystoteles nazwał najwyższém budownictwém; zalicza także pedagogikę, medycynę i t. d. Rozdział jednak o technice jest najkrótszy. Autor podaje jéj podział, główne zasady i krótką historyą.

Sam autor uważa trzeci tom jako specyalny wykład ekonomii politycznéj, któréj głównym przedmiotem są wszelkie dobra (Güter), a do których ludność także i przedewszystkiem należy. „Cielesna istota ludności jest najważniejszym i najkosztowniejszym składnikiem gospodarczym materyalnego majątku“ (247, III).

Autor zanadto drobiazgowy w opisach, pominął niektóre bardzo ważne kwestye, że wspomnę tylko o badaniach Carey'a stosunku przemysłowości do rolnictwa.

•
• •

Schäffle po kilka razy powtarza, że socyalistyczny ustrój uczyni organizm społeczny więcéj narodowym, aniżeli przy dzisiejszym

kapitalistycznym porządku. I każdy, kto rozważy dobrze rozwój poczucia narodowego, musi przyznać słuszność autorowi. Różniczkowanie i całkowanie, które autor wraz ze Spencerem widzi we wszystkich dziedzinach życia społecznego, jest tu widoczniejsze aniżeli gdzieindziéj. Im większe w społeczeństwie panują przegrody, im więcéj przywilejów a mniéj równości, tém słabsze musi być ogólne poczucie solidarności w całym organizmie. W średnich wiekach rycerz francuski miał więcéj wspólnego poczucia z rycerzem angielskim, aniżeli z kupcem, rzemieślnikiem lub uczonym własnego narodu. Klasy przewodnie, zamożne, oświecone odgradzały się nawet osobnym językiem od tłumów, pospólstwa. Dopiero zmniejszenie się znaczenia klas przewodnich wskutek centralizacyi władzy i podnoszenie się gminu wskutek wzrostu bogactwa i oświaty w mieszczaństwie, przechylają szalę na korzyść języków narodowych. Przypomnijmy, że wyroki sądowe zaczęto wydawać w języku narodowym w Kastylii za Alfonsa X Mądrego, w Niemczech za Rudolfa Habsburskiego, w Anglii za Edwarda III, we Francyi za Franciszka I. Lecz właściwie rewolucya angielska 1688 r. i rewolucya francuska 1789 r., którą godzi się nazwać powszechno-europejską, wydobyły z pod interesów państwowych interesy narodowe. Okrzyk: „Vive la nation!“ staje się dopiero powszechny od 1789 r. Ludność połączona węzłami państwowémi, gdy z upadkiem przesądów i przywilejów mniéj napotykała przegród i przegródek, zaczyna się mięszać, kojarzyć coraz silniéj małżeństwem, zespalać coraz rozleglejszą dziedziną interesu publicznego. Ojczyzna zyskuje coraz więcéj synów, czułych na jéj dolę i niedolę. W kapitalistycznym atoli ustroju są jeszcze proletaryusze, dla których ojczyzna nie ma realnego znaczenia (mitten im Vaterland „vaterlandslosen“ Proletarier—456, III). Dopiero porządek społeczny, który utrwali egzystencyą wszystkich bez wyjątku, który usunie wszelkiego rodzaju przywileje, nada téż prawdziwe obywatelstwo całéj masie ludności (490, III) i zwiąże ją silnemi więzami wspólnego interesu. Ekonomiczny interes ściśle zespoli się z interesem narodowym.

Kto szuka poparcia dla swoich wywodów nie w bujnéj wyobraźni ani w wykrętnéj dyalektyce, lecz w dziedzinie wiedzy pozytywnéj, ten nawet nie może czynić przypuszczenia, ażeby to co urabiało się wiekami, mogło odrazu utonąć w jakimkolwiekbądź gwałtownym przewrocie, a zwłaszcza to co rośnie i rozwija się nie zaś słabnie i zamiera. Narodowe organizmy muszą jeszcze dojrzéć do możliwie doskonalszych form, zanim staną na téj wysokości, by mogły łączyć się w jakieś wyższe, naturalne organizmy. Czyż podobna bowiem, ażeby przy tak rozmaitym stanie cywilizacyi, jakim odzna-

czają się dzisiaj, mogły połączyć się wszystkie razem w jeden wyższy społeczny organizm? „Kto może przypuszczać, ażeby wszystkie niepodległe kraje i narody zawarły jednego i tego samego dnia *contract social* na prowadzenie solidarnego socyalistycznego gospodarstwa, Francuzi i Niemcy, Jankiesi i Anglicy, Włosi i Turcy, Murzyni i Chińczycy" (514, III). Jest to rzecz niemożliwa. Sojusz taki nie byłby ani dla jednych ani dla drugich korzystny i chyba tylko przemocą możnaby go podtrzymywać. Narody, mające wyższe uspołecznienie, traciłyby na tém nawet więcéj (517, III).

Większa solidarność pomiędzy jednostkami narodowego organizmu, będąca następstwem wyższéj cywilizacyi, musi iść i rzeczywiście idzie w parze ze wzrostem solidarności międzynarodowéj. Beznarodowość nie oznacza—jak niektórym się zdaje—międzynarodowości. Pomiędzy jedną i drugą leży cała przepaść, jaką widzimy pomiędzy bezkształtnym pierwoszczem i cudnemi formami roślin arktycznych. Bez wątpienia, chleb jest ważną rzeczą, lecz jeszcze ważniejszą—życie. Sprawa narodowa jest równoważna ze sprawą ekonomiczną a w pewnych okolicznościach nawet od niéj ważniejsza.

Wreszcie czy jest istotnie tak wielka różnica pomiędzy kwestyą ekonomiczną i narodową? Pierwsza—jak widzieliśmy— ma na celu jak najdoskonalszy wytwór mienia i jak najlepszy jego podział; druga—powiedziałbym — ma to samo na celu, jeno w dziedzinie duchowego czyli umysłowo-uczuciowego mienia.

Jak wiadomo, jedną z główniejszych podstaw narodowości jest język. „W życiu społecznem ludzi myśl staje się przewodniczką wszelkiego postępu. Wytwarza ona już na samym wstępie rozwidniającéj się świadomości narzędzie, w którém następnie gromadzi się i doskonali, jest niem mowa. Zrasta się ona z organizmem społecznym i staje się niejako jego duszą. Słowozbiór jest sam przez się skarbnicą pojęć, a nadto ułatwia utrwalenie wzbudzonych uczuć i nabytych wiadomości" (1). Autor w rozdziale, który poświęca mowie, przedstawia dobrze jakim jest ona ciężkim dorobkiem i jak ważne ma znaczenie dla życia społecznego i osobnikowego. Co to znaczy pod względem ekonomicznym niemota językowa—że się tak wyrażę — najlepiéj widzimy na naszych rodakach, zmuszonych szukać pracy w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Podług opowiadania p. Sygurda Wiśniowskiego, niema w Ameryce więcéj wyzyskiwanego rolnika nad chłopa polskiego, ponieważ nie mogąc rozmówić się ani z przedsiębiorcami ani z robotnikami, musi imać się roboty, która będąc najcięższą, najmniéj téż płatną bywa.

(1) Str. 104. Socyologia Augusta Comte'a. Lwów 1875.

Język przytém jest ważném narzędziem pracy ekonomicznéj. Widzimy tego często przykłady. Rzemieślnik, chociażby był najbieglejszy, jeżeli znajdzie się pomiędzy ludźmi nierozumiejącemi go, z trudnością dostaje zajęcie. Jakże mu wytłómaczę co ma robić?— odrzekł naczelnik pewnéj francuskiéj fabryki, gdy go proszono o przyjęcie ślusarza Polaka nie umiejącego po francusku. Język nadto jest narzędziem wykształcenia, zarówno umysłowego jak moralnego, cielesnego, zawodowego, słowem wykształcenia, które wyrabia zdolność „przezwyciężania wszelkich przeszkód życia i rozwoju“ (73, IV). Wykształcenie to daje albo przynajmniéj powinna dawać szkoła, którą About słusznie nazywa fabryką ludzi. Jeżeli szkoła używa jednego języka a społeczeństwo drugiego, nie odpowiada ona wówczas swemu zadaniu. Nadto popełnia się przytém wykroczenie przeciwko kardynalnéj ekonomicznéj zasadzie: „otrzymywać największy pożytek najmniejszym kosztem.“

Mowa, to najpierwsze wiązadło spólności narodowéj, jest także główném narzędziem wyrabiania się ducha narodowego (Volksgeist), téj „wzniosłéj wewnętrznéj spójni społeczeństwa,“ téj „idealnéj jedności cywilizacyi realnéj“ (59, IV). Im większa jedność ducha narodowego, tém większa jego wewnętrzna i zewnętrzna siła. A tém większa jedność, im większa i wszechstronniejsza wspólność życiowa. Wyraża się ona w silném uczuciu patryotyczném. Niema téż większęgo niebezpieczeństwa dla narodu jak zamachy na tę jedność (59, 60, IV).

Pismo czyni dorobek językowy trwalszym, stalszym i powszechniejszym. Bez pisma nie byłoby piśmiennictwa, tego największego skarbu ludzkości, bez którego nie mogłaby ona wznieść się na te wyżyny cywilizacyjne, na jakich widzimy ją dzisiaj. Literatura i duch narodowy oddziaływują na siebie wzajemnie i dopomagają sobie do dalszego postępu. „Mianowicie, *ciężka*, poważna, klasyczna literatura, jeżeli prowadzi równomiernie do naukowego, estetycznego i etycznego bogactwa, jest znamieniem zdobytéj duchowéj mocy i nieocenioną bronią w walce narodów o dalsze utrzymanie się, gromadzenie i rozszerzanie“ (71, IV). „Bez literatury bieżącéj, bez arcydzieł klasycznych, niema silnéj politycznéj narodowości“ (393, IV). W tych warunkach, kiedy szkoła nie odpowiada swemu celowi, literatura wraz z życiem towarzyskiem może ją pod pewnym względem zastąpić (74, 75, IV).

Wreszcie umysłowy rozwój narodu tak samo nie dopuszcza gwałtownych skoków, jak ich nie dopuszcza racyonalna pedagogia w umiejętném prowadzeniu rozwijającego się umysłu. Każdemu wydałoby się niedorzecznością posyłać do uniwersytetu syna, który nie

nauczył się jeszcze tego, czego uczą w gimnazyum. Dla każdego najzupełniéj jest jasném, że brać się do rachunku różniczkowego, nie umiejąc ani arytmetyki ani algebry, jest zgoła bezużyteczną stratą czasu. W kwestyach socyologicznych téj jasności nie mamy, co wreszcie jest zupełnie naturalnem, zważywszy, że socyologia jest z jednéj strony najwięcéj skomplikowaną a z drugiéj najmłodszą co do czasu tj. najmniéj zbadaną umiejętnością. Wprawdzie, doskonalące się metody pedagogiczne ułatwiają i przyśpieszają rozwój umysłu i coraz bardziéj skracają drogę w nabywaniu potrzebnych wiadomości. Tak samo późniéj idące w cywilizacyi narody znajdują już wiele ułatwień, do szybszego i skuteczniejszego przebywania drogi rozwojowéj. Ażeby jednak naród mógł korzystać z doświadczeń poprzednich i z wiedzy nabytéj, trzeba ażeby je poznał, zrozumiał i przyswoił. Bez tego warunku, ideje wyższéj cywilizacyi albo będą muskać tylko powierzchnię umysłową, albo—na co można także zgodzić się pod pewnym względem z autorem—staną się one czynnikiem rozkładowym (81, IV). Dzieje rozwoju religii przedstawiają liczne tego dowody, że konieczną jest pewna stopniowość przy przechodzeniu od form niższych do wyższych. Z tego to powodu muzułmanizm bierze przewagę nad chrześciaństwem pomiędzy murzyńską ludnością Afryki; z tego téż powodu „chrześciaństwo i buddaizm północnych Azyatów w istocie rzeczy jest tylko trochę zmodyfikowanym szamanizmem“ (176, IV).

Przychodzimy tu znowu do bardzo ważnéj kwestyi, która w ostatnich czasach silnie poruszała umysły i gwałtowne wywoływała dyskusye. Zwolennicy Marxa bardzo jednostronnie zrozumieli twierdzenia tego wielkiego myśliciela. Powiedziałbym że stali się większemi marksistami od niego samego. Autor „Kapitału“ wykazał w swojém dziele, jak ważnym czynnikiem w rozwoju społeczeństwa jest jego układ ekonomiczny, który ulegając koniecznemu przeobrażaniu się w swoim postępie, oddziaływa także na przeobrażanie się prawnych i politycznych stosunków a nawet umysłowych poglądów, Myśl w gruncie prawdziwa, lecz jednostronnie uwydatniona. Dosyć przeczytać Buckle'a, który znowu zanadto jednostronne nadał znaczenie umysłowemu czynnikowi, ażeby to zrozumieć. Ekonomiczny układ bez zaprzeczenia oddziaływa silnie na wszystkie strony życia społecznego, ale i te strony (np. teorye naukowe, stosunki polityczne) oddziaływują także na formowanie się i przekształcanie ustroju ekonomicznego, Marx wreszcie, posiadający gruntowną uczoność, temu nie zaprzeczał, lecz zanadto wielki zrobił nacisk na stosunki ekonomiczne. Zwolennicy jego poszli daléj i ekonomicznemu czynnikowi zamiast przeważnego wyłączne przyznali znaczenie. Jest to zresztą

zwyczajny objaw w dziejach umiejętności, że najgorliwsi uczniowie najmocniéj przywiązują się do tego, co jest najwięcéj jednostronném w nauce ich mistrza.

Jakie stanowisko zajmuje w téj kwestyi Schäffle? Jako pisarz ekonomiczny, skłania się on znacznie do poglądu Marxa atoli sam staje z sobą niejako w sprzeczności, podnosząc wielkie znaczenie politycznego i umysłowego czynników i poświęcając im cały czwarty tom. „Budowy i życia ciała społecznego.“ W jedném miejscu nawet oświadcza, że w warunkach, jakie się wytworzyły na tym stopniu cywilizacyi, na którym znajdujemy się obecnie, tylko ta reforma lub rewolucya może być skuteczną, którą poprzedzi czynna propaganda nowych przekonań. Mniema przytém, że znaczny ruch umysłowy i ostateczne jego zwycięstwo muszą poprzedzić wszelką przemianę w porządku polityczno-społecznym (326, IV), i że następnie potrzebném i koniecznem jest poparcie siły materyalnéj, gdyż sam tylko moralny wpływ nie zdoła dokonać téj przemiany (330, IV).

Ci co mniemają, że bez poprzedniego uzyskania swobód politycznych, można dojść odrazu do radykalnéj przemiany stosunków społeczno-ekonomicznych, sami nie spostrzegają, jak wielkiéj dopuszczają się niekonsekwencyi. W teoryi hołdując wyłączności ekonomicznego czynnika, w rzeczywistości mimowiednie okazują wiarę we wszechpotęgę wpływu umysłowego. Dość aby zrozumiano, i stanie się. Za jedną niekonsekwencyą idzie druga. Albowiem chcąc, ażeby cały naród, a przynajmniéj większość jego zrozumiała pewne prawdy, jest rzeczą konieczną, ażeby mogła je wysłuchać i rozważyć. Trzeba więc, aby panowały wolność słowa i druku, wolność nauczania i zgromadzania się. Jest to więc mimowolna antycypacya dokonanéj przemiany politycznéj,

Czwarty tom—jak już wzmiankowałem--zajmuje się umysłowém, towarzyskiém i politycznem życiem społeczeństwa.

Mając zawsze na oku podobieństwo społecznego organizmu do osobnikowego, autor bada jego system psycho-fizycznych organów, a więc zastanawia się nad mową, pismem, umysłowością indywidualną i duchem narodowym. Daléj mówi o oświacie narodowéj czyli o kształceniu się umysłowém narodu, które—podług autora—szło z góry na dół, tj. najprzód powstawały uniwersytety, następnie gimnazya; najpóźniéj realne i ludowe szkoły (89, IV).

Towarzyskość, wypływając z naturalnéj potrzeby samego społeczeństwa, ma doniosłe znaczenie w wyrobie ducha narodowego. Jest ona „głównym środkiem jednostajnego duchowego zastosowywania się, zespolenia się wszystkich w jednym i tym samym religijnym i politycznym zapale.“ „Jest ona także środkiem szerzenia i odziedzi-

czania idei a więc duchowéj jedności" (99, IV). Oczywista przeto, że im towarzyskość szersze i różnorodniejsze ogarnia koła, tém większe jest jéj działanie. Obchody narodowe mają w tym względzie nader wielkie znaczenie.

Tak teoretyczna jak praktyczna wiedza rozwijała się drogą walki o byt. Zresztą jest to rzecz naturalna, zważywszy, że wiedza daje siłę społeczeństwu, i że brak wiedzy przyczynia się potężnie do jego niemocy. Autor jest nawet tego zdania, że wielkie zdobycze i wojny torowały drogę postępowi nauki. Pochody Aleksandra Wielkiego ściągnęły wiedzę kapłaństwa wschodniego do Muzeum w Aleksandryi, krzyżowe wojny sprowadziły na zachód europejski arabskie skarby wiedzy; najazd Turków zmusił do przeniesienia bizantyjskich skarbów umysłowych na półwysep włoski. gdzie stały się one fermentem humanizmu i renesansu. Ostatni jednak przykład—nie powiem—aby był szczęśliwy. Bez najazdu tureckiego, Włosi mieli wszelką sposobność do zabrania bliższéj znajomości z bizantyjskiemi skarbami wiedzy. Wiadomo bowiem, że wojny krzyżowe sprowadziły mnóstwo Wenecyanów, Pizanów, Genueńczyków do Konstantynopola, tak że miasto zaczęło przybierać mieszaną włosko-grecką cechę. Wenecyanie nadto usadowili się w najważniejszych punktach cesarstwa, i gdyby nie najazd turecki, prawdopodobnie, wpływ polityczny Włochów otworzyłby sobie bramy Konstantynopola i wcześniéj wydobyłby na jaw zabytki wiedzy starogreckiéj. Trzeba jednak dodać, że autor, mówiąc o korzystnym wpływie wojny na wiedzę, wskazuje téż tysiączne szkody, które wojna wyrządza oświacie (351, IV). Nie tylko wielkie wojny międzynarodowe. lecz także walki i współzawodnictwa wewnętrzne przyczyniały się do wzrostu wiedzy. Wewnętrzne walki w kościele chrześciańskim w 17 i 18 stul. ścieranie się władzy świeckiéj z duchowną, dążenie niższych stanów do równouprawnienia z wyższémi, rywalizacya instytucyj i towarzystw naukowych, współzawodnictwo ludzi uczonych,—wszystko to w rozmaity sposób dopomagało i dopomaga do postępu wiedzy. Podług zdania autora, umiejętność dzisiaj tak wysoko stanęła i tak rozszerzyła się, że niema obawy, ażeby jakie nowe najście barbarzyńców mogło pogrążyć ludzkość na długo w ciemnotę. Dzisiejsza umiejętność zrobiła wielki postęp nie tylko co do saméj treści, lecz także co do naukowego myślenia, które z teologiczno-dogmatycznego, przeszedłszy przez fazę metafizyczno-dyalektyczną, staje się ścisłém i pozytywném.

Uczucie zadowolenia i szczęścia jest jednym z głównych celów i bodźców życia społecznego. Naród, w którym większość czuje się nieszczęśliwą i niezadowoloną, nie ma pod sobą gruntu mocne-

go. „Niezadowolenie narodu czyni społeczeństwo słabém“ (121, IV), oczewiście jeżeli przyczyną tego niezadowolenia wewnętrzny samoistny układ, nie zaś położenie, od zewnętrznych, wbrew woli zaszłych, wypadków zawisło. Autor zapytuje: „na czem polega możliwie największa suma szczęśliwości i zadowolenia narodu?“ I odpowiada na to: „Maximum społecznéj szczęśliwości i zadowolenia powstaje wskutek osiągnięcia historycznie dostatecznéj jedności narodu, na podstawie historycznie dostatecznego rozczłonkowania na specyalne zawody, tak ażeby każdy członek miał zapewniony dostateczny udział we wszystkich idealnych i materyalnych dobrach życia“ (123, IV). Żadne społeczeństwo jednak nie zdoła osiągnąć zupełnéj szczęśliwości. Zawsze będą jednostki mniéj lub więcéj nieszczęśliwe, a nawet i samo społeczeństwo nieraz odczuwać będzie pewne braki, niedoskonałości w swoim ustroju. Spowodowane tém pragnienie wyzwolenia się od przykrości i zgryzot tego życia i dążenie do doskonalszych form, nie ustaną podsycać uczuć religijnych, estetycznych i etycznych. Uczucie nie przestanie rwać się od twardéj rzeczywistości w sfery religijnego i estetycznego idealizmu. Szerzenie się mistycyzmu w chwilach nieszczęścia znajduje w tém także swoje objaśnienie. Idealne uczucia narodu, wyrażające się w pragnieniu wybawienia i doskonalenia się, bywają podporą i podnietą dla niego, ale powinny, wraz z ogólnym postępem, otrząsać się z przesądów, pozbywać się urojeń, rozumniéć i szlachetniéć, jeżeli nie mają stać się „ogłupiającym i denerwującym opijatem“ (128, IV).

Co do pojmowania estetycznego ideału, autor stoi na pozytywném stanowisku i słusznie wytyka nawet nowszym pisarzom, opierającym się na teoryi ewolucyjnéj, że hołdują jeszcze metafizycznemu poglądowi, szukając jakiegoś prototypu piękna.

„Religia w swojém kształtowaniu się dziejowem jest także wytworem doboru społecznego“ (145. IV). Początek jéj—podług autora—tkwi w uczuciu zależności i niemocy, jakiego doświadcza człowiek. Zdania socyologów co do tego przedmiotu nie zupełnie są zgodne. Spencer zajmuje się szczegółowo w swojéj socyologii kwestyą powstawania uczuć i mitów religijnych i przychodzi do tego przekonania, „że kult przodków jest początkiem wszelkiéj religii“ (1). Twierdzi on, że antropomorfizm, powszechny u ludów dzikich, nie jest wynikiem procesu myślenia, lecz prostém odźwierciedlaniem żywych osób. Dziki człowiek nie uosabia swych myśli i uczuć, lecz po prostu przypomina zmarłe osoby, które jednak w jego mniemaniu żyją

---

(1) Str. 563, tom I.

zawsze, tylko w odmiennych warunkach. „Strach przed żywymi—powiada Spencer—dał początek władzy politycznéj; strach przed umarłymi—władzy religijnéj“ (1). Letourneau słusznie nazywa teoryą Spencera „euhemeryzmem (2) doprowadzonym do ostateczności,“ sam jednak posuwa także do ostateczności materyalistyczny pogląd, nie widząc w początkowych wyobrażeniach religijnych nic więcéj prócz urojeń wyobraźni dziecinnych ludów. Podług Letourneau, umysł ludzki uczepił się energicznie tych baśni dziecinnych dopiéro wtedy, kiedy ułożyły się one w obraz życia pozagrobowego. Obraz ten—powiada—stał się dla umysłu „wśród doświadczeń życia pociechą, czyli raczéj umysłowém opium, które osładza mu strapienia, lecz wprawia przytém w pewną otrętwiałość“ (3). Wszystkie te trzy teorye—można powiedziéć—zawierają część prawdy: pogląd Schäfflego objaśnia źródło uczucia relegijnego; Spencer i Letourneau, w części, tłómaczą powstawanie mitów. Dział o religii w dziele Schäfflego należy do najwięcéj zajmujących.

Moralność jest także wyrobem dziejowym. Zwłaszcza znakomite prace Lecky'ego, na które autor często powołuje się, rzuciły w tym przedmiocie wielkie światło. Pozytywne to zapatrywanie się na zasady etyczne nie upowszechniło się jednak jeszcze dostatecznie nawet pomiędzy ludźmi, ściśle myślącemi. Autor zwraca npd. uwagę, że Prondhon w swojém dziele: „De la justice dans la révolution et dans l'église“ mówi o zasadzie sprawiedliwości tak, jakby ona spadła z nieba. To samo czynią wszyscy niemieccy filozofowie prawa, włączając także Krause'go. To co dzisiaj uważa się za cnotę, niezawsze nią było. Sama cnota doskonali się, tak co do treści jak co do formy. Rzymianin szczycił się uczuciem patryotyzmu, ale w tém uczuciu panowały surowość i bezlitosność dla wrogów i niewolników. „Dzisiaj pojęcie miłości ojczyzny skojarzyło się z uczuciem powszechnego braterstwa“ (Lecky). Skoro więc moralność rozwija się i doskonali, to oczewista rzecz, że „ze wzrostem prawdziwéj cywilizacyi niemoralność i występność muszą się zmniejszać“ (190, IV).

Główną częścią czwartego tomu są badania nad państwowością, któréj pojęcie łączy się ściśle z pojęciem woli społecznéj. Organy jedności woli są także z konieczności organami władzy. Organizm społeczny, jako więcéj skomplikowany od organizmu zwierzęcego,

---

(1) Str. 582. I.

(2) Euhemer, filozof grecki z IV w. przed N. Chr. tłómaczył mitologią za pomocą historyi.

(3) Str. 259. La Sociologie daprés l'etnographie par le docteur Charles Letourneau. Paris, 1880.

potrzebuje też więcéj czynności tamowania, pobudzania, porządkowania, zmieniania i podtrzymywania ze strony organów centralnych. Nie oznacza to wszakże zdrowia organizmu społecznego, tak samo jak organizmu zwierzęcego, „jeżeli centralne organy są bez przestanku powoływane przez lada najmniejszą cząstkę do porządkowania i podtrzymywania, lub jeżeli, w stanie nerwowego wzbudzenia, zanadto mieszają się do samodzielnych odruchów oddzielnych części tj. do dziedziny wolności i autonomii (201, 202, IV).

Nowoczesne państwo przedstawia się jako jedność woli i władzy, rozpościerająca się nad mniejszémi związkami, z których gmina jest najważniejszym. Ustęp jednak o gminie należy do słabych i z lekka tylko potrąca o kwestyą samorządu.

Państwo, w którém społeczeństwo dochodzi do jedności swéj woli i władzy, jest najwyższym wyrobem społecznego ducha, i dla tego im wyżéj jaki naród stoi pod względem kultury, tém silniéj czuje potrzebę samoistnego politycznego bytu. Państwo nie jest wytworem ani jedynie samowiednéj woli narodu, ani téż wynikiem jedynie ślepych sił przyrody czyli bezwiednéj czynności człowieka. Jest to jednak rzecz pewna, że czynność samowiedna wzmaga się, im wyższy jest ustrój państwowy. Alfred Fouillé, zastanawiając się nad tą kwestyą, przyszedł do pośpiesznego wniosku, że „te same prawa, które tworzą światy i konstelacye, tworzą także społeczeństwa ludzkie, z tą różnicą, że to, co w jednych jest światłem zewnętrznéni i ruchem koniecznym, staje się w drugich światłem wewnętrzném i ruchem dobrowolnym“ (1). Wniosek to jeszcze zawcześny, chociaż prawdopodobieństwo jego rośnie. Jedność bowiem praw panujących we wszechświecie, którą nowe odkrycia w dziedzinie nauk przyrodniczych i społecznych coraz bardziéj stwierdzają, zwolna niweczy wszelką granicę między tak zwaną martwą i żywą przyrodą, rozszerza krąg życia i organizacyi i czyni możliwém przypuszczenie, że „we wszechświecie wszystko jest żywe, wszystko jest zorganizowane i wszystko jest naraz osobnikiem i społeczeństwem. Biologia, socyologia i kosmologia przedstawiają się w gruncie jedną i tą samą umiejętnością“ (2). Zwolna więc z umysłu naszego pojęcie niebytu ustępuje przed pojęciem wiecznego istnienia.

Zbadawszy ogólne pojęcia i zasady państwowe, Schäffle zastanawia się mniéj lub więcéj szczegółowo nad geograficznémi warunkami, mieniem, ludnością i organami państwa, które mu służą do oporu i ochrony; nad gospodarstwem, technicznémi zakładami, umy-

---

(1) Str. 421. La science sociale contemporaine par Alfred Fouillé. Paris, 1880.
(2) Ibidem. Str. 127.

słową czynnością państwa; wreszcie nad organami władzy (rząd, zarząd, przedstawicielstwo itd.).

W zapatrywaniach się swoich na przedstawicielstwo, konstytucyą, formy rzędu (monarchiczna, arystokratyczna i demokratyczna), Schäffle z jednéj strony zanadto hołduje Polityce Arystotelesa, na którą powołuje się nieustannie, a z drugiéj strony zapomina o tém, co sam uwydatnił, zwłaszcza w trzecim tomie, że z rozwojem dziejowym dziedzina prywatna zwęża się a publiczna rozszerza. Autor widzi jednak dobrze, że demokracya jest polityczną formą społeczeństw przyszłości; mniema tylko, że prawdziwéj demokracyi nigdzie niema jeszcze dzisiaj, nawet w Szwajcaryi, i że „dla utworzenia dzielnéj demokracyi, potrzebna jest naprzód pewna równość posiadania i oświaty w przeważającym średnim stanie, dobrze zorganizowanym w zakładach fachowych“ (317, IV). Niezawodnie należy się zgodzić na to, że powyższe warunki są konieczne, ażeby demokratyczny ustrój stał się prawdziwie, rzetelnie demokratycznym; ale dla ewolucyonisty, jakim jest autor, musi być także jasną rzeczą, że żadna doskonała forma nie staje odrazu, lecz wyrabia się zwolna. Demokracya—jak słusznie zauważył autor—dla tego, już od czasów Arystotolesa, rozpłomienia wszystkie wyższe umysły i szlachetne serca, że z natury swych dążności musi sprzyjać: „całkowitemu rozwojowi umysłowych, moralnych i materyalnych sił ludu, upowszechnieniu poczucia obywatelskiego i poczucia wolności, zainteresowaniu umysłów i serc wszystkich obywateli sprawami państwowemi“ (311, IV). Zwracając się specyalnie do Austryi autor powiada: „Podług mego przekonania, monarchia konstytucyjna dziedziczna, przez obronę stanu czwartego i równouprawnienie narodowości, może przyczynić się do utrwalenia swego bytu tak samo, jak się przyczyniła była przez obronę trzeciego stanu. Jeżeli zaniedba to zadanie, to po ostateczném naturalném zjednoczeniu się i zorganizowaniu każdéj narodowości, grozi jéj los Burbonów, poniżenie się do despotyzmu (cezaryzmu) restauracyjnego, pieniężnego i proletaryatowego, upadek wraz z narodem albo skonanie w republice społecznéj“ (295, IV).

Ludzkością i umiarkowaniem odznaczają się poglądy autora na warunki, wyrabiające siłę państwową, taką siłę, która nie gniecie, nie wycieńcza, nie niszczy organizmu, ale wspiera jego wewnętrzny rozwój i broni go od niebezpieczeństwa zewnętrznego. Znajdujemy tu trzeźwe zdania o stosunku siły do prawa, o ustawach, zakresie czynności państwowych, wojnie, prawodawstwie, reformie, rewolucyi, przestępstwach, karach itd.

Autor rozróżnia jednolite i złożone czyli spólne kilku narodowościom państwo (Einheitsstaat und Gesammtstaat) i pierwsze uważa za wyższy od drugiego stopień. W tém jednak rozróżnieniu form państwowych, autor nie odróżnia form początkowych, małokulturalnych, które zrastają się w jedno państwo, i form wyższych, federacyi albo unij, które powstają z połączenia się dwóch lub więcéj polityczno-narodowych organizmów wyższéj kultury. Proces tworzenia się państw, którego obraz daje nam historya średniowieczna europejska, i którego przykłady napotykamy we współczesnych opowiadaniach podróżników afrykańskich, jest procesem przeważnie bezwiednym, instynktowym, w którym wojna i zabór są głównémi czynnikami. W ten sposób powstałe państwa przez długi czas przedstawiają w stosunkach wzajemnych ten sam obraz, jaki kreśli Guizot, mówiąc o wzajemnych stosunkach pierwotnych Germanów, tj. każde państwo robi to, co mu się podoba, i na co starczą jego siły. Tę arbitralność państwową podniesiono nawet do wyższéj politycznéj zasady, nazywając ją nieinterwencyą państwową. Doktryna to jednak nie mająca przyszłości. Historya jéj przeczy. Pomiędzy samodzielnemi politycznemi organizmami wytwarza się coraz większa wspólność i łączność. Dziedzina prawa międzynarodowego wzbogaca się w paragrafy i rozszerza. Wreszcie tworzą się federacye państwowe, jak npd. szwajcarska i północno-amerykańska. Są to już wyższe formy, i w procesie, przeważnie samowiednym, który do nich prowadzi, dobrowolna umowa jest głównym czynnikiem. W życiu polityczném dzisiejszéj Europy proces samowiedzy zaczyna brać przewagę i przeobraża nawet agregaty państwowe, spojone przemocą, w dobrowolne federacyjne związki. Widzimy to na Austryi, Schäffle jest tego zdania, że przyszłość jéj jest ściśle związana z dalszym rozwojem tego procesu samowiednego. „Dzisiejszy związkowo-państwowy ustrój cesarstwa—powiada autor—nie da się utrzymać. Cesarstwo, objęte obręczem korony habsburgskiéj, jest złożone podwójne państwo. Grozi mu rozpadnięcie się na dwa centralizacyjne państwa, a każdemu z tych państw grozi natychmiastowy opór większości zepchniętych do zależnego stanowiska narodów. Dzisiaj jeszcze mocniéj aniżeli w 1871 r. jestem przekonany, że albo dzisiejszy ustrój doprowadzi państwo do upadku, albo powinno przeobrazić się ono w decentralizowane związkowe państwo, na podstawie zupełnego równouprawnienia wszystkich krajów i wszystkich narodowości w każdym z tych krajów" (408, IV).

Bardzo ciekawy jest ustęp, przedstawiający krótką etnografią ludów całego świata. Nawet styl autora, zwykle ciężki i niejasny, zupełnie prawie zmienia się w tym ustępie, tak że czyta się on z praw-

dziwą przyjemnością. Autor opiera się przeważnie na pracy dwóch znakomitych etnografów niemieckich, Oskara Peschela i T. Waitza, i prowadzi nas logiczne od dzikich hord aż do zjednoczonéj organicznie całéj ludzkości. Taki obraz podnosi ducha i otwiera przed nim dalekie widnokręgi.

Schäffle kończy czwarty tom ustępem o metodach, któremi społeczna nauka może i powinna posługiwać się. Wypowiedziawszy swoje zdanie o spostrzeganiu, metodzie indukcyjnéj i dedukcyjnéj, definicyi, teoryi, hipotezie itd., autor w taki sposób—rzec można—streszcza swoję metodę, któréj trzymał się przy pisaniu dzieła:

„Ze względu na bezpośrednio teoretyczne i pośrednio-praktyczne zadania nauki, przywiązujemy największą wagę do spostrzegania, oczyszczania, gromadzenia, klasyfikacyi, opisywania faktów i na dalsze indukcyjne wysnuwanie empirycznych historycznych praw wyższego porządku, na poznanie szczególnych przejawów ogólnego prawa rozwoju, w szczególnych warunkach każdego peryodu, każdego kraju, każdego narodu.

„Wprawdzie, najwyższym celem czystéj umiejętności jest genetyczne sprowadzenie wszystkich szczególnych społecznych faktów do ogólnego prawa. Lecz drabinę, która prowadzi do najwyższego celu umiejętności, mianowicie do objaśnienia wszystkich pojedyńczych i szczególnych objawów za pomocą jednego najwyższego prawa, trzeba pozostawić na miejscu i ciągle coraz dokładniéj obrabiać jéj stopnie, ażeby można było po niéj zstępować napowrót, dla uobrazowania i praktycznego ocenienia tego prawa w życiu“ (491, IV).

Z tych słów autora widzimy, że przypisuje on opisanéj metodzie zanadto wielkie znaczenie, i rzeczywiście w dziele swojém dał jéj przewagę nad genetyczną.

* * *

W całém dziele Schäfflego uwydatniają się dwie zasady: a) w dziale statycznym—biologiczna analogia pomiędzy zwierzęcym i społecznym organizmem; b) w dziale dynamicznym—dobór społeczny, będący skutkiem walki o byt.

Podobieństwo organizmu społecznego do zwierzęcego oddawna już zwracało na siebie uwagę. Pomiędzy innemi, Rousseau w swoim artykule o ekonomii politycznéj, zamieszczonym w głośnéj Encyklopedyi, trafnie pochwycił główne zewnętrzne rysy tego podobieństwa. Lecz dopiéro Herbert Spencer w 1868 r. postawił pierwszy tę analogią na gruncie ściśle naukowym. Wielce mu ułatwiała tę pracę ta okoliczność, że towarzyszyły jéj gruntowne, biologiczne i psycholo-

giczne badania. W wychodzącéj obecnie Socyologii poświęca on całą jéj drugą część dokładnemu badaniu téj analogii. Lecz najbardziéj stanowczo—że tak powiem—poparł ją Paweł Lilienfeld. Rozumowaniem i faktami wykazał, że organizm społeczny jest organizmem realnym, naturalnym, że rządzą w nim te same prawa co i w całéj przyrodzie; ponieważ społeczeństwo jest tylko wyższym wytworem tych samych sił, co działają w przyrodzie. Stanowczość twierdzeń Lilienfelda zaprowadziła go jednak do przesady, do zbyt niewolniczego—jak wyraziłem się gdzieindziéj—oglądania się na przyrodę (1).

Schäffle w badaniach życia społecznego stanął także na gruncie przyrodniczym i oczewiście musiał dojrzéć analogie, istniejące pomiędzy indywidualnym i zbiorowym organizmem. Zająwszy się jednak we wstępie anatomicznem rozczłonkowaniem i opisaniem społeczeństwa, szukanie analogii posunął za daleko i często upatrywał je w znamionach bardziéj zewnętrznych niż wewnętrznych. Krytyka wytknęła to Schäfflemu, i sam on to spostrzegł, jakoż w następnych tomach widzimy większą powściągliwość jego w tym przedmiocie, a w końcu dzieła, w ustępie o metodach, autor broni się przeciwko zarzutowi nadużywania analogii, przeciwko temu jakoby je zamieniał na homologię, i utrzymuje, że zawsze wykazywał tylko analogię i nic więcéj (506, IV). Powiemy na to, że tego za mało. Podobieństwo może być albo tylko pozorne przypadkowe, albo rzeczywiste, konieczne. Pierwsze nie ma znaczenia, dla umiejętności ważném jest tylko drugie. Samo więc wykazywanie analogii nie jest dostateczne, trzeba jeszcze szukać *związku przyczynowego* pomiędzy podobnemi stronami; słowem, zamiana analogii w homologią jest postulatem naukowym, i powinniśmy do niéj zmierzać skoro podnosimy kwestyą analogii.

Przewaga opisowéj metody wiele zaszkodziła dziełu. Uczyniła je w wielu miejscach drobiazgowém i rozwlekłém. Nadto skrzywiła metodę porównawczą. Autor, porównywując organizmy indywidualny i społeczny, zawsze ma przed oczyma wyższy zwierzęcy i wyższy społeczny organizm. Tymczasem porównanie powinnoby się odbywać—że tak powiem—pomiędzy ogólnym typem biologicznym i ogólnym typem socyologicznym. Porównanie powinnoby być więcéj fizyologiczne, aniżeli anatomiczne; więcéj między podstawowemi zjawiskami, aniżeli między znamionami zewnętrznemi.

---

(1) Szczegółową ocenę pierwszych dwóch tomów jego dzieła: „Gedanken ueber die Sozialwissenschaft der Zukunft"—podałem we lwowskim *Tygodniku Polskim* z roku 1878. Dzieło Lilienfelda zostało skończone w 1879 roku.

Autor o wiele był szczęśliwszy w rozwinięciu dynamicznéj zasady: doboru społecznego jako następstwa walki o byt. Miał wprawdzie na tém polu dzielnych przewodników w Peschelu i Hellmoldzie, często téż korzysta z ich wskazówek—ale nikt tak systematycznie jak on nie przeprowadził téj zasady przez wszystkie dziedziny życia społecznego.

Ważną zasługę Schäfflego jest umiejętne wcielenie ekonomii politycznéj do całokształtu umiejętności socyologicznéj. Sama ekonomia polityczna, podniesiona do należnego jéj miejsca w socyologii, wyszła u niego z ciasnych granic, któremi w celach tendencyjnych usiłowano ją dotąd ogradzać. Podwójna ta wielka zasługa Schäfflego okupuje w zupełności wady jego dzieła.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

— **Pogadanki o życiu.** *Popularny wykład nauki obyczajowéj przez Henryka Wernica.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1882 r., str. II i 77. Książeczka ta przeznaczona jest dla warstw małoukształconych, ale pragnących się kształcić coraz więcéj. Z zadania więc swojego odznacza się wielką prostotą wyrażenia, wykładem jasnym, łatwym i przystępnym dla każdego, kto umie czytać płynnie. Według powszechnie i oddawna przyjętego zwyczaju w nauce moralności, rozpoczyna się przedstawienie rzeczy od uwag, odnoszących się do obowiązków względem ciała, mówi się tu więc o umiarkowaném jedzeniu i piciu, o schludném, choć ubogiém ubieraniu się, o potrzebie udawania się do lekarza w razie choroby. Następnie wykazuje autor potrzebę kształcenia duszy, kładąc główny nacisk na konieczność wykonywania każdéj roboty *jaknajlepiéj*, czego bez wykształcenia dokonać nie można; stąd mowa o korzystaniu z nauki szkolnéj, o czytaniu pożytecznych książek, o zachowaniu czystego sumienia. Po obowiązkach względem siebie, następują obowiązki względem innych ludzi, zwierząt i rzeczy. O niewłaściwości dręczenia zwierząt pisano i mówiono już oddawna, ale autor chcąc związać łańcuchem obowiązków ziemię całą, stara się wykazać, że człowiek nawet martwe przedmioty powinien otaczać pewną miłością; w rozumowaniu atoli, pragnąc być jasnym, mówi właściwie o poszanowaniu cudzéj własności, kiedy np. nie każe niszczyć dróg, mostów, drzew, kościołów, kiedy nie każe przywłaszczać ani kawałka kamienia ze stosów złożonych na drodze, ani jednéj cegły z nagromadzonych do budowy domu. Dla ścisłości pojęcia lepiéj było zupełnie pominąć na tém miejscu całe to rozumowanie, a przenieść je do dalszych ustępów, gdzie mowa o obowiązkach względem społeczeństwa lub o własności obcéj. Stawiając najwyższą zasadę postępo-

wania z ludźmi, autor krytykuje dwie podawane zazwyczaj („czyń to innym, cobyś pragnął, aby i tobie czyniono", — „nie czyń nikomu nic takiego, coby mu szkodę lub przykrość sprawiło"), a zaleca trzecią jakoby mieszczącą w sobie dwie powyższe „postępnéj tak, jakbyś chciał, aby wszyscy ludzie postępowali." Jestto zmodyfikowana i uproszczona zasada Kanta; mimo jednak powagi tak wielkiego imienia, nie można jéj przecie za zupełnie wolną od niedoskonałości poczytywać; w zasadzie téj, równie jak w dwu poprzednich, pozostawiono indywidualnemu usposobieniu nadzwyczaj szerokie pole w ocenie tego, co dobre i cnotliwe. Wykład obowiązków względem żony, dzieci, wyższych i niższych wogóle jest zadawalniający; tam jednak gdzie autor stara się stłumić w sercu biednego czytelnika zazdrość względem bogaczów (str. 36, 37) lepiejby podobno było dobitnie a przekonywająco wykazać znaczenie własności osobistéj, aniżeli chwytać się rozumowań, które się wprawdzie i w podręcznikach ekonomicznych powtarzają, ale nie są zbyt silne. Gdyby bogacze *nie pozwalali* sobie pewnego zbytku, bez którego ty się obchodzisz, ilużby ludzi zostało pozbawionych pracy i zatrudnienia? Nie pocieszająca-to wcale perspektywa dla biedaka, że ażeby mógł pracować w pocie czoła, potrzeba, aby bogacze pozwalali sobie zbytków .. Autor nie zapomina wprawdzie zaraz na następnéj stronicy wskazać, iż jedyném źródłem bogactw jest wytrwała i rozumna praca, ale zdanie to i cały dalszy wywód nie zostają w ścisłym logicznym związku z poprzedniemi argumentami za potrzebą istnienia bogaczów. Dobrym jest rozdział, w którym autor przedstawia znaczenie społeczeństwa i obowiązków społecznych, mając ciągle w pamięci i na widoku konieczność pracy i oświaty. Ostatni rozdział poświęcony jest wskazaniu obowiązków względem Boga, przyczém autor kładzie nacisk na ideę tolerancyi. W zakończeniu znajdujemy piękne upomnienia dotyczące obowiązku wogóle. Jedna tylko okoliczność razi tu nas cokolwiek. Autor nie spodziewał się chyba, że książeczkę jego czytać będą kobiety, gdy powiada, że „prawdziwa godność *mężczyzny* zasadza się na wierności w pełnieniu obowiązków" (str. 76). A nie jestto jedynie chwilowy usterk pióra, autor bowiem ciągnie daléj: „Skoro zaś pozwolisz, że nad twém sumieniem weźmie górę sobkostwo i namiętność, wtedy zrzekasz się swéj męskości, tracisz swą niezależność i stajesz się niewolnikiem twych zmysłów." Takie wyrażenia dziśby już powinny być wykreślone ze wszelkich rozpraw moralizujących publiczność; obowiązek nie tylko mężczyzn obowiązuje lecz w równéj mierze i kobiety; i gdyby autor w tym względzie był zredagował ustęp tu przytoczony, z większą słusznością mógłby powiedzieć w końcu swéj pracy:

„Błogo temu narodowi, w którym wyraz obowiązków wstrząsa jakby iskra elektryczna, *wszystkich* serca i umysły.“

= **Kilka słów o Edwardzie Rastawieckim** *i o rzeczywistém znaczeniu naszéj Galeryi narodowéj w Poznaniu. Odczyt miany w Towarzystwie Przemysłowém dnia 20 lutego 1882 przez hr. Wawrz. Benzelstjerna Engeström. Odbitka z „Dwutygodnika dla kobiet.“* Poznań, 1882, str. 33. Nie tylko opowiedzenie dziejów ubogiego w wypadki życia Rastawieckiego wziął sobie za zadanie prelegent, ale także wdrożenie w umysły słuchaczów téj wielkiéj prawdy, że wielki a rozumny patryotyzm przejawić się może a w naszém położeniu przejawić się powinien w uczciwéj, legalnéj i jawnéj pracy na różnorodnych polach pracy dla kraju. Autor nie zamierzał pisać ani historyi ani filozoficznego na sprawy nasze społeczne poglądu, lecz „uniesiony sercem w dziedzinę marzeń ulotnych“ przemawia gorąco w imię idei owéj pracy, powolnéj i cichéj, a jako dobrą illustracyą idei téj w zakresie sztuki podaje życie i działalność Edwarda Rastawieckiego, który zebrał i Seweryna Mielżyńskiego, który krajowi darował „galeryą artystów polskich.“ Wzgląd ten prowadzi autora do skreślenia w króciutkim zarysie historyi sztuki na gruncie wielkopolskim, gdzie się „idea estetyczna najpierwéj u nas przejawiła.“ Ograniczyć się tu musiał naturalnie na wymienieniu nazwisk i wskazaniu główniejszych utworów, wykonanych przez artystów wielkopolskich, a to w tym celu, ażeby pobudzić słuchaczów“ do rozważenia, do wspólnego zajęcia myśli“ tą przeszłością i temi śladami twórczości, które nam o pracy przodków mówią. W tym téż celu i my drobną tę pracę zacnego męża czytelnikom polecamy.

= **Les oeuvres d'imagination**. *Essai d'Esthétique littéraire par Jules Guillemin, professeur de littérature française à Varsovie, membre de plusieurs sociétés savantes de France.* Varsovie 1882, str. 92. Jestto praca nie mająca pretensyi do znaczenia ściśle naukowego; jako wykład pedagoga ma przedewszystkiém na widoku uczniów i uczennice; jasność i przystępność są jéj najważniejszą zaletą. Autor nie stara się o sprowadzenie różnorodnych objawów piękna do jakiéjś spólnéj zasady, nie ubiega się o filozoficzne objęcie przedmiotu, ale opierając się na faktach empirycznie dostrzeganych, klasyfikuje tylko objawy piękna literackiego pod pewne rubryki i w formie luźnéj a łatwéj pogadanki pojęć swoich czytelnikowi udziela. Przyznaje, że do sformułowania swojéj „tezy“ estetycznéj doszedł na drodze indukcyjnéj przy odczytywaniu Gustawa Planche'a, głośnego przed laty krytyka francuskiego, któremu robi ten jedynie zarzut, że wykład jego jest cięzki i wydaje się zbyt często nacechowanym ferułą nauczycielską. Teza ta streszcza się w zdaniach następnych: „Po-

siadamy kilka władz, które się budzą i doznają zadowolenia przy czytaniu pięknego dzieła literackiego. Oto są te władze: *imaginacya*, *czułość*, *rozum*, *zmysł moralny*, *smak*. Jeżeli autor potrafi w dziele swojém rozwinąć takie przymioty, które odpowiednio zadawalniają te pięć władz, to spełni wszystkie warunki estetyczne doskonałości dostępnéj dla człowieka. Pisarz czyniący zadość niektórym tylko z tych warunków, może mieć wielką wartość, ale tém większy podziw obudza, im większą liczbę warunków wypełnia.“ W wyliczeniu powyższém na pierwszy rzut oka spostrzegamy brak *zmysłów*, a mianowicie zmysłu *słuchu*, od którego przecież piękne dzieło literackie w znacznéj części zależy, jako od fizycznéj podstawy poezyi. Zrozumiéć-by to można, gdyby autor wcale nie wspominał o zewnętrznéj stronie utworów literackich, o języku i stylu, ale gdy w zakończeniu za jeden z warunków piękna literackiego podaje „ton i styl“ (str. 57) i gdy w uwagach swoich krytycznych nad niektóremi poezyami główny nacisk kładzie na wyrażenia i na rymy; to opuszczenie zmysłów w powyższém wyliczeniu władz, które zadawalniać ma poezya, jest istotną luką w teoryi czy w „tezie“ autora. W szczegółowém obrobieniu owych pięciu władz duszy wiele p. G. podaje trafnych uwag; we wszystkiém prawie zgodzić się z nim można, nowości tu bowiem nie ma, ale znajdujemy zużytkowane we właściwém miejscu spostrzeżenia znane i niejednokrotnie wypowiadane. W rozdziale o smaku z pewną uroczystością zapowiada autor, że w ocenie wielu utworów nie zgadza się z powszechnie przyjętemi sądami. Myślałby kto, że autor ma na myśli jakieś dzieła znakomite, zapowiada bowiem, że dotyka się arki świętéj, że jego sceptycyzm nazwą świętokradztwem; tymczasem autor wylicza parę krótkich poezyjek, o których znakomitości wiedzą tylko czytelnicy różnych wypisów i chrestomatyj, daléj jednę scenę z Fedry Racine'a i Joannę d'Arc Delavigne'a. Mimowoli przypomina się znany wiersz Horacego: *parturiunt montes*... Ale szczegół ten najlepiéj charakteryzuje przeznaczenie pracy autora; szło o wskazówki dla uczniów i uczennic, czytających wypisy francuskie i uczących się na pamięć różnych wyjątków. W „dodatkach“ oprócz kilku urywków poetycznych znajdujemy ciekawy spis „typów literatury francuskiéj“ i rozbiór czysto formalny dwu wierszyków „Anioł i Dziecię“ Reboula, „Woły“ Duponta. Książeczka pana Guillemin w swoim skromnym zakresie może być użyteczną.

ODEZWA.

W roku bieżącym kończy T. T. Jeż 25 lat służby publicznej. Niżej wymienione grono ludzi, pokrewnych mu duchem a pobudzonych obowiązkiem, chcąc uczcić tę drogą nam rocznicę pracy wielkiego pisarza, wyda pod jego imieniem książkę zbiorową. Kto, jak Jeż, zbogacił społeczeństwo swoje szeregiem utworów znakomitych; kto je tak ukochał i tak oświecić pragnął, ten na uroczystość swego jubileuszu nie potrzebuje być wprowadzony przez nas z żadnem szczegółowem objaśnieniem. Na to przez 25 lat pracował, na to stworzył *Wasyla Hołuba, Krwawe Dzieje, Szandora Kowacza, Historyę o praprawnuku i prapradziadku, Narzeczoną Harambaszy, Dahijszczyznę, Hryhora Serdecznego, Uskoki* i inne powieści; na to mężnie walczył piórem w naszej obronie — ażeby dziś samo jego nazwisko było wyrazem zasług dostatecznie zrozumiałym i ażeby w pamiątkowej chwili skupiło wszystkich światłych jego ziomków dla złożenia strudzonemu pracownikowi ogólnego hołdu.

Jeż należy do tych wyjątkowych u nas umysłów, których starość od najświeższych prądów myśli ogólnej i krajowej nie odrywa, lecz na falach postępu utrzymuje. Przejęty do głębi uczuciem obywatelskiem, odczuwszy sercem pragnienia narodu, jednocześnie ogarnął jasnym rozumem jego potrzeby i zalecał ich zadośćuczynienie w duchu wieku. Od wstąpienia na drogę pisarską, kładąc największy nacisk na spółczesne zagadnienia społeczne, stawał zawsze w obronie słabych i uciśnionych, wskazywał prawdziwe, na rzeczywistości oparte ideały, opromieniał szlachetnem światłem pracę, chłostał dzielnie te ujemne czynniki, co tamują rozwój sił krajowych—był apostołem dążeń i przekonań, które następnie młodzież za swoje hasła uznała.

Pierwsza to sposobność, powołująca ogół do nagrodzenia swego zasłużonego syna; mamy nadzieję, że ten obowiązek spełnimy tak rzetelnie i gorliwie, jak go na uroczystości drugiego znakomitego pisarza, Kraszewskiego, spełniliśmy niedawno.

Książka nasza p. t. **Ognisko** wyjdzie pod koniec bieżącego roku, w objętości 30—40 arkuszy druku wielkiej ósemki. Nie będzie ona zawierała wyłącznie artykułów o jubilacie, lecz, obok

wizerunku jego i ogólnego poglądu na jego działalność, obejmie wiązkę prac, zebranych według pewnego planu a przeniknionych tym duchem, który z pism Jeża wieje. Wszystkie działy nauki i literatury, o ile ramy i warunki pozwolą, będą w niej uwzględnione.

Następujący autorowie zaofiarowali swoje współpracownictwo: J. Baudouin de Courtenay, A. G. Bem, J. J. Boguski, P. Chmielowski, K. Dunin, A. Dygasiński, A. Głowacki (B. Prus), W. Gosiewski, J. Karłowicz, M. Konopnicka, J. Kotarbiński, S. Kramsztyk, J. Ochorowicz, F. Olszewski, E. Orzeszkowa, Ig. Radliński, Wł. Smoleński, W. Spasowicz, F. Sulimierski, A. Świętochowski, J. Szyff, Zgliński.

Drogą *przedpłaty* książka kosztować będzie w Warszawie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5.

Po pokryciu kosztów wydania za całą resztę funduszu zakupimy powiastkę u Jeża, która prenumeratorom książki jubileuszowej rozesłaną będzie *bezpłatnie*.

Liczba abonentów *Ogniska*, których listę wydrukujemy, stanowić będzie o wysokości honorarium za tę powiastkę a więc o materyalném wynagrodzeniu 25-letniej pracy znakomitego pisarza, który nie jest tyle szczęśliwym, ażeby mógł już po trudach w dostatku odpocząć.

Wszystkie pisma polskie prosimy o powtórzenie tej odezwy, o przyjmowanie przedpłaty na *Ognisko* i przelewanie jej do redakcyi *Prawdy*; ogół zaś—o jaknajszersze wzięcie udziału w hołdzie dla zasłużonego pisarza.

Dla zapobieżenia wyczerpaniu książki zwracamy uwagę na konieczność pospiechu w przesyłce zamówień, gdyż liczba egzemplarzów zastosowaną będzie ściśle do ilości żądań.

Do słów powyższéj odezwy redakcya Ateneum tyle tylko dodać może, że ze swéj strony najserdeczniéj przyklaskuje myśli uczczenia zasług pisarza, który w ciągu całego swego zawodu zacnie i rozumnie służył sprawie rozwoju narodowego i niejedną rzucił myśl zdrową, co piękne i obfite wydała plony. Zachęcając czytelników do wzięcia udziału w uczczeniu Jeża za pośrednictwem prenumeraty na „Ognisko" zachęcamy ich tylko do spełnienia obowiązku, jaki się należy zasłudze.

Życzącym sobie składać prenumeratę w redakcyi naszego pisma, chętnie pośredniczyć będziemy.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Sierpnia 1882 r.

---

1. **Dr. Jan Scherr. Historya literatury powszechnej**, przekład *Bronisława Zawadzkiego*. Tom II. Zeszyt 2. Warszawa u Gebethnera i Wolfa 1822 (str. 161—320).
2. **Badania porównawcze w dziedzinie języka i ich wyniki przystępnie** skreślił *Ludomir Szczerbowicz-Wieczór*. Warszawa 1882. (str. 179).
3. **Wystawa Obrazów** dawnych mistrzów urządzona na rzecz tow. dobrocz. w sukienicach krakowskich w r. 1882 ocenił i napisał *Maryan Sokołowski*. Kraków 1882, str. 91.
4. **Estrejcher. Bibliografia**. Tom VIII. Zeszyt I i II.
5. **Poezyje Józefa Stanisława Wierzbickiego**. Warszawa 1882 (str. 48).
6. **Sypniewski Julian. Owczarstwo**. Poszyt II i III: Anatomja i fizyologja owcy, opracowana p. d-ra *Karola Graffa*. Warszawa 1882 (str. 103—261).
7. **Kilka słów o wystawie inwentarzy. Odbytej w Warszawie w 1882 roku**, napisał *Juliusz Sypniewski*. Warszawa 1882 (str. 41).
8. **Kilka uwag o stosunku sztuk pięknych do rzeczywistości**, napisał *Aleksander Pechnik* dr. fil. w Warszawie. 1882.
9. **Słownik geograficzny Król. Pol. i t. d.** Tom III. Zeszyt XXXI. (str. 481—560) od *Jasionka do Jelonek*.
10. **Pieśni obrzędy weselne ludu ruskiego w Zalewańszczyznie**, spisał *Bolesław Popowski*. Kraków, 1882 (str. 58).
11. **O mogiłach w Samhorodku pow. Skwirskim gub. Kijowskiej rozkopanych w r. 1875 i 1876**, przez *Bolesława Popowskiego* (str. 5).
12. **Otczot** Kandidata-stypendiata imper. warsz. uniwersiteta *Stanisława Kijeńskawo* o naucznych zaniatijach w teczenii 1881 goda. (Odbitka z „Warszawskich uniwers. izwiestij." 1882. str. 22.
13. **Die Neapolitanischen Summen** ein historischen essay v. Klemens Kantecki, aus dem polnischen übertragen v. *Raphaelf Löwenfeld*. Pozn. verlag v. Joseph Jolowicz 1882.
14. **Patologiczeskaja storona Ewrejskaho woprosa**. *D. Chwolesa*.
15. **Wypisy polskie** ułożył *Adolf Dygasiński*. Część średnia (dla klasy II-ej i III-ej). Warszawa. Nakładem Lesmana i Swiszczowskiego. 1882 (8-vo str. 290).
16. **Z dziejów dawnej Polski** Studyum historyczne przez *Michała Jezierskiego*. Warszawa. 1882, (str. 256).
17. **Wypisy polskie** ułożył *Antoni Bądzkiewicz*. Część wyższa, połowa pierwsza, zawierająca: Opisy, listy, opawiadania i dyjalogi. Warszawa nakładem Gebethnera i Wolffa 1882. (8-vo str. 302.)

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1882 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1881. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi a fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie	Rs. 12.
Półrocznie	„ 6.
Kwartalnie (tylko w Warszawie)	„ 3

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM

Włodzimierska, 14.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Августа 1882 года.